

Andrzej Sejan

Ostatni pociąg z „Riese”



Andrzej Sejan

Ostatni pociąg z „Riese”

Copyright © 2016 by Andrzej Sejan
Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie i kopiowanie całości lub części publikacji
zabronione bez pisemnej zgody autora.

Góry Sowie, 7 maja 1945 r.

Coś w zachowaniu esesmanów sprawiło, że zwolnił kroku. Ani on, ani żaden z blisko dwudziestu więźniów nie wiedział, dlaczego ich tędy prowadzą. Nie była to trasa, jaką zwykle, po skończonej zmianie, wychodzili z wnętrza góry.

Staszek miał dziewiętnaście lat. Wywieziony z Warszawy, wraz z tysiącami innych młodych uczestników powstania, trafił pod koniec roku 1944 tu, w niemieckie góry – do podobozu o kryptonimie „Erlenbusch”, będącego filią obozu koncentracyjnego Gross-Rosen. Szybko zorientował się, że nie mógł trafić gorzej.

Mordercza praca głęboko pod ziemią, w zimnie i wilgoci, błyskawicznie wyczerpywała siły więźniów. Nie mogły temu zaradzić dwa posiłki dziennie, składające się z wodnistej zupy, z kawałkami ziemniaków i brukwi, oraz chleba z margaryną i niekiedy kiełbasą. Jeden kilogramowy bochenek dzielono na czterech więźniów. Staszek nigdy nie był żarłokiem, lecz i on wkrótce zaczął odczuwać straszliwy głód. Po kilkunastu tygodniach zrozumiał, dlaczego wielu więźniów jadło nie tylko trawę, ale i korę z drzew.

Najgorsza była zima; pierwsza w obozie i pierwsza w ogóle jaką spędził poza domem. Niebiesko-białe, drelichowe pasiaki stanowiły ubiór całoroczny. Przy ponad dwudziestostopniowym mrozie więźniowie równie dobrze mogliby chodzić nago. Kiedy się pochylali, przez szpary między guzikami bluzy przeświecała goła skóra. W obozie radzono sobie z tym na różne sposoby. Najczęściej, tak jak zrobił to on, wpychano za pazuchę papier z worków po cemente. Trochę pomagało. Groziła za to kara śmierci; według Niemców było to bowiem niehigieniczne. Ci z więźniów, którym drewniane trepy całkiem się zdarty, przywiązywali do podeszew kawałki desek. Robili to najczęściej nie sznurkiem, którego zdobycie graniczyło z cudem, lecz drutem kolczastym. Największego pecha mieli jednak ci, którym przyszło pracować przy regulacji potoków na terenie budowy. Kilka godzin stania w lodowatej wodzie doprowadzało ich na skraj śmierci lub szaleństwa.

Dziś, w pierwszych dniach maja, wyjątkowo słonecznych i ciepłych, łatwo było zapomnieć o niedawnym koszmarze. Lecz czas cierpienia i grozy nie minął. Choć natura złagodniała, nie zmieniło się to, co najgorsze – ludzie.

Staszek przestał się ociągać i przyspieszył kroku, by nie znaleźć się na samym końcu kolumny. Było tam jeszcze mniej bezpiecznie, niż na początku. Jakiś znudzony esesman, zmuszony wlec się za więźniami, mógł dojść do wniosku, że skopanie kilku maruderów zdoła go trochę rozerwać. Staszek nie raz miał okazję obserwować takie zabawy. Niektórzy z esesmanów przejawiali sporą pomysłowość w zabijaniu nudy. Widział kiedyś, jak dwóch podoficerów założyło się, któremu z nich uda się jednym ciosem siekiery przeciąć więźnia na pół. Konkurs, ku ich żalowi, nie został dokończony, bowiem po pierwszej, nieudanej próbie podjętej przez jednego z esesmanów, w sprawę wmieszał się dowódca obozu. Sam wyjątkowy sadysta – nie tolerował jednak samowoli swoich podwładnych. Rozkawałkowane dwoma uderzeniami siekiery zwłoki anonimowego więźnia wrzucono na ciężarówkę, na której spoczywali już inni, którzy tego dnia – jak co dzień – zmarli z wycieńczenia bądź zostali zatłuczeni na śmierć. Ich ciała chowano w zbiorowych grobach lub wieziono do krematorium w macierzystym obozie Gross-Rosen.

W ten sposób pasjonujący problem, czy można przeciąć człowieka jednym uderzeniem siekiery, pozostał nierozstrzygnięty. Niewykluczone jednak, że było inaczej. Być może w którymś z dziesiątków obozów koncentracyjnych, rozsianych po środkowej Europie, esesmanom udało się rozwiązać tę zagadkę.

Jak wszyscy więźniowie, Staszek nie miał pojęcia, co właściwie budowali we wnętrzu okolicznych gór. Również esesmani i funkcjonariusze Organizacji Todta oraz pracownicy wielu niemieckich firm, zatrudnionych na placu robót, nie orientowali się w całości przedsięwzięcia. Zapewne istniała garstka wyższych dowódców i inżynierów, którzy posiadali taką wiedzę, ale reszta czerpała informacje tylko z tego, co widziała wokół siebie, oraz z plotek. A te bywały najróżniejsze. Mówiono o wielkich fabrykach prochu, jakie mają być umieszczone pod ziemią. O nowej kwaterze głównej Hitlera; ktoś bowiem widział jak na miejsce przyjechali gestapowcy z Kętrzyna. Pod ziemią miałyby się znaleźć kwatery dla całej armii, bezpiecznej w ten sposób od ataku z powietrza. Mówiono o zakładach lotniczych, w których ma być produkowanych tysiąc samolotów miesięcznie albo rakiety wystrzeliwane na Londyn, a nawet na Nowy Jork. Esesmani cieszyli się na myśl, że powstanie tu *Wunderwaffe*, która odmieni losy wojny.

Staszek nie zastanawiał się, które z tych opowieści były bardziej prawdopodobne od innych. Wiedział tylko jedno - że znajduje się w istnej Wieży Babel. W jego obozie przebywali ludzie niemal z całej Europy. Podobnie było w innych obozach, rozlokowanych w górach i pobliskich miejscowościach.

Praca przy drażeniu podziemnych korytarzy dawała przedsmak tego, czym mogłoby być piekło, gdyby było zimne, wilgotne i pełne skalnego pyłu. Lecz i w piekle nie wszyscy cierpią jednakowo. Staszek modlił się co wieczór, by nie przydzielono go do komanda zajmującego się załadunkiem urobku na wagoniki. Byli to ludzie, którzy wkraczali do akcji tuż po odstrzeleniu skał na przodku. Ich zadanie polegało na strącaniu długimi, metalowymi tykami wiszących u stropu skał, obruszonych wybuchem. Dopiero później można było ładować skałę na wagoniki. Niekiedy spękania stropu okazywały się większe, niż się spodziewano, i wówczas na pechowych robotników waliły się tony skał. Śmierć kilku więźniów w takim obvale była czymś zwyczajnym. Od czasu do czasu zdarzały się prawdziwe katastrofy, kiedy ginęło ich kilkunastu lub nawet kilkudziesięciu.

Z innym rodzajem strachu musieli zmagać się hamulcowi wagoników wywozających urobek. Te tak zwane lory toczyły się coraz szybciej po pochyłości, a ponieważ wiele z nich miało zepsute hamulce, prędkość stawała się niebezpieczna. Hamulcowi radzili sobie, jak mogli, by ją zmniejszyć; przeważnie wpychali kij między koło a podwozie, a nawet pomagali sobie butami. Mimo to przypadki wykolejenia się wagoników zdarzały się codziennie. Zwały kamienia przygniatały hamulcowych. Wielu ginęło na miejscu; ciężko rannych dobijali esesmani.

Staszek miał, jak dotąd, więcej szczęścia. Początkowo wprawdzie uczestniczył bezpośrednio w drażeniu tuneli, ale szybko dał się poznać jako zdolny ślusarz, dzięki czemu, pod nadzorem niemieckich majstrów, pracował w grupie zatrudnionej przy uzbrajaniu gotowych chodników w niezbędne instalacje.

Po skończonej zmianie nie było już takich podziałów. Wszystkich pospołu pędzono do wyjścia, a stamtąd do obozu. Dziś było tak samo, z wyjątkiem kierunku, w jakim się udali. Staszek nie znał tego fragmentu podziemi. Zapewne budowali go więźniowie z innego obozu. Taki podział pracy był dość ściśle przestrzegany, dlatego obozy starano się lokować jak najbliżej przypisanego im placu budowy. Nie zawsze było to możliwe, a niektóre obozy obsługiwały więcej niż jeden podziemny kompleks.

Staszek nie potrafił określić kierunku marszu, nie wiedział więc, jak daleko weszli w podziemia. Wiedział tylko, że znacznie dalej, niż kiedykolwiek przedtem. Większość więźniów zdawała się nie zwracać na to uwagi; zobojeźniali na wszystko szli bezwolnie tam,

dokąd ich prowadzono. Część znajdowała się już prawie po drugiej stronie ostatecznej granicy - ciała wciąż funkcjonowały, lecz dusze rozplynęły się z bezmiarze cierpienia. Niczego nie chcieli i niczego nie mogli dać. Nie było dla nich ratunku. Z punktu widzenia Niemców stali się beużyteczni. Wyselekcjonowani - zasilali wiecznie płonący ogień krematorium Gross-Rosen.

Pozostali walczyli jeszcze; z nadzieją podsycaną pogłoskami o bliskim końcu wojny. Nie poddać się. Nie załamać. Przeżyć jeszcze jedną zmianę; jeszcze jeden dzień. Tak naprawdę to właśnie ta nadzieja budowała podziemne fabryki, a nie tysiące wynędzniałych ludzkich wraków.

Staszek nabawił się niedawno jakiejś choroby gardła. Ukrywał ją, chociaż mówienie przychodziło mu z trudem. Bał się, że zostanie uznany za niepełnowartościowego i poddany selekcji. Na szczęście udawał tak dobrze, że jeśli ktoś miał problemy ze zrozumieniem go, kładł to na karb jego wrodzonej wady wymowy, o której wszyscy wiedzieli i którą Niemcy tolerowali, póki solidnie pracował.

Tunele, którymi podążali, niepostrzeżenie zmieniły się w korytarze, całkowicie wykończone, otynkowane i na dobrą sprawę nie różniące się niczym od korytarzy w budynkach na powierzchni. Ich skomplikowana sieć zdawała się tworzyć wewnątrz góry odrębny świat, niewiele mający wspólnego z tym na zewnątrz. Ukończone fragmenty podziemi były oświetlone silnymi lampami. Staszek nie bez podziwu patrzył na szeregi drzwi, pokoje i sale, jakby przygotowane do wypełnienia ich biurkami i stołami laboratoryjnymi. W porównaniu z ziębem i wilgocią tuneli, w których na co dzień pracowali, było tu znacznie cieplej. Cieszył się więc każdą mijającą minutą; jak może się cieszyć tylko ktoś, kto na chwilę wyrwał się z koszmaru i wie, że zaraz ponownie zaśnie i koszmar powróci.

Wyczulone ucho Staszka wychwyciło we wrzaskach esesmanów nową nutę. Zrozumiał, że zakazują im jakiegokolwiek rozglądania się. Mieli iść dalej korytarzem patrząc na plecy idącego przed nimi więźnia. Za nieposłuszeństwo groziła śmierć. To nie były czcze pogrożki. Pobyt w obozie nauczył go, że można zginać nawet za mniejsze przewinienia. Lecz ciekawość bywa silniejsza niż strach, gdy jest się młodym i wierzy w swój spryt. Zerkał więc na boki, nie poruszając głową.

Od korytarza, w którym się znajdowali, odchodził inny, który w odległości jakichś trzydziestu metrów kończył się małym pomieszczeniem. Mignęły w nim Staszкови wyloty innych korytarzy, a także podwójne, metalowe drzwi, przypominające służę. Były uchylone, a za krótkim korytarzem za nimi rozciągała się olbrzymia hala, wielka niczym nawa katedry. Jej najbliższa część była już ukończona, ale środkiem biegło torowisko, którym wywożono urobek, co wskazywało, że dalej jeszcze toczyły się prace. Mógł się mylić, ale wydawało mu się, że w hali byli więźniowie.

W korytarzu za służą zgromadziło się kilku esesmanów. Jeden z nich przykucnął i Staszek ujrzał, że majstruje przy detonatorze. Zaraz potem skałami wstrząsnął huk, a kłęby kurzu przysłoniły korytarz. Pyłu było jednak dziwnie mało. Z jakiegoś powodu eksplodowała tylko część ładunków. Obruszyło to wprawdzie spory fragment stropu, lecz wejście do hali nie zostało całkowicie zamknięte. Na twarzach Niemców odmalowało się przerażenie. Szybko przebiegli przez służę, ryglując ją dokładnie za sobą.

To było wszystko, co Staszek zdążył zobaczyć. Wbił wzrok w pasiak idącego przed nim więźnia i już się nie rozglądał. W głowie miał chaos. Jak miał to zinterpretować? To nie były prace górnicze; esesmani się nimi nie parali. Wyczuwał, że widział coś ważnego, związanego ze zbliżającym się końcem wojny. Być może dlatego poprowadzono ich okrężną drogą, że esesmani rozpoczęli niszczenie wybranych fragmentów podziemi, zamykając sukcesywnie wszystkie sztolnie wejściowe i dostęp do ważniejszych obiektów. Lecz czy rzeczywiście w hali byli ludzie, którzy mieli zostać żywcem pogrzebani? Potworność tej myśli wstrząsnęła nim. A co ze służą powietrzną? Jaką rolę odrywała w tej historii? Czego

przestraszyli się esesmani, gdy nie powiodło się wysadzenie korytarza? Byli przecież uzbrojeni; co im mogło grozić? A jednak, praktycznie rzecz biorąc, uciekali w popłochu.

Nie potrafił znaleźć odpowiedzi na te pytania. Podświadomie też chyba nie chciał. Wiedział, że musi o wszystkim zapomnieć. Nie wolno mu zdradzić nawet słowem, że cokolwiek widział.

Mechanicznie stawiał kroki, aż wreszcie wydostali się na powierzchnię wyjściem, z którego jego komando nigdy nie korzystało. W jasnym, popołudniowym słońcu łatwo było wziąć to, co działo się w podziemiach, za majaczenia szaleńca.

Z tego miejsca widok na wielką budowę był naprawdę imponujący. Jej ogrom przytłaczał. Sieć dróg opasywała górę na kilku poziomach. Po całym terenie przemieszczały się tysiące ludzi, wykuwających w skale dziesiątki sztolni i wznoszących setki budowli naziemnych. Wszędzie pełno było kurzu i pyłu. Ponad szczytami dniem i nocą przetaczał się nieustanny grzmot potężnych kompresorów, tłoczących powietrze w głąb korytarzy. Podobnie mogłaby wyglądać budowa egipskich piramid. Trzecia Rzesza leżała już w gruzach, lecz tu wciąż królował obraz siły i potęgi.

Zamek Książ, 11 czerwca 2015 r.

Prezydent Wałbrzycha, Ryszard Kazimierski, miał powody do zadowolenia. Wieloletnie wysiłki znalezienia inwestora, który wzięłby na siebie ciężar – zbyt wielki dla samorządu – przywrócenia dawnej świetności dwóm ostatnim piętrům jednego z największych zamków w Polsce i otwarcia tam luksusowego hotelu, zostały uwieńczone sukcesem. Silny uścisk ręki przypieczętował podpisaną przed chwilą umowę z austriacką firmą Kronos AG

Choć inwestor był niezbyt chętny rozgłosowi, prezydentowi udało się wymóc podpisanie umowy z wielką pompą w samym zamku, w świetle reflektorów i pod okiem kamer. Austriacy, choć z ociąganiem, zgodzili się; rozumieli z pewnością, że to zbyt poważna sprawa, by mogła pozostać w zaciszu gabinetów. Byli też na tyle zorientowani w specyfice polskiego życia politycznego, żeby się nie dziwić wielkiemu medialnemu spektaklowi, zorganizowanemu przez prezydenta Kazimierskiego. Lokalni politycy w ich kraju musieli postępować podobnie.

Uradowana twarz prezydenta nie była zresztą tylko pozą obliczoną na pozyskanie sympatii wyborców. Prezydent autentycznie się cieszył, ponieważ dotychczas zamek nie zawsze miał szczęście do inwestorów, a on sam nie raz znajdował się pod ostrzałem krytyki. Teraz pojawiła się szansa, że ten wielki – dosłownie i w przenośni – kłopot zostanie zdjęty z jego barków.

To właśnie Książ stał się największą kompromitacją poprzednich kadencji wałbrzyskiego samorządu. W roku 1999 trzy piętra zamku wydzierżawiono na trzydzieści lat pewnej angielskiej firmie. Miały tam powstać luksusowe apartamenty dla zagranicznych gości oraz restauracja. Do kasy miasta miało wpłynąć 60 milionów złotych. Gdyby skończyło się jedynie na obietnicach, nie byłoby najgorzej. Lecz czas mijał, a żadne apartamenty nie powstawały, a co więcej - na zamek wprowadziła się przedstawicielka firmy i wkrótce nawet się tam formalnie zameldowała. Prezydent Kazimierski do dziś rumienił się na samą myśl o tej pani. Usunięta siłą z zamku na polecenie jednego z jego poprzedników, szybko wróciła, ponieważ eksmisja okazała się niezgodna z prawem. Dopiero w roku 2004, po prawomocnym wyroku sądu, który orzekł, że gmina miała prawo rozwiązać umowę z angielską firmą, miasto odzyskało zamek. Farsa trwała pięć lat i przez cały ten czas Książ był raczej pośmiewiskiem dla mediów, niż tym, czym powinien być – jednym z najpiękniejszych zamków w Europie.

Po tej gorzkiej lekcji kolejni prezydenci stali się bardzo ostrożni. Następna taka wpadka oznaczałaby śmierć polityczną. A przecież, przy swoich czterdziestu sześciu latach, Kazimierski miał jeszcze przed sobą wiele do zrobienia; wystarczyło, by odpowiednio pokierował swoją karierą. Sukces w postaci dobrego zagospodarowania Książa bardzo by w tym pomógł. Prezydent oczyma wyobraźni widział już siebie w sejmie, gdzie z pewnością godnie reprezentowałby region. Inni potrafili, to dlaczego nie on?

Prezes zarządu firmy Kronos z ulgą złożył podpis na dokumentach, choć z trudem ukrywał niechęć do kamer telewizyjnych i tej całej medialnej szopki. Denerwował go też prezydent Kazimierski, który najwyraźniej czuł się w blasku fleszy, jak ryba w wodzie.

Jego irytacji nie łagodził nawet fakt, że Kazimierski wybrał na miejsce podpisania umowy najpiękniejszą salę zamku: Salę Maksymiliana. Specjalnie na tę okazję nieco ją

przemebłowano, wnosząc dodatkowe krzesła dla gości i dziennikarzy. Prezes firmy Kronos, prezydent oraz prezes polskiej spółki, która z ramienia samorządu zarządzała zamkiem, siedzieli przy stole o błękitnym blacie, zdobnym w srebrne rozety, na krzesłach, których siedzenia i oparcia posiadały identyczną dekorację. Przed sobą mieli uczestników uroczystości, a za nimi wielkie okna wychodzące na główny dziedziniec. Wokół aż kapało od barokowego przepychu, a na suficie kłębił się tłum malowanych amorków i pastuszków.

Jednak Austriak nie lubił baroku. Jego ulubionym stylem architektonicznym był gotyk. Lecz nie ten przysadzisty francuski gotyk katedry Notre-Dame czy katedry w Amiens. Najbardziej imponował mu strzelisty gotyk katedry w Kolonii, której wieże wznosiły się wyżej od Wielkiej Piramidy w Gizie. Ale jeszcze bardziej podobało mu się wnętrze katedry, z nawą główną pełną pionowych linii, niczym szpaler drzew prowadzący wprost do ołtarza. Zniszczenie katedry w czasie dywanowego nalotu podczas ostatniej wojny uważał za barbarzyństwo.

W Książu było kilka zakątków, które przypadły mu do gustu, jak choćby piękne w swej prostocie mury wewnętrznych dziedzińców części średniowiecznej. Lecz ogólnie rzecz biorąc, zamek był przekładańcem stylów i epok, co zresztą było zrozumiałe w przypadku budowli zamieszkałej bez przerwy od kilkuset lat. Jednak Książ nie musiał mu się podobać; ważne, by przyciągał turystów. Prezes był profesjonalistą; nie przyjechał tu podziwiać architektury, lecz w interesach.

W przeciwieństwie do niego prezydent Kazimierski wyraźnie się odprężył po podpisaniu umowy. Obrzucił zebranych spojrzeniem pełnym pewności siebie.

– Szanowni państwo, przyjemności za nami, teraz czas na obowiązek – zażartował. – Zarówno panowie prezesi, jak i ja, postaramy się w miarę możliwości wyczerpująco odpowiedzieć na wszelkie pytania.

Austriak jęknął w duchu, kiedy siedząca obok młoda i bardzo atrakcyjna tłumaczka przełożyła mu ostatnie słowa prezydenta. Wiedział, że będzie musiał przez to przejść, lecz to nie umniejszało jego frustracji. Nie lubił dziennikarzy, bo wszystko przekręcają, a co tu dopiero mówić o dziennikarzach-cudzoziemcach, z którymi trzeba porozumiewać się przez pośrednika.

Dziennikarze przez chwilę spoglądali po sobie i prezesowi zaświtała nadzieja, że może nie mają pytań, lecz okazała się płonna.

– Ludwik Rudzki, „Kurier Wałbrzyski” – jako pierwszy odezwał się tęgi mężczyzna w średnim wieku. – Panie prezydencie, twierdzi pan, że gmina zarobi na uruchomieniu hotelu w zamku. Co z tego będzie miał przeciętny mieszkaniec Wałbrzycha?

Prezydent był przygotowany na to pytanie. Takie pytania padają zawsze, niezależnie od okazji.

– Bardzo wiele – rzekł gładko. – Zamierzamy zainwestować te pieniądze przede wszystkim w rozbudowę infrastruktury: wodociągi, kanalizację, remonty dróg. Przyznacie państwo, że jest to coś, co dotyczy każdego mieszkańca. Chociaż nie powinno się dzielić skóry na niedźwiedziu, zawnazas przygotowaliśmy wstępny program wykorzystania tych środków. Nasze biuro prasowe z przyjemnością go państwu udostępni.

– A gdyby umowa nie została podpisana?

– Wtedy nie przyznałbym się, że taki projekt przygotowaliśmy.

Część zebranych roześmiała się. Ale nie wszyscy.

– Jolanta Mazur, Radio Plus Ultra – przedstawiła się młoda dziewczyna, zbyt poważna – zdaniem prezydenta – na swój wiek. – Czy nie obawia się pan powtórzenia sytuacji sprzed kilku lat i kłopotów z wyegzekwowaniem umowy?

To pytanie również nie zaskoczyło prezydenta. Zerknął jednak w bok, ciekaw jak je przyjmie prezes Kronos AG. Tamten pozostał niewzruszony.

– Nie, nie obawiam się – odparł z mocą prezydent. – Sytuacja jest zupełnie inna, i to z wielu powodów. Lecz najważniejsze, że mamy do czynienia z bardzo cenionym w branży, znanym na rynku i wiarygodnym partnerem.

– Ale ślusarza do otwierania zamków trzyma pan pewnie w odwodzie? – padło pytanie z sali.

Tym razem roześmieli się wszyscy. Prezydent był zadowolony; doskonale wiedział, że takie żarty rozładują sytuację.

– Pytanie do pana prezesa – młody mężczyzna zamachał niecierpliwie ręką i dopiero po chwili zmytygował się i przedstawił. – Bartosz Kamiński z Radia Ton. Pytanie do pana prezesa. Dlaczego firma Kronos zdecydowała się zainwestować akurat w Książ?

Austriak z uwagą wysłuchał tłumaczenia.

– Inwestujemy w wielu krajach – odparł. – Specjalizujemy się w adaptacji obiektów zabytkowych na hotele. A Książ to jeden z najpiękniejszych zamków Europy. Nic zatem dziwnego, że wzbudził nasze zainteresowanie.

– Czy mógłby pan wymienić jakieś obiekty?

– Oczywiście. Dla przykładu: zamek w Albstadt, w Wirtembergu, pałac w Lukce, we Włoszech, renesansowy dwór w Eguzon, w środkowej Francji, zespół poklasztorny w Segowii, w Hiszpanii, i wiele innych.

Prezydent wypatrzył kolejnego dziennikarza zgłaszającego chęć zadania pytania.

– Proszę bardzo. „Gazeta Ziemi Wałbrzyskiej”, jeśli się nie mylę?

– Tak, panie prezydencie, Mateusz Milewicz. Chciałbym zapytać, czy firma Kronos zatrudni jakichś polskich pracowników?

Prezydent zamienił kilka słów z prezesem, okazując mimochodem dobrą znajomość niemieckiego.

– Odpowiem w imieniu pana prezesa i swoim – powiedział. – Firma Kronos zadeklarowała chęć skorzystania przy niektórych pracach z usług polskich, lokalnych firm specjalistycznych oraz polskich fachowców. No cóż, myślę, że to wystarczy – prezydent wstał, udając, że nie dostrzega wyciągniętych rąk kilkorga dziennikarzy. – Mogę ze swej strony obiecać, że będą państwo informowani o postępie prac w zamku. Dziękujemy państwu.

Mówiąc to uśmiechnął się do kamer telewizyjnych. To potrafił najlepiej.

CZEŚĆ PIERWSZA

1

Przez góry przeszła śmierć. Wyjątkowo upalny początek lipca sprawił, że nawet na wysokości ponad sześciuset metrów nad poziomem morza temperatury dochodziły do dwudziestu ośmiu stopni. Fetor rozkładających się szybko zwłok był wręcz nie do zniesienia.

Komisarz Roman Graczyk, zastępca komendanta policji w Głuszycy, czuł się za stary do takiej wspinaczki. Jego szef był na urlopie, więc to na niego spadło zajęcie się tą sprawą. Powinienem być wziąć urlop teraz, a nie dopiero w sierpniu - pomyślał. Ale sam był sobie winien. W zeszłym roku lipiec był chłodny i deszczowy, dlatego w tym roku postawił na sierpień. I oto skutek.

Jego złość podsycił nie tylko fakt, że komendant miał wspianiałą pogodę. Irytowało go, że tamten wcale nie wypoczywa, lecz pracuje na budowie swego wymarzonego domu. Co za marnotrawstwo.

Wezwanie zaskoczyło go. Siedmiotysięczna Głuszycy była dość spokojnym miasteczkiem; niewiele się tu działo. Co innego turyści; z tymi zawsze było sporo kłopotu. Ale latem śmiertelne wypadki zdarzały się rzadko. Góry Sowie nie należały do szczególnie wysokich, a ich łagodne stoki, porośnięte lasem, mogły wprawdzie zmęczyć niezbyt zaprawionego wycieczkowicza, lecz nie stanowiły większego zagrożenia. Naturalnie, potknąć się można nawet na prostej drodze.

Teraz jednak, patrząc na ciało i walcząc z obrzydzeniem, zrozumiał, że był w błędzie. Ponieważ zgłoszenie dotyczyło zwłok w górach, założył, że chodzi o jakiegoś pechowego turystę. Mylił się.

– Jak myślisz? – zapytał sierżant Żabiński, jeden z jego ludzi. – Miejscowy?

– Ciekawe po czym miałbym to poznać? – Graczyk nie lubił głupich pytań. – Może po tej sinej, spuchniętej rzeczy, która kiedyś była jego twarzą?

Żabiński przezornie nie odpowiedział, a komisarz spochmurniał jeszcze bardziej. Turyści raczej nie chodzą w takie upały w swetrach i kurtkach. Chyba że wybierają się do podziemi. Tyle że wówczas – kiedy coś się stanie – zostają w nich na zawsze. Ich ciała nie poniewierają się w górach. Co tu zaszło? Ktoś go napadł i ograbił z plecaka? Idiotyzm.

Graczyk był starym policyjnym wygą, ale na miarę Głuszycy. Jego rola miała być jednak ograniczona. Komisariat w Głuszycy podlegał Komendzie Miejskiej Policji w Wałbrzychu i to tam trafiały takie sprawy. Tamtejsza sekcja kryminalna miała rocznie do czynienia z większą liczbą zwłok niż on przez całe życie; dysponowała więc odpowiednim doświadczeniem.

– Czy zawiadomiono Wałbrzych? – zapytał sierżanta Żabińskiego.

– Już tu jadą.

– Niech ktoś zaczeka na nich na dole, żeby nam nie zabłądzili.

– Jasne.

Smród rozkładającego się ciała przyprawiał go o mdłości. Miał ochotę oddalić się i odetchnąć świeżym powietrzem. I tak nie zbliżał się zanadto – zabronił też tego swoim ludziom – w obawie przed zdeptaniem ewentualnych śladów. Nie mieli odpowiedniego sprzętu, żeby przeprowadzić porządną dokumentację miejsca zdarzenia. Jak zawsze, na wszystko brakowało pieniędzy. Stąd, gdzie stał, mógł ocenić tylko, że martwy był dorosłym

mężczyzną, ale już nawet przybliżonego wieku nie sposób było określić. Rozkład poczynił zastraszające spustoszenia. Można było odnieść wrażenie, że trup już częściowo stopił się z grzbietem góry. Trudno o bardziej dobitną ilustrację sentencji: z prochu powstałeś i w proch się obrócisz.

Ciało leżało na północno-wschodnim stoku Jedlińskiej Kopy, w miejscu, gdzie powstał wiatrołom. Na obszarze wielkości boiska piłkarskiego drzewa zostały powalone przez wiatr. Las sterczących kikutów pni sprawiał przygnębiające wrażenie. W pobliżu nie przebiegały żadne szlaki turystyczne ani drogi. Najbliższą większą miejscowością był Walim, ale tamtejszy posterunek policji składał się wyłącznie z kilku dzielnicowych. Żeby tu dotrzeć z Głuszycy musieli okrążyć niemal cały masyw Włodarza, a następnie, po porzuceniu samochodów na leśnej drodze, wspinać się jeszcze przez pół godziny. Jaki człowiek przy zdrowych zmysłach przyszedłby tu z własnej woli? Lecz Góry Sowie pełne były poszukiwaczy przygód i domorosłych odkrywców; ludzi, dla których za każdym krzakiem kryła się podziemna sztolnia, a w niej Bóg wie jakie skarby.

Graczyk miał na ten temat zdrowy – w jego mniemaniu – pogląd. Uważał, że bieganie po górach z łopata to zajęcie dla dzieciaków. Podobnie jak odre, każdy powinien to przejść. Ale kiedyś trzeba wydorosnąć. Poza tym, w jego opinii, możliwości Niemców były mocno przeceniane. Przypisywanie im przedsięwzięć na taką skalę prowadziło do absurdu – przegrani stawali się w jakiś sposób zwycięzcami, bo zawładnęli wyobraźnią zwycięzców. Najlepiej byłoby o wszystkim zapomnieć. Nic nie zabija skuteczniej niż niepamięć.

On sam, jako dziecko, bawił się w ruinach rozrzuconych po górach. Jego rodzice pochodzili z Poznańskiego i przyjechali tu zaraz po wojnie. Wtedy wiele chodników i korytarzy było jeszcze dostępnych. Lecz kiedy osiągnął wiek szkolny stan podziemi był już mniej więcej taki jak teraz; jedynie na stokach rosły młodsze drzewa, a wejścia do sztolni porastały mniej bujne krzaki.

Słońce prażyło niemiłosiernie, a brzęczenie much nad trupem doprowadzało go do szału. Mogliby przykryć zwłoki, ale nie chciał niczego ruszać przed przyjazdem śledczych z Wałbrzycha. Nie miał złudzeń, że jeśli sprawa okaże się poważna, a on coś teraz schrzani, tamci bez żadnych skrupułów zrzucą winę na niego i dobiorą mu się do tyłka. Lecz taka postawa nie odpowiadała jego temperamentowi. Był człowiekiem zawsze skorym do wepchnięcia palca między drzwi. W komisariacie żartowano, że ma je już tak poharatane, że nie dałoby się zdjąć z nich odcisków.

Ekipa z Wałbrzycha spóźniała się. Jak długo można jechać tych dwadzieścia kilometrów? Skoro już na początku lekceważą tę sprawę, to w jaki sposób będą ją prowadzić? Zmełł w ustach przekleństwo. Dość tego. Niech ci durnie z Wałbrzycha mówią, co chcą, ale on przykryje zwłoki. W końcu to człowiek. Należy mu się odrobina szacunku.

Mógł wydać polecenie któremuś ze swoich ludzi, ale wolał sam narazić się na gniew przełożonych. Wziął koc i zbliżył się do ciała. Starał się nie oddychać przez nos, lecz to niewiele pomogło. Smród był obezwładniający. Nie mógł tak po prostu narzucić koca na ciało. Musiał przy tym schylić się, co naraziło go na jeszcze intensywniejszy odór. Zauważył wtedy, że jedna z kieszeni kurtki trupa jest niedopięta, a w środku tkwi coś papierowego. Wiedział, że nie powinien niczego ruszać. Ale przecież nie był gapiem, tylko policjantem, i póki co, to on kierował tą akcją. Zerknie tylko, a potem przekaże dowód ekipie dochodzeniowej. Czuł, że oszaleje, jeśli tamci nadal będą się spóźniać, a on będzie stał bezczynnie.

Przełamując wstręt i irracjonalną obawę, przykucnął przy ciele. Długopisem odchylił klapę kieszeni kurtki trupa i drugą ręką, przez chusteczkę higieniczną, ujął skrawek niechlujnie poskładanej kartki papieru. Bez problemu zdołał ją wyciągnąć. Pomagając sobie długopisem rozprostował ją. Część kartki zajmował wydruk komputerowy, najwyraźniej próbny, gdyż widniały na nim informacje o rodzaju drukarki, sterownikach i tak dalej.

Graczyk niewiele z tego rozumiał. Pod spodem znajdował się odręczny rysunek długopisem – plątanina połączonych ze sobą i krzyżujących się linii, stanowiących najwyraźniej część jakiejś większej całości. Szkic był dość schematyczny i nieporadny.

Powiew wiatru tchnął mu w twarz ciężki odór i Graczyk poderwał się na nogi. Wystarczy tej zabawy w Sherlocka Holmesa.

Kiedy podniósł się, odkrył, że jest obserwowany. Kilka kroków dalej stał sierżant Żabiński, który poszedł wysłać kogoś po wałbrzyszan, a wrócił w towarzystwie jakiegoś starego obdartusa. Komisarz Graczyk jęknął w duchu, kiedy go rozpoznał. Niejaki Dudziak, którego imienia nie pamiętał, był utrapieniem mieszkańców tych gór. Pojawiał się zawsze tam, gdzie się go nie spodziewano. Nie wiadomo, z czego żył, skoro ciągle gdzieś się włóczył. Lekkie upośledzenie umysłowe i wada wymowy sprawiały, że trudno było go zrozumieć. Nie pojmował tak abstrakcyjnych terminów, jak prawo, zakaz wstępu czy cudza własność. Graczyk nie raz miał z nim do czynienia.

Obaj patrzyli na niego, jakby na coś czekając.

– A ten tu czego? – warknął. – Zabierzcie go z miejsca zdarzenia.

– Mówi, że już coś podobnego widział – powiedział Żabiński.

– Co takiego?

– Mówi, że widział zwłoki.

– Gdzie? Kiedy?

Żabiński zawahał się. Stary z ciekawością dziecka spoglądał na Graczyka i na to, co ten trzymał w ręku. Komisarz odruchowo zmiażdżył chusteczkę wraz z kartką papieru i schował do kieszeni.

– Mówi, że zaraz po wojnie – wykrztusił sierżant.

– Ach, po wojnie – głos Graczyka brzmiał zwodniczo łagodnie. – No tak, podziękujcie mu i zabierzcie go stąd.

– Mówi, że to sprawa – jak on to powiedział – wewolfu czy czegoś takiego.

– Powiedziałem, wynocha!

Góry odpowiedziały echem, jakby go przedrzeźniały. Wszyscy obecni na stoku spojrzeli na niego ze zdumieniem. Zakłopotany, sięgnął po papierosa. Po co te nerwy? – pomyślał. Przecież obecność starego niczemu nie szkodzi. I tak wieść o zwłokach rozejdzie się po okolicy, o ile już się nie rozeszła. Mieszkaniec Walimia, który znalazł ciało i zawiadomił policję, z pewnością zdążył wcześniej komuś o tym powiedzieć.

Obrzucił chmurnym spojrzeniem szczyty gór. Ich surowe piękno zawsze podnosiło go na duchu. Lecz dzisiaj między nimi zaległ cień.

Co też plótł ten stary głupiec? Wewolf, wewolf... Już gdzieś słyszał podobne słowo... Werwolf! No jasne. Staremu przypomniały się dawne, pionierskie czasy, kiedy Dolny Śląsk nazywano Ziemią Odzyskanymi, kiedy Armia Czerwona rabowała co tylko się dało, a bandy Niemców, spod znaku Werwolfu, siały postrach w górach. Tyle że to wszystko działo się siedemdziesiąt lat temu i z pewnością nie było czymś, co mógłby napisać w raporcie.

Od ściany lasu kilkadziesiąt metrów niżej oderwało się kilka postaci i zaczęło mozolne wejście na stok. Długo oczekiwani goście z Wałbrzycha - pomyślał. Za chwilę to wszystko przestanie być jego zmartwieniem. Powinien być zadowolony. Ale nie był. Patrząc jak wspinają się, spoceni, wściekli i aroganccy, podjął decyzję: niech robią swoje, a on i tak trochę powęszy. Nie mógł tak tego zostawić. To przecież jego góry.

2

Noc w małym miasteczku rzadko potrafi czymś zaskoczyć. Jest jak sztuka w teatrze – aktorzy wprawdzie grają raz lepiej, a raz gorzej, niekiedy się mylą, to znów dodają coś od siebie, ale ciągle chodzi o to samo zgrane przedstawienie. W dodatku niezadowolonym kasa nie zwraca za bilety.

Graczykowi to nie przeszkadzało. Nie był zbyt wymagającym widzem. Monotonia monotonią – on i tak lubił swoje miasto. Znał tu każdy fragment odrapanego muru, każdą dziurę w płocie i każde podwórko. Nigdy nie chciał stąd wyjechać, choć wielu jego rówieśników tak zrobiło. Niektórzy wyprowadzili się niedaleko, do Wałbrzycha, inni do Wrocławia, a dwóch czy trzech nawet za granicę. Słyszał, że całkiem dobrze sobie radzą. No i na zdrowie, pomyślał.

Siedział na balkonie, popijał piwo i palił kolejnego papierosa. Dochodziła północ. Nieczęsto mógł pozwolić sobie na tak swobodne oddawanie się nałogowi. Jego żona nie paliła i przeszkadzała jej najmniejsza nawet ilość dymu. Na szczęście, od tygodnia nikt go nie strofował – żona i syn, uczęszczający do jednego z wałbrzyskich liceów, przebywali u rodziny w Krakowskim. Graczyk nie mógł jechać. W tym roku znów nie udało im się wspólnie zaplanować urlopu.

Mieszkali na piętrze przedwojennego, dwurodzinnego domu na peryferiach Głuszycy. Parter zajmowało starsze małżeństwo. O tej porze na pewno już spali. Staruszkowie nie należeli do najsympatyczniejszych sąsiadów. Przeszkadzało im wszystko, począwszy od śladów błota na klatce schodowej, a skończywszy na fackie, że Graczyk późno chodził spać. Mógł być pewien, że jeśli po jedenastej wieczorem upuści coś ciężkiego na podłogę, z dołu odezwie się gniewne stukanie w sufit. Gdyby upuścił coś dwa razy, staruszek zadzwoniłby do drzwi z pretensjami.

Graczyk lubił niekiedy bawić się myślą, że w przyszłości kupi ich mieszkanie, dzięki czemu stanie się szczęśliwym posiadaczem prawdziwego domu i jednocześnie pozbędzie się sąsiadów. Lecz zaraz przychodziła refleksja, że sąsiedzi musieliby żyć jeszcze sto lat, by mógł odłożyć tyle z policyjnej pensji. O nadzwyczajnych dochodach nie było mowy. Kto chciałby korumpować nic nie znaczącego glinę z zabitego dechami komisariatu?

Tak właśnie rodzi się cnota, pomyślał. Aby zostać ostatnim sprawiedliwym wystarczy być nikim.

Wyjął z kieszeni zagadkową kartkę papieru, nadal zmiętą wraz z chusteczką higieniczną. Nie powinien jej mieć, a jednak wciąż miał. Na swoją obronę mógł powiedzieć tylko tyle, że nie zataił swojego znaleziska celowo. Schowawszy zawiniątko zapomniał o nim w zamieszaniu wywołanym przybyciem ekipy z Wałbrzycha. Trudno; i tak nie zamierzał przypatrywać się beczynnemu, jak po rutynowym postępowaniu kolejne śledztwo zostaje umorzone.

Uniósł kartkę ku światłu, padającemu z okna za jego plecami. Co przedstawiał nieporadny rysunek? Jaką informację w nim zakodowano? Być może postąpił nieodpowiedzialnie, pozbawiając detektywów z Wałbrzycha potencjalnie ważnej wskazówki. Ale jakoś nie mógł wykrzesać z siebie zbyt wiele wstydu. Ślady przemawiają tylko do tych, którzy się nad nimi pochylają. Do tego trzeba chęci. Rutyna nie wystarczy.

Podstawowe pytanie brzmiało: kim był martwy człowiek? Przyjęcie założenia, że był turystą lub badaczem podziemi, a nie mieszkańcem okolicy, pogarszało sprawę. Mógł przyjechać skądkolwiek; tajemnice Gór Sowich był szeroko znane. Z drugiej strony, jeśli nie był zwykłym turystą, to zapewne nie przyjechał na jeden dzień, lecz na dłużej. Tacy zawsze liczą na jakieś odkrycie, lubią więc mieć pewien zapas czasu. Musiał zatem gdzieś się zatrzymać. Niestety, możliwości nie brakowało. Mógł nocować w Głuszycy, w Walimiu lub Rzecze – żeby wymienić tylko najpopularniejsze miejscowości, w pobliżu których znajdowały się podziemne kompleksy. Ale równie dobrze mógł dojeżdżać z większej odległości: z Nowej Rudy czy Bielawy. Zresztą i z samego Wałbrzycha to raptem dwadzieścia kilometrów.

Graczyk nie łudził się. Znalezienie miejsca, w którym zatrzymał się ten człowiek, graniczyłoby z cudem. Kwatery i noclegi - zarejestrowane bądź pokątne, takie, od których właściciele nie chcieli płacić podatku - znajdowały się w co drugiej chałupie. Ludzie musieli z czegoś żyć w regionie, gdzie pracy było jak na lekarstwo. Dlatego na każdym kroku widziało się napisy: „Wolne pokoje. *Zimmer frei*”.

Nie miał dość ludzi, by sprawdzić wszystkie hotele, pensjonaty i przygodne noclegowiska choćby tylko w samej Głuszycy. Szczerze mówiąc, nie miał prawa w ogóle angażować do tego swoich ludzi. Czy mu się to podobało, czy nie, śledztwo prowadzili ci z Wałbrzycha. On powinien chyba wrócić do ścigania drobnych pijaczków spod budki z piwem.

Znów popatrzył na kartkę i na tajemniczy rysunek. Niedoczekanie, pomyślał.

Nie liczył wypalonych papierosów, ale kiedy w gardle poczuł coś w rodzaju knebla z sierści zdechłego szczura, uznał, że pora iść spać. Niech noc będzie z wami – zsalutował ironicznie ostatnim niedopałkiem całemu miasteczku.

Wieczorny rytuał nie został jednak jeszcze dopełniony. Oprócz dużej ilości nikotyny i od czasu do czasu puszki piwa, obejmował obowiązkową wizytę w niewielkim pokoju, mającym służyć za gabinet, a tak naprawdę będącym graciarnią i składzikiem rzeczy gdzie indziej zawadzających. Na starym stole piętrzyła się konstrukcja, dla której tu przychodził. Wznoszona od lat, wciąż daleka była od ukończenia. Nie przeszkadzało mu to. Nie spieszył się. Z rzadka tylko dodawał nowy element; najczęściej siadywał obok i czytał książkę, patrząc znad jej kart na swoje dzieło.

Makieta miała prawie dwa metry długości i była na półtora metra szeroka. Środkiem płynęła rzeka, oddzielając równinę od gór. Przez rzekę przerzucone były dwa wiadukty – jeden niski i długi, nad szerokim rozlewiskiem na nizinie; drugi krótki i wysoki, na strzelistych przęsłach, spinających zbocza wąwozu wyżłobionego przez wartki nurt w górze rzeki. Oba wiadukty stanowiły element szlaku kolejowego, biegnącego zakosami wokół makiety. Podwójny tor wspinał się na górskie zbocza, pokonywał tunel, przekraczał rzekę i wił się po równinie, krzyżując się w trzech miejscach z drogą, by wreszcie dotrzeć do brzegu planszy, gdzie znajdowała się stacja. To właśnie jej najwięcej brakowało do pełnego wykończenia. Budynek stacji domagał się pokrycia dachem, wstawienia okien i drzwi oraz malowania. Infrastruktura stacji i całej linii także pozostawiała wiele do życzenia: zbyt mało było sygnalizatorów, kulało oznakowanie. Na przejazdach należało zainstalować rogatki i znaki drogowe, a także postawić budki dróżników. Graczyk czasami łapał się na refleksji, że tak naprawdę jedynie rzekę wykonał, jak należy; pewnie dlatego, że była tylko paskiem niebieskiej farby, przeciągniętym przez makietę.

Na bezimiennej stacji stał parowóz z pięcioma wagonami. Był to model parowozu serii G8 – polskie oznaczenie to Tp3 – wybudowanego w roku 1908 w szczecińskich zakładach Vulcan. Maszyna należała do pierwszych niemieckich ciężkich parowozów wyposażonych w przegrzewacz pary. Ważyła 57 ton i osiągała prędkość 55 kilometrów na godzinę. Po płaskim torze mogła z tą prędkością pociągnąć skład o masie ponad 1300 ton.

Choć już w kilkanaście lat później wyniki te uznawano za przeciętne, w chwili zaprojektowania G8, w roku 1901, parowóz stanowił prawdziwy cud techniki. Graczyk – o czym nikt nie wiedział - trochę oszukał historię. Parowóz G8 był parowozem towarowym. Tymczasem on przyłączył do niego wagony osobowe, ponieważ tak mu się lepiej komponował z makietą. Specjaliści byliby z pewnością oburzeni. Miał nadzieję, że to odstępstwo od realiów zostanie mu wybaczone, jeśli kiedykolwiek ktoś dobrze zorientowany zobaczy jego dzieło.

Rzadko pokazywał makietę. Większość ludzi nie rozumie, jak dorosły mężczyzna może bawić się pociągami. Co innego, gdyby pił na umór – to zrozumieć znacznie łatwiej. Ale być może niepotrzebnie się dziwił. On sam należałby do najbardziej zaskoczonych, gdyby pijacy w parku zamiast taniego wina rozstawili na ławkach lokomotywy i wagoniki. Na szczęście, to było nie do pomyślenia na szanującej się polskiej prowincji.

Lecz makietą stanowiła tylko zabawkę. Pasją Graczyka były prawdziwe lokomotywy. Od dawna czytał na ich temat wszystko, co wpadło mu w ręce. Odwiedził co ważniejsze skanseny i muzea kolejnictwa. W niedalekiej Jaworzynie Śląskiej był już kilka razy. Znał na pamięć całą procedurę przygotowania różnych lokomotyw do jazdy; wiedział, jak je prowadzić i jak zatrzymywać. Gdyby umieszczono go w kabinie maszynisty potrafiłby wykonać niezbędne czynności. Szczerze wątpił, czy kiedykolwiek do tego dojdzie. Ale i miłośnicy okrętów wojennych nie łudzą się na ogół, że postawią nogę na pancerniku. A przecież nie psuje im to przyjemności.

Nie, nie był całkowicie szczery. Cień nadziei jednak istniał. Niektóre skanseny organizowały imprezy, podczas których uruchamiano lokomotywę, a nawet parowóz, doczepiano wagony i wyruszano na trasę. W Wolsztynie nazywało się to majówką pod parą. Niedługo podobna impreza miała odbyć się w Jaworzynie Śląskiej, zaledwie pięćdziesiąt kilometrów od Głuszycy. Graczyk marzył, że kiedyś, być może, chociaż na jeden kurs zostanie przyjęty do drużyny parowozowej.

Tymczasem powinien popracować nad makietą. Obiecał sobie, że wkrótce pomyśli nad oznakowaniem przejazdów. Popatrzył na trzymaną w ręku kartkę. Złożył ją wzdłuż zagięcia i umieścił, niczym dach, na nie dokończonym budynku stacji. Nie bardzo pasowała, ale mniej więcej tak to powinno wyglądać. Wątpliwe, by rysunek na kartce powiedział coś mieszkańcom makiety, gdyby istnieli. Lecz to samo dotyczyło i jego. Gasił światło z nadzieją, że być może ranek przyniesie mu więcej pomysłów.

3

– Co to właściwie znaczy, że nie można określić przyczyny zgonu? – Graczyk starał się zachować spokój.

Głos patologa w słuchawce był niemal tak chłodny, jak miejsce, w którym pracował.

– Znaczy to tyle, że mieliśmy za mało czasu, żeby w sposób nie budzący wątpliwości określić przyczynę zgonu. Wszystko będzie w moim raporcie.

– A pańskim zdaniem?

– Moje zdanie nie ma tu nic do rzeczy – warknął poirytowany patolog. – Nie będę opowiadał panu bajek. Od snucia domysłów jesteście wy, policja. Proszę poczekać na oficjalny raport.

– Cóż... Do widzenia, doktorze.

Graczyk odłożył słuchawkę i wpatrzył się w notatki poczynione podczas rozmowy. Aczkolwiek niechętnie, patolog podał mu jednak kilka wartościowych informacji, przede wszystkim przybliżony rysopis: wiek do dwudziestu pięciu lat, wzrost metr osiemdziesiąt siedem, szczupła budowa ciała, twarz pociągła, oczy niebieskie, włosy ciemny blond, brak zarostu. Denat nie miał wprawdzie żadnych znamion, blizn czy innych znaków szczególnych, ale miał źle zrosnięty po złamaniu mały palec u prawej dłoni. Graczyk uznał, że może to od biedy przyczynić się do identyfikacji zwłok. O ile, oczywiście, znajdzie kogoś, kto na tyle dobrze znał zmarłego, by pamiętać jego ręce.

Rozmowa z patologiem nie była zbyt przyjemna. Ale musiał tam zadzwonić. Z doświadczenia wiedział, że raporty z autopsji powstają niekiedy dopiero po kilku tygodniach. Zresztą, i tak raport trafiłby do komendy w Wałbrzychu, a on musiałby prosić o jego udostępnienie, nie mając gwarancji, że się zgodzą. To była ich sprawa; on mógł co najwyżej oczekiwać, że któregoś dnia przeczyta w gazecie, kto to był i dlaczego umarł.

Spojrzał przez okno na ulicę Grunwaldzką, główną ulicę Głuszycy. Miasto przypominało stonogę, jak zresztą wiele miasteczek i wsi w tych okolicach. Najdłuższa ulica wiała się przez całą miejscowość, a od czasu do czasu w bok odchodziły, niczym odnóża, krótkie uliczki. W większości stara, poniemiecka zabudowa Głuszycy wymagała pilnych remontów, na które miasto nie miało pieniędzy. Kamienice, których świetność przeminęła w latach trzydziestych ubiegłego wieku, straszyły zaniedbanymi fasadami. Efektowny, neobarokowy kościół pod wezwaniem Matki Boskiej Królowej Polski, stojący obok komisariatu, również zdawał się mieć za sobą swoje najlepsze dni.

Wrócił do notatek. Normalna procedura poszukiwania niezidentyfikowanych osób – zmarłych bądź żywych, ale na przykład z amnezją – polegała na wysłaniu do komendy w Wałbrzychu rysopisu, a stamtąd, niczym w reakcji łańcuchowej, rozchodził się on po innych komendach w całym kraju. Mogło trwać latami, zanim ktoś gdzieś zauważy, że rysopis pasuje do osoby, której zaginięcie kiedyś zgłoszono. Tak pewnie postąpią ci z kryminalnej w Wałbrzychu, pomyślał. On nie miał na to czasu.

Przez uchylone drzwi pokoju zajrzał sierżant Żabiński.

– Otrzymaliśmy zgłoszenie o włamaniu do sklepu w Walimiu. W pobliżu naszego posterunku.

Graczyk westchnął.

- Czy ci złodzieje nie mają wstydu?
- To było w nocy.
- No tak.

W nocy posterunek był pusty. W Walimiu urzędowało tylko kilku dzielnicowych, i to nie przez całą dobę, lecz w określonych godzinach. Zdaniem Graczyka, jak na dużą, trzytysięczną wieś, to zdecydowanie za mało. Ale kogo mogła obchodzić jego opinia?

Zeszli na dół. Land rover był gdzieś w trasie, więc musieli zadowolić się volkswagenem. Na podwórzu stały trzy klatki na psy; w jednej leżał owczarek niemiecki i z zainteresowaniem obserwował krzątanicę. Komisarz otworzył klatkę.

- Chodź, Ares.

Sprawcy włamania nie należeli do elity złodziejskiego fachu, o czym świadczyły niemal całkowicie zniszczone tylne drzwi sklepu, uszkodzona kasa i porzucany z półek towar. Właściciel oświadczył, że z kasy zginęło niewiele ponad sto złotych, a poza tym kilka butelek wódki i parę kartonów papierosów. Słowem, komuś pewnie w trakcie imprezy zabrakło używek.

Pies zgubił trop przy ulicy; widocznie sprawcy odjechali samochodem. Ale Graczyk był dobrej myśli; prędzej czy później któryś z dzielnicowych usłyszy o kimś, kto chwali się udziałem w kradzieży. Tacy nigdy nie trzymają języka za zębami.

Miał ochotę zapalić, ale nie wziął papierosów, a jakoś głupio byłoby mu kupować je w dopiero co okradzionym sklepie. Poszedł więc do pobliskiego kiosku. Sprzedająca w nim kobieta obserwowała całe zamieszanie.

– Już drugi raz go okradli - pokiwała głową. – Wszędzie pełno złodziei i oszustów. I to coraz młodszych. Jedna z moich klientek skarżyła mi się niedawno, że wynajęła pokój dwóm młodym ludziom, a oni po paru dniach uciekli, nie płacąc. Podobno nawet w pośpiechu zostawili jakieś swoje rzeczy. Wyobraża pan sobie?

Graczyk machinalnie pokiwał głową, nawet jej nie słuchając. Poprosił jeszcze o gazetę i zapłacił.

– To wszystko przez te podziemia – usłyszał odchodząc. – Przyjeżdżają tacy nie wiadomo skąd, a potem szukaj wiatru w polu.

Zatrzymał się raptownie na skraju chodnika. Jakiś kierowca, który zwolnił przed przejściem dla pieszych, by go przepuścić, popatrzył na niego z irytacją.

Graczyk wrócił do kiosku.

- Czy może mi pani powiedzieć coś więcej o tych młodych ludziach i o tej klientce?

Kobieta zaniepokoiła się.

- A co?

- Być może uda nam się ich znaleźć.

Popatrzyła na niego sceptycznie.

– Ja tam nic więcej nie wiem. Podobno chodzili w góry, do tych, no, sztolni. Ale czy to oni jedni?

- Gdzie mogę znaleźć tę pani klientkę?

– No wie pan, ja tam nie wiem... Może ona nie chciałaby, żeby do tego mieszać policję...

Graczyk nachylił się do okienka.

– Bardzo panią proszę. Prowadzimy ważne śledztwo, które może mieć związek z tymi młodymi ludźmi.

- Jeszcze kogoś oszukali? Wiedziałam! Ale nie powie pan, że to ja pana skierowałam?

– W żadnym wypadku.

Po kwadransie, zostawiwszy Żabińskiego w okradzionym sklepie, stanął przed niedużym, poniemieckim domem przy jednej z sąsiednich uliczek. Fasada z czerwonej cegły wołała o remont. Na bocznej ścianie dostrzegł nawet rząd dziur po serii z pistoletu maszynowego; zapewne pamiątkę z czasu ostatniej wojny. Na tabliczce przy furtce widniał nieśmiertelny napis: „Wolne pokoje. *Zimmer frei*”, a mimo to starsza kobieta, która otworzyła drzwi, udała, że nie wie, o co chodzi.

Komisarz starał się zachować spokój.

– Proszę pani, nie jestem z urzędu skarbowego. Poszukujemy młodego człowieka, który może być jednym z tych, którzy u pani mieszkali.

Przypatrywała mu się nieufnie.

– A co zrobił?

– Nie mogę zdradzać szczegółów śledztwa, ale bardzo nam zależy na znalezieniu go. A pani może nam w tym pomóc.

– Niby jak? Już ich przecież tu nie ma. Nie zapisałam nazwisk.

– Ale może pani powiedzieć nam, jak wyglądali. Być może zostawili jakieś rzeczy?

Otworzyła szerzej drzwi.

– Niech pan wejdzie.

Graczyk nie dał sobie tego dwa razy powtarzać. Nawet gdyby chciał, nie zdołałby policzyć, ile takich rozmów w życiu odbył. Łatwiej byłoby mu z pewnością przypomnieć sobie te nieliczne przypadki, kiedy przyjmowano go bez początkowej niechęci.

Wnętrze domu zaskoczyło go pedantycznym wręcz porządkiem. Starszej pani najwyraźniej nie było stać na wyremontowanie elewacji, ale tam, gdzie mogła coś zrobić, robiła to z przedwojenną skrupulatnością.

Zaprowadziła go do pokoju na piętrze. Był uprzątnięty, lecz na jednym z dwóch łóżek leżały porządnie poskładane ubrania.

– To ich rzeczy - powiedziała. – Te, co zostały.

Komisarz przerzucił je pobieżnie. Były tam trzy pary spodni, w tym jedne krótkie, dwa T-shirty, kilka par skarpet nie pierwszej już młodości, a wśród nich grube, turystyczne podkolanówki. Oprócz tego bejsbolówka i zimowa, wełniana czapka. Nie uległo wątpliwości, że penetrowali podziemia. Nikt nie nosi takiej czapki w lipcu.

– Czy powiedzieli pani, dokąd się wybierają w ten dzień, kiedy zniknęli?

– Nigdy nie mówili, a ja nie pytałam. Widziałam tylko, jak wracali zmęczeni i strasznie umorusani. Raz zwróciłam im nawet uwagę, że zapaćkają mi cały dom. Gdzie mogli się tak pobrudzić, jeśli nie w podziemiach?

Graczyk uśmiechnął się pod nosem. Nie wątpił, że zwróciła im uwagę. Sądząc po sterylnej czystości, jaka tu panowała, widok błota na butach tych biedaków musiał doprowadzać ją do szału.

– Czy może mi pani powiedzieć, jak wyglądali?

– Ten wyższy miał ponad metr osiemdziesiąt, tak jak mój świętej pamięci mąż. Drugi był niższy. Obaj mieli jasne włosy; krótkie. Szczupli, widać, że wysportowani.

Graczyk zastanowił się. To mógł być jeden z tych chłopców. Rysopis mniej więcej się zgadzał, uwzględniając oczywiście fakt, że zarówno ten podany przez patologa, jak i ten, który nakreśliła właścicielka kwatery, były bardzo ogólnikowe. Nawet nie zamierzał pytać, czy kobieta zauważyła złamany palec; wyszedłby na idiotę.

– Coś mówili do siebie? O czymś rozmawiali?

– No wie pan! Ja nie podsłuchuję gości.

– Oczywiście, ale może usłyszała pani coś przypadkiem? Na przykład, skąd przyjechali?

Pokręciła głową.

– Słyszałam tylko coś o zaliczkach i o czyjejs chorobie – o jakimś zawale.

– O zaliczkach? Może o zaliczeniach?

– Tak, o zaliczeniach.

– A nie mówili jakich przedmiotów? Na jakiej uczelni?

– Nie.

– A w jakim mieście?

– Zaraz, zaraz. Chyba mówili coś o powrocie do Wrocławia. Ale nie jestem pewna.

Komisarz obdarzył ją służbowym uśmiechem, w którym nie było śladu wesołości, ale o którym zalecali pamiętać spece od kształtowania policyjnego wizerunku.

– Bardzo mi pani pomogła - powiedział. – Zabiorę te rzeczy; być może przydadzą nam się w poszukiwaniach. A gdyby wrócili, proszę mnie zawiadomić, dobrze? Zostawię pani wizytówkę.

– Akurat wrócą. Pewnie teraz oszukują kogoś innego. Powinnam była zażądać zapłaty z góry.

– Jeśli jeszcze przebywają w okolicy, znajdziemy ich. Czy ma pani jakąś torbę na te rzeczy?

Starsza pani wyszła z pokoju, mrużąc gniewnie pod nosem. Graczyk dałby głowę, że usłyszał coś w rodzaju: „Akurat znajdziecie”.

Wracał stamtąd na poły rozczerowany, na poły zadowolony. Nie uzyskał żadnych konkretnych informacji, w rodzaju nazwisk czy adresów, ale prawdopodobnie trafił na właściwy trop. Miał do czynienia z dwoma ludźmi, a nie jednym; co więcej - drugi wciąż gdzieś tam musiał być. Tylko gdzie? W paśmie górskim między Głuszycą, a Walimiem Niemcy wykuli kilka podziemnych kompleksów. Zwłoki zostały znalezione na stokach Jedlińskiej Kopy, skąd najbliższej było do kompleksu Włodarz, największego ze wszystkich. Już choćby tylko z tego powodu wydawał się dobrym celem wakacyjnej wyprawy dwóch studentów.

Czy ciało drugiego chłopaka nadal leżało gdzieś wewnątrz sztolni? Ale dlaczego mieliby zginąć? Może nastąpił zawal, którego się obawiali i o którym mówili, co słyszała ich gospodyni, mylnie odnosząc to do choroby serca. Czy jeden z nich, ranny, zdołał się wyczołgać z podziemi? Mimo tych wątpliwości, w umyśle komisarza coraz wyraźniej rysował się obraz drugiego ze studentów, uwięzionego w podziemiach i być może nadal żyjącego. Człowiek może przetrwać bez jedzenia znacznie dłużej niż dwa dni, jakie, zdaniem patologa, upłynęły od śmierci chłopaka znajdującego na Jedlińskiej Kopie. A wody do picia w sztolniach nie brakowało.

Na komisariacie zawahał się tylko chwilę, sięgając po telefon. Nie miał żadnej pewności, co do swoich przypuszczeń, ale nie chciał tego tak zostawić. Dysponował tylko poszlakami. Jednak założenie, że chodziło o dwóch ludzi wydawało się sensowne. Sam niewiele mógł zrobić. Przyszedł czas na poproszenie o pomoc tych z Wałbrzycha.

Szef zajmującej się sprawą sekcji kryminalnej komendy miejskiej, inspektor Turski, słuchał w milczeniu.

– Pan chyba zwariował – powiedział wreszcie. – Mam wezwać ratowników i pletwonurków, żeby spenetrowali niebezpieczne podziemia tylko dlatego, że jakaś kobieta powiedziała panu, że mieszkał u niej młody blondyn? Nie ma mowy.

4

Bez porannej kawy życie byłoby nie do zniesienia. Nawet praca w tak pięknym miejscu pozostawała tylko pracą. W tym rejonie świata czas prawdziwej przygody dla geofizyka skończył się dwadzieścia milionów lat temu.

Krzysztof Rogowski, kierownik stacji sejsmologicznej w Książu, jedno wszakże musiał przyznać – niewielu geofizyków mogło podziwiać z okien swoich obserwatoriów taki widok. Ponieważ stacja mieściła się w narożnym budynku południowej oficyny zamku, siedząc przed monitorem cyfrowej stacji sejsmicznej MK6 miał przed sobą dziedziniec honorowy, a za nim piękny, barokowy fronton Książa. Tyle że po pięciu latach pracy w tym miejscu prawie już tego nie dostrzegał.

Całą jego uwagę pochłaniała analiza danych z szerokopasmowych sejsmometrów STS-2 i BB-13, a także z przechodzących powoli do historii techniki tak zwanych rękawowców, czyli sejsmometrów analogowych, tradycyjnych, kreślących zapis drgań na papierze offsetowym, przy użyciu pisaka z tuszem. Sącząc kawę przewijał obraz na ekranie komputera.

Obserwatorium w Książu - jedno z siedmiu w Polsce - funkcjonowało od roku 1970. Czujniki umieszczono w tunelach drugiego poziomu podziemi, ponad pięćdziesiąt metrów poniżej zamku. Miejsce to było wręcz wymarzone do badań geofizycznych, a co więcej - nie wymagało niemal żadnych prac przystosowawczych; wystarczyło wejść i zamontować urządzenia. Istniała jednak pewna niedogodność - zakłócenia przemysłowe z sąsiednich miast. Co gorsza, sejsmometry rejestrowały całe mnóstwo wstrząsów górniczych nie tylko z pobliskiego Lubińskiego Zagłębia Miedziowego, ale i z Górnego Śląska. Spore zamieszanie wprowadzały też strzelania w kamieniołomach, jakich nie brakowało na Dolnym Śląsku. Cały ten szum sprawiał, że obsługa stacji miała co robić.

Większość czynności cechowała jednak rutyna. Polska nie należy do obszarów najaktywniejszych sejsmicznie. Nie jest wprawdzie - jak się często słyszy - całkowicie wolna od trzęsień ziemi, są one jednak rzadkie i w przeważającej większości niewielkie. Dane wskazują na dwa główne obszary ich występowania: Dolny Śląsk i Nizinę Wielkopolską oraz Górny Śląsk, Kotlinę Oświęcimską i Wyżynę Krakowsko-Częstochowską. W ciągu ostatniego tysiąca lat w Polsce zanotowano około 76 trzęsień ziemi. Niektóre z nich osiągnęły 6 stopni w skali Richtera, co kwalifikuje się jako wstrząsy silne. Niekiedy zdarzają się one nawet w dużych miastach. Tak było w 1443 roku w Krakowie, gdzie zawalił się strop kościoła pod wezwaniem św. Katarzyny, a w wielu kamienicach popękały ściany. W 1680 roku trzęsienie ziemi zrujnowało sporo kamienic w Warszawie.

Niemal wszystkie wstrząsy rejestrowane dziś na południu Polski są wynikiem działalności człowieka. Ich przyczyną jest najczęściej zawalenie się stropu nieczynnych wyrobisk górniczych - tak zwane tąpnięcia. Niektóre z trzęsień przekraczają nawet 4 stopnie w skali Richtera, jak na przykład w Bełchatowie, w 1980 roku, kiedy magnituda wyniosła 4,6.

Rogowski mógłby przytoczyć z pamięci znacznie więcej dat i liczb. Historia trzęsień ziemi stanowiła jego pasję. Nic zresztą dziwnego; polskim geofizykom musiała wystarczyć historia. Teraźniejszość nie dostarczała zbyt wielu ekscytujących wydarzeń. Ostatnim dużym naturalnym wstrząsem, zarejestrowanym w Książu, było trzęsienie ziemi w północnej Polsce,

w roku 2004. Jego epicentrum znajdowało się w Obwodzie Kaliningradzkim, a siła wyniosła około 5 stopni. Wstrząsy odczuli mieszkańcy między innymi Elbląga, Olsztyna, Gdańska i Ełku. W Suwałkach na ścianach budynków pojawiły się rysy.

Trzęsienia ziemi zawsze wzbudzały strach. Nie tylko z powodu strat materialnych i zagrożenia życia, ale także przez swą tajemniczość. Sam fakt, że grunt - a więc coś, zdawałoby się, stabilnego i wiecznego; biblijna opoka - zaczynał się ruszać, mógł oznaczać tylko jedno: gniew bogów. Nawet w obecnych czasach - czasach sejsmometrów i prób przewidywania trzęsień ziemi - zjawisko to wciąż wzbudza niepokój, nawet w centrum Europy. Rogowski doskonale pamiętał anegdotyczną historię, jaka wydarzyła się 20 lutego 2002 roku. Po tąpnięciu w kopalni miedzi Rudna, w pobliskich Polkowicach zatrzęsała się ziemia. Wywołało to panikę, ponieważ nastąpiło w „magiczną datę”. Zapisana w formie: 20.02.2002 daje się czytać identycznie zarówno normalnie, jak i wspak. Na szczęście dla polkowiczian i całej ludzkości - nie był to koniec świata.

Lecz naprawdę wielkie trzęsienia ziemi są w stanie kształtować historię. O ich sile najlepiej świadczy fakt, że trzęsienie o magnitudzie 8,8 wyzwala przeszło dziesięć tysięcy razy więcej energii niż bomba zrzucona na Hiroszimę. A zdarzają się przecież kataklizmy jeszcze większe. W 1755 roku, w Lizbonie, doszło do najsilniejszego trzęsienia ziemi w Europie w czasach historycznych; jego magnitudę szacuje się na 9. Siłę 8,9 stopnia miały trzęsienia w Andach, w 1906 roku i w Japonii, w 1933. Trzęsienie w Indiach, w 1933 roku, o sile 8 stopni, zabiło 200 tysięcy ludzi. W San Francisco, w 1906 roku, zginęło 50 tysięcy ludzi. W Tokio i Jokohamie, w 1923 roku, podczas trzęsienia o sile 8,2 stopnia, życie straciło 150 tysięcy ludzi.

Nawet tak wielkie kataklizmy nie zdołały zniszczyć Japonii czy Indii. Ale w odległej przeszłości mogło być inaczej. Starożytne cywilizacje były bardziej zależne od warunków i zjawisk naturalnych. Badacze od lat spierają się, co spowodowało upadek Majów. Jedną z hipotez głosi, że mogła to być katastrofalna seria silnych trzęsień ziemi. Podobny los mógł też spotkać cywilizacje śródziemnomorskie: Troję, Mykeny, Knossos. A także wspaniałą cywilizację Doliny Indusu, z miastami Harappa i Mohendžo Daro. Dotychczas sądzono, że zniszczyli je najeźdźczy Ariowie.

Rogowski zawsze podziwiał energię drzemącą we wnętrzu planety. Tysiące sejsmogramów, jakie w swoim życiu widział, zawierających dziesiątki tysięcy zdarzeń sejsmicznych, dawały tylko niewielkie pojęcie o skali zachodzących tam zjawisk. Z tą energią nie mogło się równać nic, co stworzył człowiek. Wybuch największej bomby był przy trzęsieniu ziemi, jak strzał z nadmuchianej torebki po cukrze przy salwie z pancernika.

Zaparzył sobie następną kawę. Opracowywanie danych to żmudna robota. Cyfrowe dane z sejsmometrów szerokopasmowych trzeba było zapisać i raz w miesiącu wysłać do centrów sejsmologicznych w Warszawie i Pradze, gdzie podlegały dalszej analizie. Pozostałe zapisy - zarówno cyfrowe krótkookresowe, jak i analogowe na papierze - pozostawały na miejscu.

Wstrząsy poniżej 2 stopni w skali Richtera są zupełnie niewyczuwalne dla ludzi. Jest ich też najwięcej. Ze względu na swoją mikroskopijną skalę - w porównaniu z „prawdziwymi” zjawiskami sejsmicznymi - bywają nazywane trzaskami. Ziemia „trzeszczy” właściwie bez przerwy. W jednej tylko, wspomnianej już, kopalni Rudna rocznie notuje się kilkanaście tysięcy sygnałów, z czego zaledwie kilkaset kwalifikuje się jako zjawiska sejsmiczne. Reszta to nic innego, jak skrzypienie skał. Cały ten szum, to główny plon stacji sejsmicznych. Silniejsze sygnały są jak rodzynki w cieście. Wprawne oko nie ma problemu z ich wyłuskaniem. Przeglądając sejsmogramy z ostatniej doby Rogowski natychmiast zauważył kilka nietypowych wstrząsów. Wprawdzie ich magnituda była najzupełniej przeciętna - od 2,5 do 2,6 - lecz nastąpiły w zaskakująco niewielkich odstępach czasu.

Rogowski poczuł szybsze bicie serca. Czyżby autentyczny rój sejsmiczny - kilka niemal równoczesnych trzęsień ziemi?

W chwilę później zapomniał o kawie. Wszystkie pięć wstrząsów miało identyczne współrzędne. Skądś znał te cyfry. Co u licha? Odczytał je raz jeszcze. Szerokość geograficzna: 50.8428. Długość: 16.2931. Nagle zrozumiał. To były współrzędne stacji.

Krzysztof Rogowski lubił czytać o zaginionych cywilizacjach, ale nie wierzył w cuda. A właśnie do tej kategorii należałoby zaliczyć rój sejsmiczny, który wystąpił dokładnie pod obserwatorium sejsmologicznym. Nigdy jeszcze o czymś takim nie słyszał. Co prawda, wielkość magnitudy wskazywała, że nie chodzi raczej o zjawiska naturalne, lecz o wstrząsy wywołane sztucznie, ale to niczego nie zmieniało. Pod Książem nie było żadnej kopalni.

Zdumienie Rogowskiego wyparła irytacja. Istniało tylko jedno rozsądne wytłumaczenie. Awaria sejsmometru. Niestety, było to nader prawdopodobne. W przeszłości zdarzały się już problemy z STS-2. Najpoważniejsze w 2002 roku, kiedy musieli go wysłać do naprawy u producenta. Przyczyną kłopotów była nadmierna wilgoć w podziemiach, gdzie zainstalowano czujniki. Wybudowano tam więc nowe pomieszczenie, znacznie lepiej chronione przed wilgocią. O tego czasu urządzenie funkcjonowało bez zarzutu. Aż do teraz.

Tylko tego jeszcze brakowało, westchnął. Sięgnął po kawę i cofnął rękę. Nawet tego mu się odechciało.

5

– Chyba sam zwariowałem, że dałem się na to namówić – inspektor Turski był wściekły. – Niech panu nawet nie przyjdzie do głowy, że będziemy szukać gdzie indziej. Ile jest jeszcze tych podziemi? Jedno? Dwa?

– Co najmniej cztery.

– Wspaniale!

Graczyk nie miał zbyt tęgiej miny. Wprawdzie narzekania Turskiego niewiele go obchodziły, bo po całym dniu miał już dosyć tego służbisty i bufona, peszyły go jednak zmęczone spojrzenia, jakimi obrzucali go wezwani na pomoc funkcjonariusze ratownictwa górniczego i policyjni pletwonurkowie. Myśląc teraz o tym, doszedł do wniosku, że gdyby wczoraj przyszło mu do głowy, że tak to będzie wyglądać, chyba nie nastawałoby na przeprowadzenie poszukiwań.

Turski zgodził się bardzo niechętnie. Graczyk musiał jednak przyznać, że kiedy już się zgodził, działał bardzo sprawnie. Wiedział, dokąd zadzwonić i co powiedzieć, bez zbędnego wdawania się w szczegóły. Wystarczało zresztą zwykle rzucić hasło: zaginięcie w podziemiach, żeby pytań nie było. W tym regionie, gdzie od stuleci zakładano i porzucano kopalnie, podziurawionym wszelkiego rodzaju szybami, sztolniami i chodnikami, niczym szwajcarski ser, wypadki pod ziemią zdarzały się dość często. Szczególnie wiele trosk przysparzały lokalnym władzom tak zwane bieda szyby – nielegalne wyrobiska, w których górnicy, pozbawieni pracy w wałbrzyskich kopalniach, na własną rękę wydobywali węgiel, żeby go potem sprzedać. Prowizorycznie tylko zabezpieczone szyby co rusz ulegały zawaleniu; w ostatnich latach zginęło w ten sposób już kilka osób. Dlatego miejscowe służby były niezwykle wyczulone na wszystko, co miało związek z podziemiami, bez względu na ich charakter.

Następnego ranka pośpiesznie skompletowana ekipa ratownicza była już na miejscu, przed wejściem do jednej z czterech sztolni kompleksu Włodarz. Grupa składała się z blisko dwudziestu osób: ratowników górniczych, funkcjonariuszy komendy miejskiej policji w Wałbrzychu, Graczyka i trzech jego ludzi oraz strażaków z Wydziału Operacyjnego Państwowej Straży Pożarnej, którzy jak zawsze w takich wypadkach kierowali akcją. Rola policjantów polegała głównie na zabezpieczeniu terenu. W pogotowiu czekała też karetka. Jej załoga wyglądała na zadowoloną z chwili wytchnienia od codziennych obowiązków. Trzej policyjni pletwonurkowie przyjechali około południa. To na nich właśnie spoczął główny ciężar poszukiwań.

Doświadczeni ratownicy dość szybko ustalili, że w kompleksie nie ma nowych zawałów. Jednak trzecia część podziemi była zalana wodą, na głębokość od jednego do prawie dwóch metrów. Istniała możliwość, że drugi z chłopców utonął. Przeczyło to wprawdzie hipotezie Graczyka o jakimś gwałtownym wydarzeniu, w wyniku którego doszło do wypadku, lecz należało sprawdzić każdą ewentualność.

Graczyk i Turski stali teraz przed wejściem do sztolni. Dochodziła osiemnasta i coraz bardziej było jasne, że nikogo ani niczego nie znajdą. Ratownicy powoli pakowali swój sprzęt. W podziemiach pracowali jeszcze pletwonurkowie, penetrując najdalszą i najsilniej

zalaną część kompleksu. Graczyk wrócił stamtąd już dwie godziny temu, ale wciąż nie mógł się otrząsnąć z niesamowitego wrażenia, jakie robiło to miejsce.

Włodarz był największym podziemnym kompleksem w Górach Sowich. Łączna długość korytarzy przekraczała trzy kilometry, podczas gdy w drugim z kolei kompleksie Osówka była niemal dwukrotnie mniejsza. Na kompleks składały się cztery sztolnie wykute w zboczu Włodarza, na wysokości od 585 do 590 m n.p.m. Trzy sztolnie, oddalone od siebie o osiemdziesiąt i sto sześćdziesiąt metrów, biegły z grubsza równolegle w głąb góry, gdzie po niespełna dwustu metrach łączyły się z systemem krzyżujących się korytarzy i komór. Kompleks przypominał kształtem szachownicę, tyle że wpisana w wydłużony prostokąt, a nie kwadrat. Do tej głównej części podziemi, niejako na doczepkę, dochodziła pod dość ostrym kątem czwarta sztolnia. Wszystkie sztolnie w połowie swej długości miały być chronione przez wartownie. Z czterech sztolni tylko jedna, sztolnia numer cztery, umożliwiała wejście do środka bez konieczności używania pontonu. W początkowym jej odcinku stała wprawdzie woda, ale była nie głębsza niż pół metra. Wejście nie było zbyt przyjemne. Wymagało pokonania dość niebezpiecznego obwału, a dalej trzeba było przedzierać się przez stopy gnijącej obudowy zalegającej w tunelu. Dopiero za wartowniami droga stawała się nieco łatwiejsza.

Graczyk po raz pierwszy w życiu znalazł się tak głęboko w podziemiach. Wbrew pozorom, wśród mieszkających tu ludzi wcale nie ma takich, których ponemieckie sztolnie zupełnie nie interesowały.

Któryś ze strażaków pożyczył mu gumowce i kask, podobnie jak Turskiemu. Weszli do środka dopiero wówczas, gdy ratownicy stwierdzili, że nie ma niebezpieczeństwa. Początek nie był zachęcający. Deptanie zbutwiałych belek po kolana w wodzie nie należało do przyjemności. Ale może był w błędzie. Może na tym właśnie polegał smaczek tego rodzaju wypraw. Bo przecież nie na odkrywaniu tajemnic. Od dawna w tych opuszczonych, wilgotnych norach nie było już nic tajemniczego. Co najwyżej mogły pobudzać do refleksji i współczucia nad losem tysięcy więźniów, którzy tu pracowali i umierali. Komisarz odczuwał niesmak na myśl, że to, co powinno być pomnikiem martyrologii, stanowiło podniecie dla domorosłych eksploratorów. Zdaniem Graczyka lepsze było już całkowite zamknięcie dostępu do podziemi lub przekształcenie ich w trasy turystyczne. Wówczas przynajmniej z ust przewodnika można było usłyszeć kilka słów wspomnienia o ludziach, których gehenna umożliwiła zbudowanie tych kuriozalnych tworów.

Ratownicy idący przodem minęli obojętnie wartownie, wykute po obu stronach sztolni. Graczyk jednak zatrzymał się na chwilę. Światło latarki wydobyło z mroku dwie z grubsza prostokątne komory o długości jakichś trzydziestu metrów i szerokości sześciu lub siedmiu. Obie nigdy nie zostały wykończone. Jedną częściowo wybetonowano, natomiast w drugiej betonowa była tylko posadzka. W tej pierwszej pozostała płatanina drewnianych stempli, a w drugiej poniewierały się wielkie, łukowato wygięte płyty szalunkowe służące do betonowania stropu, których już nie zdążono wykorzystać.

Za wartowniami, po jakichś osiemdziesięciu metrach, zaczynały się właściwe podziemia. W prawo biegły cztery korytarze, długie na prawie trzysta metrów, poprzecinane co trzydzieści metrów chodnikami poprzecznymi. Tworzyło to razem dość regularną, wydłużoną szachownicę. Cała grupa skręciła w jeden z korytarzy. Na każdym ze skrzyżowań z chodnikami poprzecznymi znajdowała się prostokątna komora długa na kilkanaście i szeroka na kilka metrów. Prawdziwą jednak osobliwość wskazał im jeden z ratowników, kierując promień latarki na strop korytarza. Co parę metrów w suficie ziały niewielkie otwory, przez które ledwie mógłby przecisnąć się człowiek. Okazało się, że kompleks Włodarza ma też piętro. Dokładnie nad dolnymi korytarzami rozpoczęto wykuwanie górnych, po to, aby w ostatniej fazie prac połączyć oba poziomy i uzyskać dzięki temu długie hale o

wysokości kilkunastu i szerokości kilku metrów. Na osiągnięcie tego etapu zabrakło czasu, więc dziś tylko nad częścią chodników znajdowało się coś w rodzaju górnego poziomu.

Przeszli jakieś dwieście metrów, pokonując kilka skrzyżowań, kiedy pod nogami znów zaczęła im chlupotać woda.

– Niedługo koniec przechadzki, panowie – oznajmił jeden z ratowników.

Zimno, mrok i wilgoć stanowiły mieszankę, która również Turskiemu nie przypadła do gustu. Graczyk widział, jak tamten z obrzydzeniem wyszarpuje buty z błota. Nie uważał się za szczególnie złośliwego, lecz poczuł rozbawienie na myśl, jak bardzo wałbrzyszanin jest wściekły, że dał się w to wszystko wciągnąć.

W przedzie dostrzegli światło. Graczykowi na moment zaparło dech, zanim pojął, że to nie może być zaginiony chłopak, ponieważ żadne baterie nie są w stanie działać tak długo. W jednej z komór na skrzyżowaniu korytarzy czekał na nich ratownik z pontonem. Woda w tym miejscu sięgała już prawie do kolan. Dalej, jak ich poinformował, było coraz głębiej. Duży ponton mógł pomieścić sześć osób, więc zdołali zabrać się wszyscy. Dwaj ratownicy chwycili za wiosła. Płynęli tym samym korytarzem, którym przedtem szli, nic się zatem nie zmieniło, ale mimo to Graczyka ogarnęło podniecenie. Najwyraźniej umysł z większą naturalnością postrzegał pieszą wędrówkę w podziemiach. Pływanie kojarzyło się raczej z pobytym pod gołym niebem.

Już po chwili jego ekscytacja okazała się w pełni uzasadniona. Po jakichś trzydziestu metrach dopłynęli do sporej komory wypełnionej wodą. Fale wywołane ruchem pontonu rozbijały się o surowe kamienne ściany. Wrażenie było niesamowite; jakby tkwili wewnątrz ogromnej cysterny. Ratownicy jednak nie wydawali się szczególnie zainteresowani; mocnymi ruchami wiosel skierowali ponton w jeden z wychodzących z komory korytarzy. Graczyk był nieco zaskoczony ich obojętnością. Nie wiedział, że to, co przed chwilą ujrzał, było jedynie prelude do wstrząsu, jaki miał wkrótce przeżyć.

– Mam nadzieję, że żaden z panów policjantów nie cierpi na chorobę morską? – ratownicy popatrzyli po sobie z ironicznymi uśmiezkami. W chwilę później Graczyk zrozumiał, że to nie żart.

Tak wielkiej podziemnej hali jeszcze nie widział. Ogromna komora miała sześćdziesiąt metrów długości, dziewięć metrów szerokości i ponad dziesięć metrów wysokości. Tak mógłby wyglądać cel wyprawy bohaterów „Podróży do wnętrza Ziemi” Juliusza Verne’a. Nawet ratownicy wydawali się poruszeni. Ponton powoli wpłynął na rozległą taflę krystalicznie czystej wody, głębokiej na półtora metra. Na dnie, doskonale widoczne, poniewierały się rozmaite przedmioty i narzędzia, używane kiedyś przed więźniów do wykucia tej monstrualnej sztucznej groty. Były wśród nich kilofy, świdry i drewniane skrzynie po materiale wybuchowym stosowanym do kruszenia skał. Wszystko wydawało się nietknięte i doskonale zakonserwowane przez lodowatą wodę.

Znaleźli się na największej osobliwości Włodarza - Jeziorze Łabędzim.

– Gdybyśmy popłynęli w tamtym kierunku, dotarlibyśmy do ostatniej sztolni, nazywanej sztolnią numer jeden – jeden z ratowników wskazał w prawo. – Jest jednak również całkowicie zalana.

– Co powoduje, że ta część podziemi jest bardziej zalana niż inne? – zapytał Graczyk. Kątem oka pochwycił spojrzenie Turskiego wyrażające zdumienie, że interesują go takie rzeczy.

– W sztolni numer jeden jest kilka dużych obwałowań, które utrudniają odpływ wody – odparł ratownik. – Dlatego jej głębokość przekracza tu półtora metra. W innych sztolniach też są obwały, ale tylko przy wejściach, co nie stanowi aż takiej przeszkody dla spływającej wody.

– Sztolnię numer jeden zbadaliśmy już z płetwonurkami – dodał drugi z ratowników. – Jak panowie widzą, woda jest bardzo czysta, co ułatwia poszukiwania. Pozostała nam jeszcze do sprawdzenia najdalsza część tej hali, przy wielkim zawale, który ją zamyka.

Ponton popłynął w lewo, w głąb masywu góry. Nierzeczywistość otoczenia potęgowały błędne ogniki latarek skaczące na wszystkie strony. Graczyk sam zachowywał się jak dziecko, kierując snop światła to tu, to tam, zupełnie jakby bał się, że z ciemności wychynie nagle jakiś przedpotopowy potwór. Dinozaurów jednak z pewnością tu nie było; co najwyżej duchy zamęczonych katorżniczą pracą więźniów. Nawet nie wiedział, jak bardzo było to prawdopodobne.

Ratownik miał rację nazywając zawał, tarasujący dalszą drogę, wielkim. Potężne bryły skalne i drobniejszy rumosz tworzyły wysoką na kilka metrów ścianę na końcu hali. Gruz rozsypał się daleko tworząc coś w rodzaju suchego łądu wznoszącego się nad poziomem wody. Dzięki temu mogli opuścić ponton.

Na „brzegu” spoczywały już dwa inne pontony, a wokół kręciło się kilku ratowników. Jeden z płetwonurków wymieniał butle w akwalungu. Dwaj pozostali penetrowali jezioro. Refleksy światła pod wodą wskazywały miejsce, w którym pracowali.

Kierujący akcją szef ratowników, pięćdziesięcioletni, postawny mężczyzna, był wyraźnie zmęczony.

– To jeden z najbardziej tajemniczych zawałów w Górach Sowich – powiedział wskazując wielkie bryły skalne. – Podobno tuż po wojnie czuć było w tym miejscu wydobywający się spoza skał odór rozkładających się zwłok. Niektórzy podejrzewają, że w dalszej części podziemi pozostawiono na pewną śmierć kilka tysięcy więźniów.

Graczyk poczuł się nieswojo.

– Czy ktoś próbował go sforsować?

– Było kilka prób, ale bez wypompowania wody to raczej niemożliwe. Zagadka pozostaje nierozwiązana.

– Sądzi pan, że ci chłopcy mogli podjąć taką próbę?

– Nie wydaje mi się. Powiedziałbym, że od dość dawna nikt nie ruszał tych kamieni.

Ślady prowadzonych tu prac są stare.

– Jak stare?

– Dziesięć lat, może więcej.

– W takim razie tu też pewnie niczego nie znajdziemy? – warknął inspektor Turski.

– Mogli tu być, oczywiście... Ale... – w głosie ratownika brzmiało powątpiewanie.

– Ale pan w to nie wierzy?

– Raczej nie.

Graczyk udał, że nie dostrzega krzywego spojrzenia inspektora. W świetle latarki ukazały się pocięte, zardzewiałe szyny wystające z zawału. Czyżby zatem rzeczywiście istniała dalsza część podziemi? Dotychczas nie wierzył w te wszystkie opowieści i spiskowe teorie dziejów. Może jednak nadszedł czas, by zrezygnować ze sceptycyzmu?

Z wody wynurzył się płetwonurek i wolno wspiął się na kamienie. Trzymał coś w dłoni. Na pytające spojrzenia pokręcił głową i rzucił trzymany przedmiot. Z cichym brzękiem pod nogi stojących potoczyła się łuska po naboju.

– Jest ich tam więcej – płetwonurek wyjął ustnik aparatu tlenowego.

– Myślałem, że Niemcy opuścili podziemia przed wkroczeniem Rosjan i do walk nie doszło? – zdziwił się Graczyk.

– Może to nie była walka – odezwał się szef ratowników. – Może to była egzekucja?

Nawet po wyjściu na powierzchnię, kiedy wracał myślą do tych słów, komisarz odczuwał niepokój. Wszyscy niby wiedzieli, że spośród więźniów, wznoszących tajemnicze budowle i kujących tunele „Riese”, tysiące zmarło lub zostało zamordowanych. W

okolicznych miejscowościach istniały cmentarze, na których spoczywały ich szczątki. Co innego jednak wiedzieć o czymś, a co innego otrzeć się o namacalne ślady przeszłości.

Wycieczka w podziemia nie była zbyt fortunna dla Graczyka także z innego powodu - Turski wrócił z niej nie tylko wściekły, ale i zmęczony. To nie wróżyło niczego dobrego.

– Niech mi pan powie – odezwał się zaraz po zdjęciu gumowców i kasku – jak ja to wytłumaczę swoim przełożonym? Bo to, że niczego nie znajdziemy, jest więcej niż pewne.

– Poszukiwania zaginionych nie zawsze się udają – odparł sentencjonalnie Graczyk.

Turski poczerwieniał.

– No to ja panu powiem, co usłyszą moi przełożeni – wycedził. – Usłyszą mianowicie, że zastępca komendanta komisariatu w Głuszycy zamiast zajmować się tym, co do niego należy, a więc, na przykład, szukaniem skradzionych krów i owiec, bawi się w detektywa. Jak to się panu podoba?

Starą drogą prowadzącą w pobliże sztolni, zbudowaną przez Niemców w latach czterdziestych, a więc w czasie, kiedy wznoszono „Riese”, nadjechał radiowóz. Graczyk już z daleka rozpoznał leciwego volkswagena ze swojego komisariatu. Auto z wyraźnym trudem wspinało się pod górę. Sprawa musiała być pilna, skoro nie czekali do jego powrotu. Jedyne samochód, jaki nadawał się do tego rodzaju wypraw – land rover – od rana stał beczynn timer nieopodal. Graczyk miał wprawdzie w kieszeni telefon komórkowy, ale w górach często gubił on zasięg, a w podziemiach nie działał w ogóle.

– Mało kto u nas hoduje jeszcze owce, panie inspektorze – powiedział. – Przestało się opłacać już wiele lat temu. Przepraszam na chwilę.

Kierowcą volkswagena okazał się jeden z najmłodszych funkcjonariuszy w Głuszycy, posterunkowy Matejak. Graczyk podszedł do niego, zanim jeszcze samochód się zatrzymał. Czuł na sobie kose spojrzenie Turskiego.

Posterunkowy wyskoczył z samochodu.

– Panie komisarzu, mamy wiadomość z Wrocławia – był wyraźnie przejęty. – Miał pan rację, że warto zadzwonić do komendy wojewódzkiej. Okazało się, że w jednym z komisariatów dzielnicowych pięć dni temu ktoś zgłosił zaginięcie studenta Politechniki Wrocławskiej, który wraz z kolegą wyjechał w Góry Sowie – posterunkowy podkreślił tę informację szerokim uśmiechem - i od kilku dni nie dał znaku życia. Początkowo ci z komisariatu nie chcieli przyjąć zgłoszenia, no bo skoro chłopak sam wyjechał, to może mu się nie chciało dzwonić do domu lub odbierać komórki, no, sam pan wie...

– Tak, wiem.

– Ale ojciec chłopaka okazał się uparty, więc w końcu przyjęli to zgłoszenie. Jak pan myśli, to ten, którego szukamy?

– Możliwe. Macie namiary na tych rodziców?

– Na komisariacie.

Graczyk wrócił do miejsca, gdzie stał Turski. Wiedział, że to, co chce powiedzieć, tamtemu się nie spodoba.

– To całe zamieszanie to pana wina, a pan sobie jedzie? – inspektor nie krył oburzenia.

– Przepraszam, panie inspektorze, ale to pilne wezwanie. Sprawa nie cierpiąca zwłoki.

– A to? – Turski zatoczył ręką koło. – To niby co? Zabawa?

– Zostanie z panem sierżant Żabiński. Postaram się wrócić jak najszybciej.

– No to radzę się spieszyć, bo skoro poszukiwania lekceważy człowiek, który je spowodował, to zaraz każę zwijać ten kram i nie marnować więcej czasu i pieniędzy.

Graczyk z ulgą usadowił się w aucie. Nie zwrócił uwagi nawet na gorąco, które buchnęło z wnętrza, jak z pieca, kiedy tylko otworzył drzwiczki. Chciał jak najszybciej stąd odjechać.

6

Powrót na komisariat trwał pół godziny. Graczyk ułożył sobie w myślach rozmowę z rodzicami zaginionego chłopaka, ale dopiero kiedy ujął w dłoń słuchawkę telefonu dotarło do niego, że musi im powiedzieć o śmierci syna i poprosić o identyfikację tego, co z niego zostało. Nigdy jeszcze nie wypełniał takiego zadania. Mimo to wybrał numer.

– Słucham? – w słuchawce odezwał się męski głos, co trochę podniosło Graczyka na duchu; nie chciał przekazywać takiej wiadomości matce chłopca.

Przedstawił się i wyjaśnił, dlaczego dzwoni. Jakoś ubrał w słowa to, co należało powiedzieć, ale i tak czuł się, jakby w jakiś sposób był winien temu, co się stało. W słuchawce zapadła cisza.

– Proszę poczekać – odezwał się w końcu jego rozmówca. – Zawołam żonę.

Graczyk jęknął w duchu. Usłyszał stuknięcie odkładanej słuchawki, kroki, potem inne kroki i stłumione głosy. Wreszcie ktoś ponownie ujął słuchawkę.

– Halo – w kobiecym głosie brzmiał strach. – Co się stało naszemu synowi?

– Jeszcze nie jesteśmy pewni, czy to państwa syn, proszę pani. Istnieje taka możliwość, dlatego dzwonię. Będzie potrzebny ktoś, kto go dobrze zna, żeby go rozpoznać...

– Dobrze zna? To znaczy, że jest... że jest... – kobiecie zaczął łamać się głos.

Graczyk znów usłyszał jakieś szepty, szelesty i nagle ponownie do rozmowy włączył się mężczyzna.

– Oczywiście, przyjadę jak najszybciej – powiedział spokojnie. – Nie wydaje mi się, żebym nie potrafił rozpoznać własnego syna.

– Czasami bywa to – Graczyk nie wiedział, jak to powiedzieć – utrudnione, zważywszy na okoliczności. Wtedy pomagają pewne szczegóły, znaki... takie jak to złamanie u państwa syna.

– Złamanie? – mężczyzna był zaskoczony. – Jakie znów złamanie?

– Złamanie małego palca prawej dłoni.

– Co pan wygaduje? O ile pamiętam, Marcin nigdy nie miał złamanego palca ani zresztą żadnych innych złamań. Czy jest pan pewien, że chodzi o naszego syna?

Graczyk milczał chwilę.

– To właśnie próbujemy ustalić, proszę pana. Rodzice mogą nie pamiętać takich szczegółów, jak drobne złamanie u dziecka w dzieciństwie. To zrozumiałe.

– Myli się pan. Pamiętam doskonale, że niczego takiego nie było.

Graczyk popatrzył na wydruk faksu, przesłanego mu z komendy wojewódzkiej we Wrocławiu. Zawierał rysopis ze zgłoszenia o zaginięciu, podany przez ludzi, z którymi właśnie rozmawiał.

– Czy nie podali państwo na policji, że syn jest blondynem, wzrostu metr osiemdziesiąt siedem, szczupłej budowy ciała?

– Metr osiemdziesiąt siedem?! – wybuchnął mężczyzna. – Marcin ma metr siedemdziesiąt sześć! Skąd pan ma taką informację?

Graczyk zamknął oczy.

– Widocznie zaszła pomyłka – mruknął.

– Jak cholera! Ci przekłęci policjanci najpierw nie chcieli przyjąć zgłoszenia, a potem powypisywali jakieś bzdury!

– Przepraszam w imieniu kolegów z Wrocławia – mógł tylko powiedzieć. – Naprawdę mi przykro.

Niemal słyszał, jak w ich serca wstępuje nadzieja. Nie chciał im jej odbierać, choć mogła okazać się złudna. Nawet jeśli zmarły nie był ich synem, a tylko jego kolegą, najprawdopodobniej spotkał ich obu ten sam los.

– Proszę mi wierzyć, chciałbym, żeby było inaczej, ale prawdopodobnie chodzi o kolegę, z którym państwa syn pojechał w góry – rzekł. – Czy ten rysopis pasuje do niego?

– Nigdy nie widzieliśmy Radka, więc trudno powiedzieć. Taki rysopis pasuje do wielu ludzi. Być może to nie ma żadnego związku z Marcinem.

– To rzeczywiście możliwe. Bez dokonania identyfikacji nie jesteśmy w stanie ani potwierdzić, ani wykluczyć żadnej ewentualności.

– Niestety, nie możemy pomóc – w głosie mężczyzny zabrzmiał cień ulgi. – Jak już mówiłem, nie znamy Radka osobiście. Nie rozpoznamy go.

– A znacie państwo jego nazwisko?

Poza telefonem odbyła się szeptana konsultacja.

– Nie jesteśmy pewni. Trudno powiedzieć.

– Żadnych adresów ani telefonów?

– Niestety.

Graczyk westchnął. Niewiele się dowiedział.

– Chwileczkę – usłyszał. Wstrzymał oddech. – Jest pewna możliwość. Marcin jeździł od czasu do czasu do kolegi z Wałbrzycha, który również interesował się Górami Sowimi. Zdaje się, że tamten znał ich obu. Marcin zostawił nam kiedyś numer telefonu do niego. Nie wiem tylko, czy go znajdziemy.

– Będę bardzo wdzięczny.

Czekanie przedłużało się. Graczyk słyszał odległe głosy, lecz nie był w stanie niczego zrozumieć. Nie chciał jeszcze dopuścić myśli o sukcesie; zbyt mocny zawód spotkał go przed chwilą.

Wreszcie mężczyzna odezwał się ponownie.

– Niestety, chyba nic z tego – komisarz zamarł. – Nie możemy znaleźć, wie pan, jak to jest w domu...

– Szkoda. Gdyby jednak...

– Zaraz – mężczyzna wpadł mu w słowo. Graczyk pochwycił jakieś podekscytowane szeptki. – Jest – zaszeleścił papier. – Tak, to właśnie to. Podyktować panu?

– Oczywiście – Graczyk gorączkowo sięgnął po długopis i pierwszy lepszy skrawek papieru, jaki wpadł mu w ręce – wezwanie do stawienia się na komisariacie w charakterze świadka. Szybko zanotował wałbrzyski numer telefonu i nazwisko: Zbigniew Janiszewski.

– Bardzo państwu dziękuję – powiedział. – Mam nadzieję, że dzięki temu wyjaśnimy całą sprawę.

– Czy możemy liczyć na wiadomość, czego pan się dowiedział? Oboje bardzo się denerwujemy.

– Naturalnie. Zadzwońnię natychmiast jak tylko ustalimy tożsamość... tej osoby.

Dopiero kiedy odłożył słuchawkę pozwolił sobie na głęboki oddech. Niewiele brakowało, a zostałby z niczym. Przypadek, który naprowadził go na ślad tych chłopców, mógł teraz zatrzeć dalsze ślady. Wprawdzie mając nazwisko jednego z nich z pewnością prędzej czy później znalazłby kogoś, kto też znał ich obu, jednak mogło to trochę potrwać. W tym czasie Turski zdążyłby go ukrzyżować za tę dzisiejszą wpadkę.

Ostatecznej odpowiedzi mogła dostarczyć tylko identyfikacja zwłok. Musiał zrobić wszystko, by skłonić człowieka, którego numer mu podano, do wizyty w prosektorium. Wiedział, że może nie być łatwo.

Wybrał numer z kartki. Po kilku sygnałach usłyszał głos automatycznej sekretarki: „Dzień dobry, dodzwoniłeś się pod numer...” i tak dalej.

– Psiakrew - zaklął. A to pech. Facet nawet nie nagrał własnego powitania, tylko zostawił głosik jakiejś zawodowej lektorki. – Niech to szlag.

Wtedy coś trzasnęło i odezwał się zupełnie inny głos. Niezbyt młody; mógł należeć do trzydziestoparolatka.

– Halo! Kto tam klnie na moją sekretarkę? To bardzo nieładnie.

Graczyk zawahał się.

– Czy pan Zbigniew Janiszewski?

– Ma się rozumieć.

– W takim razie dzień dobry. Komisarz Roman Graczyk z komisariatu policji w Głuszycy.

Teraz z kolei po drugiej stronie zapadła cisza.

– Naprawdę? Nie nabiera mnie pan? Co ja mam wspólnego z policją w Głuszycy?

– Prowadzimy dochodzenie w pewnej sprawie... Znaleźliśmy ciało. Podejrzewamy, że może to być Radek – nazwiska niestety nie znamy – kolega Marcina Lisa. Podobno zna ich pan.

– Radek Kudyba?! – głos w słuchawce stracił nagle całą nonszalancję. – Co się stało?

– Dokładnie nie wiemy. Prawdopodobnie penetrowali podziemia. Radka znaleźliśmy na zewnątrz, na stoku. Nie żył.

– Boże. A co z Marcinem?

– W tym właśnie problem – nie ma po nim śladu. O ile, oczywiście, to w ogóle oni, a nie jacyś inni młodzi ludzie. Żeby uzyskać pewność, musimy poprosić pana o pomoc.

– Mnie? - w głosie zabrzmiała rezerwa. – Jaką pomoc?

– Chciałbym, żeby zidentyfikował pan zwłoki.

– Chryste!

– Rozumiem, że to niełatwe. Ale jeśli to rzeczywiście Radek, to znaczy, że gdzieś tam jest jeszcze Marcin. Niewykluczone, że żyje. Żeby go szukać, musimy mieć pewność, że chodzi o nich. W chwili obecnej jest pan dla nas jedyną osobą, która zna ich obu.

– Skoro tak, to oczywiście...

– Ciało jest w Wałbrzychu. Wystarczy, że przyjdzie pan jutro rano na wydział patologii szpitala powiatowego. Ja zawiadomię kogo trzeba.

– W takim razie dobrze – rozmówca Graczyka poddał się. – Ale zaraz, czy to znaczy, że jeszcze nie szukacie Marcina?

– Szukaliśmy we Włodarzu, ale jeśli nie będzie pewności, że szukamy właściwej osoby i że w ogóle jest kogo szukać, to na tym się skończy.

– We Włodarzu? I co?

– Niczego nie znaleźliśmy.

– Pewnie. Nie mogliście znaleźć, bo ich tam nie było. Wybraliście niewłaściwy kompleks.

Graczyk wstrzymał oddech.

– A pan wie, gdzie mogli być?

– Jasne, że wiem.

7

– Tak, to Radek. Najprawdopodobniej. Chyba.

Inspektor Turski z irytacją popatrzył na Graczyka. Ten niemal słyszał jego myśli. Nie wszystkie były cenzuralne.

Zbigniew Janiszewski dość mężnie zniósł widok zwłok, lecz najwyraźniej nie miał pewności co do ich identyfikacji. Trudno było go winić; Graczyk mocno wątpił, czy sam poznałby własnego brata, gdyby tak wyglądał. Ale Turski oczekiwał jasnej odpowiedzi. Nie chciał zaakceptować faktu, że koledzy, nawet bliscy, raczej nie przyglądają się swoim małym palcom.

– Czy mógłby pan się zdecydować? – warknął.

– Staram się – Janiszewski obrócił na niego pobladłą twarz. – Na dziewięćdziesiąt procent to Radek. Niestety, nigdy mi nie mówił o złamanym palcu.

Pracownik prosektorium przyglądał się im obojętnie. Zapewne widział już niejedną taką scenę. Jaki trzeba mieć charakter, żeby podjąć się takiej pracy? – przemknęło Graczykowi. Ale kto wie, może tamten zastanawiał się właśnie nad tym samym, patrząc na niego?

– No dobrze, wystarczy – ustąpił inspektor. – Wszystko wskazuje na to, że to jeden z pańskich kolegów. Dziękujemy – skinął głową sanitariuszowi.

Ten sprawnym ruchem zasunął zamek plastikowego worka, w którym leżały zwłoki. Graczyk aż wzdrygnął się na suchy, przeciągły trzask. Kiedy znaleźli się na korytarzu, Graczyk i Turski zgodnie sięgnęli po papierosy. Janiszewski wyciągnął rękę.

– Od dawna nie pałę – wyjaśnił w odpowiedzi na pytające spojrzenia. – Ale po czymś takim...

Graczyk podsunął mu paczkę. Rozumiał go. Sam doskonale pamiętał pierwsze zwłoki, jakie ujrzał; tak silne było to przeżycie. Mimo iż od tego czasu upłynęło prawie czterdzieści lat, wciąż mógł przywołać ich obraz. To był wypadek, niedaleko domu, w którym jako dziecko mieszkał. Samochód z czterema osobami wpadł pod pociąg na niestrzeżonym przejeździe kolejowym. Wszyscy zginęli. Lokomotywa pchała auto siłą rozpędu przez dobrych sto metrów, zanim wreszcie się zatrzymała. Tylko jedne zwłoki zostały w rozbitym samochodzie. Inne znaleziono przy torach, tam gdzie wypadły podczas tej koszarnej przejażdżki. Ciała trzech mężczyzn i jednej kobiety były okropnie pokiereszowane. Wszędzie pełno było krwi i kawałków mózgu. Ale Graczykiem najbardziej wstrząsnęło co innego – na torach leżał zakrwawiony bochenek zwykłego chleba. Do dziś miał go przed oczami, tak, jakby to było wczoraj.

– Skoro to Radek – Janiszewski zaciągnął się papierosem i zakaszał – to gdzieś tam musi być jeszcze Marcin. Zawsze chodzili we dwóch. Byli nierozłączni.

– Szukaliśmy... – ze zniecierpliwieniem zaczął Turski.

– W niewłaściwym miejscu – przerwał mu Graczyk. Dobrze wiedział, co inspektor chciał powiedzieć. – Pan Janiszewski twierdzi, że wie, które podziemia penetrowali.

– Naprawdę?

Janiszewski rozejrzał się za popielniczką. Najwyraźniej powrót do nikotynowego nałogu nie przypadł mu do gustu. Stali w korytarzu najniższego poziomu szpitala. Nie

przychodzili tu ani pacjenci, ani odwiedzający, toteż przypominał on raczej graciarnię. Pod ścianami stały rozmaite sprzęty: stare łóżka, wyeksploatowane autoklawy, wózki. Janiszewski dostrzegł metalową popielniczkę na wysokiej nóżce, jakich używano kiedyś w biurach i palarniach. Przeprosił ich i oddalił się na chwilę.

– Marcin i Radek już drugi sezon badali kompleks Soboń – powiedział wróciwszy. – To niedaleko Głuszycy, po przeciwnej stronie masywu Włodarza niż miejsce, w którym wy szukaliście.

– Kompleks Soboń? – Turski bezradnie spoglądał to na Janiszewskiego, to na Graczyka.

– Mówiłem panu, że jest jeszcze kilka podziemnych kompleksów w Górach Sowich – przypomniał Graczyk. – Soboń znajduje się w masywie góry o tej samej nazwie. O ile wiem, jest mniejszy od Włodarza.

– To prawda – potwierdził Janiszewski. – Nie tylko dużo mniejszy, ale i znacznie mniej popularny wśród badaczy. Głównie dlatego, że wejścia do sztolni znajdują się w głębi lasu i są trudne do odnalezienia. Znane są tylko trzy sztolnie, z których jedynie dwie łączą się ze sobą i mają kilka bocznych korytarzy. W sumie nic ciekawego. Natomiast trzecia sztolnia kończy się wielkim zawałem, którego nikomu jeszcze nie udało się sforsować.

– Może udało się tym dwóm chłopakom? – zasugerował inspektor.

– Niemożliwe – Janiszewski pokręcił głową. – Próbowali już tego wcześniej duże, dobrze wyposażone ekipy. Bez skutku. A szkoda, bo spod zawału wystają szyny kolejki wąskotorowej i przewody elektryczne. To oznacza, że dalej coś jest.

– Zaraz, zaraz, czegoś tu nie rozumiem – Turski zamachał papierosem. – Skoro, jak pan mówi, te podziemia to nic ciekawego, a zawału i tak nie można sforsować, to czego oni, u diabła, tam szukali? I to już drugi rok?

Janiszewski zrobił minę, jakby odpowiedź była oczywista.

– No cóż, szukali czwartej, zaginionej sztolni.

Turski spojrzał porozumiewawczo na Graczyka.

– Zaginiona sztolnia?

– Zaginiona, nie odkryta, nieznana, mniejsza o nazwę. Chodzi o wejście do podziemi, które od czasu wojny pozostawało zamaskowane. I to tak skutecznie, że nikomu nie udało się na nie natrafić.

– Czy to możliwe? – Graczyk miał wątpliwości.

– Możliwe? – Janiszewski popatrzył na niego z politowaniem. – To nawet pewne. Nikt nie wie, ile jest jeszcze takich nie odkrytych sztolni, ale są, może mi pan wierzyć. Powiem tylko, że w kompleksie Włodarz istnieje prawdopodobnie jeszcze jedna nieznana sztolnia, w kompleksie Sokolec siedem, a w Jugowicach Górnych być może aż jedenaście. A zresztą, co tam sztolnie. Sądzymy, że nie odkryto jeszcze co najmniej dwóch całych, bardzo ważnych kompleksów: na górze Moszna oraz na Wielkiej Sowie.

Graczyk podejrzał, co zaraz nastąpi. Inspektor w niezbyt wybrednych słowach każe im iść do diabła. Pomylił się jednak; Turski był zwodniczo spokojny.

– No dobrze, a jak w takim razie wyjaśni pan, że ciało znaleźliśmy na zboczu Jedlińskiej Kopy, w pobliżu podziemi Włodarza? – zapytał. – Czyli, według pana, po drugiej stronie gór?

– Nie mam pojęcia – przyznał Janiszewski. – Tak, to rzeczywiście zaskakujące. Chyba że...

Zawiesił głos, jakby sam zdziwił się myśli, która nagle przyszła mu do głowy.

– Tak? – zniecierpliwił się Turski.

– Chyba że dotarli do Centrum.

Z głębi korytarza nadchodził jakiś człowiek w białym kitlu. Niósł coś na rękach, trzymając zawiniątko w taki sposób, w jaki nosi się dziecko. Graczyk zerknął na niego bezwiednie, zaabsorbowany rozmową.

– O czym pan mówi? – Turski zmarszczył brwi patrząc na Janiszewskiego. – Jakie znów Centrum?

– Och, to cała historia. Największa tajemnica Gór Sowich. A może i jedna z największych w ogóle. W każdym razie spośród tych związanych z drugą wojną światową. Chodzi o to, że jeśli spojrzysz na mapę z naniesionymi miejscami, w których znajdują się podziemia, widać, że układają się one centralnie wokół masywu Włodarza. Prawie wszystkie celują w jego głąb, w jedno miejsce. Właśnie tam, pod górą Moszna, ma się znajdować nieznany podziemny kompleks, w którym zbiegają się korytarze łączące wszystkie inne kompleksy. To jakby takie skrzyżowanie podziemnych dróg. Nazywamy je Centrum.

Graczyk spozjrzał na mijającego ich sanitariusza i zeszywniał. To b y ł o dziecko. Martwe. Tamten niósł je do kostnicy. Widocznie dla czegoś tak małego i lekkiego nie opłacało się używać wózka. Dopiero kiedy za sanitariuszem zamknęły się drzwi, wrócił myślami do rozmowy.

– Co miałyby się znajdować w tym... Centrum? – zapytał Turski.

– Mówi się o kwaterze Hitlera, sztobie dowodzenia, a nawet o jakimś supertajnym ośrodku badawczym, w którym prowadzono prace nad nowymi, cudownymi broniąmi.

– No tak – Turski pokiwał głową. – Cudowne bronie... Oczywiście.

Graczyk podzielał jego sceptycyzm. Nagromadzenie nieprawdopodobieństw przekraczało granice zdrowego rozsądku. Z drugiej strony jednak, nieważne było, w co oni byli w stanie uwierzyć. Najważniejsze, w co wierzyli Radek i Marcin, ponieważ od ich wiary zależało, dokąd dotarli w swoich poszukiwaniach. Nawet jeśli owo legendarne Centrum nigdy nie istniało, to wierząc w nie chłopcy rzeczywiście mogli zapuścić się w nieznane i niebezpieczne podziemia. I jeden z nich, być może, tam pozostał.

– Coś panom pokażę – Janiszewski sięgnął do torby przewieszanej przez ramię i wyjął kserograficzną odbitkę fragmentu mapy. – Przygotowałem to na wypadek, gdybyście chcieli zobaczyć, jak to wszystko wygląda. Może podejmiemy do tamtego wózka?

Na pierwszy rzut oka mapa nic nie mówiła Turskiemu, ale Graczyk natychmiast rozpoznał zarys gór i charakterystyczny, wydłużony kształt dwóch największych miejscowości: Głuszycy i Walimia.

– To masyw Włodarza – wyjaśnił Janiszewski. – W tych miejscach widzicie, panowie, naniesione schematycznie podziemia: kompleksy Soboń, Osówka, Rzeczka, Włodarz. Jest ich wprawdzie więcej, ale te są najgłówniejsze. Układają się jakby w kwadrat. Sztolnie były kute w głąb masywu. Na końcach niektórych korytarzy znajdują się zawały. A teraz proszę popatrzeć.

Wyciągnął długopis i zaczął kreślić na mapie linie, przedłużając niektóre z kreseczek oznaczających sztolnie. Linie te zbiegały się na jednym, niewielkim obszarze.

– Przedłużyłem te sztolnie, w których są nie spenetrowane jeszcze zawały. Prawdopodobnie za zawałami są korytarze biegnące ku temu właśnie obszarowi. To nasze Centrum.

– Chwileczkę – Graczyk wskazał palcem schemat jednego z kompleksów. – Tu nie ma żadnej sztolni, której prostym przedłużeniem byłaby linia do Centrum.

– Rzeczywiście, to kompleks Włodarz, tam, gdzie panowie szukaliście Radka. Znane sztolnie biegną w innych kierunkach. Dlatego podejrzewamy, że w tym kompleksie jest jeszcze jedna, nie odkryta dotychczas, sztolnia. To samo zresztą dotyczy Sobonia. Istniejące tam sztolnie kierują się raczej w stronę Włodarza. Tworzą coś w rodzaju litery T. Ale jeśli istniałaby dodatkowa sztolnia, między nóżką litery T, a jej lewym ramieniem, to jej kierunek byłby idealnie wytyczony na Centrum. Być może właśnie tę sztolnię odkryli Radek i Marcin.

Graczyk patrzył na zbiegające się linie i małe kółko, narysowane w miejscu, w którym się przecinały. Musiał przyznać, że szkic robił wrażenie. Ale za bardzo pachniał spiskową teorią. Graczyk nie wierzył, że w dzisiejszym zwariowanym świecie mogą przetrwać jakiegokolwiek tajemnice. Turski zdawał się podzielać jego wątpliwości.

– Chce pan nam wmówić, że są tam tak długie korytarze? – pokręcił głową. – Wykute w twardej skale?

– To tylko dwa, trzy kilometry. Tyle wynosi odległość poszczególnych kompleksów od Centrum. Istnieją relacje, spisane tuż po wojnie, że więźniowie szli do pracy w sztolniach o długości nawet ponad trzech kilometrów. Dziś nie ma śladu po tak długich korytarzach, ale one istniały.

Zbyt dużo tych przypuszczeń i odwoływania się do ułomnej, ludzkiej pamięci, pomyślał Graczyk. Janiszewski jednak nie zwracał uwagi na ich sceptycyzm. Wydawał się całkowicie pochłonięty wizją miasta wewnątrz góry.

– To jeszcze nie wszystko – powiedział. – Jeśli poprowadzimy linię mniej więcej na północ, to dotrzemy do Książa, gdzie też są podziemia. Całkiem możliwe, że były one połączone tunelem komunikacyjnym z Centrum, choć musiałby on mieć dwadzieścia kilometrów długości. Jeśli natomiast inną linię poprowadzimy na południowy wschód, to po pięciu kilometrach dotrzemy do podziemnego kompleksu Sokolec, a z niego jest już blisko do dawnej, ogromnej kopalni węgla „Wenzeslaus” w Ludwikowicach Kłodzkich. Kopalnia ta została zamknięta jeszcze przed wojną, po czym przejęła ją SS, prowadząc tam niewyjaśnione do końca prace. Z tego wszystkiego wynika, że być może mamy tu, dosłownie pod naszym nosem, do czynienia z największym kiedykolwiek wybudowanym podziemnym kompleksem na świecie. Przy nim amerykańskie centrum dowodzenia obroną powietrzną pod górą Cheyenne to ciasna pakamera.

Turski niezbyt dyskretnie zerknął na zegarek.

– To wszystko jest bardzo interesujące. Zaginiona sztolnia, cudowne bronie... Ale myślę, panowie, że tego już za wiele. Nie dam się wciągnąć w żadne idiotyzmy. Mamy odpowiednie procedury, żeby...

– Chwileczkę, panie inspektorze – Graczyk, równie zaskoczony wywodami Janiszewskiego, postanowił skierować rozmowę na właściwe tory. – Zostawmy na chwilę te przypuszczenia i zastanówmy się, co z tego wynika dla nas.

– O co panu chodzi? – Turski spojrzał na niego podejrzliwie.

– Bez względu na to, czy to całe Centrum istnieje, czy nie, gdzieś tam nadal jest ten drugi chłopak. Skoro wiemy już, że prowadzili poszukiwania w kompleksie Sobon, powinniśmy się tam rozejrzeć.

– Wykluczone – Turski skrzywił się, jak na wspomnienie cierpkiego smaku cytryny. – Nie będziemy znów gonić za mirażem. W dodatku są to, podobno, jeszcze trudniej dostępne podziemia.

– Tym razem mamy silne poszlaki.

– Ale tylko poszlaki. Co miałbym powiedzieć ludziom ze straży czy płetwonurkom? To samo, co poprzednio – że będą taplać się w błocie, bo znów mamy poszlaki?

– W Soboniu płetwonurkowie nie będą potrzebni – wtrącił Janiszewski. – Nie ma tam tyle wody, co we Włodarzu.

– To nieistotne. Nikt tam nie jest potrzebny.

Janiszewski wytrzymał jego gniewne spojrzenie.

– Ja tam jadę – oświadczył.

Turski przypatrywał mu się dłużej. W końcu wzruszył ramionami.

– Nie mogę panu zabronić. Ale to musi poczekać. Najpierw pojedzie pan ze mną na komendę i złoży oficjalne zeznanie dotyczące identyfikacji zwłok.

– A czy t o nie może poczekać?

– Niestety...

– Panie inspektorze, może uznamy, że pan Janiszewski wyjechał do Głuszycy i w związku z tym będzie mógł złożyć zeznanie w tamtejszym komisariacie? – podsunął Graczyk.

Turski sięgnął po następnego papierosa. Jak wielu choleryków, zdumiewająco szybko potrafił zmienić front.

– W porządku. Tylko niech panu nie przyjdzie do głowy, komisarzu, uczestniczyć w jakichś podejrzanym przedsięwzięciach. Naturalnie, gdyby po godzinach pracy udał się pan na spacer w góry...

Odszedł kilka kroków i zatrzymał się.

– A co do zeznania... Chcę je widzieć jutro u siebie na biurku. I żadnych bzdur o cudownych broniach. Czy to jasne?

8

– Nie przesadził pan z tym ekwipunkiem? – Graczyk obrzucił spojrzeniem plecak, z którym Janiszewski przyszedł do szpitala. – Nie wybieramy się w Himalaje.

– Od razu widać, że nie ma pan doświadczenia w eksploracji podziemi – Janiszewski oderwał wzrok od widoku za oknem samochodu. – Trudno o coś bardziej irytującego niż konieczność przerywania poszukiwań, bo, na przykład, zabrakło kawałka liny.

– Ale nie należy chyba obładowywać się jak wielbłąd?

– A jeśli znajdziemy wejście do czwartej sztolni, a stamtąd do Centrum? Nie wiadomo, co może być nam potrzebne.

– Wtedy wyjdziemy grzecznie na powierzchnię i zawiadomimy inspektora Turskiego.

– Który narazi na szwank swoją karierę i ponownie uwierzy panu na słowo? – zakpił Janiszewski. – Nie ma mowy. Ja idę aż do końca.

Graczyk uśmiechnął się pod nosem. Jakby słyszał samego siebie.

– Naprawdę wierzy pan w tę zaginioną sztolnię i rzekome Centrum?

– Oczywiście. Prace w Górach Sowich były największym niemieckim przedsięwzięciem budowlanym u schyłku wojny. W swoich wspomnieniach Albert Speer, ówczesny minister uzbrojenia Rzeszy, podaje, że do września 1944 roku na „Riese” wydano 150 milionów marek, podczas gdy słynny Wilczy Szaniec w Kętrzynie zbudowano za zaledwie 36 milionów. W Górach Sowich zużyto 257 tysięcy metrów sześciennych betonu zbrojonego stalą; znacznie więcej niż na budowę schronów przeciwlotniczych w całych Niemczech. Gdzie się podział ten beton? Dziś widać tylko kilka częściowo wybetonowanych komór i chodników.

– Może dane te są błędne lub celowo przesadzone?

– Speer był geniuszem logistyki i zarządzania. Nie pomyliłby się aż tak bardzo. A co do dezinformacji... Trudno dostrzec, jaką korzyść miałyby przynieść mu takie kłamstwo. Gdyby chciał coś ukryć, raczej pomniejszyłby znaczenie „Olbrzyma”.

– W pana ustach brzmi to wiarygodnie. A jednak minęło już siedemdziesiąt lat i nikt niczego nie znalazł.

– Bo nie szukała jedyna siła, która miałaby środki po temu, żeby znaleźć – państwo.

– Sam pan sobie przeczy – Graczyk pokręcił głową. – Skoro tylko państwo byłoby w stanie przeprowadzić udane poszukiwania, to jakim cudem miałyby się to udać dwóm studentom-amatorom?

Janiszewski spojrzał na niego spod oka.

– Wie pan, dlaczego to Schliemann odkrył Troję? Bo wierzył w jej istnienie.

– To żaden argument. Ja też wierzę w istnienie miliona dolarów. I co?

Janiszewski roześmiał się.

– Nigdy nie wiadomo, co czeka na pana za następnym zakrętem.

– Obawiam się, że kolejny zakręt.

Chcieli rozejrzeć się w kompleksie Soboń. Zdaniem Janiszewskiego to właśnie tam prowadzili swoje badania Radek i Marcin. Graczyk znał górę o tej nazwie, ale nigdy nie był nawet w pobliżu podziemi. Niewiele zresztą stracił, sądząc ze słów Janiszewskiego. Wątpił w powodzenie poszukiwań. Działali po omacku. Lecz nie zamierzał rezygnować. To były jego

góry; jego teren. Jeśli zacznie oczekiwać, że ktoś inny uporządkuje jego podwórko, będzie to znak, że czas na emeryturę.

– Opowiadanie inspektorowi o cudownych broniach nie było zbyt rozsądne – odezwał się. – Być może udałoby się namówić go do powtórzenia poszukiwań przy użyciu odpowiednich środków.

– Na tyle, na ile zdążyłem go poznać, wątpię – Janiszewski uśmiechnął się. – Niech pan wierzy, lub nie, ale tam naprawdę mogły być prowadzone prace nad jakimiś nowymi typami uzbrojenia. Ja tego nie wymyśliłem.

Graczyk popatrzył na niego.

– A pan w to wierzy?

Janiszewski odważemnił mu się nieodgadnionym spojrzeniem.

– Świat byłby bardzo nudnym miejscem, gdyby jedyną rozrywkę stanowiła zabawa brzytwą Ockhama.

Graczyk uniósł brwi, ale nie zdążył odpowiedzieć. Zadzwoiła komórka. Nie miał w samochodzie zestawu głośnomówiącego, mimo to odebrał. Janiszewski popatrzył na niego ironicznie.

– Halo?

– Pan komisarz? Tu Rudzki – głos należał do jednego z funkcjonariuszy komisariatu w Głuszycy. – Chodzi o Dudziaka. Podobno włamał się lub wszedł do cudzego garażu. Otrzymaliśmy takie doniesienie. Na wszelki wypadek zatrzymaliśmy go.

Tylko tego mi jeszcze brakowało, pomyślał Graczyk. Miejscowego głupka, z którego robią groźnego przestępcę.

– Nie ma tam Żabińskiego? – warknął. – I co to znaczy: włamał się lub wszedł? Albo jedno, albo drugie.

– Właściciele twierdzą, że się włamał, ale... A sierżant Żabiński pojechał na wezwanie do jakiejś stłuczki. Pomyślałem więc, że zawiadomię pana...

Graczyk westchnął.

– Dobrze. Pogadam ze starym później.

Rozłączył się i schował telefon do kieszeni.

– Kłopoty? – zapytał Janiszewski.

– Raczej niedogodność. Drobiazg, ale irytujący, jak to najczęściej bywa w tym fachu.

– Może lepiej by było, gdyby zajął się pan tym najpierw?

– To może poczekać. Problemy z Dudziakiem są starsze ode mnie i pewnie mnie przeżyją. Nie ma do czego się spieszyć.

– Widzę, że jest pan tradycjonalistą, jeśli chodzi o telefony.

– Bo mam starą komórkę? Potrzebny mi telefon, a nie gadżet.

– Popieram pana w stu procentach. Sam używam prostych telefonów, ale ze wzmocnionymi obudowami. Świetnie znoszą wilgoć. A właśnie, miałem pana wcześniej zapytać. Ja jestem odpowiednio ubrany, ale pan chyba nie chce tak iść w góry? Sztolnie Sobonia są dość trudno dostępne.

Graczyk spojrział na swoje ubranie.

– Rzeczywiście. Wygląda na to, że muszę zaprosić pana do siebie.

– Widzę, że mieszka pan w odpowiednim miejscu – odezwał się Janiszewski, kiedy podjechali pod dom Graczyka.

– Dlaczego?

– Bo wystarczy, że pojedziemy dalej tą ulicą i znajdziemy się na drodze do Sobonia. A wcześniej minimy inne podziemia – schrony przeciwlotnicze z czasów wojny.

– O schronach wiem; bawiliśmy się w nich jako dzieci. To przy Potoku Marcowym, przed stawami.

– Zgadza się. Pamięta pan coś z tamtych czasów? Jakies nieznane dziś chodniki czy komory?

– Niestety, niewiele pamiętam. Ale wątpię, żeby wówczas było jeszcze coś, czego nie ma dzisiaj.

– Nawet w kilkanaście lat po wojnie w wielu kompleksach dostępne były jeszcze niektóre sztolnie i korytarze. Dopiero później je zawalono. Znane są relacje ludzi, którzy zwiedzali nieznane dziś odcinki podziemi. Na przykład, w latach pięćdziesiątych grupa geologów, penetrujących kompleks Rzeczka, szła jedną ze sztolni mijając po drodze sześć poprzecznych hal. Tymczasem dzisiaj istnieją tylko dwie.

– Chce pan powiedzieć, że nie tylko Niemcy maskowali dostęp do podziemi? Że robiono to także po wojnie?

– Oczywiście. Bezpośrednio po wojnie robili to Rosjanie, którzy najpierw penetrowali podziemia, wywozili z nich wszystko, co dało się wywieźć, a następnie wysadzali wejścia lub korytarze. Tak było w Osówce, gdzie wielki zawał, zwany dziś uskokiem, zamykający prawdopodobnie drogę do dalszej części kompleksu, powstał nie wiosną 1945 roku, w czasie ucieczki Niemców, lecz w kilka miesięcy później, po spenetrowaniu kompleksu przez Rosjan. A po Rosjanach likwidowaniem wejść do podziemi zajęli się Polacy. Często na prośbę lokalnej ludności, bo zdarzało się, że dzieci wracały z gór uzbrojone po zęby w znalezione broń i amunicję.

– No to trudno się dziwić.

– Niby tak, ale jaką okazję wyjaśnienia tajemnic „Olbrzyma” przy tym zaprzepaszczone... Żal o tym mówić.

W mieszkaniu panował bałagan. Graczyk porządkował tylko te miejsca, do których dostęp uważał za konieczny. Resztą zamierzał zająć się przed powrotem żony i syna.

– Niech pan nie zwraca na to uwagi – rzekł. – Żona wyjechała na urlop.

– I nie poprzyklepiała żółtych karteczek z informacjami, gdzie co jest? Ja miałem odwrotny problem. Moja była żona uwielbiała żółte karteczki. Kiedy wyjeżdżała, wszędzie było ich pełno. O tego czasu nie lubię żółtego koloru.

Graczyk ledwie go słuchał, szukając kurtki i starych spodni od munduru polowego. Uznał, że będą najlepsze na taką okazję. Nagle przypomniał sobie, gdzie mogą być. Chciał zajrzeć do domowego składziku dyskretnie, ale Janiszewski, wciąż perorując, chodził krok w krok za nim. Przesąpił próg i natychmiast dostrzegł makietę. Miało to jedną dobrą stronę – z zaskoczenia przestał mówić.

– Nieźle – mruknął z podziwem. – To pańskie hobby czy zabawka dzieci?

– Syn woli gry komputerowe. Wszystko inne wydaje mu się nierealne.

– Naprawdę fajne. Widzę, że sam pan to konstruuje. To musi być mrówcza praca.

– Dłubanina byłoby lepszym określeniem.

– Uspokaja?

– Proszę?

– Zazwyczaj tego typu zajęcie, wymagające czasu i skupienia, wykonują ludzie, którzy chcą uspokoić zszargane nerwy – uśmiechnął się Janiszewski. – To rodzaj terapii. Panu, jako policjantowi, pewnie nie brakuje codziennych stresów.

Graczyk spojrział na niego z ukosa.

– A nie pomyślał pan, że po prostu zawsze chciałem zostać maszynistą? Czy musi zaraz chodzić o jakieś psychiczne fiksacje? Zresztą, praca policjanta w Głuszycy nie jest szczególnie stresująca.

Wpatrzył się w makietę. Na śmierć o tym zapomniał. Nic dziwnego, od dwóch dni tu nie zaglądał. Na budynku stacji, udając dach, wciąż stała złożona kartka papieru, którą znalazł przy martwym chłopcu. Trudno ją było zauważyć. Wyglądała jak część makiety. Sięgnął po nią machinalnie.

Janiszewski przyglądał mu się z ciekawością.

– Chyba nie czas na majsterkowanie?

Graczyk podał mu kartkę. Tamten znał Radka. Być może będzie coś wiedział o dziwnym rysunku.

– Przypomina to coś panu?

Janiszewski uniósł kartkę do oczu. Kiedy je zwrócił ponownie na Graczyka, było w nich zdumienie.

– Pan to narysował?

– Wie pan, co to za rysunek?

– Mój Boże, czy wiem? Przecież to plan jakiegoś nieznanego kompleksu!

9

Leśna droga do Sobonia biegła najpierw zakolami po zboczu góry Jagodziniec. W pewnym miejscu łączyła się ze starą, kamienną drogą, budowaną przez Niemców w latach 1942–1945, która miała połączyć wszystkie podziemne kompleksy. W dużej mierze to się powiodło. Droga, do dziś przejezdna, ułatwiała obecnie dostęp do najważniejszych części „Riese”.

Graczyk prowadził swoją sześćioletnią hondę civic bardzo ostrożnie. Nie zamierzał uszkodzić podwozia na jakiejś dziurze. Nikt mu nie zwróci pieniędzy za naprawę, choć przecież nie jechał tam dla przyjemności.

Przez większą część drogi obaj milczeli. Graczyk wciąż przetrawiał nieoczekiwane informacje, jakie uzyskał od Janiszewskiego na temat rysunku, kiedy wyjaśnił mu okoliczności, w jakich stał się jego posiadaczem.

– Ciekawe – rzekł Janiszewski. – Nie sądzę, żeby Radek znał wcześniej plan jakiegoś nieznanego kompleksu. Wiedziałbym o tym. Musiał to narysować w trakcie penetracji podziemi. Mamy więc dowód, że Radek i Marcin – a w każdym razie na pewno Radek – byli w jakimś nieznanym kompleksie. To mogło być jedynie Centrum. Nie mogę rozpoznać schematu, a ponieważ znam wszystkie dostępne kompleksy w Górach Sowich, sądzę, że dotarli do czegoś zupełnie nowego.

Graczyk nie mógł odmówić temu rozumowaniu logiki. O ile, oczywiście, to wszystko miało jakikolwiek sens.

Na skrzyżowaniu leśnych dróg zawahał się. W lewo od drogi, którą nadjechali, odchodziła odnoga, mniej więcej podobnych rozmiarów.

– Prosto - orzekł Janiszewski. – Ta w lewo, to droga wiodąca bliżej szczytu Sobonia i łącząca się z drogą na Mosznę. Wejścia do sztolni są niżej, przy drodze na wprost.

– Niełatwo się w tym połapać.

– Nikomu nie przyszło do głowy, żeby postawić drogowskazy – uśmiechnął się Janiszewski. – Tak naprawdę, wiele osób i instytucji odetchnęłyby z ulgą, gdyby po górach przestali kręcić się poszukiwacze. Im więc trudniej trafić do podziemi, tym lepiej. A kompleks Soboń jest pod tym względem szczególnie kłopotliwy. Wejścia do znanych sztolni leżą wprawdzie przy drodze, którą jedziemy, ale są tak zarośnięte, że trudno je znaleźć. Zresztą, sam pan zobaczy.

– Jeśli je znajdziemy.

– Nie ma obawy.

Janiszewski miał rację – zawałone wloty sztolni skrywała gęsta roślinność. Nie mylił się także co do tego, że je znajdzie.

Do systemu dwóch pierwszych sztolni można było dostać się jedynie przez wejście do sztolni numer jeden. Istniał w nim wprawdzie zawał, ale pozostała wąska szczelina pod stropem tunelu. Janiszewski zamierzał tam wejść, choć nie spodziewał się rewelacji.

– W środku nie ma nic ciekawego – stwierdził. – Zanim jednak poszukamy czwartej sztolni, powinniśmy wykluczyć wszystkie inne możliwości.

Znów miał rację. Kiedy przeczołgali się przez niewielki otwór między zawałem, a stropem wejścia, ujrzeli korytarz o szerokości około trzech metrów. Posadzkę pokrywało

ślota i kałuże wody. Graczyk błogosławił dobrą radę Janiszewskiego, żeby ubrał się w najgorsze z posiadanych rzeczy. Nie zdążył jeszcze przejść w podziemiach nawet dziesięciu metrów, a już był brudny.

Tunel miał ponad 200 metrów długości. Był niewykończony. W niektórych miejscach stały wciąż fragmenty drewnianej obudowy, w ścianach tkwiły zardzewiałe uchwyty na instalację elektryczną, a środkiem biegły ślady po torach kolejki. Dopiero w połowie sztolni pojawiły się boczne chodniki. Były dość krótkie i również niewykończone. Jedynie mała komora po prawej stronie posiadała ceglana obudowę ścian, betonową podłogę i drewniane drzwi. Minęli trzy takie skrzyżowania i na czwartym ujrzeni odchodzący w prawo długi korytarz. Była to sztolnia numer dwa, na początkowym odcinku rozbudowana do rozmiarów dużej hali. Jednak po kilkudziesięciu metrach jej szerokość zmalała. Istniał tu rodzaj uskoku o wysokości ponad metra, świadczący o tym, że obie sztolnie, kute jednocześnie z dwóch stron, rozminęły się nieco w pionie. Dalej nie dało się iść, ponieważ od uskoku aż do dużego zawału przy wejściu stała woda, głęboka na metr. Nigdzie nie dostrzegli żadnego śladu po chłopcach, ani pozostałości po prowadzonych pracach.

Na powierzchnię wrócili tą samą drogą, którą weszli. Graczyk mrużył oczy oślepione słońcem. Janiszewski zdjął plecak.

– Moim zdaniem, nie ma sensu fatygować się do trzeciej sztolni – powiedział. – To po drugiej stronie góry, a jak już wcześniej mówiłem, niemożliwe, żeby Radek i Marcin zdołali pokonać zamykający ją zawał. Lepiej będzie jak rozejrzemy się za wejściem do czwartej.

– Pan wie najlepiej – z powątpiewaniem mruknął Graczyk. – Gdzie będziemy szukać?

– Jeśli czwarta sztolnia miałaby prowadzić w kierunku Centrum, to powinna znajdować się gdzieś na zboczu między sztolnią numer jeden, a dwa. To najbardziej prawdopodobna lokalizacja.

– Zakładając, że ta sztolnia w ogóle istnieje.

– Chłopcy prowadzili poszukiwania tutaj, a potem jednego z nich znaleziono o cztery kilometry stąd, po drugiej stronie masywu Włodarza. Jak się tam dostali?

– A może szukali właśnie tam? Mogli przecież zmienić plany.

– Nie wierzę. Bardzo solidnie przygotowywali się do tej wyprawy. Chcieli, żebym z nimi jechał, ale nie mogłem – Janiszewski spochmurniał. – Może gdybym tu był, nie doszłoby do tego wszystkiego...

– Nawet jeśli znaleźli nieznaną sztolnię, nie wyjaśnia to tego, co ich spotkało.

– Dlatego myślę, że dotarli do Centrum. Tam znajduje się przyczyna.

– Odnoszę wrażenie, że demonizuje pan owo Centrum, czymkolwiek jest.

– Być może. Ale wiem jedno – na budowach „Riese” zginęło ponad dwadzieścia tysięcy więźniów. Wielu żywcem zamknięto pod ziemią. Tym miejscem od początku rządziła śmierć.

Graczyk spociał się już po kilku minutach wspinaczki po zboczu. Wejścia do sztolni numer jeden i dwa leżały przy tej samej drodze, którą przyjechali, ale dzieliła je odległość około trzech kilometrów, jako że droga biegła zakosami wokół góry. Gdzieś na przestrzeni tych trzech kilometrów gęstego lasu mogło znajdować się wejście do tajemniczej sztolni numer cztery. Zdaniem Graczyka, szukali igły w stogu siana.

W lesie pełno było ruin rozmaitych budowli, w większości nieukończonych. Tuż przy drodze, jakieś pół kilometra od pierwszej sztolni, wznosiły się mury dwóch dużych, żelbetowych budynków. Pozbawione dachów, poczerńiałe, z drzewami rosnącymi wewnątrz,

sprawiły przygnębiające wrażenie. Nie wiadomo, do czego mogły służyć. W pobliżu miało ich stanąć jeszcze kilka; zdążono jednak wykonać tylko wykopy pod fundamenty.

Budowle naziemne towarzyszyły wszystkim sowiogórskim kompleksom. Dlatego to nie one były najciekawszym elementem Sobonia. Największą zagadką stanowiły ogromne ilości piasku, do dziś leżące przy dawnej boczniczy kolejki wąskotorowej. Cztery wielkie hałdy zawierały go więcej, niż wszystkie pozostałe budowy „Olbrzyma” razem wzięte. Do czego był potrzebny?

Janiszewski miał swoją teorię.

– Piasek jest, obok cementu, głównym składnikiem betonu – wyjaśnił. – Liczba budowli na powierzchni nie jest w Soboniu większa od ich liczby w innych kompleksach. Wynika stąd, że znaczne ilości betonu musiano wykorzystywać pod ziemią. W tych sztolniach, które są dostępne, tego nie widać. Dlatego muszą istnieć nieznane chodniki, całkowicie wykończone. Inaczej to nie miałyby sensu.

Przy ruinach budynków rozdzielili się. Zdaniem Janiszewskiego zwiększało to szanse na znalezienie czwartej sztolni, lecz Graczyk pozostał sceptyczny. Obawiał się, że z jego brakiem doświadczenia może jej nie zauważyć, nawet gdy przejdzie obok. Tak, jak zapewne wielu ludzi przed nim.

A jednak to on ją znalazł.

Niedaleko za ostatnim wykopem pod budynek natknął się na kamień, który najwyraźniej osunął się ze zbocza. Kamieni wokół nie brakowało, lecz ten wyróżniał się jaśniejszą barwą; nie był tak zwietrzały, jak inne, leżące na powierzchni. Zawołał Janiszewskiego, który potwierdził jego podejrzenia. Gdzieś w górze doszło do rozłupania skały. Mogło to być, oczywiście, spowodowane jakąś naturalną przyczyną, ale tak czy inaczej sprawę należało zbadać. W miarę jak się wspinali napotykali więcej podobnych kamieni. Po kilku minutach dotarli do leśnej przecinki, czegoś w rodzaju nasypu z drogą gruntową, łukiem opasującą górę.

– To nasyp dawnej kolejki wąskotorowej – stwierdził Janiszewski. – Wszystkie kompleksy były nią połączone. Tory oczywiście rozebrano po wojnie; gdzieś tam tylko zachowały się krótkie odcinki tuż przy wylotach sztolni.

Nad nasypem zwieszały się gałęzie drzew, tworząc jakby tunel w lesie. Graczyk z trudem mógł uwierzyć, że kiedyś jeździły tędy lokomotywy, panował hałas i gwar; wrzała praca. Dzisiejsze Góry Sowie zupełnie nie przypominały tych sprzed siedemdziesięciu lat. No i dobrze, pomyślał. Przy każdym z tych, dziś tak podziwianych kompleksów, istniał obóz koncentracyjny, stanowiący filię obozu Gross-Rosen. Przebywało w nich od kilkuset do kilku tysięcy więźniów; żyjących i pracujących w straszliwych warunkach. Mało kto przeżył tę gehennę. Sielskie Góry Sowie nazywane bywały Górą Śmierci. W żadnych innych górach na świecie nie ma tylu cmentarzy z masowymi grobami. Wiedział od Janiszewskiego, że gdyby pojechali do trzeciej sztolni i weszli ponad nią, znaleźliby pozostałości po *Konzentrationslager* o sympatycznej nazwie „Lärche” – modrzew. To jego mieszkańcy wykuli podziemia Sobonia. Wątpliwe jednak, by podzielali zainteresowanie Niemców pięknem otaczających lasów.

Powyżej nasypu kolejki, nieco w bok od miejsca, w którym stali, dostrzegli poszarpane zarośla i wysypujące się z nich odłamki skalne. Zbliżywszy się ujrzeni kilkunastometrowej długości rumowisko wypływające ze sporej wyrwy w zboczu. Janiszewski pokiwał głową.

– Mamy ją – powiedział. – To wejście do nieznanej sztolni. Tyle, że ktoś je niedawno ponownie zasypał. Bez koparki się nie przebijemy.

Robert Morawski wiedział, że takie strajki, jak ten w Zakładach Tekstylnych „Tekspol” w Głuszycy, szybko się wypalały. Jako dziennikarz widział już sporo takich protestów. I z pewnością zobaczy więcej.

Tym razem sprawa wydawała się oczywista. „Tekspol” nie był pierwszą firmą, w której wizja dyrekcji różniła się z oczekiwaniami załogi. Sprzeczność interesów musiała doprowadzić do konfliktu, choć tak naprawdę obu stronom chodziło o to, by zakład przetrwał i nadal dawał pracę. Problem w tym, że pracy nie mogło wystarczyć dla wszystkich. To, co kiedyś robiło się siłami tysiąca ludzi, dziś wykonywane było przez stu. Reszta musiała odejść.

Całą godzinę spędził przed bramą zakładu, w kłębiącym się tłumie kobiet. Szare budynki pochodziły sprzed wojny i przez ten czas niewiele się zmieniły. Morawski nie sądził, by wynikało to z pietyzmu dla zabytku techniki; raczej z braku pieniędzy na remonty. Mury z czerwonej, przybrudzonej cegły i wzburzony tłum na ulicy przywodziły na myśl scenerię z filmu o strajkach w XIX wieku. Na niewielkim placu przed bramą zakładu stłoczyło się około dwustu osób. Nie miał pojęcia, ilu pracowników zatrudniał „Tekspol”, ale nie mogło ich być dużo więcej; w dzisiejszych czasach firma z załogą przekraczającą sto osób uważana była już za dużego pracodawcę. Kobiety protestowały przeciwko zapowiedzianym zwolnieniom. Ich zdaniem, były one nieuzasadnione, bowiem firma miała stałych klientów i dysponowała zamówieniami co najmniej na najbliższy rok.

Takich przypadków były dziesiątki i równie wiele powstało opisujących je artykułów. Większość dziennikarzy nie zaprzętałaby sobie głowy tak mało nośnym tematem. Lecz Morawski nie rozpatrywał tego w kategoriach atrakcyjności medialnej. Prowadził krucjatę. Był krzyżowcem wojującym z niemieckim kapitałem. Tropił wszelkie przejawy niemieckich inwestycji, uważając każdą z nich, nawet najmniejszą, za element kompleksowego planu ekonomicznego opanowania Dolnego Śląska przez dawnych właścicieli. A może raczej – jak twierdzili niektórzy złośliwi koledzy – był Don Kichotem walczącym z wiatrakami?

Kiedy w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku do Polski zaczął napływać obcy kapitał, większość jego kolegów szybko uznała, że pieniądze nie mają narodowości. Liczył się tylko sposób ich zagospodarowania. Morawski podzielał ten pogląd, lecz tylko wówczas, gdy nie chodziło o pieniądze niemieckie. Nie wierzył, by kraj, któremu odebrano szmat ziemi, zrezygnował na dobre z prób jej odzyskania. Zgodnie z zasadą: jak nie kijem go, to pałką – tam gdzie zawiodła siła oręża, należało użyć siły pieniędzy. Niemcy byli w tym dobrzy. Już przed drugą wojną światową emigranci z Niemiec do tego stopnia zawładnęli ekonomiką krajów Ameryki Południowej, że Hitler zupełnie serio oczekiwał, iż Argentyna czy Chile przystąpią do wojny po jego stronie. W Boliwii dwanaście niemieckich rodzin kontrolowało połowę życia gospodarczego tego kraju. Po wojnie na kontynent napłynęły kolejne dziesiątki tysięcy Niemców, w większości z nazistowską, a nierzadko zbrodniczą przeszłością. Wsparci potężnym kapitałem nie tylko kupili sobie bezkarność, ale także w krótkim czasie zaczęli nieoficjalnie współrządzić. Oficjalnie zresztą niekiedy także; na przykład, ministrem obrony Chile był przez jakiś czas Niemiec Emil Körner.

Morawski zdawał sobie sprawę, że jego antyniemieckość zakrawała na obsesję. Inni mogli czytać o takich sprawach z wypiekami na twarzy, lecz po skończonej lekturze

natychmiast przestawali się przejmować. On nie potrafił. Jego pamięć skrzętnie gromadziła fakty, a umysł tropił pod warstwą pozorów ukryte spiski i konspiracje. Coś takiego, jak przypadek i zbieg okoliczności, jego zdaniem, nie istniało. Zawsze były to elementy większej całości, tyle że ich umiejscowienia w ogólnym schemacie chwilowo nie znano. A schemat był oczywiście ciągle ten sam: żądza posiadania i władzy. Bez względu na to, czy chodziło o państwa, czy o poszczególnych ludzi; czy dotyczyło władzy ekonomicznej, czy politycznej bądź ideologicznej - celem zawsze było zawładnięcie czym się tylko da: ziemią, pieniędzmi, umysłami. Jeśli ktoś tego nie widział; jeśli sądził, że świat kręci się wokół dekalogu – musiał być niesłychanie naiwny. Morawski za takiego się nie uważał.

Co prawda, niektórzy patrzyli na to inaczej. Wiedział, że uważają go za oszołoma, który musi mieć jakiegoś wroga, inaczej czuje się zagubiony. Dla jednych takim wrogiem mogli być Żydzi; dla innych homoseksualiści. Dla Morawskiego byli nim Niemcy. Jego zdaniem, historia pokazała, że całkiem słusznie.

Artykuł o strajku w „Tekspolu” nie spodobał się szefowi Morawskiego. Kierownik działu terenowego wychodzącej w Wałbrzychu „Gazety Regionalnej”, Grzegorz Kmiecik, był przeciwieństwem swego podwładnego: jowialny i prostolinijny, nie wietrzył wszędzie spisków i knozań. A nade wszystko nie znosił tekstów z tezą – prezentujących nie tyle fakty, co fobie piszącego. Uważał, że gazeta ma informować, a nie bawić się w politykę. Nie przepadał też za Morawskim, tym zgorzkniałym frustratem, wiecznie z czegoś niezadowolonym.

Czytając na ekranie komputera przesłany siecią wewnętrzną tekst, Kmiecik co rusz krzywił się z niechęcią. Niby nic takiego w nim nie było; na pozór informował o konflikcie w fabryce zupełnie obiektywnie, lecz umiejętnie stosowane przymiotniki „niemiecki” i „polski” nie pozostawiały wątpliwości, że w tle wydarzeń kryło się coś większego – zagrożenie dla narodowych interesów Polski na Dolnym Śląsku.

Mógł się tego spodziewać, znając obsesję Morawskiego na punkcie Niemców. Problem w tym, że nie bardzo mógł wysłać tam kogoś innego. Wprawdzie teoretycznie każdy z jego ludzi mógł pisać o wszystkim, lecz w praktyce niektórzy po latach zajmowania się daną tematyką ukierunkowali się na nią i byłoby nietaktem nie skorzystać z ich wiedzy. Taki nieformalny podział pracy był zazdrośnie strzeżony; wejście na cudze podwórko uważane było za wyjątkowe świństwo. Doświadczeni dziennikarze nigdy by sobie na to nie pozwolili. Musiałby wysłać jakiegoś nowicjusza, nie zorientowanego jeszcze w redakcyjnych układach, ale to z kolei trudno byłoby uzasadnić z profesjonalnego punktu widzenia. Nie uległo bowiem wątpliwości, że laik nie ująłby tematu równie kompetentnie, jak dziennikarz, który o podobnych sprawach pisał od lat.

No i teraz miał przed sobą pasztet - tekst równie kompetentny, co stroniczy. Co z nim zrobić? Nie chciał wzywać Morawskiego, bo dyskusja pewnie znów zakończyłaby się kłótnią; tamten należał do dziennikarzy bardzo przywiązanych do każdego sformułowania w swoich artykułach. W końcu podjął decyzję. Dokona poprawek sam; usunięcie kilku dwuznacznych zbitek słownych powinno wystarczyć, by zmienić wymowę tekstu. A jeśli Morawski zgłosi zastrzeżenia, uzasadni to brakiem wystarczającej ilości miejsca na stronie. To zawsze działało.

Nieświadom rozterek szefa, Morawski po skończeniu tekstu szedł do bufetu. Nie był szczególnie towarzyski, ale wolał to od picia kawy przy biurku. Choć na przesiadywanie godzinami w bufecie, jak bywało niegdyś, nikt już dziś sobie nie pozwalał, ale i tak zawsze

można tu było spotkać kogoś, kto wpadł tylko na chwilę. Przy kilkudziesięciu osobach zatrudnionych w redakcji, oznaczało to, że bufet rzadko bywał pusty.

Morawski wypił kawę przy barze, nie przysiadając się do żadnego stolika; pozdrowił tylko z daleka kilka znajomych osób. Kiedy wychodził, natknął się w drzwiach na trzech komputerowców z działu DTP. Znani byli z tego, że do bufetu zawsze przychodzili razem. Jeden z nich zatrzymał Morawskiego.

– Nadal tropisz niemieckie inwestycje na Dolnym Śląsku?

– Owszem.

– To posłuchaj. Mam kuzyna, który kiedyś pracował w cegielni w Lubiechowie. Paręnaście lat temu ją zamknęli. W zeszłym roku przejęła ją jakaś niemiecka firma.

– Wiem. Co w tym dziwnego?

– To, że podobno – jak twierdzi mój kuzyn – choć upłynął rok, nic się tam nie dzieje. Z jednym wyjątkiem – wyremontowano bocznice kolejową prowadzącą do zakładu i tory w samym zakładzie. Po co? Poza tym, do magazynów firmy zapakowano sporo sprzętu kojarzącego się raczej z pracami wydobywczymi niż z wyrobem cegieł.

Morawski słuchał z powątpiewaniem. Już nie raz miał do czynienia z podobnymi „rewelacjami”. Ludzie na ogół nie lubili obcych i widywali to, co chcieli zobaczyć. A potem okazywało się, że rzekoma mroczna tajemnica posiada jakieś banalne wytłumaczenie.

– Czy twój kuzyn ma jakąś teorię?

– Tylko taką, że nikt normalny nie otwierałby kopalni w miejscu, gdzie nie ma co wydobywać. Musi więc chodzić o coś innego.

– Pewnie szukają skarbów – wtrącił jeden z pozostałych komputerowców.

– Ja mam teorię – podchwycił drugi. – W czasie wojny ukryli tu Bursztynową Komnatę, a teraz przyjechali ją zabrać.

Wybuchnęli śmiechem. Rozmówca Morawskiego po chwili przyłączył się do nich.

– Faktycznie – przyznał. – Brzmi głupio.

Bałwany, pomyślał Morawski jadąc windą na swoje piętro. Zawracają mi głowę głupotami, podczas gdy wokół nie brakuje rzeczywistych zagrożeń.

11

Atmosfera w samochodzie nie była najlepsza. Odkrycie wejścia do nieznannej sztolni i stwierdzenie w chwilę później, że jest zasypane tonami skał, przyniosło rozczarowanie. Graczyk wiedział, że nie ma szans na szybkie zorganizowanie akcji ratunkowej, wymagającej użycia ciężkiego sprzętu. Po fiasku we Włodarzu Turski nigdy się na to nie zgodzi. Oznaczało to wyrok śmierci dla Marcina, jeśli znajdował się w podziemiach.

– Mimo wszystko, nie mamy pewności, że tam jest – powiedział do Janiszewskiego.

Skręcali właśnie ze starej niemieckiej drogi, łączącej podziemne kompleksy, na szosę z Walimia do Głuszycy. Wracali na komisariat. Graczyk obiecał przecież Turskiemu, że spisze zeznanie Janiszewskiego.

– Jego tam wcale nie ma – odparł tamten.

Graczyk spojrzał na niego z zaskoczeniem.

– O czym pan mówi?

– Chodzi mi o to, że na pewno nie ma go w czwartej sztolni Sobonia, bezpośrednio za zawałem przy wejściu. Jestem pewien, że właśnie tędy dostali się do nieznanego systemu korytarzy i dotarli do Centrum. Musieli tam dotrzeć, skoro ciało Radka znaleźliście na Jedlińskiej Kopie. To po drugiej stronie gór. Żeby tam dotrzeć pod ziemią, musieli przejść przez Centrum. Ale już nie wracali. Dlatego twierdzę, że Marcina nie ma w Soboniu. Problem pokonania zawału nie jest więc najważniejszy.

– A co jest ważniejsze?

– Proszę pomyśleć, komisarzu. Co wynika z dwóch faktów: że chłopcy weszli do podziemi i że ciało jednego z nich znaleziono na powierzchni po przeciwnej stronie masywu Włodarza?

– Że musi istnieć podziemne połączenie – głośno myślał Graczyk. – Że przeszli taki kawałek pod ziemią, a potem coś się stało i Marcin został na dole, a Radek jakoś wydostał się na powierzchnię. Wyjście! – pojął nagle. – Musi tam gdzieś być inne wyjście!

– Właśnie. Niestety, nie będzie łatwo go znaleźć. Wprawdzie badacze od dawna podejrzewają, że na Mosznie, w okolicy Centrum, muszą być nieodkryte dotychczas sztolnie i korytarze, ale to duży obszar. No i dość dokładnie przeszukany, zatem wejście musi być dobrze zamaskowane, skoro do dziś go nie odnaleziono.

– Zastanawia mnie tylko jedno – rzekł Graczyk. – Kto ponownie zawałił wejście do czwartej sztolni Sobonia, jeśli nie Radek i Marcin?

Janiszewski pokiwał głową.

– Dobre pytanie. To na pewno nie oni. Przede wszystkim, gdyby ucierpieli w wyniku tego zawału, Marcin nie zdołałby dotrzeć aż na Jedlińską Kopę. Poza tym, tego nie da się zrobić młotkiem i przecinakami, a nawet kilofem. To wymagało materiałów wybuchowych. Oni na pewno ich nie mieli.

– Zatem ktoś inny biega po górach z dynamitem i maskuje wejścia do podziemi?

– Obawiam się, że tak. Zupełnie jak po wojnie, kiedy działał Werwolf.

Graczyk nagle nacisnął na hamulec.

– Werwolf! – zawołał. – No jasne! Że też wcześniej o tym nie pomyślałem. Ależ ze mnie głupiec.

Janiszewski patrzył na niego ze zdumieniem.

– O czym pan nie pomyślał?

– O tym, co się wydarzyło, kiedy znaleźliśmy Radka. Przyplątał się wtedy ten stary, o którym rozmawiałem niedawno przez telefon. To tutejszy, upośledzony umysłowo. Chodzi gdzie chce i wszędzie go pełno. Powiedział wtedy, że już kiedyś widział w tym miejscu zwłoki. Wymienił też nazwę Werwolf. Ale gdy usłyszałem, że to się działo zaraz po wojnie, zezłościłem się i kazałem mu się wynosić. Niezbyt mądrze.

– Minęło ponad pół wieku – z powątpiewaniem rzekł Janiszewski. – Te sprawy nie mogą mieć ze sobą nic wspólnego. Nie mówiłem o Werwolfie w sensie dosłownym.

– Nie o to chodzi. Ten stary wszędzie się kręci; zna te góry jak własną kieszeń. Dlaczego wtedy znalazł się akurat w miejscu, gdzie znaleźliśmy ciało chłopaka? Może był tam wcześniej i coś widział? Może coś wie?

– Ale skoro jest upośledzony...

– No cóż. Zapytać nie zaszkodzi.

Graczyk zatrzymał samochód. Pobocza nie było, więc stanął na jezdni, włączając światła awaryjne. Na szczęście, ruch na tej drodze był znikomy. Wyciągnął telefon.

– Mamy szczęście, jest sygnał – wybrał numer. – Halo! Tu Graczyk.

– Rudzki. Słucham, panie komisarzu.

– Czy Żabiński już wrócił?

– Jeszcze nie.

– Trudno. W takim razie wy się tym zajmijcie. Zapytajcie Dudziaka, czy był przed nami na miejscu znalezienia zwłok tego chłopaka; czy coś widział. I oddzwonić do mnie. Albo nie. Zróbmy inaczej. Sprowadźcie starego do dyżurki i wtedy do mnie zadzwonić. Na komórkę. Jasne?

W słuchawce zapadła cisza.

– No? - zirytował się Graczyk.

– Przecież to głupek, panie komisarzu – Rudzki zawahał się. – Niczego się pan od niego nie dowie.

– Słuchajcie, posterunkowy – Graczyk mocniej zacisnął palce na aparacie. – Za minutę chcę usłyszeć wasz telefon.

Wysiadł z auta i zapalił papierosa. Janiszewski również wysiadł; kiedy nie jechali, w środku było piekielnie gorąco. Stali na łuku drogi. Z jednej strony teren wznosił się dość stromo; z drugiej płóżył się łagodnie i dopiero w oddali przechodził w niezbyt wysokie wzgórze. Janiszewski wskazał je palcem.

– Taka niepozorna górka, a skrywa w sobie drugi co do wielkości podziemny kompleks. Kto by pomyślał, prawda?

– Co to za góra?

– Osówka. Większe podziemia ma tylko Włodarz. Ale nie to jest najciekawsze. Na Osówce, tak jak wszędzie, znajdują się pozostałości budowli naziemnych. Tyle że te tutaj są zupełnie wyjątkowe i niesłychanie fascynujące. Szczególnie jedna z nich, tak zwana Siłownia.

– Siłownia?

– To nazwa robocza. Problem w tym, że nikt nie ma pojęcia, co to jest.

– Nie wiadomo, do czego służył ten budynek?

– To nie jest budynek. To coś, co nie ma żadnego odpowiednika. Nie tylko w innych kompleksach, ale w ogóle nigdzie.

– Jak to, nigdzie? Chce pan powiedzieć, że nigdzie na całym świecie?

– Proszę się nie śmiać, komisarzu. Gdyby pan to zobaczył, to wiedziałby pan, o czym mówię. To betonowy monolit w kształcie kwadratu o boku długości trzydziestu metrów. Prawdopodobnie został wpuszczony w skałę na co najmniej kilka pięt. W dół prowadzą włązy ze stalowymi klamrami i zawalone zejścia. Obiekt miał być wyższy niż obecnie, co

wiadomo po tym, że z betonu wystają stalowe pręty zbrojenia. Cały ten ogromny blok, niczym wielką kostkę do gry, przenikają rury, kanały i rowy; wszędzie są studzienki i śluzy. Jeden z zalanych szybów wygląda jak szyb windy. W innym miejscu znajdują się schody w dół, w skałę. Dokąd prowadzą? Kiedy do otworów Siłowni wrzucono świecę dymną, dym rozszedł się po podziemiach Osówki, położonych dokładnie pod monolitem. Musi więc istnieć jakieś połączenie. Ale jaką funkcję miała pełnić Siłownia – nie wiadomo.

– Więc skąd ta nazwa?

– Nie mam pojęcia. Widocznie komuś kiedyś przyszło do głowy, że obiekt miał służyć do produkcji energii. Ale jakiej energii? Z czego? Siłownia nie przypomina żadnego ze znanych typów elektrowni.

– Może zaczęłaby przypominać, gdyby ją ukończono?

Janiszewski uśmiechnął się.

– Nie mówiłby pan tak, gdyby ją pan widział. To coś bardziej tajemniczego od Stonehenge, bo tam przynajmniej wiadomo, że kamienny krąg miał związek z astronomią. Tu nie wiemy nic.

– No tak, skoro w dwudziestym pierwszym wieku nie jesteśmy w stanie zrozumieć czegoś, co powstało zaledwie siedemdziesiąt lat wcześniej, to trudno oczekiwać, żebyśmy kiedykolwiek poznali tajemnice piramid, prawda?

Janiszewski uniósł brwi.

– Dziwi się pan? - Graczyk zdusił niedopałek obcasem. – Nawet policjanci od czasu do czasu oglądają Discovery.

Oczekiwanie trwało znacznie dłużej niż minutę. W końcu jednak telefon zadzwonił. Graczyk odebrał.

– Tak?

– Mam go tu, panie komisarzu – w głosie Rudzkiego nadal brzmiało powątpiewanie.

– Dobrze. Zapytajcie, czy pamięta jak kilka dni temu znaleźliśmy na Jedlińskiej Kopie tego chłopaka.

Poza telefonem odbyła się niewyraźna wymiana zdań.

– No... – mruknął niepewnie Rudzki.

– No? – zniecierpliwił się Graczyk.

– Powiedział coś dziwnego. Coś jak wewulf czy wewolf.

– W porządku, pamięta – stwierdził Graczyk. – Zapytajcie teraz, czy był tam wcześniej i czy widział coś podejrzanego?

– Moim zdaniem, powiedział, że nie – po chwili odrzekł Rudzki. – Ale...

– Ale co?

– Chyba chodziło mu o to, że nie widział niczego w tym miejscu, ale gdzie indziej widział już coś podobnego. Tak mi się wydaje.

– Możliwe, wtedy też tak twierdził. Tyle że to było ponad pół wieku temu. Ale zapytajcie go, gdzie to widział.

Rudzki wsłuchał się w odpowiedź.

– To na nic – odezwał się zniechęcony. – Powtarza jakieś niezrozumiałe słowo. Nie mam pojęcia, o co mu chodzi.

– Jakie słowo?

– Coś jakby nazwisko. Mullenba, czy jakoś tak. Może Molenda?

– Może to nazwisko człowieka, który wtedy zginął. Ale zapytajcie go o miejsce. Gdzie to było?

– Gada w kółko to samo, panie komisarzu. Chyba nic z tego nie będzie.

Nagle z boku odezwał się Janiszewski.

– Co tamten mówi?

Graczyk spojrzał na niego.

– Stary ma poważną wadę wymowy. Bardzo trudno go zrozumieć. Powtarza jakieś nazwisko, brzmiące jak Mullenba, Molenda lub coś w tym rodzaju.

– Mullenba? A może Mullen Berg?

– A co to takiego?

– Niech pan zapyta, czy chodzi o Mullen Berg.

Graczyk powtórzył pytanie do słuchawki.

– Tak – potwierdził Rudzki. – Mullen Berg. Stary kiwa głową.

Graczyk ponownie spojrział na Janiszewskiego. Ten uśmiechnął się.

– To niemiecka nazwa góry Moszna. Tej, w której podziemiach ma się znajdować Centrum. Jak pan widzi, wszystkie drogi prowadzą do...

Graczyk pokręcił głową.

– Nasuwa mi się inne porzekadło: gdzie Rzym, a gdzie Krym. No, ale każdy trop warto sprawdzić. Czy stary potrafi wskazać dokładne miejsce, gdzie to było? – rzucił do słuchawki.

Tym razem na odpowiedź czekał dłużej.

– I co? – ponaglił, jednak Rudzki nie zareagował; najwyraźniej trzymał telefon z dala od ucha.

– Znów to samo – odezwał się wreszcie. – Wydaje mi się, że on potwierdza, iż trafi na właściwe miejsce, ale gada też jakieś bzdury, więc sam nie wiem. Mówi coś o miejscu, gdzie góra oddycha. Nie mam pojęcia, o co chodzi.

– Miejsce, w którym góra oddycha? – zainteresował się Janiszewski. – To ciekawe.

– Rozumie pan coś z tego? – zdziwił się Graczyk.

– Niewykluczone. Być może chodzi o szyb wentylacyjny. Podziemne kompleksy, podobnie jak kopalnie, musiały posiadać odpowiednią wentylację, żeby przebywający tam ludzie się nie podusili. Najprostszym sposobem było wykucie pionowego szybu na powierzchnię. Funkcjonuje on w bardzo ciekawy sposób, działając niczym komin i wymuszając obieg powietrza. Dzieje się tak pod wpływem różnicy temperatur między wnętrzem góry a atmosferą. Zimą, kiedy temperatury na zewnątrz są niższe niż w środku, powietrze wypływa z szybu, natomiast latem odwrotnie – wpływa do niego. Może to sprawiać wrażenie, jakby góra oddychała.

– Czy taki szyb nie byłby widoczny? – Graczyk przypatrywał mu się sceptycznie.

– Niekoniecznie. Jedynie zimą ciepłe powietrze, wydostające się z szybu, mogłoby powodować tworzenie się szronu na okolicznych drzewach. Ale Niemcy doskonale zdawali sobie z tego sprawę. Istniało wiele sposobów, żeby tego uniknąć. Szyby maskowano, stawiając na nich nawet budynki lub bunkry.

– Każdy taki obiekt w Górach Sowich został już z pewnością tysiąc razy obejrzany i opukany. Nie wierzę, żeby jakiś bunkier przetrwał nie odkryty.

– Może to ruina, nie wzbudzająca zainteresowania? Ale przyznaję, że szansa nie jest duża. Tym niemniej, ten człowiek coś przecież widział.

– Nie byłbym pewien, czy nie chodziło wyłącznie o widzenie oczyma wyobraźni – Graczyk westchnął. – Ale tonący brzytwy się chwyta. Nie mamy nic do stracenia – uniósł telefon. – Słuchajcie, Rudzki, chciałbym, żeby stary pokazał nam to miejsce. Powiedzcie mu o tym i trzymajcie go na komisariacie, dopóki nie przyjadę. Jasne?

Szansa na to, że stary naprowadzi ich na jakiś trop była nikła. Graczyk, choć nadrabiał miną, lepiej to rozumiał od Janiszewskiego, który tamtego nie znał, a najwyraźniej zapalił się do całej sprawy.

– To nie może być przypadek, że funkcjonowanie szybu wentylacyjnego można obrazowo opisać tak, jak zrobił to ten człowiek – entuzjazmował się. – Byłby to zbyt wielki zbieg okoliczności. Wiadomo przecież, że w tych górach znajdują się podziemia, a więc i

systemy wentylacyjne, co prawda w większości niedrożne lub nieukończone. Ten człowiek najwyraźniej wie, gdzie jest szyb, który nadal działa.

– To tylko pański domysł – próbował go mitygować Graczyk. – Dopasował pan po prostu pewien fragment swojej wiedzy do bredzenia starego pomyleńca.

– Chciałbym przypomnieć, że to pan jako pierwszy zasugerował się jego bredzeniem i to jeszcze bardziej nieprawdopodobnym – o Werwolfie.

– Fakt – zgodził się Graczyk. – Wygląda na to, że my też jesteśmy pomyleni.

– To żadne odkrycie. Ktoś już kiedyś powiedział, że wszyscy ludzie to wariaci, tylko niektórzy jeszcze nie zostali zdiagnozowani.

Dudziak dźwigał na karku już dziewiąty krzyżyk, lecz na swój wiek był nadzwyczaj krzepki i energiczny. Trudno było jednak nawiązać z nim kontakt. I to podwójnie: nie zawsze rozumiał, co się do niego mówi i rzadko dało się zrozumieć, co mówił on sam. Poza tym, jak wielu upośledzonych umysłowo, nie potrafił samodzielnie zadbać o higienę osobistą. Jazda z nim w samochodzie, w upale, nie należała więc do przyjemności.

Janiszewski, po kilku próbach wyciągnięcia od starego informacji na temat oddychającej góry, dał za wygraną. Graczyk nawet się nie trudził; doskonale wiedział, że to strata czasu. Jedyne, na co mogli liczyć, to nadzieja, że Dudziak zaprowadzi ich na miejsce, a oni sami coś tam znajdą.

Do komisariatu w Głuszycy dotarli w niespełna pół godziny. Wyciągnęli z aresztu starego i przy jego całkowitej bierności zapakowali go do hondy. Stary, po ulokowaniu się w aucie, całkowicie się wyłączył, podziwiając widoki za oknem. Graczykowi przyszło do głowy, że taki spokój ducha nigdy nie mógłby być udziałem ludzi uchodzących za normalnych.

Janiszewski wydawał się bardzo podekscytowany myślą o możliwości znalezienia szybu wentylacyjnego. Graczyk nie był pewien, czy tamten zdaje sobie sprawę, że tak czy inaczej uratowanie drugiego chłopaka jest bardzo mało prawdopodobne. A może nie chodziło o to, lecz o chęć dokonania odkrycia? Lecz kim był on sam, żeby innym zarzucać egoizm? Nawet co do swoich motywów miał wątpliwości. Być może również i on kierował się wyłącznie uporem i ambicją, skoro nie wierzył w powodzenie poszukiwań.

– Dziwne, że nasz pasażer przez tyle lat nikomu nie zdradził położenia szybu – odezwał się Janiszewski. – Niektórzy wiele by dali za taką informację.

– To akurat mnie nie dziwi – odrzekł Graczyk. – Dudziaka znają tu wszyscy jako wioskowego głupka, którego się nie słucha, bo pewnie i tak zmyśla. Zresztą, mało kto jest w stanie go zrozumieć. Nawet gdyby chciał, trudno byłoby mu zainteresować kogoś swoją opowieścią. Nikt, kto poważnie podchodzi do poszukiwań, nie opierałby się na zdaniu kogoś takiego.

– A zatem my nie jesteśmy poważni?

– Raczej zdesperowani.

Kiedy ponownie wjechali na starą niemiecką drogę, łączącą wszystkie kompleksy, i minęli rozgałęzienie w kierunku Sobonia, Graczyk zaczął zerkać w lusterko wsteczne, w oczekiwaniu na jakiś gest starego wskazujący, gdzie się zatrzymać. Droga wiodła wschodnim zboczem Moszny, lecz w przeciwieństwie do Sobonia nic nie wskazywało na istnienie jakichkolwiek obiektów, naziemnych czy podziemnych. Dopiero, gdy między drzewami dostrzegli niewielki kamieniołom, który wyglądał, jakby jakiś gigant nadgryzł fragment stoku, Dudziak zaskrzeczał i zamachał ręką. Graczyk nacisnął hamulec.

Janiszewski wyglądał na skonsternowanego.

– Tu nic nie ma – mruknął. – To najbardziej znana część Moszny. Znajduje się tu trochę pozostałości po budowie, między innymi ślady nasypu kolejki wąskotorowej, ale poza tym nie ma nic. Żadnych wejść do sztolni. Sądziłem, że zostaniemy zaprowadzeni na jakieś inne miejsce.

Obrócili się na trzask drzwiczek. Stary wysiadł z samochodu i ruszył pod górę, nieco w bok od kamieniołomu. Pospieszyli za nim. Wspinali się leśnymi ścieżkami dobre pół godziny. Graczyk bardzo szybko stracił orientację; miał wrażenie, że Janiszewski, pomimo nadrabiania miną, również nie bardzo wiedział, gdzie jest. Dudziak radził sobie całkiem nieźle. Parł naprzód niczym rodowity góral. Nie zwolnił nawet wówczas, gdy zeszli ze ścieżki i zagłębili się w las.

W pewnym momencie zatrzymał się; tak raptownie, że Graczyk i Janiszewski omal na niego nie wpadli. Miejsce wydawało się najzupełniej przypadkowe. W gęstym poszyciu niczego nie było widać. Nie sposób było ocenić, jak blisko szczytu się znajdują.

– No i co? – Janiszewski rozejrzał się bezradnie.

Graczyk podzielał jego rozczarowanie. Niczego tu nie było.

– Ua ycha – odezwał się Dudziak wyciągając rękę.

I wtedy to zobaczyli.

Choć na dnie lasu było całkowicie bezwietrznie, w odległości kilku metrów od nich liście paproci chwiały się lekko, jakby dopiero co musnęło je jakieś przemykające się tędy zwierzę. Podeszli bliżej. Paprocie gęsto porastały duży, płtyki dół, podobny do pozostałych po ostatniej wojnie lejów szpecących wiele polskich lasów. Graczyk przez chwilę zastanawiał się, co mu w tym widoku się nie zgadza, zanim pojął, że niektóre z paproci raczej leżą, niż rosną. Spod ziemi wystawały ich korzenie.

– Ziemia się zapadła – powiedział Janiszewski. – Zapewne po niedawnych ulewach. Coś musi być pod spodem.

Zsunął się do dołu. Jego dno wypełniały mniejsze i większe okruchy skalne, ledwie widoczne spod warstwy gleby. Janiszewski przykucnął i wyciągnął dłoń.

– Czuję ruch powietrza. To dość luźne rumowisko. Jeśli mamy tu szyb wentylacyjny, to wygląda jakby był częściowo drożny. A niech mnie licho... – westchnął spojrzawszy na kamień, który przed chwilą podniósł. – Beton.

– Ua ycha! – z satysfakcją powtórzył stary.

Góra oddychała, lecz Graczykowi zabrakło oddechu już po kilkunastu minutach intensywnego wysiłku. Postanowili wybrać z dołu rumosz skalny przemieszany z odłamkami betonu. Janiszewski był pewien, że nie może go być zbyt wiele; inaczej szyb byłby całkowicie zakorkowany, a ziemia nie zapadłaby się i nie utworzyła leja. Graczyk miał nadzieję, że tamten się nie myli, choć szyby wentylacyjne mogły mieć nawet kilkadziesiąt metrów długości; zależało to od tego, na jakiej głębokości leżały podziemia.

Janiszewski miał w plecaku saperkę, lecz najłatwiej wybierało się kamienie gołymi rękoma. Wyglądało na to, że wylot szybu został pod koniec wojny wysadzony w powietrze; kawałki betonu pochodziły najprawdopodobniej z obudowy szybu lub z konstrukcji osłaniającej jego wylot. Tak czy inaczej istniała szansa, że szyb został całkowicie lub przynajmniej w dużym stopniu wykończony. A to dawało nadzieję, że wentylował równie zaawansowane pod względem budowlanym podziemia.

Dudziak kręcił się wokół dołu, ale im nie pomagał; Graczykowi zresztą nawet nie przyszło do głowy, by go o to poprosić. Pracę utrudniał fakt, że musieli wybierać kamienie ostrożnie, gdyż ziemia nadal się osuwała. Wkrótce okazało się, że szyb jest okrągły, wybetonowany i ma średnicę około dwóch metrów. Wypełniał go gruz zmieszany z glebą.

– To duży szyb – ucieszył się Janiszewski. – Istnieją wprawdzie większe, na przykład ten na Osówce, ale są nie wykończone; to po prostu dziury w zboczu. Mamy szczęście.

– Mielibyśmy – sprostował Graczyk – gdyby nie był zasypany.

– Nie może być całkowicie zasypany, bo wtedy można byłoby po nim swobodnie chodzić, jak po trawniku przed zamkiem Książ. Wiedział pan, że tam też jest wielki szyb, tyle że komunikacyjny?

– Poważnie? – zdziwił się Graczyk. – O podziemiach Książa wiem, ale nic nie słyszałem o szybie.

– Jest tam szyb, a jakże. Szeroki na pięć metrów; prowadzi do podziemi. Miała w nim prawdopodobnie kursować ogromna winda do transportu samochodów. Został zasypany już po wojnie, przez Polaków. W każdym razie to, co mamy tutaj, przypomina raczej dość luźne osypisko. Przypuszczam, że jakaś część szybu jest nadal drożna i jego wypełnienie ciągle się osuwa gdzieś w głąb. Warto się temu bliżej przyjrzeć.

To, co wkrótce nastąpiło, zaskoczyło ich obu. Po wybraniu kamieni na głębokość około metra, w ścianie szybu pokazała się górna krawędź dużego, okrągłego otworu. Janiszewski wydawał się skonsternowany, polecił jednak, by skupili wysiłki na odsłonięciu tajemniczego otworu. Przyszło im to bez trudu, jako że część kamieni wpadała doń i nikła w ciemności. Słyszeli tylko jak toczą się w dół, a potem, po dłuższej chwili, dobiegał ich stukot uderzenia.

– Pusta przestrzeń! – stwierdził Janiszewski. – Więc jednak.

Otwór okazał się wlotem bocznej odnogi szybu. Jej średnica wynosiła około półtora metra. Kiedy Janiszewski poświecił latarką, ujrzeli, że jest to rodzaj krótkiego tunelu, nie dłuższego niż cztery metry i dość łagodnie opadającego. Nachylenie było na tyle niewielkie, że część odłamków skalnych zbiła się w ciasną bryłę przy wylocie, blokując dalsze osuwanie się rumoszu. Tunel kończył się podobnym otworem, jak ten, przy którym się pochylali, a dalej była już tylko ciemność.

Janiszewski aż gwizdnął z podziwu.

– To tam jest główny szyb wentylacyjny. Od niego biegnie ten łącznik do krótkiego szybiku, a dopiero ten wychodzi na powierzchnię. Taki sam układ, jak w podziemnej fabryce „Dora”, w Górach Harzu.

– Sądziłem, że szyby wentylacyjne to po prostu pionowe otwory w ziemi.

– Większość tak. Ale niektóre budowano w taki sposób, by odsunąć wylot od właściwego szybu. Chodziło o to, by w razie zbombardowania szybu widocznego na powierzchni, nie ucierpiał ten właściwy, prowadzący prosto do podziemnych hal produkcyjnych.

– Sądzi pan, że tu jest tak samo?

– Na to wygląda. Dzięki takiej konstrukcji po wysadzeniu wylotu zagruzowaniu uległ tylko płytki szyb początkowy. Dla nas to szczęśliwy traf. Droga na skróty do Centrum.

Graczyk wyprostował się.

– Mamy co pokazać Turskiemu, więc sądzę, że uda nam się na jutro skompletować ekipę.

Janiszewski podniósł się również.

– Mielibyśmy to tak zostawić, żeby ktoś inny dotarł do miejsca, którego wszyscy szukają od siedemdziesięciu lat? Nie ma mowy. Najpierw sam rzucę na to okiem. Mam przy sobie wszystko, czego potrzeba.

– Co pan ma? Linę? Sprzęt wspinaczkowy? Myśli pan, że to wystarczy?

– Tak właśnie myślę – Janiszewski wy dostał się z dołu i ruszył w kierunku plecaka. – Jeśli chce pan wiedzieć, moje zainteresowanie podziemiami nie wzięło się znikąd. Jestem doświadczonym speleologiem.

– Więc tylko o to panu chodzi? – zawołał za nim Graczyk. – O dotarcie do Centrum? A co z pańskim kolegą? Zapomniał pan o nim?

Janiszewski zatrzymał się.

– Pamiętam o Marcinie – warknął. – Ale na pewno nie pomożemy mu pozostawiając decyzję w rękach inspektora Turskiego.

– Nie pomożemy mu także, jeśli wejdziemy gdzieś, skąd nie będziemy mogli wyjść.

– Wejdziemy? – Janiszewski uśmiechnął się. – Czyżby zamierzał pan iść ze mną?

– A mam jakiś wybór? Jeśli puszczę pana samego, mogę od razu oddać odznakę.

Telefon komórkowy nie działał; znajdowali się poza zasięgiem najbliższego przekaźnika. Graczyk polecił więc Dudziakowi poczekać na nich przy samochodzie. Stary posłusznie odszedł, oglądając się z ciekawością, jak przygotowują się do zejścia. Graczyk miał wątpliwości, czy tamten go posłucha. Nie niepokoił się jednak; stary znał te góry, jak własną kieszeń, więc najwyżej wróci do domu. Albo znów wejdzie do czyjegoś garażu.

Janiszewski dysponował pięćdziesięcioma metrami liny i uprzężą wspinaczkową. Problem polegał na tym, że Graczyk nie potrafił się nią posługiwać. Dlatego teraz, na skraju leja, musiał przejść przyspieszony kurs. W teorii okazało się to dość proste; z praktyką mogło być jednak gorzej.

– Będzie dobrze – pocieszył go Janiszewski. – Niech pan się nie spieszy i nie szarżuje.

– Szarżuje? Wisząc na linie nad dziurą w ziemi? Chyba pan sobie żarty stroi.

Janiszewski powstrzymał śmiech.

– Uda się. Niech mi pan wierzy.

Graczyk chciał odpowiedzieć, ale ugryzł się w język. Jako policjant ciągle słyszał prośby o danie wiary. Najczęściej z ust osób, którym nie uwierzyłby za żadne skarby.

Ponieważ uprzęż była tylko jedna, Janiszewski postanowił schodzić jako pierwszy. Dopiero po znalezieniu się na dole miał przywiązać uprzęż do końca liny i dać znać Graczykowi, żeby ją wciągnął, założył i podążył w jego ślady. Zdaniem komisarza, to wszystko było zbyt skomplikowane. W dodatku, jeśli obaj zejda, pozostaną bez jakiegokolwiek wsparcia, bo na Dudziaka nie można było liczyć. Nie znajdzie ich pies z kulawą nogą. Nie mógł jednak puścić Janiszewskiego samego. Razem mieli większe szanse.

Janiszewski wsunął się stopami naprzód do tunelu. Kilka bryłek gruzu potoczyło się w dół z donośnym stukotem. Graczyk dotknął naprężonej liny, przywiązanej do najbliższego drzewa, dopiero teraz zauważając z niepokojem, jaka jest cienka. Janiszewski wolno zaczął przesuwac się w głąb. Nachylenie łącznika było tak niewielkie, że nie wystarczyło samo popuszczanie liny. Musiał niemal czołgać się tyłem. Wreszcie znalazł się przy drugim otworze. Rozejrzał się, omiatając lampą otoczenie.

– Główny szyb ma jakieś pięć metrów średnicy – odezwał się. – Jest całkowicie wykończony i w idealnym stanie. Nie mogę oszacować głębokości, bo światło jest za słabe. Trudno, niedługo się okaże.

– A jeśli będzie zbyt głęboki? – zaniepokoił się Graczyk.

Janiszewski przewiesił nogi przez krawędź otworu i spojrzał na niego.

– Wtedy wróć; nie ma problemu.

13

Gdy Janiszewski zniknął w czeluści szybu, Graczyk z napięciem wpatrzył się w linę. Już wcześniej zauważył, że była zaskakująco cienka. Nie pasowała do jego wyobrażeń o wspinaczce.

Zbliżał się wieczór. Cienie drzew wydłużały się, a wśród poszycia robiło się coraz mroczniej. Wprawdzie pod ziemią i tak będzie im obojętne, czy na powierzchni jest dzień, czy noc, lecz Graczyk z niechęcią myślał o zapadnięciu ciemności.

– Słyszysz mnie pan, komisarzu? – głos Janiszewskiego zadudnił o betonowe ściany.

– Słyszę! – odkrzyknął.

– Zszedłem jakieś dwadzieścia metrów i widzę już dno szybu! Ale nie widzę żadnego korytarza!

Graczyk poczuł, jak nadzieja pryska.

– Zaraz – odezwał się ponownie Janiszewski. – Coś tu jest!

Graczyk wstrzymał oddech. Z szybu dobiegł go jakiś stukot, szmer; lina zwiotczała. Zapadła cisza. Po minucie czekania ogarnął go niepokój.

– Wszystko w porządku?! – zawołał w wilgotną ciemność.

Najpierw usłyszał stłumione przekleństwo, a potem nadeszła odpowiedź.

– Jestem na dnie szybu! Sprawa się skomplikowała. Szyb kończy się ślepo, ale skosem w dół odchodzi odnoga; podobna do górnego łącznika. Prawdopodobnie to ona dopiero doprowadzi nas do korytarza. Ciekawa konstrukcja. W Górach Sowich jeszcze nigdy nie takiego nie znaleziono.

Graczyk westchnął.

– To fascynujące, ale jak długa jest ta odnoga?

– Trudno powiedzieć. Nie widzę końca, a światło latarki sięga na jakieś piętnaście metrów.

– Może nie wystarczy liny.

– Wtedy zawrócę. Łatwo będzie się wspinać, bo odnoga ma nachylenie jakichś czterdziestu stopni. Jeśli dotrę do korytarza, to pociągnę trzykrotnie za linę, bo mojego głosu może pan nie usłyszeć. Wtedy wciągnie pan linę, założy uprząż i opuści się za mną.

– Zrozumiałem.

– W takim razie ruszam.

Znów zapadła cisza. Jedyne ponowne naprężenie się liny świadczyło o tym, że Janiszewski podjął zejście w głąb góry. Graczykowi nie pozostało nic innego, jak czekać. A w tym nie był dobry. Nie grzeszył cierpliwością i nie lubił siedzieć beczynnie. Na komisariacie mawiano, że krzesło służy mu wyłącznie do wieszania marynarki.

Poczuł chłód. Spociwszy się w czasie wspinaczki i odkopywania szybu, szybko ochłonął i teraz zrobiło mu się prawie zimno. W innych okolicznościach byłoby to miłe uczucie, po tak upalnym dniu, jednak czekała go jeszcze wycieczka pod ziemię, a tam temperatura nigdy nie przekraczała kilku stopni. Kuczał więc przy wylocie szybu omal się nie trzęsąc i czekał na umówiony sygnał. Wreszcie jednak nie wytrzymał i założył kurtkę, która dotąd leżała na trawie. Jak długo mogło to potrwać? Nie wiedział; jego doświadczenie w tym względzie było równe zeru. A co, jeśli Janiszewski gdzieś utknie? Jeśli nie będzie w stanie

wrócić? Czy powinien próbować go wciągnąć, czy raczej zejść po niego? Czy lina wytrzymałaby podwójne obciążenie? O tym wszystkim nie miał zielonego pojęcia. A powinien mieć; od tego mogło zależeć ludzkie życie.

Czas mijał i nic się nie działo. Graczyk nie wypuszczał liny z dłoni. Czuł jej drobne ruchy, lecz wciąż żadnego szarpnięcia. Opadły go wątpliwości. Jeśli coś się stanie, winą obarczą tylko jego. To on zaprzęgał do pomocy Dudziaka; gdyby nie to, Janiszewski zrezygnowałby z dalszych poszukiwań po odnalezieniu zasypanego wejścia do sztolni numer cztery Sobonia. W tej chwili siedzieliby już w domu i układał w szafie swój sprzęt.

Rozejrzał się po mroczniejącym lesie. Gdyby teraz wyruszył, być może zdążyłby przed zapadnięciem całkowitej ciemności zejść z góry i dotrzeć do miejsca, gdzie zadziałałby telefon. Wezwałby swoich ludzi i razem wydostaliby Janiszewskiego. Wkrótce będzie już za późno, a coraz bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że sam sobie nie poradzi. I wtedy lina skoczyła mu w ręce; raz, drugi, trzeci. Odetchnął z ulgą. Niemal natychmiast zaczął ciągnąć.

Dopiero zawisnąwszy nad dwudziestometrową przepaścią szybu w pełni pojął, czym jest ryzyko. Żołądek podszedł mu do gardła. I pomyśleć, że niektórych to podnieca. Wokół było zupełnie ciemno. Żeby poświecić latarką, musiałby puścić linę, a przez dłuższą chwilę bał się to zrobić. Kiedy w końcu się odważył, zobaczył otaczającą go zewsząd betonową ścianę, szarą i spękaną, poprzerastaną gdzieniegdzie korzeniami roślin. Szyb porażał ogromem – miał kolisty przekrój, a jego średnica dochodziła do pięciu metrów. Graczyk odniósł wrażenie, jakby znalazł się wewnątrz wielkiego komina. Oby tylko komuś nie przyszło do głowy rozpaść w piecu.

Zaczął opuszczać się, zgodnie ze wskazówkami Janiszewskiego. Lecz brak wprawy wkrótce dał znać o sobie. Niechcący rozhuśtał linę i musiał się zatrzymać, słuchając z niepokojem, jak trze o krawędź szybu. Miał nadzieję, że wytrzyma. Dlaczego nie przytrafiło się to jego poprzednikowi? Ruszył dalej. Dwadzieścia metrów to niewiele, kiedy idzie się po ziemi. Ale w pionie oznacza to mniej więcej wysokość siedmiopiętrowej kamienicy. Znow się spocił; bardziej z emocji niż z wysiłku, jako że uprząż wydatnie ułatwiała schodzenie. Musiał schodzić niemal po ciemku – bo latarka zatknęta za pasek, choć włączona, niewiele oświetlała – a także uważać, by staczające się od czasu do czasu z górnego łącznika okruchy skały i betonu nie spadły mu na głowę.

Wreszcie dostrzegł dno szybu. Było pokryte kamieniami i wilgotnym szlamem. Najwyraźniej po każdym deszczu spływała tu woda, niosąc ziemię i gruz. Mniej więcej metr nad dnem szybu w ścianie widniał otwór o średnicy jakichś dwóch metrów. Odchodził stamtąd szyb zstępujący o sporym nachyleniu; z pewnością ten, który miał ich doprowadzić do podziemi. Jak Graczykowi wyjaśnił Janiszewski, tak skomplikowana budowa szybu wentylacyjnego służyła nie tylko ochronie przed bombardowaniem, ale także zabezpieczała korytarze przed wodą deszczową, która w prostym, pionowym szybie po prostu ściekałaby na sam dół. Tutaj woda – a w każdym razie jej większość – zatrzymywała się na dnie głównego szybu; właśnie dzięki temu, że wylot szybu zstępującego znajdował się ponad dnem.

Graczyka nie zaprzętało jednak inżynierskie piękno konstrukcji. Musiał wrzucić ubłoconą linę do wąskiego szybu i samemu tam się wcisnąć. Balansując nad dnem – obawiał się bowiem, że postawienie tam stopy może oznaczać zapadnięcie się w błocie po kolana – tym razem celowo się rozhuśtał i za którymś razem udało mu się uchwycić krawędź otworu. Przerzucił przez nią nogi i wsunął się do środka. Obrócił się na plecy, ni to nadal wisząc na linie, ni to leżąc na spadzistej posadzce szybu. Przypominało to pozycję, jaką przyjmują dzieci bawiąc się na zjeżdżalni. Teraz nie wystarczyło już samo opuszczanie się na linie. Żeby

zsuwać się w głąb musiał się odpychać. Okazało się to znacznie bardziej męczące niż zejście w głównym szybie. Zatrzymał się.

– Jest pan tam? – zawołał.

Głos dudnił i kłębił się wokół niego przez dobrą chwilę.

– ...em! – usłyszał. – ...an jest?

Domyślił się raczej niż zrozumiał odpowiedź.

– Jestem w pochyłym szybie! Jak daleko jeszcze?

– ...dziestu metrów!

– Ile?!

– ...dziestu!

No tak, wspaniale. Około dwudziestu metrów? Trzydziestu? Więcej nie mogło być, bo Janiszewskiemu nie wystarczyłoby liny.

Uwolnił jedną rękę i poświecił w głąb szybu. Niczego nie dostrzegł. A więc raczej nie mogło chodzić o pierwszą ewentualność. Pewnie trzydzieści metrów – niemal tyle, żeby dotrzeć do końca dosłownie na koniuszku liny.

Niewiele się pomylił. Szyb skończył się krótkim, pionowym odcinkiem w momencie, kiedy pozostały najwyżej cztery metry liny. Na dnie tego krótkiego odcinka – przypominającego rodzaj studzienki – stał Janiszewski. Pod jego nogami tkwiła kratka, zamykająca wylot szybu. Poniżej ziała ciemność.

Janiszewski pomógł mu uwolnić się od uprzęży.

– Widzi pan, udało się – powiedział. – Nie było chyba tak źle?

– Mam nadzieję, że wrócimy inną drogą – mruknął Graczyk.

Janiszewski roześmiał się cicho, a następnie przesunął dłoń nad kratką.

– Czuje pan ruch powietrza? Pod spodem jest korytarz. Dotarliśmy na miejsce.

– Czyli gdzie?

Janiszewski wzruszył ramionami.

– Nieznany kompleks we wnętrzu Moszny? To może być tylko Centrum.

– Jak się o tym przekonamy?

Janiszewski spojrzał na niego z dezaprobatą.

– A pan wciąż swoje. Czego trzeba, żeby pan uwierzył?

– Najlepiej tablicy z napisem Centrum. Może być po niemiecku.

– Tego nie mogę panu zagwarantować. Nie mamy też kogo zapytać, więc pozostaje nam poszukać miejsca, w którym zbiegają się korytarze wszystkich kompleksów. To właśnie będzie Centrum.

Graczyk nie wyglądał na przekonanego, zdawał sobie jednak sprawę, że za późno na sceptycyzm. Tkwili w tym po uszy i powinni zrobić wszystko, żeby nikt nie musiał ich za nie wyciągać. Zresztą, i tak nie miał kto.

– Jak tam wejdziemy? – wskazał na kratkę.

– Jest wmurowana w beton, ale już go trochę ukruszyłem saperką. Jeszcze kilka minut i będziemy mogli ją wyjąć.

Z kilku minut zrobiło się pół godziny. Dopiero wówczas udało im się unieść kratkę. Janiszewski uklęknął i omiół światłem latarki przestrzeń pod nimi. Rzeczywiście dotarli do korytarza. Nie był to ledwie wydłubany w skale tunel, pełen gruzu, wody i śmieci, jakie Graczyk widział w kompleksach Soboń czy Włodarz, lecz najprawdziwszy korytarz – z gładką posadzką, otynkowanymi ścianami i sufitem, na którym w regularnych odstępach rozmieszczone były lampy. Nie świeciły wprawdzie, lecz i tak całość przypominała bardziej wnętrze jakiegoś biurowca, niż to, co zwykle pokazywano turystom w Górach Sowich.

Janiszewski obrócił ku niemu uśmiechniętą twarz.

– Teraz pan wierzy?

– Przyznaję, że jestem pod wrażeniem.

– To dopiero początek. Na pewno znajdziemy znacznie ciekawsze rzeczy.

Od posadzki dzieliło ich dwa i pół metra. Janiszewski zrzucił plecak, a następnie jako pierwszy precyzyjnie się przed otwór, zawisł na rękach i skoczył. Graczyk poszedł w jego ślady. Przez chwilę stali rozglądając się. Graczykowi trudno było uwierzyć, że znajdują się głęboko w skale pod górskim zboczem. Janiszewski odbierał to inaczej – ekscytował go przede wszystkim fakt, że dotarli tu jako pierwsi.

Korytarz był długi. Jak długi – nie sposób było oszacować w słabym świetle latarek. Mogli to sprawdzić jedynie idąc nim. Lecz w którą stronę? Janiszewski wyciągnął kompas. Szyb wentylacyjny, którym zeszli do podziemi, znajdował się na północno-wschodnim stoku Moszny. Logiczne wydawało się zatem założenie, że jeśli pójdą korytarzem w tę stronę, będą się zbliżać do powierzchni, aż dotrą do sztolni wyjściowej. Nie miało to wielkiego sensu – skoro przez siedemdziesiąt lat nie odnaleziono wejścia, musiało być zasypane i to zapewne bardzo solidnie. Znacznie więcej nadziei rokował przeciwny kierunek, ku południowemu zachodowi. Gdzieś tam właśnie, w sercu masywu górskiego, powinny się zbiegać podziemne szlaki Gór Sowich.

– Proponuję używać tylko jednej latarki – rzekł Janiszewski. – Mam wprawdzie zapasowe baterie, ale lepiej nie kusić losu.

– Przy całym tym wyposażeniu zapomnieliśmy o jednym – zauważył Graczyk. – Przydałaby się nam nić Ariadny.

Janiszewski roześmiał się.

– Przecież sam pan wyraził nadzieję, że nie będziemy musieli tędy wracać.

– Owszem, ale lepsze to, niż nie wrócić w ogóle.

– No cóż, Ariadny panu nie zapewnię. Jednak jej nić godnie zastąpią kompas i kartka papieru.

– Mimo wszystko byłbym spokojniejszy, gdyby się okazało, że to nie jest duży kompleks.

– Chyba jednak jest, biorąc pod uwagę wielkość, złożoność konstrukcji i jakość wykonania szybu wentylacyjnego. Nie jedyne zapewne.

– Oby pan się mylił.

– Oby nie, bo to by oznaczało, że jednak nie jesteśmy w Centrum.

Janiszewski, podniecony odkryciem, z wyraźnym zainteresowaniem oglądał korytarz. Światło jego latarki było w ciągłym ruchu, omiatając posadzkę, ściany i sufit. Graczyk, pełen wątpliwości, cieszył się tylko, że jest sucho i że nie ma tu wszechobecnego błota. Nawet chłód był mniej uciążliwy niż wilgotny ziąb panujący w podziemiach, które poznał wcześniej. Z jednej strony odczuwał ulgę, że wreszcie natrafili na jakiś konkretny ślad; z drugiej – męczyła go świadomość, że wchodząc tu bez wsparcia nie tylko ryzykują własne życie, lecz mogą też zaprzepaścić szansę uratowania zaginionego chłopaka. A jednak nie żałował swojej decyzji. W gruncie rzeczy był na to z góry przygotowany.

Obu ich zaskoczył stopień wykończenia korytarza. Choć był zakurzony, zimny, a tynk w wielu miejscach uległ przebarwieniu, i tak niczego podobnego nigdzie nie znaleziono. Z jednym wyjątkiem.

– Przypomina to podziemia Książa – ocenił Janiszewski. – Tam również korytarze były tak dobrze zachowane, że można było utworzyć stację sejsmologiczną praktycznie bez konieczności dokonywania adaptacji.

– Naprawdę sądzi pan, że tamtejsze podziemia mogą być połączone z tymi tutaj podziemnym tunelem?

Janiszewski zawahał się.

– Zdaję sobie sprawę, że to prawie dwadzieścia kilometrów – rzekł. – Wymagałoby to bardzo szybkiego postępu robót, bowiem czasu nie było dużo – budowa „Riese” rozpoczęła się dopiero w 1943 roku. Z drugiej strony, dwadzieścia kilometrów to nic, w porównaniu z

najkrótszym nawet metrem, a przy budowie tunelu mieli podobno pracować specjaliści z metra berlińskiego. No i wreszcie – połączenie obu obiektów, tego w Książu i tego w Górach Sowich, wydaje się logiczne.

– No więc? – naciskał Graczyk. – Wierzy pan w to, czy nie?

– Powiem tak – wierzę, że był to jeden z najważniejszych elementów planu przekształcenia tego regionu w ostatni bastion Hitlera. Chciałbym wierzyć, że został zrealizowany.

– Nie nazwałbym tego bezkompromisowym wyznaniem wiary.

– A pan sądził, że należą do tych, dla których kręgi w zbożu to efekt działania kosmicznej energii i którzy twierdzą, że na Wawelu znajduje się czakram?

– Szczerze mówiąc, przemknęło mi to przez myśl.

Latarka wydobyła z mroku skrzyżowanie korytarzy. W lewo od korytarza, którym szli, odchodził inny, identycznej wielkości i również całkowicie wykończony. Kilkanaście metrów dalej majaczyło kolejne odgałęzienie, a jeszcze dalej mogli się domyślać następnych. Graczyk oszacował, że od szybu wentylacyjnego przeszli jakieś pięćdziesiąt metrów. Czuł, że w mroku znajduje się coś wielkiego; coś, przy czym przebyta przez nich odległość okaże się ledwie małym kroczkiem.

Janiszewski triumfował.

– Kto wie – zamachał latarką. – Może to wszystko prawda? Może na świecie dzieją się dziwniejsze rzeczy, niż nam się wydaje?

Co rusz z mroku wylaniało się kolejne skrzyżowanie. Janiszewski pieczołowicie zaznaczał je na szkicu. Spowalniało to marsz; Graczyk nie był też przekonany, czy w tych okolicznościach taka zapobiegliwość czemuś służyła. Janiszewski pozostał jednak nieugięty. Prawdopodobnie z kompasem w ręku czuł się pewniej, miał złudne poczucie panowania nad sytuacją; jak człowiek spadający w przepaść i liczący sekundy, by poznać jej głębokość.

– Szkoda, że nie ma prądu – Graczyk wskazał na rzędy lamp na sufitach mijanych korytarzy. – Kiedyś musiało być inaczej.

– Może miało być, ale nigdy nie było? Centrum budowano z myślą o przyszłości, lecz taka przyszłość, o jakiej marzyli hitlerowcy, nie nadeszła. Nie zdziwiłbym się, gdyby się okazało, że te lampy nigdy nie były zapalane.

Graczyk z wolna przychyłał się do opinii Janiszewskiego, że ten poziom kompleksu nigdy nie był używany. Na korytarzach nie rzucało się to w oczy. Lecz wszystkie pomieszczenia, do jakich zajrzeli, sprawiały wrażenie pustych od samego początku; zdawały się ciągle czekać na biurka i krzesła, a może także na stoły laboratoryjne i taborety.

Jakie było przeznaczenie obiektu? Czy można to określić na podstawie niemal jednakowych, całkowicie pustych pomieszczeń? I kto zdołałby to zrobić? Inżynierowie? Historycy? Archeolodzy? Graczyk nie wątpił, że gdyby o to zapytał, uzyskałby od Janiszewskiego gotową odpowiedź. Chwilowo nie miał jednak ochoty na wykład ze spiskowej teorii dziejów. Rzeczywistość i bez tego była wystarczająco niesamowita.

Widmowe zakamarki, chłód i mrok składały się na scenię, jak z katastroficznego filmu. Tak mogłoby wyglądać życie w postnuklearnym świecie. Jedna z hipotez zakładała zresztą, że w „Riese” Niemcy zamierzali budować bomby atomowe. Graczyk mocno w to wątpił, ale coś z atmosfery nieokreślonego zagrożenia pozostało zaklęte w tych murach.

Zdaniem Janiszewskiego, od szybu, którym dostali się do środka, oddzielało ich już w linii prostej jakieś półtora kilometra. Nikt nigdy nie wszedł tak głęboko w podziemia „Olbrzyma”. Nikt też nigdy wcześniej nie natrafił na to, przed czym stanęli w kilkanaście minut później.

Pomieszczenie, do którego zaprowadził ich jeden z korytarzy, było idealnie okrągłe i wielkie, jak nawa rotundy. Aż zaparło im dech z wrażenia. Lecz najbardziej niesamowita rzecz znajdowała się w samym środku. Był to ogromny szyb, o średnicy jakichś ośmiu

metrów, biegnący na przestrzał, w górę i w dół. Otaczały go cztery masywne dźwigary, niczym kolumny wtopione w posadzkę i sufit pomieszczenia.

– Szyb komunikacyjny – szepnął Janiszewski.

Nie bez obaw zbliżyli się do krawędzi, zabezpieczonej tylko częściowo stalową barierką. W głębokiej ciemności czeluść szybu wydawała się atramentowo czarna. Latarki nie były w stanie przebić się przez mrok.

– Jak to, komunikacyjny? – zdziwił się Graczyk.

– Miała tu kursować winda.

– Winda?!

– Chyba nie sądził pan, że komunikacja między piętrami miała odbywać się tylko małymi windami osobowymi lub po schodach?

– Jeśli to miała być winda, to chyba dla słońi.

– Albo dla samochodów.

Graczyk dotknął jednego z dźwigarów. Zapewne to po nich miały przesuwać się elementy systemu napędowego windy. W samym szybie, poniżej i powyżej pomieszczenia, dźwigary nie stały samodzielnie, lecz były połączone ze ścianami szybu grubymi wspornikami. Nawet nie próbował się zastanawiać, jakim naprężeniem musiał być poddawany metal, z którego je wykonano.

– Bez dwóch zdań, to Centrum – powiedział Janiszewski. – Jak panu mówiłem, zbiegają się tu korytarze wszystkich podziemnych kompleksów w Górach Sowich. Ponieważ kompleksy te leżą na różnych wysokościach, więc również do Centrum dochodzą na różnych poziomach. Policzmy: po jednym piętrze dla Sobonia, Osówki, Włodarza, Rzeczki, Jugowic Górnych i być może Głuszycy. To razem sześć. Prawdopodobnie samo Centrum liczy dwa poziomy; może trzy. Mielibyśmy zatem także piętra siedem, osiem i dziewięć. Znajdujemy się, jak widać, na najwyższym.

– Zapomniał pan o tunelu do Książa.

– Nie zapomniałem. Jeśli istnieje, to prawdopodobnie dochodzi do kompleksu Jugowice Górne, a dopiero stamtąd łączy się z Centrum.

Stalowe dźwigary pokryte były jasnoszarą farbą. Graczyk patrzył na nie z powątpiewaniem.

– O ile pamiętam, różnice poziomów między kompleksami są dość duże – zauważył. – Czy to możliwe, żeby wówczas budowano windy zdolne do pokonywania takiej wysokości?

– Jak najbardziej. Między najniższym położonym kompleksem Jugowice Górne, a najwyższym poziomem Centrum jest niespełna dwieście metrów różnicy. W tamtych czasach nie było to nic nadzwyczajnego. Na przykład, w kopalni soli w Bochni, dzięki maszynie elektrycznej Siemens z roku 1916, w ciągu dwóch minut winda zjeżdża ponad dwieście metrów w dół. Może przy tym zabrać dziesięć osób. W zbudowanym przed wojną Empire State Building windy pokonują w ciągu minuty ponad trzysta metrów.

Graczyk spróbował sobie uzmysłwić, jak to mogłoby wyglądać. Jego wyobraźnia jednak sromotnie zawiodła. Przytłaczała go skala przedsięwzięcia, o którym jeszcze niedawno sądził, że jest jedynie wymysłem paru nawiedzonych poszukiwaczy przygód. Kiedy skierował światło latarki w górę, zobaczył strop znajdujący się wysoko, jakieś sześć metrów ponad ich głowami. Wznosił się kopulasto ku środkowi sali, a jego środek znajdował się w centralnym miejscu nad szybem.

– Fantastyczne – szepnął Janiszewski. – Nikt nam nie uwierzy.

Kopulasty strop otaczały nisze, w których zapewne miały zostać zainstalowane silne lampy. Wszystko wokół wydawało się czekać na prace wykończeniowe. Zupełnie, jakby Niemcy opuścili to miejsce tylko na chwilę. Tak też zapewne w ich mniemaniu miało być. Dolny Śląsk aż do samego końca wojny pozostawał po niemieckiej stronie frontu. Wojska radzieckie stały już na progu Kancelarii Rzeszy w Berlinie, podczas gdy w Górach Sowich wciąż panowali Niemcy. Ani Hitlerowi, ani jego zausznikom z pewnością nie przyszło do głowy, że alianci mogą trwale oderwać te ziemie od Niemiec. Dlatego, jak podejrzewała większość badaczy tajemnic Gór Sowich, niszczenie przez wycofującą się armię niemiecką podziemi musiało mieć bardzo przemyślany charakter. Chodziło o to, by uniemożliwić ich penetrację przez Rosjan i Polaków, ale tak, aby kiedyś można było do nich wrócić.

A to oznaczało, że wszystko, co Graczyk i Janiszewski do tej pory widzieli, mogło być niczym w porównaniu z tym, co znajdowało się dalej.

– Czy może pan pokazać tę kartkę z rysunkiem Radka? – poprosił Janiszewski.

– Sądzi pan, że chłopcy dotarli aż tutaj?

Janiszewski położył kartkę obok swojego notatnika, w którym kreślił plany podziemi. Schemat z kartki okazał się podobny do mapki Janiszewskiego, a zwłaszcza do fragmentu obejmującego poblizsze szybu.

– Możliwe, że tu byli – odparł Janiszewski. – Musieliby tu dotrzeć inną drogą niż my, ale to może być to miejsce.

Ze szkicu Janiszewskiego zaczął się wyłaniać obraz całości. Szachownica korytarzy tworzyła nieco zwichrowany kwadrat o boku około dwustu metrów. Mniej więcej w środku, w punkcie przecięcia się przekątnych kwadratu, tkwił wielki szyb komunikacyjny. Natomiast w rozkładzie pomieszczeń nie dostrzegli żadnej regularności; widocznie liczyła się funkcjonalność, a nie zamiłowanie do symetrii. Na podstawie planu nie sposób było się domyślić, gdzie mogą znajdować się schody umożliwiające opuszczenie tego poziomu. To, że musiały gdzieś być, było raczej pewne. Ich zlokalizowanie wymagałoby jednak sprawdzenia wszystkich korytarzy, a na to nie mieli czasu.

– Cóż, w takim razie wracamy? – zapytał Graczyk.

– Wprost przeciwnie – Janiszewski uśmiechnął się.

Z tyłu każdego z dźwigarów znajdowały się drabinki inspekcyjne. Graczyk popatrzył na nie z przerażeniem.

– Pan chyba zwariował! To żelastwo ma siedemdziesiąt lat!

– Wygląda solidnie. A zejście w dół nie powinno być trudne. W razie czego zrobimy przerwę.

– Proponuje pan zejść na sam dół? Jednak pan zbzikował. Zresztą, mieliśmy, zdaje się, szukać pańskiego kolegi, a nie rozwiązywać zagadki.

– Nie odkryjemy tu nic, co wyjaśniałoby jego los. Jestem przekonany, że tylko zrozumiałwszy, co tu się dzieje, dowiemy się, co stało się z Marcinem.

– O ile pamiętam, jeszcze na powierzchni radził pan mieć się na baczności.

– I nadal radzę – spokojnie odparł Janiszewski. – Ale znam ludzi, którzy zawsze tak dobrze się pilnują, że jeszcze nigdy niczego nie znaleźli.

– Nie wiadomo, czy nie będziemy musieli wchodzić z powrotem – nie poddawał się Graczyk. – Stamtąd może nie być innego wyjścia.

– Możliwe, ale myślę, że warto zaryzykować – uciał Janiszewski. – Pójdę pierwszy.

Przed wykonaniem pierwszego kroku Janiszewski zawahał się jednak.

– Miał pan rację; tam, na stoku – spojrzał na Graczyka. – Tak bardzo chciałem zobaczyć Centrum, że odnalezienie Marcina potraktowałem jako pretekst.

– To jedna z tych spraw, kiedy liczy się tylko rezultat, a nie motywacja. Jeśli go znajdziemy, nic innego nie będzie miało znaczenia.

– Wierzy pan, że nam się uda?

– Po prostu robię swoje.

Janiszewski zaśmiał się cicho.

– Oto odpowiedź pragmatyka stojącego u wrót jednej z największych tajemnic historii.

– No proszę, a ja myślałem, że to tylko drabina.

Stalowe klamry trzymały mocno. Warstwa rdzy była powierzchowna. Mimo to Graczyk schodził niezwykle ostrożnie, za każdym razem próbując kolejnego szczebla. Słyszał pod sobą ciężki oddech Janiszewskiego. Zejście utrudniał fakt, że w jednej ręce musiał trzymać latarkę. Jej blask był jednak za słaby, by dostrzec cokolwiek w dole, tam, dokąd zmierzali. Minęli kilka pięter, przypominających w okolicy szybu to, z którego wyruszyli. Wreszcie Graczyk poddał się.

– Muszę odpocząć – zawołał.

Janiszewski spojrzał w górę.

– Dobrze. Zatrzymamy się na kolejnym poziomie.

Także i tutaj znaleźli się w dużym okrągłym pomieszczeniu, z którego wybiegały w różnych kierunkach korytarze. Graczyk usiadł z ulgą. Janiszewski zrobił to samo, choć po pewnej zwłoce, jakby chciał delikatnie dać do zrozumienia, że jemu przerwa nie jest potrzebna.

– Jaką wysokość pokonaliśmy? – spytał Graczyk.

– Cóż, nie wiem, gdzie jesteśmy. Ale sądzę, że mniej więcej w połowie szybu, więc...

– Dopiero w połowie?!

– Tak przypuszczam.

– Świetnie. Gdzie więc możemy być?

– Stawiałbym na Osówkę albo Włodarza. Ale to tylko przypuszczenie. Chociaż...

Skoro już tu jesteśmy, to może rozejrzemy się trochę? Jest szansa, że znajdziemy coś, dzięki czemu zidentyfikujemy ten poziom.

– Co możemy znaleźć? Jednak tabliczkę z napisem?

Janiszewski wstał.

– Dalej, komisarzu. Szkoda zmarnować taką okazję. Przecież na pewno nie będzie nam się chciało specjalnie tu wracać.

Graczyk westchnął.

– Ta ciekawość wyjdzie panu kiedyś bokiem.

Ponieważ nie dysponowali żadnymi przesłankami, co do rozkładu korytarzy, weszli na chybił trafił w pierwszy lepszy z nich. Lecz po jakichś trzydziestu krokach dostrzegli w świetle latarek ślepą ścianę. Zawrócili więc. Sąsiedni korytarz biegł prosto. Po kilkudziesięciu metrach odnieśli wrażenie, że ta część podziemi jest znacznie gorzej zachowana. Wilgoć pozostawiła na ścianach korytarza szare zacieki, których, w miarę jak postępowali naprzód, było coraz więcej. Czuli zresztą, że powietrze staje się wilgotniejsze. Wyglądało na to, że znaleźli się w znacznie gorzej wykonanej części Centrum. Korytarz kończył się niewielkim pomieszczeniem, z którego odchodziły dwa inne, na pierwszy rzut oka identyczne korytarze. W jednej ze ścian pomieszczenia tkwiły stalowe, mocno zardzewiałe drzwi. Z bliska

przekonali się, że nie były to zwykłe drzwi, lecz śluz powietrzna, która miała na celu hermetyczne oddzielenie pozostałej części kompleksu od tej, którą właśnie przebyli.

Drzwi były zamknięte, lecz niemal na wylot przeżarte rdzą. Z pewnością był to wynik większej wilgoci panującej w podziemiach. Janiszewski chwycił koło służące do otwierania śluzy i omal się nie przewrócił, kiedy pod wpływem szarpnięcia ułamało się i zostało mu w rękach. Wilgoć i upływ czasu zamieniły solidne zamki w kruche atrapy z rdzy. W plecaku miał krótki łom. Bez trudu zdołał wcisnąć go między drzwi a futrynę. Pchnęli razem i drzwi ze zgrzytem przesunęły się po podłodze. Śluz nie była zbyt wielka; w środku mogły się zmieścić najwyżej trzy, cztery osoby naraz. Drugie drzwi również były zamknięte, ale i z nimi sobie poradzili, wyłamując niemal całkowicie sztaby zamka.

Graczyk odczuwał pewien niesmak na myśl, że niszczą coś, czego jeszcze nigdy w „Olbrzymie” nie widziano. Ale tak postępowali wszyscy odkrywcy, począwszy od osławionego kalifa Al-Mamuna, który jako pierwszy włamał się do Wielkiej Piramidy, a skończywszy na Heinrichu Schliemannie.

– Ciekawe po co zbudowano tu śluzę powietrzną? – zastanowił się.

– Przypuszczam, że chodziło o odseparowanie ukończonej części kompleksu od tej, która łączyła się bezpośrednio z powierzchnią i w której jeszcze trwały prace – odparł Janiszewski. – A to oznacza...

– Że prawdopodobnie dotarliśmy do końca gotowej części podziemi – dokończył Graczyk. – Wątpię, żeby było po co iść dalej.

– A nie ciekawi pana, co jest za śluzą?

– A czy pan wie, dokąd prowadzi ciekawość?

– Gdybym wiedział – Janiszewski uśmiechnął się w świetle latarki – nie byłoby w tym nic ciekawego.

Pomieszczenie za śluzą nie było puste. Pod jedną ze ścian poniewierały się resztki jakichś pudełek czy opakowań. Janiszewski trącił latarką jedno z nich; rozpadło się niemal natychmiast. Na innym dojrzeli część ledwo widocznego napisu: „...sche Werkstätten GmbH...”.

– To chyba nazwa jakiejś firmy – ucieszył się Janiszewski. – Może dzięki temu udałoby się zidentyfikować przeznaczenie kompleksu.

Graczyk nie potrafił nic na ten temat powiedzieć.

– Proponuję skupić się na wyjściu stąd – odezwał się.

– Ależ z pana malkontent! – obruszył się Janiszewski. – Zawsze przecież możemy wrócić tą samą drogą, którą przyszliśmy. Do szybu windy.

– Obawiam się, że tak byłoby chyba najrozsądniej. Coraz bardziej oddalamy się od tego pańskiego Centrum. Chyba nie tędy droga.

– Istotnie, wydaje mi się, że zmierzamy w kierunku wylotu sztolni gdzieś na powierzchni.

– Problem tylko w tym, że wylot musi być zasypany i to solidnie, skoro nikt dotychczas nie odkrył tych korytarzy i tej śluzy.

– To prawda – niechętnie przyznał Janiszewski. – No dobrze, wracajmy do szybu.

Graczyk zdążył przejść kilka kroków, kiedy zatrzymał go głos Janiszewskiego.

– Chwileczkę! Niech pan zaczeka!

Komisarz zaklął pod nosem i odwrócił się.

– Co znowu?

Janiszewski stał nadal w tym samym miejscu, z zainteresowaniem oglądając sufit i ściany korytarza.

– To ciekawe – mruknął.

Graczyk zawrócił i stanął obok niego.

– O co chodzi?

Janiszewski powiódł latarką w poprzek korytarza, a następnie po ścianie i stropie. Graczyk ujrzał rząd niewielkich ciemnych otworów, w których coś tkwiło.

– Ładunki donaritu – wyjaśnił Janiszewski.

– Czego?

– Donaritu. Materiału wybuchowego, którego Niemcy używali do drażenia podziemi. Donarit produkowano w fabryce amunicji w dawnej kopalni węgla „Wenzeslaus” w pobliskich Ludwikowicach Kłodzkich.

– Czy to nie o tej kopalni mówił pan, że jej korytarze mogą być połączone z tymi w Górach Sowich?

– Właśnie o tej.

Graczyk wskazał na ładunki.

– Co to oznacza? Czy Niemcy chcieli tu drażyć kolejny tunel?

Janiszewski pokręcił głową.

– Ładunki w przodku zakładano inaczej. Rozmieszczenie tych tutaj wskazuje, że chcieli spowodować zasypanie korytarza. Z jakiegoś powodu te ładunki nie wybuchły. Natomiast, jak pan widzi, niewielka część korytarza zawaliła się jednak, więc do wybuchu części ładunków doszło, tyle tylko, że był za słaby, by spowodować naprawdę duży zawał.

– Zawał? Po co?

– Zapewne po to, by uniemożliwić dostęp do podziemi. Takich zawałów pełno jest we wszystkich kompleksach.

– Ale przecież wejście od strony powierzchni na pewno jest zasypane, więc po co mieliby powodować drugi zawał w tej samej sztolni?

– Takie sytuacje też się zdarzały w innych kompleksach. Im więcej zawałów, tym trudniej przez nie się przebić.

– No dobrze – Graczyk zniecierpliwił się. – To ciekawe, ale powinniśmy już iść.

– Jeszcze chwilę – Janiszewski skierował światło latarki w głąb korytarza. – Mam wrażenie, że jest tam jakieś duże pomieszczenie. Warto byłoby na nie zerknąć.

Graczyk z irytacją popatrzył we wskazanym kierunku. Snop światła latarki nikł w odległości kilku metrów od miejsca, w którym stali. Zupełnie, jakby wsiąkał w ciemność. Graczyk musiał przyznać, że Janiszewski mógł mieć rację.

– Niech będzie – zgodził się. – Ale tylko zajrzemy i wracamy. Obiecuję pan?

– Uroczyście.

Dziwna była myśl, że nikt tędy nie szedł od tylu lat. Na każdym kroku mogło czekać na nich coś niespodziewanego. O przeznaczeniu podziemnych kompleksów „Olbrzyma” krążyły mity; z upływem dziesięcioleci coraz mroczniejsze. Która z legend okaże się prawdziwa?

– Chce pan iść pierwszy? – Janiszewski wykonał zapraszający gest.

– Odstąpię panu tę wątpliwą przyjemność – warknął Graczyk.

Janiszewski roześmiał się. Kilka metrów pokonali w milczeniu. Stanąwszy na progu ogromnego pomieszczenia poświecili do wnętrza. To, co ujrzeli, było potworne.

Tuż za progiem korytarz zmieniał się w obszerną halę. Jej wysokość ocenili na jedenaście do dwunastu metrów, a szerokość na dziesięć. Tak duże pomieszczenia znano dotychczas tylko z niewielu podziemnych kompleksów Gór Sowich. Środkiem biegło torowisko. Halę aż po granice zasięgu światła ich latarek zaścielały szkielety. Kości były zbutwiałe i pokryte pleśnią.

Graczyk pierwszy przewyciężył wstręt. Ostrożnie wszedł do hali, którą pewnie należałoby nazwać kryptą, gdyby nie była tak wielka. Kości leżały wszędzie; gdzieniegdzie przemieszane ze sobą, jakby ofiary kotłowały się tam w ostatnich sekundach życia. Graczyk zdrzął na myśl o tym, co musiało się tu dziać siedemdziesiąt lat temu. Bo to, że chodziło o zwłoki więźniów, było oczywiste. Historycy i badacze tajemnic „Olbrzyna” już od dawna nie mogli się doliczyć ponad dwudziestu tysięcy więźniów, którzy pracowali w sztolniach, a następnie zniknęli tak dokładnie, że zaginął po nich wszelki ślad. Niektóre szkielety miały na sobie jeszcze zetlałe strzępy ubrań w charakterystyczne niebiesko-białe pasy, typowe dla więźniów obozu Gross-Rosen i jego licznych filii w Górach Sowich.

Za Graczykiem postępował Janiszewski. Zwłok były dziesiątki. Wstrząśnięci, mijali kolejne szkielety, za którymi latarki wyłuskiwały z mroku następne, po nich dalsze i tak – wydawało się – w nieskończoność. Nie wiedzieli już, czy to dobrze, że nie mogą ogarnąć wzrokiem całego kosmaru, czy też byłoby lepiej, gdyby nie musieli zastanawiać się, jak długo to jeszcze potrwa.

– Nie jestem pewien, czy powinniśmy tu wchodzić – Graczyk przełamał ciszę. – To w końcu miejsce zbrodni. Nieważne, jak dawnej.

– To nasze odkrycie – zaoponował Janiszewski. Zaskakująco szybko odzyskał rezon po początkowym szoku. Graczyk przypuszczał, że wzięła w nim górę ciekawość. – Jeśli się teraz nie rozejrzemy, to później nam już nie pozwolą. Tylko zerkniemy.

– Spodziewał się pan czegoś takiego?

– Wszyscy badający podziemia liczą się z taką możliwością. Wiadomo, że duże grupy więźniów zniknęły w tajemniczy sposób tuż przed wkroczeniem Rosjan. Znalezienie ich szczątków było tylko kwestią czasu.

Trudno było zorientować się w przeznaczeniu hali, jeśli pominąć jej ostatnie zastosowanie – jako masowego grobu. Wydawała się wykończona i przygotowana do obetonowania. Powstała najprawdopodobniej dzięki powszechnie stosowanej w kompleksach „Olbrzyna” technice, polegającej na przebijaniu chodników na dwóch poziomach, a następnie usuwaniu rozdzielającego ich stropu. Powstawały dzięki temu duże hale o wysokości ponad czterech metrów. Jeśli chciano zbudować jeszcze większe pomieszczenie, zamiast dwóch drążono w skale trzy chodniki, jeden nad drugim – z ich połączenia mogły powstać ogromne hale o wysokości ponad dziesięciu metrów. Był to efektywniejszy sposób niż stopniowe powiększanie jednego chodnika. Do dziś w różnych miejscach „Olbrzyna” można było oglądać rozmaite fazy tych prac.

Wreszcie ujrzeli koniec hali. Zamykało ją potężne rumowisko. Ogromny obwał wyrwał ze stropu i ze ścian głązy i bryły betonu wielkości samochodu. Dalej nie można było

już iść. U stóp zawału było znacznie bardziej mokro niż w bardziej oddalonych częściach hali. W zawał wchodziły poskręcane szyny torowiska.

Graczyk zauważył, że zwłok było w tym miejscu dużo więcej. Nie musiał wyteżać wyobraźni, by zrozumieć dlaczego. Więźniowie szukali wyjścia z pułapki, wspinali się na kamienne osuwisko, parli pod górę. Wspinali się do wyjścia, którego nie było.

– A więc dlatego te szkielety są takie... zbutwiałe – mruknął Janiszewski. – To wina wilgoci. Jak pan widzi, woda przesiąka pod zawałem. Nic dziwnego, po tamtej stronie jest jej naprawdę dużo.

Graczyk spojrzał na niego z zaskoczeniem.

– Czyżby pan wiedział, gdzie jesteśmy?

– A jakże. Zdaje się, że przypadkiem rozwikłaliśmy jedną z największych zagadek Gór Sowich.

– Naprawdę?

– Jasne. Jesteśmy we Włodarzu. Patrzymy od drugiej strony na wielki zawał zamykający sztolnię numer jeden. To, co za nim się znajduje, już pan widział.

Graczyk przypomniał sobie.

– Jezioro Łabędzie! – wykrzyknął i nagle połapał się, gdzie jest. – To spoza tego zawału dochodził po wojnie trupi zapach – dodał już ciszej. – Dochodził z miejsca, w którym stoimy. A więc świadkowie mówili prawdę.

Janiszewski pokiwał głową.

– Jak i w wielu innych przypadkach, zapewne.

Starali się wracać po własnych śladach, lecz nie było to łatwe. Tym razem prowadził Janiszewski. Graczyk cieszył się, że ciemność nie pozwala objąć wzrokiem całej hali; widok byłby zbyt potworny. Jakaś myśl nie dawała mu spokoju. Wtem zrozumiał.

– Dlaczego ci ludzie nie próbowali uciekać w głąb kompleksu? – zdziwił się. – Przecież w tę stronę droga jest wolna. Ładunki, które miały spowodować drugi zawał, nie wybuchły. Pokazywał mi je pan niedawno.

– Faktycznie, ale droga i tak nie była wolna – zaprzeczył Janiszewski. – Zapomniał pan o służbie powietrznej.

– Rzeczywiście – zmiygował się Graczyk. – Ale zaraz, skoro tak, to dlaczego przy służbie nie ma co najmniej tylu ciał, co przy zawale?

– No cóż, moim zdaniem jest tylko jedno wytłumaczenie.

– Jakie?

– Niech pan się zastanowi. Ci ludzie wspinali się na ten wielki zawał, ale przecież musieli wiedzieć, że nie zdołają go sforsować. Dlaczego więc to robili?

– Wpadli w panikę, że zostaną żywcem pogrzebani.

– Zatem dlaczego najwyraźniej kierowali się w jedną stronę i to w stronę przeciwną od tej, gdzie istniało wyjście?

Graczyk rozejrzał się po makabrycznym cmentarzysku. Co tu się stało?

– Uciekali przed czymś – pojął nagle. – Przed czymś straszniejszym niż zamknięcie pod ziemią.

Janiszewski przytaknął.

– Ja też tak sądzę.

– Domyśla się pan, co to mogło być?

– Śmierć. Groźba nagłej śmierci jest zawsze straszniejsza od groźby długiego umierania. To odruch. Tak działa instynkt samozachowawczy.

– Sądzi pan, że do nich strzelano?

– Wątpię. Przy takiej liczbie ofiar to nieekonomiczne, a więc nie niemieckie. Kiedy z jakiegoś powodu nie wybuchł donarit mający spowodować drugi zawał, Niemcy zapewne uciekli przez służę i przed jej zamknięciem wrzucili do środka gaz. Być może właśnie

dlatego, na wszelki wypadek, wybrali na egzekucję miejsce oddzielone służą powietrzną. A może i tak użyliby gazu? Może zawsze w takich sytuacjach go używano? Nie wiemy, bo nikt przed nami nie znalazł żadnych ofiar.

Graczyka zmroziło.

– Gaz? - zaniepokoił się. – Mówi pan serio?

– Bez obaw. Po takim czasie nic nam nie grozi. Przypuszczam, że Niemcy użyli Cyklonu B, takiego jak w komorach gazowych obozów koncentracyjnych. Cyklon B szybko się rozkłada.

Graczyk omiół światłem latarki halę.

– Mam nadzieję, że pan wie, o czym mówi. Ale czy nie powinny pozostać jakieś pojemniki? Puszki? Cokolwiek.

– Standardowe pojemniki na Cyklon B były dość małe; niewiele większe od przeciętnego granatu. Z pewnością nadal tu gdzieś są, pod ciałami więźniów. Ale jakoś nie mam ochoty ich szukać.

Podróż zatłoczonym autobusem miejskim w taki upał nie należała do przyjemności, ale Morawski przyjmował to po stoicku. Już dawno pogodził się z myślą, że brak prawa jazdy niósł określone konsekwencje. Obawiał się, niestety, że tym razem męczy się niepotrzebnie. Jednak zasłyszana informacja o cegielni w Lubiechowie nie dawała mu spokoju. Był właśnie po nieprzyjemnej rozmowie ze swoim szefem, kierownikiem działu terenowego gazety, który skrócił jego tekst o strajku w „Tekspolu” pozbawiając go całej werwy i stępując ostrze krytyki. Przeczytawszy przerobiony artykuł Morawski wpadł w szal.

Kmieciak użył oczywiście żelaznego argumentu, że musiał skrócić tekst, ponieważ nie mieścił się w całości, ale Morawski wiedział, że to bajki. A nawet jeśli tak, to dlaczego zniknęły akurat pewne słowa i zwroty, a nie inne? W końcu kierownik przyznał, że tekst wydał mu się zbyt kontrowersyjny. Morawski wyszedł z jego gabinetu, trzaskając drzwiami. Kontrowersyjny! A o czym ma pisać gazeta, jak nie o sprawach kontrowersyjnych?

Czuł się osaczony. Wokół niego pełno było ślepców, którzy nie dostrzegali niemieckiego zagrożenia, bądź, co gorsza, pełno targowiczian, którym było ono obojętne. Bałwany, zgrzytał w duchu zębami. Sprzedawczyki. Dlatego przydałby mu się teraz temat, dzięki któremu udowodniłby wszystkim, że jego obsesja na punkcie Niemców ma solidne podstawy. Najwyższy czas, by przestano uważać go za oszołoma i by skończyło się przerabianie jego tekstów. Musi pokazać, że stać go na znacznie więcej niż im się wydaje.

Wprawdzie sprawa cegielni w Lubiechowie, podmiejskiej dzielnicy Wałbrzycha, gdzie jakoby działały się dziwne rzeczy, rokowała niewielkie nadzieje na ciekawy temat, lecz zdarzało się niekiedy, że za zwykłymi plotkami kryły się prawdziwe dziennikarskie skarby. A on bardzo potrzebował sukcesu. Nie narzekał więc teraz, tłukąc się wysłużonym autobusem, w tłoku i upale, po ulicach Wałbrzycha.

Dotarł na miejsce spocony i pełen wątpliwości, lecz zarazem zdeterminowany. Wyciśnie ten temat, jak cytrynę, byle tylko wydusić z niego każdy, najdrobniejszy nawet szczegół nie pasujący do wersji oficjalnej. Wystarczy jedna wątpliwość, mały punkt zaczepienia; resztę wydobędzie choćby spod ziemi.

Patrząc z zewnątrz na cegielnię widziało się przedziwną mieszankę starego i mniej starego – coś w rodzaju dziewiętnastowiecznego przemysłowego skansenu „unowocześnionego” w latach wczesnego Gierka. I pomyśleć, że taki zabytek funkcjonował jeszcze kilkanaście lat temu. Morawski był przekonany, że podobnie jest w środku. Nie dane mu było jednak tego sprawdzić. Płot okazał się zaskakująco nowy, zaś ochrona nadzwyczaj czujna. Kiedy zbliżył się do bramy, strażnik już na niego czekał przed drzwiami niedawno wyremontowanej wartowni. Był to młody, najwyżej trzydziestoletni, potężny mężczyzna; zupełnie nie przypominający podtatusiałych ochroniarzy pilnujących zazwyczaj tego rodzaju podupadłych, prowincjonalnych przedsiębiorstw. Nie był uzbrojony, lecz Morawski miał nieprzyjemne wrażenie, że nie stanowiło to wielkiej różnicy.

– Słucham pana? – jego uprzejmość wydała się Morawskiemu równie niecodzienna jak cała reszta.

Zawahał się; nie miał przygotowanej żadnej bajeczki.

– Jestem z „Gazety Regionalnej” – powiedział po prostu. – Chciałbym porozmawiać z kimś z zarządu.

– Na jaki temat?

– Piszemy o inwestorach zagranicznych w naszym regionie. Chciałbym napisać o niemieckiej firmie, która kupiła cegielnię.

– Chwileczkę.

Strażnik wszedł do wartowni. Morawski widział przez szybę okna, jak rozmawia przez telefon. Po chwili wrócił.

– Niestety – pokręcił głową. – W tej chwili nikt nie jest dostępny.

Czyli: spadaj, frajerze. Morawski słyszał to już nie raz.

– Więc może pana mógłbym o coś zapytać?

– Nie wolno mi udzielać żadnych informacji.

– Czy w cegielni trwają jakieś prace?

– Już powiedziałem, że nie udzielam informacji – uprzejmość ochroniarza stopniała.

– Kiedy uruchomicie produkcję?

Tamten odwrócił się i ruszył ku dyżurce.

– Czy w cegielni zrobiono cokolwiek oprócz remontu bocznic kolejowej? – zawołał za nim Morawski.

Trzasnęły drzwi i Morawski został sam. Dupek, mruknął do siebie, choć wiedział, że jest niesprawiedliwy. Ochroniarz tylko wykonywał swoje obowiązki. Ktoś polecił mu, żeby go spławił. Ktoś, kto rzekomo był dzisiaj niedostępny. Zwykła niechęć do mediów czy może coś więcej?

Sterczenie przed zamkniętą bramą nie miało sensu. Nie istniał żaden przepis zmuszający do rozmowy z dziennikarzem. Żeby cokolwiek wskórać, musiałby coś wiedzieć. Tylko zadanie właściwego pytania, takiego, które świadczyłoby o posiadaniu przez niego ważnych informacji, mogło skłonić do rozmowy kogoś, kto nie chciał rozmawiać. Problem w tym, że nie wiedział nawet, czy jest o czym wiedzieć.

Przed odejściem pokręcił się jeszcze koło bramy, mając nadzieję, że zirytuje tym strażnika. Zdawał sobie sprawę, że to dziecinada, ale nie mógł się powstrzymać. Nie zamierzał zresztą tak łatwo się poddać. Pod baczny okiem tamtego ruszył w bok, wzdłuż płotu. Nikt nie mógł mu tego zabronić; znajdował się na terenie publicznym. Musiał znaleźć coś, o czym dałoby się napisać. Jednak kiedy patrzył na zabudowania fabryki, ogarniały go coraz większe wątpliwości. Zupełnie nic się nie działo. Wszystko wyglądało na opuszczone. Budynki z początku dwudziestego wieku straszyły liszajami po odpadłym tynku i oknami o potłuczonych szybach. Wyglądało na to, że komuś, kto zdecydował się tu zainwestować, zależało tylko na bocznicach. Po co pilnować terenu, który mógłby zainteresować tylko poszukiwaczy złomu?

Fabryka leżała u stóp wzgórza, a właściwie opierała się o nie. Ci, którzy ją tu wybudowali, wykorzystali ten fakt, umieszczając niektóre obiekty w wysokiej skarpie jednego ze stoków. Zapewne były to głównie magazyny, choć niewykluczone, że podczas ostatniej wojny podjęto próbę przeniesienia pod ziemię również hal produkcyjnych. Niemcy czynili to powszechnie, zwłaszcza po roku 1943. Prawdopodobnie nie wszystkie z tych pomieszczeń były użytkowane po wojnie. Morawski nie raz widział zakłady, w których przez pięćdziesiąt lat nie zrobiono nic, by zagospodarować niektóre budynki, zbędne wobec potrzeb nowej, socjalistycznej ekonomiki.

Bocznicą kolejową wiodła do ogromnych, stalowych odrzwi osadzonych w betonowej ościeżnicy wtopionej w zbocze wzgórza. Nie był to jednak jej dawny przebieg. Pierwotnie kończyła się wcześniej, przy rampie wielkiego magazynu z czerwonej cegły. Nietrudno było to zauważyć, jako że dodatkowy tor składał się nie tylko z nowych szyn, ale także podkładów. Stalowe wrota również były nowe, podobnie jak betonowa ościeżnica, choć niewątpliwie

stały na miejscu jakiejś wcześniejszej konstrukcji o podobnym charakterze - Morawski dostrzegł wystające z ziemi bryły starego betonu, tworzące spore rumowisko. Wyglądało to na zniszczenia wojenne. Stalowa brama była wystarczająco olbrzymia, by bez problemu przejechała przez nią lokomotywa. Co więcej, z jednej strony torów znajdowało się dość miejsca, aby do środka mogły wjeżdżać nawet duże samochody.

Po kilkudziesięciu metrach zawrócił. To na nic. Patrzenie na coś, kiedy nie wie się nawet, na co się patrzy, do niczego nie prowadziło. Musiał mieć przewodnika. I nagle przyszło mu do głowy, że ma dobrego kandydata. Sięgnął po komórkę i wybrał numer redakcji. Jego wczorajszy rozmówca z działu DTP bez większych ceregieli podyktował mu nazwisko i adres kuzyna.

– Na pewno ci pomoże – dodał. – Już od dawna ma oko na cegielnię. Żyje tym, więc chętnie się wygada.

Wspaniale, pomyślał Morawski chowając telefon. Potrzeba mi tylko gaduły opętanego obsesją.

Do strażnika przy bramie dołączył inny i teraz obaj zmierzali w jego stronę. Na pewno nie po to, żeby go zaprosić do środka. Wprawdzie wątpliwe, żeby posunęli się do czegoś więcej niż słowna perswazja, ale Morawski nie chciał przeciągać struny. Jeszcze nie teraz. Tamci mogli zadzwonić na policję. A rozdmuchanie afery mogłoby mu utrudnić dalsze dochodzenie. Odwrócił się więc i odszedł, udając człowieka, który zobaczył, co chciał zobaczyć, i odchodzi z własnej, nieprzymuszonej woli. Najzabawniejsze, że tak właśnie było.

Pełną zwłok halę opuścili w milczeniu. Po chwili zastanowienia zamknęli na powrót drzwi śluzy; na tyle, na ile to było możliwe. Uznali, że zbiorowy grobowiec nie powinien pozostawać otwarty. Przynajmniej do czasu, aż zgłoszą jego odnalezienie.

– Możemy iść prosto, tak jak tu trafiliśmy – rzekł Janiszewski – ale jestem przekonany, że oba pozostałe korytarze również doprowadzą nas do szybu. A po drodze może znajdziemy coś ciekawego.

– Najciekawsze byłyby schody.

– Niewątpliwie ma pan rację.

Zagłębili się w korytarz prowadzący w prawo. Rzeczywiście łudząco przypominał ten, który wiódł do szybu windy. Kiedy w kilkanaście minut później światło latarek rozpląnęło się w gęstym mroku jakiegoś dużego pomieszczenia, Graczyk w pierwszej chwili poczuł obawę, że znów dotarli do miejsca, którego woleliby nie oglądać. Ale Janiszewski uśmiechnął się triumfalnie.

– Tak myślałem. Oto nasz szyb.

– Widzę. Tyle że nadal nie wiemy, gdzie znajdują się schody.

– Ma pan irytujący zwyczaj trafiania w sedno.

Zejście na sam dół zajęło im blisko godzinę. Graczyk nigdy by nie przypuszczał, że będzie zdolny do takiego wysiłku. Ale też dotarł niemal do kresu swojej wytrzymałości. Pod koniec mógł myśleć już tylko o jednym: że kiedy stąd wyjdzie, da w ucho każdemu, kto choćby wspomni o podziemiach.

Pierwszy na dół dotarł Janiszewski. W chwilę później Graczyk, drżąc z wysiłku, zeskoczył na betonową posadzkę.

Janiszewski popatrzył na niego.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

– Nic mi nie jest – wysapał Graczyk. – Jestem tylko na to za stary.

Dopiero gdy stali już obaj bezpiecznie na dole, mogli się rozejrzeć. Średnicę pomieszczenia ocenili na jakieś trzydzieści metrów. We wszystkich kierunkach wybiegały z niego korytarze; naliczyli aż osiem wejść. Cztery z nich – umieszczone symetrycznie po przeciwnych stronach pomieszczenia – były znacznie większe od innych. Spośród tych czterech jeden był szczególnie duży; jego szerokość ocenili na dziesięć, a wysokość na sześć metrów. Trzy pozostałe, nieco mniejsze, i tak zaskakiwały ogromem - wyglądały tak, jakby mogły w nich mijać się ciężarówki.

– Robi się coraz ciekawiej – odezwał się Janiszewski.

– W pana ustach oznacza to, niestety, że także coraz bardziej tajemniczo – odparł Graczyk.

Po krótkim wahaniu ruszyli w głąb jednym z trzech wielkich korytarzy transportowych. Biegł idealnie prosto, przecinany w regularnych odstępach, mniej więcej co piętnaście metrów, przez poprzeczne chodniki o normalnych wymiarach. Chodniki te odchodziły w bok pod kątem ostrzejszym od prostego. Kiedy Janiszewski ponanosił je na swój plan, zarysował się schemat całości. Wyglądało na to, że układ korytarzy przypomina pajęczynę. Trzy duże transportowe korytarze rozchodziły się od szybu windy na kształt

krzyża, pomiędzy nimi biegły mniejsze korytarze, a całość połączona była siecią poprzecznych, jeszcze mniejszych chodników.

– Jest pan w stanie domyślić się, na poziomie jakiego kompleksu się znajdujemy? – zapytał Graczyk.

Janiszewski zawahał się.

– Nie bardzo. Są to pewnie Jugowice Górne, czyli najniżej położony kompleks w Górach Sowich. Ale niektóre kompleksy miały sztolnie kute na różnych poziomach. To komplikuje sprawę.

– Pięknie. A więc droga w nieznane.

– Faktycznie – niespodziewanie zgodził się Janiszewski. – Teraz pan wie, co dla takich, jak ja, jest pociągającego we włożeniu we wszystkie dziury Gór Sowich.

– Błądzenie po omacku to również dla policjanta nie nowina – mruknął Graczyk.

– Ładne rzeczy. Jako obywatel wolałbym tego nie słyszeć.

Po jakichś pięćdziesięciu metrach dotarli do końca korytarza. Widok zaparł im dech w piersiach. To już nie była pojedyncza hala. Mieli przed sobą cały szereg hal, połączonych – o ile byli to w stanie stwierdzić w słabym świetle latarek – w ciąg pomieszczeń o charakterze wyraźnie przemysłowym. Świadczyły o tym fundamenty pod maszyny i urządzenia, które tu miały stanąć, a także widoczna na zewnątrz instalacja elektryczna, w postaci grubych przewodów, biegnących przy suficie i rozgałęziających się na wiele wiązek doprowadzających prąd do stanowisk pracy.

– To mi wygląda na ośrodek produkcyjny – stwierdził Janiszewski.

– Owszem. Pytanie tylko, co zamierzano tu produkować.

– Trudno to będzie rozstrzygnąć. Ale jedno jest pewne – to musiało być nie byle co.

– Wracamy do starego pomysłu z raketami?

Janiszewski skrzywił się.

– Jakoś nie mam do tego przekonania. Niemcy wprawdzie produkowali V2 w podziemnych halach, a także prowadzili prace konstrukcyjne nad wieloma innymi typami rakiet – niektóre z nich były wręcz olbrzymie – lecz to działo się w centralnych Niemczech, a nie na peryferiach państwa, do jakich należał Dolny Śląsk. Przy użyciu rakiet atakowano głównie Wielką Brytanię, chodziło więc o to, by je produkować jak najbliżej miejsca startu. W warunkach wojennych wydłużanie drogi transportu gotowych rakiet byłoby nierozsądne.

– Zatem co to mogło być, pańskim zdaniem? Owa prawdziwa *Wunderwaffe*, o której pan wspominał?

– Proszę nigdy z niczego nie kpić, chyba że jest pan na sto procent pewien, że ma rację. Jeszcze wczoraj wyśmiewał pan sam pomysł istnienia Centrum. A dziś jest pan tutaj.

– Bardziej mnie nurtuje, gdzie będę jutro.

Janiszewski pokręcił głową z politowaniem.

– Niech pan da spokój. Skoro już tu jesteśmy, to chyba chciałby pan rozwiązać zagadkę Centrum?

– Rozwiązywanie zagadek to nie jest zajęcie dla policjanta.

– Nawet zagadek kryminalnych?

– Zagadek kryminalnych się nie rozwiązuje, bo nie ma czasu i pieniędzy. Naoglądał się pan za dużo filmów.

– To co właściwie robi policja?

– Służy społeczeństwu. Na miarę swojego czasu i pieniędzy.

Janiszewski westchnął teatralnie.

– Straszny z pana cynik, komisarzu.

– Naprawdę sądzi pan, że to cynizm? – zdziwił się Graczyk.

Ciąg hal nie kierował się prosto w głąb górotworu, lecz po kilkudziesięciu metrach załamywał się pod dość niewielkim kątem, po czym czynił to ponownie i jeszcze raz.

Najwyraźniej całość układała się w coś w rodzaju pierścienia wokół szybu transportowego, tyle że był to pierścień w kształcie wieloboku, a nie okręgu.

– Trochę to skomplikowane – zauważył Graczyk. – Nie łatwiej byłoby wykuć jedną długą halę bez tych wszystkich zakrętów?

– Pewnie tak – przyznał Janiszewski. – Ale może chodziło o to, by skoncentrować produkcję jak najbliżej szybu komunikacyjnego? Tylko układ z grubsza kolisty dawał taką możliwość.

– Jaki mogłoby to mieć cel?

– Nie mam zielonego pojęcia. Łatwiejszy transport? Bliskość drogi ewakuacyjnej?

Graczyk parsknął.

– W snuciu domysłów jest pan bezkonkurencyjny.

I wtedy usłyszeli głosy.

Stłumione głosy musiały dochodzić z którejś z hal przed nimi. Zatrzymali się, nasłuchując w niemym zdumieniu. Janiszewski zgasił latarkę. To pozwoliło im dostrzec w ciemności lekką poświatę, o ton jaśniejszą od otaczającego ich mroku. Albo ktoś tam był, albo duchy naprawdę istniały.

– To niemożliwe – wyszeptał Janiszewski. – Wiedziałbym, gdyby komuś udało się znaleźć wejście do Centrum.

– Co najmniej kilka głosów – zauważył Graczyk. – To nie może być ten chłopak.

– Marcin? Nie sądzę, żebyśmy znaleźli go w takiej formie, by był zdolny do rozmowy z kimkolwiek; nawet z samym sobą.

– Zatem ktoś nas ubiegł.

– Niemożliwe – powtórzył z uporem Janiszewski. – Po prostu niemożliwe.

Nadal stali w ciemnościach. Janiszewski zwlekał z zapaleniem latarki, ponieważ nie widzieliby niczego poza zasięgiem światła.

– Nie możemy tak się tu chować – odezwał się Graczyk. – Ktokolwiek to jest, lepiej, żebyśmy nawzajem o sobie wiedzieli.

Sięgnął po latarkę, lecz Janiszewski chwycił go za rękę.

– Niech pan nie zapala! Słyszysz pan?

– Co?

– Niemiecki. Rozmawiają po niemiecku!

Graczyk zawahał się. Tylko tego brakowało, żeby człowiek, z którym tu się znalazł, okazał się szaleńcem.

– Proszę posłuchać – nie ustępował Janiszewski.

Graczyk spróbował wychwycić jakieś bardziej zrozumiałe dźwięki. Pokręcił głową.

– Zbyt niewyraźnie.

– To niemiecki. Na pewno.

– W takim razie przyjrzyjmy się bliżej.

Włożył latarkę do kieszeni kurtki i zapalił. Tak jak przypuszczał, nie rozjaśniło to ciemności, lecz przez tkaninę przedostawało się dość rozproszonego światła, by mogli uniknąć obijania się o ściany. Na chrzęst deptanego gruzu nic nie mogli poradzić; mieli nadzieję, że zniknie w tle dość hałaśliwie prowadzonej rozmowy. Rozmowy po niemiecku.

Graczyk nie potrafiłby wskazać konkretnej chwili, kiedy rozpoznał język. Po prostu nagle poszczególne dźwięki stały się zrozumiałe; niezrozumiałe pozostało ich znaczenie.

Kiedy zbliżyli się bardziej, zgasił latarkę i dopiero po chwili zdał sobie sprawę z irracjonalności tego gestu; przecież wojna skończyła się sześćdziesiąt lat temu. Nie było żadnych podstaw do przypuszczenia, że coś może im grozić. Mimo to, choć nadal trzymał palec na włączniku latarki, nie nacisnął go. Wyczuwał milczącą aprobatę Janiszewskiego.

– Mówią coś o pociągu – szepnął Janiszewski.

– Pociągu? – zdumiał się Graczyk. – Tutaj? Zna pan niemiecki?

– Trochę. Byłem jakiś czas w Niemczech.

– Trochę? Przemawia przez pana skromność czy samokrytycyzm?

– *Zug* to pociąg. Słyszałem to słowo wielokrotnie.

- Trudno w to uwierzyć.
- Janiszewski pokiwał głową.
- Jeśli to Niemcy, to mogli tu przybyć tylko w jednym celu. Odzyskać coś, co kiedyś tu ukryli. Nie sądzę, żeby ucieszyła ich nasza obecność.
- I żeby to odzyskać, potrzebują pociągu? Poza tym, skąd tu Niemcy?
- Przyjeżdżają tu od lat. Myśli pan, że wszyscy, którzy kiedyś mieli do czynienia z tymi podziemiami, nagle stracili pamięć?
- Pańska teoria ma jeden słaby punkt. Sądząc po głosach, jest ich tam co najmniej kilku. Taki najazd Niemców na Góry Sowie trudno byłoby ukryć.
- To prawda – przyznał Janiszewski. – Chyba że...
- Tak?
- W Książu działa jakaś austriacka firma. Remontują część zamku z przeznaczeniem na hotel. Całkiem możliwe, że to tylko przykrywką dla penetracji podziemi.
- Powiedział pan przecież, że to Austriacy.
- A jaka różnica? Wielu czołowych nazistów było Austriakami. Zresztą, kto wie, jaki kapitał stoi za tą firmą; może niemiecki.
- Sugeruje pan, że jednak istnieje podziemne połączenie między Książem, a okolicami Głuszycy i Walimia?
- Na to wygląda. Tak czy inaczej, musimy się pilnować. Nie powinno ich tu być.
- Nas również.
- Zgadza się.

Wszystko to brzmiało niewiarygodnie. Jednak obecność ludzi mówiących po niemiecku w rzekomo niedostępnych podziemiach była faktem. A z faktami się nie dyskutuje.

Graczyk nie wiedział, czego się spodziewać. Być może nie zaskoczyłyby go widok objuczonych sprzętem poszukiwaczy skarbów, którzy okazali się sprytniejsi od Janiszewskiego. Ale nie zdołał opanować zdumienia ujrawszy w hali mężczyźni w zwyczajnych, jednoczęściowych kombinezonach roboczych i kaskach ochronnych, uwijających się w świetle dużych przenośnych reflektorów.

Janiszewski stał jak zahipnotyzowany. Zapewne jego umysł, łaknący tajemnic, czynił go bezbronnym wobec zdarzeń cudownych i zaskakujących. Graczykowi pomógł wrodzony pragmatyzm. Jeśli działo się coś, co nie powinno się dziać, mogło to oznaczać jedynie kłopoty. Wyciągnął rękę i chwycił Janiszewskiego za kurtkę, kiedy ten chciał już wejść do środka.

- Co pan wyprawia, do diabła?! – warknął Janiszewski.
- Dbam o naszą skórę – szepnął Graczyk. – Czy znów muszę przypominać, że to pan nawoływał do ostrożności?
- No dobrze, i co dalej? Uważa pan, że rozwiązanie tajemnicy samo do nas przyjdzie?
- Wystarczy, jeśli na nas poczeka tam, gdzie jest.

Reflektory oświetlały wprawdzie jedynie punktowo fragmenty przestrzeni za bramą, ale w otaczającej je poświacie można było dostrzec zarysy prostokątnej hali. Graczyk wciąż nie mógł pozbyć się wrażenia, że to wszystko nie dzieje się naprawdę. Trudno byłoby mu wskazać moment, w którym poszukiwania zaginionego chłopca przeniosły ich w krainę absurdu. Stało się to niepostrzeżenie, a może raczej chodziło o proces ciągły – im dłużej przebywali w podziemiach, tym głębiej brnęli w irracjonalność. Co gorsza, nie było widać końca tej drogi donikąd.

Ludzi w kombinezonach było co najmniej siedmiu. Tylu w każdym razie znajdowało się w zasięgu wzroku Graczyka. Paru innych musiało pracować w sąsiedniej hali, za otwartą bramą; swoją obecność manifestowali jedynie hałasem.

- Chyba słyszę młoty pneumatyczne – szepnął Janiszewski.

Przeciągły łoskot rzeczywiście przypominał warkot kilku młotów pneumatycznych wgrzyzających się w beton. Większość mężczyzn montowała coś w ścianach hali. Dwóch przeciągało cienkie przewody, wijące się niemal po całej posadzce. Ostatni z nich zajmował się jakimś elektronicznym urządzeniem. Czyżby zakładali jakiś system zasilania? – przemknęło Graczykowi. Zaraz jednak przyszła refleksja, że to nie miałyby sensu – zasilanie już działało, o czym świadczyły reflektory.

Kim byli ludzie w kombinezonach? Odpowiedź na to pytanie pozwoliłaby znaleźć wyjaśnienie tego, czym się zajmowali, ale też i odwrotnie. Typowe błędne koło. Pewne było tylko jedno – rozmawiali po niemiecku.

– Co oni robią? – zapytał Graczyk, choć nie spodziewał się, by Janiszewski wiedział więcej od niego.

– Nie mam pojęcia.

– Zastanawia mnie, skąd czerpią prąd do zasilania reflektorów i narzędzi. No i skoro mają prąd, to dlaczego wszędzie jest ciemno?

– Mogą mieć przenośne generatory. Co prawda, nie słysząc ich, ale... A że jest ciemno? My też nie zapalamy światła w całym mieszkaniu, kiedy siedzimy w kuchni, prawda? Ludzi, którzy coś tu robią, jest pewnie niewielu. Przypuszczam, że doprowadzili zasilanie tylko tam, gdzie jest to konieczne.

– Na wszystko ma pan odpowiedź.

– Za to pan ma na wszystko jakieś pytanie.

Cokolwiek robili ludzie w kombinezonach, Graczyk i Janiszewski tak przywykli do ich krzątania, że przestali zwracać na nich uwagę. Usiłowali dostrzec coś w następnej hali, ale było to niemożliwe. Patrzyli pod złym kątem. Niewątpliwie znajdowali się tam ludzie i znacznie więcej reflektorów niż tutaj. To sugerowało, że to właśnie tam mogło znajdować się centrum tego całego zamieszania. Janiszewskiego bardzo to denerwowało.

– Musimy zobaczyć, co tam jest – szepnęła. – Powinniśmy zająć lepszy punkt obserwacyjny.

– To ryzykowne – sprzeciwił się Graczyk.

– Tamci są zajęci. Z łatwością się przemieścimy, jeśli będziemy trzymać się cienia.

Graczyk miał wątpliwości. Najbliższy obiekt, za którym mogliby się ukryć – dość wysoki blok betonu, coś w rodzaju postumentu – znajdował się dobrych dwadzieścia metrów od nich. Janiszewski zbył to machnięciem ręki.

– Wystarczy, że będziemy cicho. Jeśli będziemy tu tkwić, to niczego się nie dowiemy.

Jakby na potwierdzenie jego słów dwaj ludzie w kombinezonach, którzy znajdowali się najbliżej, skończyli pracę i odeszli w głąb hali. Janiszewski tylko na to czekał.

– Szybko! Musimy dostać się do środka.

– Zwariował pan? Zobaczą nas.

– To nasza jedyna szansa, żeby czegoś się wreszcie dowiedzieć. Ja idę, a pan niech robi, co chce.

Pobiegł chyłkiem, kierując się ku postumentowi, poza zasięg światła reflektorów. Graczyk, po sekundzie wahania i kilku cichych, siarczystych przekleństwach, ruszył w jego ślady. Wiedział, że to głupota, ale jeszcze większą byłoby rozdzielenie się. Janiszewski przypadł do posadzki za postumentem. Graczyk powtórzył jego ruchy, podświadomie oczekując alarmu, ale nic się nie stało. Jego radość nie trwała długo. Dwóch mężczyzn rozwijających przewody kierowało się w ich stronę. Szli niespiesznie, ale prosto na nich. Jeśli się nie zatrzymają, za pół minuty znajdą się w pobliżu.

Graczyk rozejrzył się gorączkowo. W odległości kilku metrów rozpoczynała się niska, półmetrowej wysokości rampa. Do czego służyła, nie sposób było dociec. Najważniejsze, że dzięki tej osłonie mogliby przedostać się do kolejnej kryjówki – oddalonego o jakieś trzydzieści metrów przysadzistego postumentu o kształcie wieloboku. Na jego powierzchni

widniały ślady po klamrach; zapewne miał stanowić podstawę jakiejś wysokiej, stalowej konstrukcji.

Graczyk wskazał Janiszewskiemu rampę i postument. Tamten skinął głową. Problem stanowiło dotarcie do rampy, ale musieli zaryzykować. Graczyk ruszył pierwszy, upewniwszy się, że żaden z ludzi w kombinezonach nie patrzy w tę stronę. Przypadłszy do posadzki za rampą odetchnął głęboko i poczekał na Janiszewskiego. Potem poczołgali się wzdłuż rampy. Janiszewski musiał uważać, by nie wychylać się za bardzo, ponieważ wówczas byłoby widać plecak. Nie chciał go jednak zdjąć, uważając – być może słusznie – że gdyby przyszło im uciekać, lepiej było mieć go na plecach.

Upatrzony przez Graczyka postument dzieliły od rampy nie więcej niż trzy metry, toteż bez trudu skrył się za nim w chwilę później. Spojrzał za siebie i przekonał się, że mężczyźni, z powodu których opuścili poprzednią kryjówkę, zatrzymali się nie patrząc w ich stronę. Kiedy odwrócił się do Janiszewskiego, zdębiał. Tamten minął postument i czołgał się dalej.

Graczyk sklął go w duchu.

– Co pan wyrabia? – szept był nieco sceniczny; na szczęście młoty robiły wystarczająco dużo hałasu, by go zagłuszyć.

– Muszę zajrzeć do drugiej hali – Janiszewski nawet się nie zatrzymał. – Niech pan idzie za mną.

– Ani mi się śni.

– To proszę zaczekać.

Graczyk wytrzymał pół minuty.

– Szlag by to... – warknął. – Cholerny bęcwał.

Bez trudu dogonił Janiszewskiego, który nic nie powiedział, tylko wyszczerzył zęby. Graczyk poczuł chęć, by go udusić szelką jego własnego plecaka. Łowca przygód, psia krew. Odkrywcą od siedmiu boleści.

Huk młotów pneumatycznych nasilił się. Patrzyli z dużego kąta, niewiele więc widzieli; ta część hali była zupełnie pusta i nic w niej się nie działo. Cała aktywność koncentrowała się w drugiej części; aby tam zajrzeć musieliby bardziej się zbliżyć. Rampa kończyła się jednak kilka metrów przed przejściem do następnej hali. Janiszewski parł mimo to do przodu. Zanim Graczyk zdążył pojąć, co zamierza, podniósł się i ściągnął plecak.

– Zajrzę tam tylko i wracam – oznajmił. – Z daleka może się nie połapią, że nie jestem jednym z nich.

– Zwariował pan? Na pewno się znają, a w dodatku jest pan inaczej ubrany.

– Jeśli będę się zachowywał tak, jak oni, może nie zwrócą uwagi. Nie spodziewają się tu nikogo obcego. Ludzkie oko widzi przeważnie to, czego oczekuje mózg.

– Oby pan się nie mylił.

– Spokojnie, mam pomysł.

Rozejrzał się i ruszył szybko ku przewodom wijącym się niedaleko po posadzce. Podniósł jeden z nich i pochyłony machnął ręką na Graczyka. Ten pokręcił przecząco głową. Janiszewski powtórzył gest. Graczyk, wściekły, zacisnął zęby i wstał. Po chwili on także trzymał kabel. Pochyleni, jakby całkowicie zaabsorbowani wykonywaną pracą, zaczęli przesuwać się ku bramie. Graczykowi przyszło do głowy, że przecież nie mają powodu się bać. Nic nie wskazywało na wrogie zamiary ludzi w kombinezonach.

Janiszewski dotarł do bramy i zajrzał do środka. Skamieniał.

– Co tam jest? – usiłował dowiedzieć się Graczyk. – Co pan widzi?

Zamiast odpowiedzi Janiszewski pociągnął za kabel. Graczyk zbliżył się do niego.

Co za ponury kraj, pomyślał Martin Keller, spoglądając przez okna samochodu. Tyle szarości, tak mało kolorów. Zwłaszcza późnym wieczorem.

Jazda z Wałbrzycha trwała kwadrans. Audi A6 poruszało się niemal bezszelestnie, nie mogło jednak na tych wąskich, krętych ulicach o kiepskich nawierzchniach i słabym oświetleniu wykorzystać wszystkich swoich możliwości. Keller, prezes spółki Kronos AG, zajmującej się remontem czwartego i piątego piętra zamku Książ, był na to przygotowany, a jednak zżymał się w duchu na niepotrzebną stratę czasu. Kierowca wyczuwał tę niecierpliwość swego pasażera, lecz był profesjonalistą; jechał maksymalnie szybko, ale nie szarżował. Doskonale wiedział, że człowiek, którego wiezie, jeszcze bardziej od straty czasu nie znosi niekompetencji. A ostatnią rzeczą, jakiej pragnął, było narażenie się na gniew Martina Kellera.

Nieświadom rozterek kierowcy, które zresztą nic go nie obchodziły, Keller wiercił się na siedzeniu. Choć doskonale to ukrywał, operacja, którą kierował, przynosiła mu tyleż radości, co niepokoju. Jego wiara w sukces pozostała wprawdzie niewzruszona, lecz brakowało precedensów, które mogłyby ją wesprzeć. Nikt nigdy nie przeprowadził niczego podobnego. Wielu ludzi, nawet tych szczerze oddanych sprawie, byłoby bardzo zdziwionych na wieść, że ktoś wreszcie odważył się spróbować. Oczywiście, pomyślał, jeśli wszystko pójdzie dobrze, za jakiś czas się dowiedzą. Inna rzecz, że przez minione dziesięciolecia takie przedsięwzięcie było zupełnie niemożliwe. Przeszkody wydawały się nie do pokonania. Dopiero ostatnie lata zmieniły wszystko. Nagle w zasięgu ręki znalazło się to, na co - wydawało się - trzeba będzie czekać przez całe pokolenia. Martin Keller był szczęśliwy, że przyszło mu żyć w takich czasach. Był też jednak ambitny, więc pojmował szczęście jako coś więcej niż bierną kontemplację rzeczywistości. Należał do ludzi naginających rzeczywistość do własnych wyobrażeń o szczęściu. Nie zwykł przy tym zadowalać się byle czym i nie przyjmował od życia drugoplanowych ról.

– Już niedaleko, *Herr Keller* – odezwał się szofer. – Będziemy na miejscu za dziesięć minut.

Nareszcie, pomyślał, podążając wzrokiem za zaniedbanymi budynkami przedmieścia, do którego właśnie dojeżdżali, a za którym wznosił się Książ.

Widział już wiele zamków. Nie tylko w Niemczech, ale także we Francji i Hiszpanii. Firma, którą prowadził, zajmowała się remontami takich obiektów już od szeregu lat. Na terenie Polski Książ był pierwszym tego typu zleceniem. I – uśmiechnął się ironicznie – zapewne ostatnim. Tak czy inaczej, najważniejszym. To dla niego firma Kronos AG w ogóle powstała i tylko po to działała przez dwie ostatnie dekady. Musiała wypracować sobie odpowiednią markę, by otrzymać ten kontrakt.

Od chwili przybycia tu Keller pozostawał pod dużym wrażeniem niegdysiejszej siedziby Hochbergów. Zamek – dawniej nazywany Fürstenstein – niewątpliwie dorównywał innym świetnym zabytkom. Jego wnętrza zostały jednak straszliwie zdewastowane i to przez obie strony uczestniczące w wojnie. Najpierw zamek ogołocili niemal ze wszystkiego sami Niemcy. Kiedy ostatni jego właściciel, Jan Henryk XVII von Hochberg wyjechał do Anglii i wstąpił do brytyjskiej armii, Hitler wpadł we wściekłość i uznawszy to za zdradę, w roku

1941 nakazał konfiskatę zamku. Wywieziono wszystkie wartościowe rzeczy: dzieła sztuki, meble, zamkową bibliotekę. Ponieważ Hitler upatrzył sobie zamek na jedną ze swoich kwater, wiele pokoi przebudowano, niszcząc je przy okazji – zrywając boazerie, sztukaterie i plafony. Ostateczny cios zamkowi zadała Armia Czerwona, stacjonująca tu przez pierwszych szesnaście miesięcy po wojnie. Potem zamek aż do 1956 roku stał pusty, dostępny dla każdego, niszcząc coraz bardziej. Pierwsze prace konserwatorskie były bardzo ograniczone; dopiero w latach sześćdziesiątych rozpoczęto intensywną renowację, dzięki której kilka sal odzyskało cień dawnej świetności.

Budynek dzielił się wyraźnie na dwie części: dobrze utrzymane pierwsze, drugie i trzecie piętro oraz piętra czwarte i piąte, które dopiero odzyskiwały dawny blask, a właściwie nabierały nowego. Do niedawna straszyły nagimi, odrapanymi i zagrzybionymi ścianami. To była niemal katastrofa budowlana. Już dziś oba piętra prezentowały się zupełnie inaczej. W dużej mierze zaniechano przywracania im dawnego wyglądu. Zrezygnowano z tego świadomie, na rzecz funkcjonalności. Zamek miał nadal przyciągać turystów pięknem swej architektury, otoczenia i pomieszczeń na parterze oraz na pierwszym piętrze. Hotel na dwóch górnych piętrach miał ich natomiast zatrzymać na dłużej. Dlatego przede wszystkim liczył się standard.

W zamku było ponad 400 pomieszczeń. Ich wyposażenie tylko w niewielkiej części było oryginalne. Niektóre meble wprawdzie pochodziły z epoki, ale do Książa trafiły dopiero w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych ubiegłego wieku; sprowadzone z rozmaitych muzeów. Rodowód większości sprzętów nie sięgał jednak dalej, niż końca XIX w. Charakterystyczny przykład mógł stanowić jeden z salonów zamku, Salon Biały, w którym oryginalne były tylko rokokowy plafon oraz barokowy kominek z różowego marmuru. Meble pochodziły z około 1840 roku i zostały sprowadzone już po wojnie ze Szczawna Zdroju, z dawnego hotelu, a obecnie sanatorium.

Już same nazwy pomieszczeń nie były zresztą często oryginalne. Salon Barokowy dawniej nazywany był Włoskim. Zachował się w nim tylko autentyczny XVIII-wieczny drewniany strop. Salon Chiński nosił taką nazwę, a nie inną, tylko dlatego, że jego ściany pokrywały współczesne tkaniny o orientalnej tematyce. W identyczny sposób powstała nazwa Salonu Zielonego – od barwy zdobiących go tkanin, które zakrywały miejsca po zaginionych podczas wojny obrazach. To zresztą nie był jedyny przypadek takiego zastosowania tkanin w Książu, skąd wywieziono wszystkie obrazy, jakie dało się zdjąć ze ścian. W największej i najpiękniejszej komnacie zamku – Sali Maksymiliana – puste miejsca po brakujących dwóch wielkich obrazach Schefflera maskowały czerwone tkaniny. Z dzieł tego malarza ocalało tylko malowidło na plafonie przedstawiające Atenę i dziewięć muz.

Keller nie rozpamiętywał tych wszystkich strat i zmian. Przyzwyczyił się już do nich. Dotyczyły bowiem niemal wszystkich zamków świata. Większość i tak legła w gruzach, a te, które ocalały, wielokrotnie zdobywane i płądrowane, niszczone i odbudowywane, zamieniały się w magazyn mniej lub bardziej przypadkowo dobranych staroci. Każdy zamek był na swój sposób kroniką wzlotów i upadków ludzkiego ducha.

Być może był niesprawiedliwy, jako że nie sposób było nie docenić wysiłku włożonego w odnowienie przepysznych barokowych salonów, ale najbardziej przypadły mu do gustu pomieszczenia zdecydowanie skromniejsze, takie jak wspomniały w swej prostocie renesansowy Hall Myśliwski. Z przyjemnością przysiadł też czasami na ławce na maleńkim Czarnym Dziedzińcu, podziwiając metalową konstrukcję kołowrotu nad ocembrowaniem studni.

Zamek wznosił się na skalnym cyplu wciśniętym niczym klin w dolinę niewielkiej rzeki, Pełcznicy. Otaczały go tarasy, różnej wielkości i na różnych poziomach. Od strony północno-wschodniej rozciągał się najrozleglejszy z tarasów, a zarazem dziedziniec zwany Honorowym. Dalej znajdowały się zabudowania oficyn oraz budynek bramny, oflankowany

dwoma ośmiobocznymi wieżami. Jeszcze przed ostatnią wojną mieściła się tam biblioteka licząca ponad 60 tysięcy tomów oraz archiwum dworskie. To, co pozostało po fali rabunków, zostało wywiezione do bibliotek i archiwów we Wrocławiu.

Kiedy patrzyło się z wieży zamkowej lub którejs z dwóch baszt w zachodnim skrzydle zamku, można było dostrzec samotną górę wyrastającą wprost z równiny. To była Ślęza, niedaleko Wrocławia. W przeciwnym kierunku, na południowym zachodzie, znajdowała się Śnieżka, najwyższa góra Sudetów, jednak widok zasłaniało pobliskie, porośnięte gęstym lasem wzgórze. Z kolei w kierunku południowo-wschodnim można było zobaczyć, za linią bliskich zalesionych wzgórz, pasmo gór otoczone błękitną mgiełką – Góry Sowie. Odległość do nich wynosiła jedynie dwadzieścia kilometrów.

Ochroniarze nosili kombinezony firmy Kronos i skutecznie mieszały się z tłumem robotników budowlanych. Zнали Kellera; wszak to on decydował o zatrudnieniu każdego z nich. Dlatego wartownik, pilnujący wejścia do piwnic – dla postronnych oczu odgrywający rolę elektryka sprawdzającego instalację – przepuścił go bez żadnych pytań.

Piwnice, niegdyś w całości przeznaczone do przechowywania wina, zostały znacznie przebudowane już w czasie wojny, kiedy przystosowywano zamek do pełnienia roli kwatery Führera. Ich połowę przekształcono w kuchnię. Jadalnia dla Wodza i jego sztabu miała mieścić się w Sali Krzywej, dlatego planowano doprowadzić tam bezpośrednio z kuchni trzy windy. Jeśli wierzyć temu, co podają wszystkie przewodniki, zdołano wybudować jeden szyb windy, łączący piwnice z podziemiami. Przed ewakuacją, w maju 1945 roku, zaczopowano go betonowym korkiem na pierwszym poziomie podziemi. To wystarczyło, by tajemnica Książa nigdy nie została odkryta.

Dla firmy Kronos nie stanowiło to jednak przeszkody. Choć trudno byłoby to wykryć nawet po wnikliwym zbadaniu jej struktury własnościowej, należała do ludzi, którzy na własne oczy widzieli chwałę i upadek projektu „Riese”. Nie musieli rozwiązywać tajemnic. Byli ich twórcami.

Przewodniki nie mówiły wszystkiego. Oprócz szybu windy wybudowano też klatkę schodową z dolnego poziomu piwnic na pierwszy z nieznanymi poziomów podziemi, leżący bezpośrednio pod zamkiem, Opuszczając zamek tuż przed wkroczeniem Armii Czerwonej, budowniczo wie obiektu „Brabant I” uwzględnili możliwość późniejszego powrotu. Dlatego pozostawili częściowo tylko zamaskowany szyb windy, po to, aby zwycięscy wrogowie nie szukali już innego wejścia. Klatka schodowa została natomiast ukryta bardzo dokładnie. Nie pozostał też na miejscu nikt, kto mógłby wskazać jej lokalizację.

Keller zmierzał właśnie w tamtym kierunku. Ściana, którą niegdyś postawiono, by zasłonić wejście na klatkę schodową, została usunięta. Zastąpiono ją atrapą z pojedynczej warstwy cegieł, uchylaną w razie potrzeby przy pomocy prostego mechanizmu. Wdusił przełącznik ukryty za jedną z cegieł. Ściana wolno cofnęła się o pół metra; wystarczająco, by dorosły mężczyzna mógł się bez problemu przecisnąć. Ocierając się niemal plecami o prawdziwą ścianę, przesunął się obok atrapy. Znalazł się w słabo oświetlonym szybie. Wąska klatka schodowa prowadziła dość stromo w dół; najwyraźniej miała służyć wyłącznie do komunikacji awaryjnej. Keller nie potrafił sobie wyobrazić, by kiedykolwiek miał z niej skorzystać Hitler. Zbudowana jednak została solidnie, a zbrojony beton wyglądał na równie mocny, jak przed sześćdziesięciu laty.

Rozległ się trzask puszczających rygli i ściana samoczynnie wróciła na miejsce, sunąc majestatycznie i bezgłośnie po prowadnicach. Zrobiło się odrobinę ciemniej, lecz Kellerowi to nie przeszkadzało. Znał drogę i wiedział, czego się spodziewać. Wystarczyła mu mocna latarka; nie cierpiał na klaustrofobię. Miał do pokonania około 140 stopni; mniej więcej tyle, co w siedmiopiętrowym budynku. Zupełnie jakby znajdował się w bloku na pokomunistycznym blokowisku we wschodnim Berlinie, gdzie do dziś nagminnie psuły się windy.

Znał podziemia nie gorzej niż sam zamek. W roku 1945 ewakuujący się z Książa Niemcy zdemontowali windę i zasypali szyb łączący piwnice zamku z podziemiami. Taki stan utrzymał się przez siedemdziesiąt lat. Keller wiedział, że rachuby jego rodaków okazały się trafne – Polakom zabrakło chęci i pieniędzy, by podjąć próbę oczyszczenia szybu i odbudowy systemu komunikacyjnego. W rezultacie nigdy nie dowiedzieli się, co tak naprawdę znajduje się pod ich stopami. Polacy znali więc tylko dwa poziomy podziemi: jeden piętnaście metrów pod zamkiem i drugi czterdzieści metrów niżej niż pierwszy, a więc pięćdziesiąt pięć metrów pod szczytem wzgórza zamkowego. Pierwszy poziom pozostawał nieużywany, choć istniało do niego wejście z piwnic zamkowych i z tarasu bogini Flory. Niższy poziom był znacznie bardziej rozbudowany i wiodły do niego cztery wejścia wykute w zboczu wzgórza. Trzy z nich zostały zamurowane betonowymi zatyczkami. Czwarte służyło badaczom z Instytutu Geofizyki Polskiej Akademii Nauk do doglądania umieszczonej tam aparatury sejsmograficznej. Keller wiedział oczywiście, że w oficynie zamku mieści się obserwatorium sejsmologiczne. Zostało to uwzględnione podczas planowania operacji.

W rzeczywistości wzgórze zamkowe skrywało o wiele więcej. Istniało zresztą niemało przemawiających za tym przesłanek, jako że Niemcy wycofywali się w pośpiechu i pozostawili mnóstwo śladów mogących naprowadzić na trop nieznanych korytarzy. Mimo to przez ponad pół wieku polskie władze nie podjęły żadnej próby rozwikłania jednej z największych tajemnic Trzeciej Rzeszy. Kellera cieszył ten fakt, lecz zarazem zdumiewał; nie mógł zrozumieć, jak można wykazać się aż takim brakiem ciekawości i energii.

Zamek Fürstenstein miał być kwaterą Führera o kryptonimie „Brabant I”. Przebudowano w tym celu kilka pomieszczeń, między innymi salony nazywane wówczas gobelinowym i włoskim, a obecnie – barokowym i gier. Lecz kwatera w zamku miała być tylko fasadą. W obliczu całkowitej przewagi wrogiego lotnictwa główny punkt dowodzenia zamierzano przenieść pod ziemię, a właściwie – w głąb skały. Tam zarówno wódz III Rzeszy, jak i jego sztab byliby bezpieczni; nie tylko przed konwencjonalnym bombardowaniem, ale także przed uderzeniem atomowym. Wiedzano bowiem, że Amerykanie pracują nad tą straszliwą bronią. Dlatego też prace zakrojono na ogromną skalę. Dostępne po wojnie podziemia stanowiły zaledwie część potężnego kompleksu, jaki powstał wewnątrz wzgórza. Oprócz dwóch znanych, istniały jeszcze dwa nieznanne poziomy podziemi – na głębokości trzydziestu pięciu i siedemdziesięciu metrów. Posiadały one połączenie z szybem windy. Z owych dwóch ukrytych poziomów podziemi, wyższy znajdował się bezpośrednio pod zamkiem; w odróżnieniu od dwóch znanych poziomów, które wykuto pod dziedzińcem i oficyną. Drugi z ukrytych poziomów, najniższy ze wszystkich, był mocno wysunięty w kierunku dolnego zamku; tak bardzo, że jego część rozciągała się nawet pod parkiem, sięgając w pobliże amfiteatru i kaplicy grobowej Hochbergów.

Keller wiedział, że dwa poziomy, dostępne od wojny, zostały celowo pozostawione w takim stanie. Budowniczości podziemi zdawali sobie sprawę, że prace w głębi wzgórza wyjdą na jaw, dlatego najmniej ważną ich część postanowili rzucić na pastwę ciekawości zwycięzców. Natomiast wejścia do sztolni wiodących na pozostałe poziomy zostały zamaskowane tak dobrze, że przez siedemdziesiąt lat ich nie odnaleziono. Dwa znajdowały się w północnej ścianie wzgórza, trzydzieści pięć metrów pod zamkiem. Kolejne dwa wejścia, umożliwiające dotarcie na poziom najniższy, zostały wykute tuż przy dnie wąwozu Pełcznicy, od strony południowo-wschodniej. Wejścia te nadal były niedostępne. I niepotrzebne – pomyślał Keller. Dla celów kierowanej przez niego operacji nie miałyby znaczenia, a ich odkopanie groziłoby dekonspiracją całego przedsięwzięcia. Dlatego pozostawiono je w stanie nienaruszonym.

Poziom minus trzydzieści pięć, wyższy z nieznanych Polakom, składał się z dwóch pięter, czy też może z parteru i piwnicy. Tych określeń, mogących dziwić w takim miejscu, używano, ponieważ nie były to dwa typowe, odrębne poziomy – dzieliła je zaledwie grubość

stropu. Poziom ten znacznie przewyższał rozległością wszystkie znane. To właśnie tutaj miała się mieścić zasadnicza część nowej, podziemnej kwatery Hitlera. Tu miały znajdować się pokoje mieszkalne i gabinety najważniejszych dostojników Trzeciej Rzeszy, a także pomieszczenia sztabowe i stanowiska dowodzenia. Dlatego też stopień wykończenia korytarzy i pomieszczeń, jakość użytych do tego materiałów i dokładność wykonania były na głowę wszystko, co można było ujrzeć gdziekolwiek indziej; nawet w nie mniej ważnym ze strategicznego punktu widzenia centralnym obiekcie w masywie Mulen Berg.

Najniżej pod zamkiem znajdował się podziemny dworzec. Miały tam kursować windy, niewiele różniące się od tych, jakie i dziś jeszcze można było spotkać w wielu starych kamienicach europejskich miast. Żadnej z nich jednak nigdy nie uruchomiono.

Na dole czekał na niego inny ochroniarz.

– Pojazd jest już gotowy – rzekł.

Keller był przygotowany na to, co zobaczy, lecz, jak zawsze, widok, który ukazał się jego oczom, zafascynował go. Po dość ciasnych korytarzach wyższych poziomów rozmiar hali, pełniącej równocześnie rolę podziemnego dworca, centrum komunikacyjnego i bazy przeładunkowej, wręcz przytłaczał. Wysoka na osiemnaście metrów, szeroka na czterdzieści i długa na siedemdziesiąt, nie została w pełni wykończona; uważne spojrzenie pozwalało dostrzec wiele braków w obudowie ścian i sporo śladów pospiesznego montażu uzbrojenia. Mimo to całość sprawiała imponujące wrażenie. Należało przecież pamiętać, w jakim czasie i w jakich warunkach była budowana.

Środkiem hali biegł tor kolejowy. Nie była to kolej wąskotorowa, powszechnie używana do transportu podczas budowy „Riese”, lecz kolej normalnotorowa, niczym nie różniąca się od tej, jaką podróżowano na powierzchni. W przeciwieństwie do typowych stacji kolejowych, tutaj z każdej strony toru znajdował się peron, mogący pełnić rolę zarówno osobowego, jak i towarowego. Hala była tak obszerna, że zdołała pomieścić także drogę dojazdową, dostatecznie szeroką, by mogły jeździć po niej ciężarówki. Obok toru, który za podziemnym dworcem – już jako tunel - zagłębiał się w masyw skalny, znajdowała się również wąska droga niknąca w ciemności. Ponieważ wojna zakończyła się zbyt wcześnie, z toru nigdy nie korzystały pociągi.

Z wyjątkiem jednego jedynego razu.

Keller wszedł do odkrytego wózka akumulatorowego i pojazd ruszył. Wydawało się, jakby ledwo mieścił się na wąskiej drodze. Nic dziwnego, w czasach, gdy ją budowano, typowe niemieckie wojskowe gaziki były dość skromnych rozmiarów. Podróżowali nimi służbowo wyżsi oficerowie, między innymi *SS-obergruppenführer* Hans Sammler, kiedy odwiedzał rozmaite ośrodki związane z programem raketowym Trzeciej Rzeszy. Z wojennej zawieruchy ocalało trochę zdjęć, przedstawiających wysokiego, uśmiechniętego generała SS, wysiadającego z brzydkiego, pudełkowatego pojazdu. Hans Sammler był jednym z szefów niemieckiego programu zbrojeniowego. To w dużej mierze jemu i jego programowi budowy obozów koncentracyjnych SS zawdzięczała swoją pozycję i potęgę finansową. Pod koniec wojny kierował produkcją i wykorzystaniem rakiet V-1 i V-2, a także produkcją myśliwców odrzutowych. W tym czasie bywał tu częstym gościem. SS odgrywała ogromną rolę w budowie „Riese”. Bez stworzonego przez Sammlera systemu obozów pracy niewolniczej nie byłoby możliwe zbudowanie choćby części podziemnych i naziemnych instalacji. Sama SS bogaciła się niesłychanie na wynajmowaniu swoich więźniów różnym firmom działającym na terenie budowy.

Martin Keller, którego prawdziwe nazwisko brzmiało Sammler, czuł satysfakcję na myśl, że podąża śladami swego dziadka. Doktor Sammler był – używając dzisiejszej terminologii - niezwykle sprawnym menedżerem. A że nosił mundur SS? Taka była potrzeba chwili. Kto wówczas nie nosił munduru? Keller uśmiechnął się pod nosem. Prowadzone w „Riese” badania mogłyby przynieść przełom w konstrukcji broni wielokrotnie silniejszych od

potężnych V-2 wysyłanych na Londyn, gdyby zdołano ukończyć podziemne fabryki wystarczająco wcześniej lub też wystarczająco długo prowadzić wojnę. Tak się, niestety, nie stało, a szkoda, bowiem w dziedzinie raketowej Niemcy znacznie wyprzedzały wówczas resztę świata.

Nie ulegało wątpliwości, że Hans Sammler nie raz przemierzał korytarze, którymi właśnie podążali. Wyglądały wówczas tak samo, lecz z pewnością wypełniała je znacznie większa liczba osób. Od siedemdziesięciu lat wszystko to pozostawało ukryte. Jedynie tropiciele tajemnic wierzyli w istnienie czegoś więcej niż kilku niedokończonych dziur w ziemi. Nikt nie podzielał ich wiary.

Według wersji oficjalnej Hans Sammler zaginął w marcu 1945 roku podczas wizytacji frontu w Czechosłowacji i został uznany za zmarłego. Nigdy nie odnaleziono jego ciała. I nic w tym dziwnego, nie da się bowiem odnaleźć czegoś, co nie istnieje. Doktor Sammler znakomicie wykorzystał swój talent organizacyjny i zniknął bez śladu w chaosie kończącej się wojny. Nawet rodzina nie знаła jego prawdziwego losu. Dopiero w dziesięć lat po kapitulacji Niemiec nawiązał kontakt z żoną i dziećmi. Mieszkał w Argentynie, jak wielu wysoko postawionych nazistów, którym udało się ująć przed zemstą aliantów. Oczywiście zmienił tożsamość i do pewnego stopnia wygląd.

Keller właściwie go nie pamiętał. Miał kilka lat, kiedy dziadek zmarł. Swoją wiedzę przekazał ojcu Kellera, który jednakże nie nadawał się do wypełnienia ostatniej woli dziadka. Był zwykłym, przeciętnym człowiekiem, zadowolonym z drobnych przyjemności codziennego życia. Dopiero w kolejnym pokoleniu niektóre cechy charakteru Hansa Sammlera odrodziły się w osobie jego wnuka. Martin Keller nie wrócił, co prawda, do nazwiska, które jego ojciec tuż po wojnie zmienił, ale przysiągł, że zrealizuje marzenie dziadka o odzyskaniu dla Niemiec największych osiągnięć niemieckiego geniuszu, ukrytych przed hordami ze wschodu.

Hans Sammler doskonale wiedział, co zostało ukryte i jak to odzyskać, lecz za jego życia nie istniały po temu żadne możliwości. Co innego teraz. Bogu dzięki za upadek Związku Radzieckiego, za Unię Europejską i strefę Schengen.

Jazda tunelem trwała trzy kwadransy. Poruszali się w mroku, korzystając z reflektorów. Choć na ogół tunel był dość suchy, w kilku miejscach wilgoć poczyniła znaczne spustoszenia w infrastrukturze. Dla powodzenia operacji ważne było dostarczenie energii, toteż zaraz na początku prac położono w tunelu kabel energetyczny. Komfort jazdy nie należał do priorytetów. Mimo to, doprowadzono drogę do stanu używalności, co okazało się niezbyt trudne, ponieważ przetrwała od wojny w całkiem niezłym stanie. Obetonowane ściany z upływem czasu poszarzały i gdzieś tam uległy erozji, krusząc się i osypując, lecz na ogół tunel zachował swój dawny wygląd. Zdumiewające, pomyślał Keller. Reflektory wydobywały z mroku historię, niczym łopata archeologa, z każdym sztychem odsłaniająca coraz głębsze warstwy przeszłości.

Tunel miał około ośmiu metrów szerokości. Strop wznosił się na wysokość sześciu metrów i opadał lekkimi łukami ku ścianom. Z obu jego boków biegły potężne wiązki przewodów. W niektórych miejscach podtrzymujące je obejmy obluzowały się bądź całkowicie odpadły i przewody zwisały niebezpiecznie nad drogą. Na szczęście, nie płynął już nimi prąd.

– Kiedyś musiało tu pracować mnóstwo ludzi – odezwał się kierowca. – Aż się wierzyć nie chce, że dziś prawie nikt o tym nie wie.

Keller drgnął, wyrwany z zamyślenia.

– Rzecz nie w tym, żeby nikt nie wiedział, bo to niemożliwe – odparł – lecz żeby nie pozostał nikt, kto chciałby o tym mówić.

Kierowca pokiwał głową.

– Fakt – przyznał.

Keller jednak sam był tym zaskoczony. Ich dziadowie pozostawili po sobie zbyt wiele śladów. Tylko wyjątkowej nieudolności Polaków należało zawdzięczać, że wiele tajemnic pozostało nimi aż do dzisiaj. Z drugiej strony, przy takiej skali zamierzeń, jakie Trzecia Rzesza podjęła u schyłku wojny, nikt nie zdołałby pozbyć się wszystkich świadków. Nawet tak sprawny menedżer, jak doktor Hans Sammler. A jednak, prawie mu się powiodło.

To nie była kolejna hala, lecz potężny, prosty jak strzeł, tunel niknący gdzieś w ciemności. Wielkością dorównywał tunelom metra. Pojedynczy tor kolejowy biegł bliżej jednej ze ścian, a przy drugiej ścianie znajdowała się wąska droga, niewiele szersza od chodnika dla pieszych. Stało na niej kilka niewielkich pojazdów elektrycznych. Lecz to nie samochody były najbardziej zdumiewające.

Oszukany grą światła i cieni w zasięgu przenośnych reflektorów, Graczyk w pierwszej chwili pomyślał, że to czołgi ustawione w rzędzie na wielkiej platformie kolejowej. Jednak, choć wyraźnie widział cztery charakterystyczne lufy, nie dostrzegł czołgowych korpusów i gąsienic. I nagle wszystko ułożyło się w całość.

Usłyszał zawiedziony szept Janiszewskiego.

– To tylko pociąg...

– Tylko pociąg?! – obruszył się Graczyk. – Czy pan wie, co to jest? To prawdziwy niemiecki pociąg pancerny. I to chyba, sądząc po wieżach z czołgów Panzer IV, słynny, zaginiony pociąg pancerny z Festung Breslau. Brat bliźniak pociągu „Pörsel”, który uczestniczył w obronie Wrocławia. To niesłychane odkrycie!

Pociąg pancerny, który miał przed oczyma, składał się z elementów charakterystycznych dla wszystkich tego typu pojazdów bojowych. Między dwoma wagonami artyleryjskimi znajdowała się lokomotywa pancerna i pięć wagonów szturmowych, czyli wagonów towarowych wzmocnionych pancernem i wyposażonych w stanowiska dla karabinów maszynowych. Całość wywierała ogromne wrażenie. Wagony artyleryjskie przypominały ruchome twierdze lub dziewiętnastowieczne pancerniki na kołach. Były zbudowane symetrycznie: z obu stron znajdowały się pancerne kazamaty z wieżyczkami czołgowymi, wyposażonymi w legendarne niemieckie działa kalibru 88 mm, zaś pośrodku wznosiła się wieżyczka obserwacyjna i kierowania ogniem. W płytach pancernych pokrywających cały korpus wagonu znajdowały się prostokątne włązy wejściowe. Inne włązy, czołgowe, znajdowały się na wieżyczkach. Wieżyczki artyleryjskie zdobiły czarne, hitlerowskie krzyże.

Spinająca wagony lokomotywa pancerna była prawdziwym monstrum – był to parowóz, zapewne masowo budowanego w latach 1942–1945 typu Ty2/Ty42, obudowany pancernem równo z dachem budki maszynisty, niemal aż po wylot komina. Przypominał jedną bryłę stali, niczym pękata łódź podwodna, pozbawiona kiosku i wyrzucona na brzeg. Graczyk ledwie wierzył własnym oczom. Lecz Janiszewski nie wydawał się szczególnie zainteresowany.

– Zaginiony pociąg? Teraz to pan zaczyna opowiadać bajki...

– W przeciwieństwie do pana nie mówię o cudownej broni, tylko o zwyczajnym, jednym z dziesiątków używanych w czasie wojny, pociągu pancernym. Jego niezwykłość polega na tym, że o jego budowie mamy tylko niepotwierdzone pogłoski i że zaraz po zbudowaniu zniknął. Nie wziął udziału w obronie Wrocławia ani w walkach na jakimkolwiek innym froncie. To bardzo dziwne marnotrawstwo, biorąc pod uwagę, że Niemcy potrzebowali wówczas każdego karabinu. Chyba że...

– Chyba że w tych wagonach jest coś ważniejszego od czterech armat, które i tak nie odwróciłyby losów wojny.

– Właśnie.

Ludzie przy pociągu najwyraźniej kończyli już pracę, na czymkolwiek ona polegała. Zwijali jakieś przewody, pospiesznie zbierali narzędzia i wsiadali do wózków akumulatorowych.

– Czy oni zamierzają uruchomić lokomotywę? – z niedowierzaniem zapytał Janiszewski.

Graczyk pokręcił głową.

– Nie wydaje mi się. To parowóz sprzed siedemdziesięciu lat. Co prawda, w muzeach kolejnictwa znajdują się lokomotywy starsze od tej, które ciągle jeszcze można uruchomić. To kwestia odpowiedniej konserwacji. Ale to jednak byłoby dość trudne. Poza tym, dokąd mieliby jechać? I po co?

– Po co, nie wiem. Ale stąd jest tylko jeden kierunek – do podziemi Książa. To, co widzimy, musi być tunelem łączącym Książ z Centrum. Ciekawi mnie natomiast, jak zdołali wprowadzić tu te samochody? Nawet w Książu nie może być tak dużego wjazdu do podziemi. Zresztą...

Zbyt późno usłyszeli kroki za sobą. Zapomnieli o robotnikach w hali, którą minęli. Gdyby nie zaabsorbował ich widok pociągu, z pewnością domyśliliby się, że i tamci będą musieli się ewakuować wraz z pozostałymi. A jedyna droga do tunelu wiodła przez tę bramę. Odwróciwszy się ujrzeli jednego z mężczyzn w kombinezonach przypatrującego im się z odległości nie większej od trzech metrów. W dłoni tamtego tkwił duży i ciężki klucz uniwersalny. Za pierwszym stał drugi mężczyzna, uzbrojony w stalowy pręt. To musieli być robotnicy z hali za nimi.

– *Wer ihr seid?* – zabrzmiało. – *Was ihr hier macht?*

Graczyk domyślił się, co oznaczają pytania, ale i tak nie potrafiłby odpowiedzieć. Milczał więc. Janiszewski, choć pewnie mógłby odpowiedzieć, również zachował milczenie.

– *Antworten!* – zniecierpliwził się tamten. – *Polen?*

Graczyk poczuł skurcz żołądka. Nie rozumiał słów, ale z tonu Niemców wnosił, że ciężkie narzędzia w ich rękach dokładnie odpowiadają ich intencjom. Wychwycił jedynie słowo *Polen*. Tamci musieli się domyślić, że mają do czynienia z Polakami. Nic odkrywczego; w końcu, nie znajdowali się w Chinach.

Pozostali obecni wcześniej w hali mężczyźni również ruszyli ku intruzom. Każdy chwycił w dłoń jakieś narzędzie bądź kawał metalu. Nie wyglądało to na chęć zawarcia znajomości. Mimo tak wyraźnych sygnałów Graczyk do końca nie spodziewał się, że zostanie zaatakowany. Jednak mężczyzna, który go wypytywał, znenacka zamachną się ciężkim kluczem. Uderzenie minęło głowę Graczyka o włos; zapewne dlatego, że napastnik miał jeszcze mniej doświadczenia w bójkach niż on sam. Lecz tamtych było kilku, a to skazywało go z góry na porażkę. W dodatku lada chwila do napastników mogli przyłączyć się robotnicy z tunelu.

Uniknąwszy pierwszego ciosu, ledwie zdołał uchylić się przed następnym. Metalowy pręt śmignął koło niego z furkotem i dopiero z tak bliska Graczyk dostrzegł, że to wcale nie jest pręt, lecz wielkie górnicze wiertło. Poczul strach. Człowiek, który je trzymał, uderzał, by zabić. Czyjaś pięść trafiła go w ramię. Zachwiał się, dzięki czemu przypadkiem zszedł z linii następnego ciosu kluczem. Sam także uderzył, mierząc w nerki odwróconego bokiem przeciwnika; jednak bez widocznego skutku. Ktoś stojący z tyłu kopnął go w zgięcie kolana; niezbyt wszakże czysto i Graczyk zdołał utrzymać się na nogach. Był to już jednak koniec jego chaotycznej obrony. Trafiony pięścią w twarz znalazł się nagle na posadzce, a człowiek z wielkim wiertłem, krzywiąc się z nienawiścią, wznosił je do uderzenia.

Janiszewski miał więcej rozsądku - czy też mniej odwagi, co zresztą często na jedno wychodzi – toteż zamiast wdać się w bójkę, rzucił się do ucieczki, zagarniając jakimś cudem z podłogi swój plecak. Jego przeciwnicy nie byli na to przygotowani. Nie miał żadnego planu. Paradoksalnie właśnie to okazało się atutem. Nim mężczyźni atakujący Graczyka zdążyli zwrócić się przeciwko niemu, wpadł w całą grupę, roztrzając ich na wszystkie strony. Kilku przewróciło się, w tym mężczyźni zamierzający się na Graczyka jakimś długim prętem; Janiszewski poświęcił mu tylko jedno przelotne spojrzenie.

– W nogi! – wrzasnął.

Graczyk zrozumiał. Janiszewski chciał, by wrócili tam, skąd przyszli – w ciemność hal produkcyjnych. W mroku łatwiej będzie się ukryć. Poderwał się na nogi. W tej samej chwili coś szarpnęło go w tył. Rzucił się wściekle do przodu i poczuł, jak rozpięta kurtka zsuwa się z niego. Ktokolwiek go trzymał, nie zamierzał puścić. Graczykowi udzieliła się panika Janiszewskiego. Wyplątał się z kurtki i pognął przed siebie, za Janiszewskim. Za sobą słyszał tupot pogoni. Rzucił się w ciemność, na wycucie, kierując się zapamiętanym rozkładem korytarzy. Bał się wylądowania na jakiejś ścianie, ale jeszcze większym strachem napawała go myśl o napastnikach. I nagle poczuł, że jest sam. Odgłosy pościgu ucichły. Napastnicy zostali w tyle. Zatrzymał się. Dopiero po chwili pojął, że zaprzestali pościgu, bo nie mieli latarek. Pracowali w świetle reflektorów i nie były im potrzebne. Nie mogli ich gonić po ciemku. Janiszewski musiał dojść do tego samego wniosku, bowiem kilka metrów w przedzie rozbłysło światło latarki.

– Gdzie pan jest? – usłyszał Graczyk.

– Tutaj.

– Szybciej. Do szybu windy. Zanim zorganizują jakieś światło.

– Chce pan się wspinać po drabince?

– Nie mamy wyjścia. Nie możemy zostać w podziemiach; znajdą nas. W nieskończoność też się nie możemy ukrywać. W końcu zamarzniemy.

– Ale to dwieście metrów w górę!

– Lepsze to niż faceci z łomami.

– To były wiertła górnicze.

Janiszewski zagapił się na niego.

– Mówi pan serio? To ciekawe... No tak, że też nie przyszło mi to do głowy!

– Co takiego?

Wtem w stronie, z której przybiegli, ujrzeli błyski światła, roztańczone niczym robaczki świętojańskie.

– Szybko! – zaordynował Janiszewski.

Niepotrzebnie. Graczyk był już kilka metrów w przedzie.

Bieg w rozdygotanym świetle latarek nie należał do przyjemności. Na szczęście, przeszli już raz tę trasę. Dotarcie do szybu komunikacyjnego zajęło im trzy minuty. Zgasili latarki, by nie zdradziło ich światło. Z kierunku, w którym znajdowały się hale i tunel kolejowy, doszły ich podniesione głosy i podzwanianie metalu.

– Pan pierwszy – szepnął Janiszewski.

– Niech pan idzie – sprzeciwił się Graczyk. – Jest pan sprawniejszy ode mnie. Będę pana spowalniał.

– Nie, to pan...

– Ruszże się człowieku! – zirytował się Graczyk. – Bo obu nas złapią.

Kiedy chwycił zimne szczeble drabiny, ogarnęło go irracjonalne poczucie ulgi. Może dlatego, że każdy krok przybliżał go do wyjścia. A może dlatego, że z powodu ciemności nie widział, iż z każdym krokiem wisi coraz wyżej nad ogromną dziurą w ziemi.

Ochroniarze, których Keller wysłał, żeby sprawdzili, co to za zamieszanie, wrócili po kilku minutach z niewyraźnymi minami. Wiedzieli, że to, co powiedzą, nie spodoba się ich szefowi.

– Intruzi? - zapytał z niedowierzaniem. – Jacy intruzi?

– Dwóch ludzi – odparł jeden z ochroniarzy. – Ubrani jak turyści. Zapewne Polacy. Nie wiadomo, skąd się tu wzięli. Robotnicy zakładający ładunki zauważyli ich i chcieli zatrzymać. Wywiązała się bójka. Tamci uciekli.

– Jeden zgubił to – dodał drugi.

Prezes Kronos AG powoli spojrzał na kurtkę w wyciągniętej ręce ochroniarza.

– Ilu tam było robotników?

– Ośmiu.

– Ośmiu. Czy ośmiu to za mało, żeby złapać dwóch ludzi? Czy chcecie mi powiedzieć, że zamiast Polaków, którzy mogą narobić nam masę kłopotów, mam tutaj tylko jakąś kurtkę?

– W kieszeni były dokumenty, *Herr Keller* – jeden z ochroniarzy był odważniejszy albo głupszy od kolegi.

Keller zmierzył go spojrzeniem. A jednak, mimo wszystko, była to informacja istotna.

– Co znaleźliście? – zapytał już spokojniej.

Ochroniarz podał mu portfel i niechlujnie poskładaną kartkę papieru. Keller otworzył portfel. Jego wzrok stwardniał.

– Turyści, tak? – uniósł policyjną odznakę. – A to pewnie jest pamiątka z jakiejś wycieczki?

Zaklął.

– Tylko polskiej policji nam tu brakowało.

– Ten policjant był tu raczej prywatnie, *Herr Keller*, więc...

– Nie mówię o nim, tylko o kolegach, których może tu przyprowadzić, jeśli uda mu się uciec.

Przez chwilę rozglądał się po zbitych w gromadę ludziach.

– Którędy weszli?

– Nie wiadomo, *Herr Keller*.

– Możemy przeszukać... – zaczął drugi ochroniarz.

Keller uniósł rękę i tamten zamilkł.

– Nie ma czasu.

Przyjrzał się trzymanym przedmiotom. Ujął niechlujnie złożoną kartkę papieru i rozprostował ją.

– No proszę, tu mamy coś ciekawego – obrócił kartkę i ujrzał plan nagryzmołony na odwrocie.

Spojrzał uważniej. Wydawało się logiczne, że intruzi podczas penetracji podziemi sporządzali plan miejsc, w których się znaleźli.

– Jesteś tu od początku, Uwe, i najlepiej znasz wszystkie piętra – zwrócił się do brygadzysty robotników. – Czy ta sieć korytarzy nie wydaje ci się znajoma?

Tamten przyjrzał się rysunkowi.

– To musi być najwyższy poziom, *Herr Keller*. Na tej kartce jest narysowany tylko fragment, ale to może być Mulen Berg.

Keller pokiwał głową. Ci Polacy niewątpliwie tam byli. I to z pewnością na początku swojej wędrówki przez podziemia.

– Jednakże, *Herr Keller*, musiałoby tam być wejście – brygadzista ostrożnie dobierał słowa. – Ale nie ma tam sztolni, którą dałoby się odkopać bez użycia ciężkiego sprzętu, a o tym byśmy się dowiedzieli.

– A jednak tu weszli, więc gdzieś musi istnieć wejście dostępne b e z użycia ciężkiego sprzętu.

– To prawda, *Herr Keller*.

Keller wręczył kartkę jednemu z ochroniarzy.

– Weźmiesz kilku robotników i pójdiesz tam z nimi. Polacy z pewnością będą chcieli tamtędy uciec. Wątpię, żeby znali jakąś inną drogę, skoro my jej nie znamy. Macie ich dopaść. Złapcie ich, jeśli to będzie możliwe, a jeśli nie – zlikwidujcie. Nie życzę sobie żadnego wycieku informacji o tym, co tu robimy. Czy to jasne?

– Tak jest, *Herr Keller*.

– Jeden z wózków wróci po was. Coś mi mówi, że nie sprawdzono tych podziemi tak dokładnie, jak kazałem. Ktoś za to odpowie. Ruszajcie.

Zatrzymał wzrok na dowodzie rejestracyjnym hondy Graczyka.

– Wywołaj przez radio kogoś z ludzi w Fürstenstein – zwrócił się do drugiego ochroniarza. – Muszą natychmiast wysłać ekipę na drogę na Mulen Berg. Za pięć minut mają być w aucie. Na wypadek, gdyby Polakom jednak udało się wyjść. Niech przechwycą ten samochód – podał mu dowód rejestracyjny. – Podyktuj numery. Tylko żadnej broni na powierzchni. Jesteśmy firmą budowlaną.

– Oczywiście, *Herr Keller*.

Keller popatrzył na brygadzystę.

– Trzymamy się planu. Proszę zebrać ludzi. Wiecie, co macie robić.

Tamten skinął głową.

– Uwaga! – zawołał Keller. – Wszyscy na miejsca i ruszamy!

Robotnicy zajęli miejsca w pojazdach. Keller wszedł do ostatniego, kiedy upewnił się, że nikt nie pozostał w tunelu.

– Z Fürstenstein potwierdzili wysłanie ekipy – zameldował ochroniarz siedzący obok kierowcy.

– Znakomicie – mruknął Keller. Ta sprawa zirytowała go, ale był pewien, że mechanizm, który wprowadził w ruch, jest odporny na błędy. Trzeba by nasypać wiele piasku w tryby, żeby zaczął szwankować. Dwa drobne ziarenka, jak ci Polacy, to tylko cichy zgrzyt. Zresztą, praktycznie żyli już na kredyt. Keller nawet nie myślał o ewentualności porażki. Należał do pionierów; ludzi, którzy podejmują się zadań, nie dzieląc ich na wykonalne i niewykonalne. Linia podziału przebiegała gdzie indziej: zadania warte bądź też nie warte jego uwagi. A to tutaj warte było wszystkiego.

Mniej więcej w połowie wspinaczki urządzili sobie krótki odpoczynek. Oznaczało to, że pokonali wysokość osiemnastopiętrowego budynku. Graczyk był u kresu sił. Przez chwilę nasłuchiwali.

– Nic – odezwał się Janiszewski. – Jak pan sądzi, idą za nami?

– Nie wydaje mi się. Skąd mogliby wiedzieć, dokąd uciekliśmy? Pewnie uznali, że chowamy się gdzieś w ciemności.

Graczyk nie bez satysfakcji zauważył, że Janiszewski jest bardziej przestraszony od niego, jeśli to w ogóle było możliwe.

– Czy ma pan jakąś fascynującą teorię wyjaśniającą, dlaczego chcieli nas zabić? – zapytał.

– To oczywiste – tamten obrzucił go ponurym spojrzeniem. – Jesteśmy intruzami. Miejscowymi.

– Tego się domyśliłem. Tylko dlaczego od razu zabić?

– Dla pewności, że będziemy milczeć. Po tym, co zobaczyliśmy, nawet im się nie dziwię.

– No proszę, jaki z pana wyrozumiały facet. Czy na temat tego, co tam było, też ma pan jakąś teorię?

– Jeśli pyta pan, czy byłem zaskoczony, to i tak, i nie. Spodziewałem się czegoś niesamowitego, ale innego niż pociąg. Przed laty wypłynęły na światło dzienne dowody, że Niemcy budowali pojazdy latające w kształcie dysku. Ich nazwa kodowa to V-7. Istniało kilka typów takich pojazdów, różniących się kształtem i wielkością. Największy z nich miał prawie trzydzieści metrów szerokości i mógł osiągnąć prędkość sześciu tysięcy kilometrów na godzinę. Natomiast mniejsze były statkami bojowymi, czymś w rodzaju myśliwców. Ich prędkość mogła sięgać nawet dziesięciu machów, czyli ponad dwunastu tysięcy kilometrów na godzinę. Były prawie pięciokrotnie szybsze od F-16.

– Były? – Graczyk przypatrywał mu się, jakby tamten przedstawiał klasyfikację diabłów na łebku szpilki. – Ma pan zdumiewająco szczegółowe informacje. Ale na ile wiarygodne?

– Nie sposób tego ocenić. To kwestia weryfikacji źródeł. A z tym bywa różnie.

– Bardzo różnie. Jak niby miały być napędzane? Silnikami spalinowymi?

– To niepotrzebny sarkazm, bo Niemcy budowali w czasie wojny także odrzutowce. Ale oczywiście tu napęd miał być inny. Przypuszcza się, że chodziło o elektrogravitację. O jakieś źródło energii – generator wytwarzający siłę nośną poprzez zniwelowanie siły przyciągania ziemskiego.

– Mówi pan o antygravitacji?

– Niezupełnie, ale efekt miał być podobny. Wiadomo, że Niemcy pracowali nad czymś takim i to niewykluczone, że właśnie w „Riese”.

– Chyba pan żartuje.

– Czy ja wiem? Współczesna nauka nie wyklucza takiej możliwości. Nie umiemy tylko na razie jej wykorzystać.

– Innymi słowy, chodzi o UFO. Chce mi pan wmówić, że to Niemcy dali początek historii UFO?

– Niczego takiego nie powiedziałem. Sądzę, że raczej było odwrotnie. Niemcy przejęli koncepcję napędu od budowniczych UFO, kimkolwiek są.

Graczyk milczał przez chwilę.

– Nie sądzą, żeby gadanina o UFO mogła nam pomóc w nakłonieniu inspektora Turskiego do działania. Lepiej będzie, jeśli ograniczymy się do poinformowania go o pociągu. Nie ulega wątpliwości, że jego ładunek przedstawia wyjątkową wartość, skoro podjęto tak szeroko zakrojoną akcję, aby go odzyskać. To powinno wystarczyć, by przekonać największego niedowiarka.

– Możliwe, że wystarczy. Ale nie jestem pewien, czy my zdążymy podjąć jakąkolwiek akcję.

– Dlaczego?

– Ponieważ wiem, co ci faceci tam robili.

Graczyk skrzywił się.

– Jak to jest, że nasza wiedza tak bardzo się różni?

– To pan podał mi rozwiązanie, mówiąc, że atakowano pana wiertłem górniczym, a nie łomem.

– Naprawdę?

– Łoskotu, który słyszeliśmy, nie powodowały młoty pneumatyczne, lecz wiertarki górnicze, wykonujące otwory w ścianach. Ci ludzie zakładali ładunki wybuchowe. I robili to bardzo profesjonalnie.

W ciszy usłyszeli jakiś odległy, niemożliwy do zidentyfikowania dźwięk.

Graczyk potrząsnął głową.

– Musimy ruszać. To jakieś szaleństwo... Może jesteśmy w ukrytej kamerze?

– Może – mruknął Janiszewski. – Ale nie możemy mieć do nikogo pretensji; sami chętnie wleźliśmy w kadr. Nigdy bym nie przypuszczał, że znajdę się w takiej sytuacji. Kiedy mówiłem, że badacz Gór Sowich powinien być przygotowany na wszystko, trochę przesadziłem. Czegoś takiego nikt się nie spodziewał.

– Proszę uważać z tym wyznaniem wiary, bo jeszcze wypiszą pana z klubu eksploratorów.

– Dopiero teraz mnie przyjmą. Dzięki temu, co tu odkryliśmy, przejdziemy do historii.

– Oby nie za prędko.

– Mówił ktoś panu, że jest pan urodzonym pesymistą?

– Powtarzają mi to od urodzenia.

Wreszcie, za którymś razem, skierowana w górę latarka Janiszewskiego, który wspinał się jako pierwszy, wydobyła z mroku sklepienie szybu. Po zejściu z drabinki odpoczęli po raz ostatni i ruszyli, kierując się rysunkiem Janiszewskiego, ku odległemu o jakieś półtora kilometra korytarzowi, gdzie znajdował się szyb wentylacyjny. Tym razem już nie rozglądali się z zaciekawieniem; z pewnością nie było tu niczego bardziej interesującego od tego, co już mieli okazję zobaczyć.

– Jest ósma dwadzieścia – mruknął Janiszewski. – Już dzień. Łatwiej nam będzie zejść z góry.

– Chociaż taka korzyść z całonocnego błędzenia po podziemiach.

– Kiedy pan odpocznie, spojrz pan na to inaczej.

– Odpoczniemy dopiero wtedy, kiedy zmusimy kogoś, żeby się tym zainteresował. A to może nie być łatwe.

– Syndrom Turskiego?

– Syndrom Turskiego.

Wylot szybu objawił im się niczym otwarte drzwi klatki. Graczyk poczuł nieopisaną ulgę i dopiero teraz pozwolił sobie, by opadło na niego całe zmęczenie.

– Musi mnie pan podsadzić – powiedział Janiszewski, zdejmując i odkładając plecak.

Graczyk westchnął. Pamiętał, że lina skończyła się kilkadziesiąt centymetrów nad otworem wentylacyjnym.

– Czuję, że pan to powie.

Przykucnął, splótł dłonie i kiedy Janiszewski postawił na nich stopę, wyprostował się. Tamten chwycił krawędź szybu i podciągnął się z wysiłkiem. Dłuższą chwilę szarpał się tam i sapał, zanim udało mu się wgramolić do środka. Zapadła cisza.

– Wszystko w porządku? – zawołał w końcu Graczyk.

Głowa Janiszewskiego pojawiła się w otworze. Musiał położyć się na dnie szybu.

– Tak. Niech pan mi poda plecak. A teraz rękę.

Podciągnął Graczyka na tyle, by ten zdołał chwycić krawędź otworu, a następnie pomógł mu wgramolić się do szybu. Przejście przez pochyły łącznik nie nastęczało kłopotu i nie wymagało wielkiego wysiłku. Nachylenie nie było duże, a podłoże na tyle szorstkie, że mogliby nawet stanąć bez trzymania liny. Janiszewski znów wspinał się pierwszy. Graczyk za nim w odległości dwóch metrów. Musiał uważać na osuwające się na niego okruchy skał i skruszałego betonu. Wiedział jednak, że to łatwiejsza część drogi. Znacznie więcej sił będzie potrzebował na pokonanie ponad dwudziestu metrów głównego szybu. Janiszewski poinstruował go, jak chwycić linę stopami i jak przenosić ciężar ciała na nogi, ale czy potrafi to zastosować w praktyce miało się dopiero okazać.

W szybie panowała ciemność. Nawet w dzień przez wylot szybu wpadało do środka bardzo niewiele światła. Janiszewski, jako doświadczony wspinacz, podjął się trzymania latarki; Graczyk na pewno by sobie z tym nie poradził.

To była mordęga. Nawet w porównaniu z tym wszystkim, co im się przytrafiło. Co kilka metrów przeżywał kryzys; zamierał wówczas w bezruchu, starając się odciążyć rękę. W rezultacie Janiszewski znacznie go wyprzedził i na ostatnim odcinku spoglądał na niego z góry, leżąc w bocznej odnodze i świecąc latarką.

Gdy stanęli wreszcie na powierzchni, Graczyk nie wytrzymał. Położył się między paprociami i z poczuciem winy obserwował jak Janiszewski, sumienny do końca, wciąga linę, odwiązuje od drzewa i chowa do plecaka.

– Myślę, że wystarczy tej naszej podziemnej turystyki – powiedział. – Zbyt wiele tu się dzieje. To nas przerasta. Musimy zawiadomić kogo trzeba. Kogoś w Wałbrzychu. I wyruszymy z większą ekipą.

– Ekipą? – warknął Janiszewski. – Naprawdę pan myśli, że ten cały inspektor od siedmiu boleści zorganizuje ekipę, żeby sprawdzić nasze, raczej mało wiarygodne, opowieści? A nawet jeśli, to kiedy wyruszą? Jutro? Pojutrze? Wtedy będzie już można zamówić klepsydrę za Marcina.

– Zapomniał pan o kilku drobiazgach. Jest nas tylko dwóch, a ich zapewne znacznie więcej niż widzieliśmy. Tutaj nie mamy już czego szukać, bo prędzej czy później domyślą się, którędy weszliśmy i zablokują szyb, a w każdym razie będą go pilnować. Innej drogi do Centrum nie znamy, a jeśli spróbujemy jakiejś szukać, potrwa to z siedemdziesiąt lat. Poza tym, ktoś prowadzi nielegalną działalność w podziemiach, a ja jestem policjantem i nie mogę tego tak zostawić.

Janiszewski ponuro milczał. W końcu się odezwał.

– Ma pan rację – w jego głosie pobrzmiwała rezygnacja. – Musimy spowodować, żeby władze zainteresowały się Książem. I to jak najszybciej. Ci Niemcy czy Austriacy muszą być z Książa. Wejście, którego używają, na pewno prowadzi przez zamek. Trzeba działać zdecydowanie, żeby nie zdołali go znów ukryć na kolejne pół wieku.

Graczyk przypatrywał mu się uważnie.

– Ten plan chyba nie bardzo panu odpowiada?

Janiszewski narzucił plecak.

– Coś panu powiem. Jeśli tylko Turski choć raz krzywo się uśmiechnie, kiedy będziemy go prosić o pomoc, machniemy na niego ręką i zajmiemy się tym sami.

– W jaki sposób? Złożymy podanie o udostępnienie wejścia do podziemi?

– Nie będziemy musieli. Skorzystamy z wejścia awaryjnego.

Wsiadając do hondy, Graczyk pomyślał, że nie powinien prowadzić samochodu – dokumenty, utracone wraz z kurtką, stały się właśnie częścią tajemnic Gór Sowich. Całe szczęście, że komórkę i wszystkie klucze nosił zawsze w kieszeni spodni. Nie mogli jednak zadzwonić po pomoc. Telefony poinformowały ich – jakże by inaczej – o braku zasięgu.

Zejscie z boczem Moszny okazało się dość męczące, tym bardziej że nie mieli przewodnika, a żaden z nich nie pamiętał dokładnie drogi. Rześki poranek w lesie mógłby być przyjemny, gdyby nie okoliczności. Na szczęście auto stało tam, gdzie je zostawili.

– Jedźmy od razu do Turskiego i miejmy to z głowy – zaproponował Graczyk zatrzymując samochód na skrzyżowaniu z główną drogą. Skręcając w prawo mogli pojechać do Głuszycy; w lewo do Walimia i dalej, przez Wałbrzych, do Książa – Możemy potrzebować sporo czasu, żeby go przekonać.

– Fakt.

Graczyk skręcił w lewo.

– Wszystko zaczyna pasować – odezwał się po chwili Janiszewski.

– Naprawdę?

– No jasne. Sam pan się zastanawiał, skąd w podziemiach tyłu Niemców. Książ – to jest właśnie odpowiedź. Podziemne połączenie między Książem a Górami Sowimi to najprostsze wytłumaczenie. Z pewnością drożne jest też co najmniej jedno nieznanie nam wejście do Centrum, bezpośrednio lub za pośrednictwem któregoś z kompleksów. Musi tak być, skoro Radkowi udało się wydostać na powierzchnię. Ale Niemcy raczej nie mogą z niego korzystać, bo ich większa aktywność na tym terenie została zauważona. Wchodzą przez Książ. To także wyjaśnia kwestię zasilania narzędzi i reflektorów w prąd. Najlogiczniej jest przyjąć, że i prąd może być dostarczany stamtąd, przez podziemny kabel. Łatwo byłoby to ukryć w tej masie energii, jaka jest potrzebna do prowadzenia prac w zamku. Niestety, nie wyjaśnia to obecności samochodów w podziemiach. Nie mam pojęcia, gdzie mogłyby znajdować się tak duże wejście, aby mogły nim wjechać. Gdzieś jednak musi być.

– Czyli, jeśli dobrze rozumiem, Książ stanowi coś w rodzaju bazy wypadowej i dogodnego wejścia do podziemi Gór Sowich?

– Owszem, ale także coś więcej. Książ ma własne podziemia...

– Tak, wspominał pan o tym.

– Właśnie. Zamek nie jest tylko bramą do podziemi. Tam też pewnie coś robią.

Graczyk milczał chwilę.

– To będzie głupie pytanie, ale czy rozumie pan coś z tego?

Janiszewski uśmiechnął się z rezygnacją.

– Z pewnością głupsza od pytania byłaby każda odpowiedź, jakiej mógłbym udzielić.

Droga nie była uczęszczana, zwłaszcza o tej porze. Graczyk od razu zwrócił uwagę na samochód, który niedaleko za nimi pokonywał zakręt – nowiutki, granatowy, błyszczący chromowanym orurowaniem, z przyciemnianymi szybami. Choć wymuskany, jak miejskie autko, był to jeep Grand Cherokee o pojemności prawie pięciu litrów i mocy ponad 230 koni mechanicznych. Kiedy zaczął ich wyprzedzać, nawet Janiszewski przyjrzał mu się z zainteresowaniem.

– Piękne auto – skomentował.
– To prawda.
– Pozwoli pan się wyprzedzić? – Janiszewski zerknął na niego z ukosa.
– Nie tylko pozwolę, ale nawet zwolnię, żeby mu to ułatwić. Tamten ma dwukrotnie mocniejszy silnik. Żeby go powstrzymać, musiałbym zastrzelić kierowcę. A nie mam przy sobie pistoletu.

Grand Cherokee był naprawdę wielki. Przy dość niskiej hondzie piętrzył się niczym ciężarówka. Przyciemniane szyby uniemożliwiały dostrzeżenie wnętrza samochodu.

– Długo zamierza tak jechać obok nas? – zdziwił się Janiszewski.

Graczyka również to zaniepokoiło. Uniósł stopę znad pedału gazu, by jeszcze bardziej zwolnić i puścić tamtego przodem. W samą porę. Grand Cherokee, pchnięty nagłym obrotem kierownicy, runął bokiem na ich samochód, jakby zamierzał zepchnąć ich z drogi. Huk zgniatanych blach zabrzmiał jak wybuch, a Graczykiem i Janiszewskim targnęło w pasach. Uratowało ich to, że zaczęli już zwalniać. Przód hondy znalazł się w połowie długości jeepa, co znacznie osłabiło impet uderzenia. Graczyk odruchowo nacisnął na hamulec i honda zatańczyła na jedni przy wtórze pisku opon. Obróciło ich w poprzek drogi, lecz zdołali się zatrzymać. Na szczęście, nikt nie nadjeżdżał z przeciwka.

– Chryste, co to było?! – wykrztusił Janiszewski.

Jego słowa zagłuszył wizg opon. Jeep gwałtownie hamował i jednocześnie zawracał. Manewr był tak płynny, że kierowca musiał być prawdziwym profesjonalistą. To było celowe działanie. Tamten naprawdę chciał zepchnąć ich z drogi. To mogło oznaczać tylko jedno. Obaj natychmiast to zrozumieli.

Graczyk wrzucił pierwszy bieg i nacisnął na gaz. Honda stała w taki sposób, że wystarczył lekki obrót kierownicy, by znaleźli się na sąsiednim pasie i ruszyli w kierunku przeciwnym do tego, w którym zmierzali wcześniej.

– Co pan robi? – zdumiał się Janiszewski.

– A jak pan myśli? – Graczyk wrzucał coraz wyższe biegi maksymalnie zwiększając obroty silnika. – Uciekamy.

Lśniący Grand Cherokee zdołał już zawrócić i przyspieszał, pchany mocą ponad czteroipółlitrowego silnika. Chromowane rury, osłaniające chłodnicę, były lekko pokrzywione, a prawy bok wgnieciony – ślad po uderzeniu w hondę. Taki wóz – przemknęło Graczykowi – co za marnotrawstwo. Doścignął ich po trzech minutach; znacznie wcześniej niż Graczyk się spodziewał. Choć starał się jechać jak najszybciej, nie przekraczał stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę i to jedynie na bardzo krótkich odcinkach. Jechać prędej wydawało się niemożliwe. Jednak kierowca Grand Cherokee tego dokonał. Musiał być naprawdę dobry. A jeep z pewnością nie został kupiony za uciulane z trudem pieniądze. Tak się nie traktuje życiowego marzenia.

Czując się jak idiota, Graczyk zaczął jechać zygakiem, żeby nie dać się wyprzedzić. Jednak jeep tym razem wcale nie miał takiego zamiaru. Graczyk za późno to zrozumiał. Nagły wstrząs wcisnął ich w fotele, a Graczykowi omal nie wyrwał z rąk kierownicy. Grand Cherokee, skoczywszy do przodu, uderzył wzmocnionym zderzakiem w tył hondy. Kierowca jeepa najwyraźniej stracił chęć do zabawy. Lekko popuścił gazu, na tyle tylko, by samochody zdołały się rozdzielić, po czym przyspieszył ponownie. Kolejne uderzenie było jeszcze mocniejsze. A że nadeszło pod pewnym kątem, hondą zarzuciło. Graczyk, czując, że traci panowanie nad autem, zakręcił jak szalony kierownicą. Przez głowę przemknęła mu idiotyczna myśl, że po tym wszystkim nikt i tak nie uwierzy, że gdzieś na podrzędnej drodze terenowy samochód z przyciemnianymi szybami ścigał prowincjonalnego gliniarza. Nigdy się z tego nie wytłumaczy.

Jakimś cudem zdołał obrócić koła we właściwym kierunku. Było w tym więcej szczęścia niż jego umiejętności. Honda przestała tańczyć na drodze i Graczyk natychmiast przyspieszył. Udało mu się odskoczyć od jeepa.

– Bardzo chcę nas zatrzymać – wykrztusił Janiszewski. W jego głosie strach mieszał się z zaskoczeniem.

– Raczej zabić – mruknął Graczyk, nie spuszczać oka z wstecznego lusterka.

Jego radość z oderwania się od jeepa trwała tylko chwilę. Dystans wzrósł do pięciu metrów, lecz na tym się skończyło. Po kilku sekundach zaczął ponownie się zmniejszać. Kiedy przód jeepa znalazł się nie dalej niż o metr od tyłu hondy, Graczyk skurczył się wewnętrznie oczekując następnego uderzenia. Ale kierowca Grand Cherokee zmienił taktykę. Wytrzymałość zderzaka, nawet wzmocnionego, musiała mieć swoje granice. Dlatego teraz zbliżał się powoli, powtarzając wszystkie manewry hondy, dopóki nie oparł o jej tył nosa jeepa. Wówczas zaczął zwiększać moc.

Graczyk, który obserwował wszystko w lusterku, bezskutecznie usiłując utrzymać odległość, poczuł, że honda nabiera dodatkowego przyspieszenia. Jeep pchał ją niczym pług, zgarniający zimną śnieg z drogi. Graczyk nacisnął hamulec. Zrobił to zbyt gwałtownie i przód hondy zatoczył się – siła nacisku jeepa nie działała dokładnie wzdłuż osi, lecz była nieco przesunięta. Mogło to spowodować przewrócenie się hondy. Graczyk skontrował kierownicą i przeniósł stopę na pedał gazu. Przyspieszył nieco, dzięki czemu udało mu się wrócić na prostą. Kierowca jeepa nie pozwolił mu jednak na ponowny odskok.auta rozdzieliły się zaledwie na ułamek sekundy, po czym Grand Cherokee znów wczepił się w bagażnik hondy, jak przyciągnięty magnesem.

– Co oni chcą zrobić? – Janiszewski co chwila odwracał głowę. Niewiele widział – chłodnica jeepa wypełniała niemal całą tylną szybę.

– Pewnie zepchnąć nas z drogi – odparł.

– Tutaj? Wokół tylko las. Nie ma żadnej przepaści, w którą moglibyśmy spaść.

– Myślę, że jeśli wylądujemy na drzewie, to efekt może być podobny. Tak czy inaczej, zatrzymają nas.

Na szosie, dotychczas pustej, pojawił się samochód, nadjeżdżający z przeciwną. Graczyk mocniej chwycił kierownicę. Musiał bardzo uważać, by minęli się bezpiecznie. I wtedy poczuł, że wbrew jego woli honda zaczyna zbliżać się do linii oddzielającej dwa pasy jezdni.

Bezsilność to okropne uczucie. Jego samochód zmierzał do czołowego zderzenia, a on niewiele mógł na to poradzić. Nie mógł skrócić kierownicy za bardzo w prawo, ponieważ przy tej prędkości nacisk na tył hondy spowodowałby jej przewrócenie. Wątpliwe, by wyszli cało z dachowania. Zrobił więc jedyne, co mu pozostało – nacisnął na hamulec. Kierowca jeepa był na to przygotowany. Prawie dwustuczterdziestokonny silnik Grand Cherokee zawył na zwiększonych obrotach. Znacznie cięższe i silniejsze auto musiało wziąć górę w tym pojedynku zawodnika wagi lekkiej z zapaśnikiem sumo. Choć dużo wolniej, honda nadal posuwała się naprzód, ślizgając się na zablokowanych kołach. Graczyk wrzucił wsteczny bieg i dodał gazu. Teraz i silnik hondy zawarczał rozdzierająco. Spod opon wydobył się dym. Mimo to, ruch do przodu nie ustał. Jeep brutalnie przełamywał opór hondy i rozpędzał ją coraz bardziej.

– Spali pan silnik! – zawołał Janiszewski.

Nadjeżdżający samochód – stary volkswagen golf – znajdował się już tak blisko, że Graczyk dostrzegł osłupienie w oczach prowadzącego go mężczyzny. Zdumiewający spektakl, rozgrywający się na drodze, musiał go nieźle przestraszyć. Zjechał tak daleko na skraj szosy, że samochód szorował niemal karoserią po gałęziach drzew. Lecz i to mogło okazać się za mało, jeśli Graczykowi nie uda się pozostać na swoim pasie jezdni.

– Słyszysz pan? – powtórzył Janiszewski, przekrzykując hałas. – Silnik nie wytrzyma!

Honda już niemal całą długością przekroczyła środek jezdni, posuwając się skośnie po przeciwnym pasie. Gdy nadjeżdżający samochód znalazł się w odległości najwyżej trzydziestu metrów, kierowca jeepa postanowił postawić kropkę nad „i”. Silnik Grand Cherokee ryknął i wielka maszyna ze zdwojoną siłą pchnęła hondę wprost na volkswagena.

Graczyk czekał na ten moment. Postanowił wykorzystać przeciwko napastnikowi jego własny impet. Usłyszawszy zmianę w brzmieniu silnika jeepa, natychmiast wcisnął sprzęgło, wrzucił pierwszy bieg i dodał gazu. Honda skoczyła do przodu, przed nadjeżdżającego volkswagena. Graczyk nawet nie próbował skręcać. Wręcz przeciwnie, wciąż na pierwszym biegu wdusił pedał gazu do oporu, aż wskaźnik obrotomierza znalazł się daleko na czerwonym polu. Przy wtórze rozdierającego wycia silnika honda przemknęła tuż przed nosem volkswagena i wpadła na pobocze. Dopiero wówczas Graczyk wcisnął hamulec. Samochód obróciło i niemal wepchnęło pod pierwsze drzewa, lecz zdołał się zatrzymać.

Jeep zachował się jak bokser, któremu przeciwnik niespodziewanie zszedł z linii szczególnie mocnego ciosu – trafił w pustkę i dał się ponieść sile rozpędu. Kiedy zniknął opór ze strony hondy, Grand Cherokee runął przed siebie, zbyt szybko, by jego kierowca mógł wyhamować. Uderzył w przednie nadkole volkswagena. Różnica w wysokości obu aut sprawiła, że jeep niemal wspiął się na maskę golfa i oparł na niej spodem swojego zderzaka. Gdyby nie okoliczności, przypominałoby to amerykańskie wyścigi bigfootów – popisy pojazdów na wielkich, baloniastych kołach.

Ciężar jeepa wgniół pokrywę silnika volkswagena niczym kartonowe pudło. Przednia oś golfa pękła pod naciskiem, a koła odpadły od piast i samochód dosłownie osiadł na nawierzchni. Przez chwilę szorował brzuchem po asfalcie wzbudzając przeraźliwy zgrzyt i fontannę iskier, aż zatrzymał się i wszystko ucichło.

Widok był niesamowity. Na rozplaszczonym niczym naleśnik przedzie volkswagena spoczywał przód jeepa. Choć wypadek wyglądał groźnie, fakt, że samochody nie tyle zderzyły się czołowo, ile wsunęły jeden pod drugi, sprawił, iż jego skutki nie były tragiczne. Z miejsca, w którym znajdowała się honda, można było dostrzec, że kierowca golfa ma się dobrze; na tyle, by podjąć próbę otwarcia drzwi. Wnętrze jeepa zasłaniały przyciemniane szyby, ale skoro samochodowi nic się nie stało, to tym bardziej jego pasażerom.

Dla Janiszewskiego i Graczyka, którzy oglądali zderzenie z fascynacją pomieszaną ze strachem, najważniejsze było co innego.

– Utknęli – ucieszył się Janiszewski. – Nie dadzą rady się rozdzielić. Wygląda na to, że mamy ich z głowy.

– Nie sądzę – Graczyk wrzucił pierwszy bieg i ruszył z pobocza. – Nie zastanowiło pana, dlaczego nikt nie wysiadł z jeepa?

– Ludzie różnie reagują na takie sytuacje. Może są w szoku?

Graczyk wyjechał na jezdnię i skierował się w stronę, w którą zmierzali wcześniej. Przyspieszał coraz bardziej, choć nikt ich nie gonił.

– Może – mruknął. – Ale jest, niestety, inne wyjaśnienie.

– Mianowicie?

– Nie wysiedli, ponieważ zamierzają nadal nas ścigać.

– Jakim cudem? Pieszko?

– Zapomniał pan, że to samochód terenowy. Ma napęd na cztery koła.

Janiszewski obejrzał się. Graczyk miał rację. Tylne koła Grand Cherokee zabuksowały na asfalcie i samochodem szarpnęło. Nie zdołał się uwolnić, lecz po sekundzie jego kierowca podjął kolejną próbę. Tym razem pchnął auto do przodu, a potem raptownie w tył. To poskutkowało. Jeep zjechał z maski volkswagena i stanął wszystkimi kołami na jezdni. A potem jego przód skierował się w stronę uciekającej hondy.

– O cholera! – zaklął Janiszewski.

Pierwszy zakręt skrył jeepa przed ich oczami, dając złudne poczucie bezpieczeństwa. Graczyk wiedział jednak, że napastnicy tam są i zapewne coraz szybciej się zbliżają. Janiszewski wypatrywał czegoś usilnie z prawej strony szosy. Nagle chwycił Graczyka za ramię i wskazał palcem.

– Niech pan skręci w tę leśną drogę! – zawołał.

Graczyk dostrzegł jakieś pięćdziesiąt metrów przed nimi niewielką wyrwę w ścianie lasu.

– W tę przecinkę? Oszalał pan?

– Niech pan skręci! To nasyp dawnej kolejki wąskotorowej, łączącej kompleks Soboń z kompleksem Osówka. Skoro jeździła tędy kolejka, to i samochód przejedzie.

– To było siedemdziesiąt lat temu. Poza tym, to oni mają auto terenowe, a nie my. Tu na pewno nie uciekniemy.

– Oni nie znają tych gór. Ja mogę z pamięci wyrysować mapy wszystkich dróg, szlaków i ścieżek między Głuszycą a Walimiem.

Graczyk zaklął w myślach. Na głównej drodze nie mieli szans; o tym już się przekonali. W lesie pewnie mieli ich jeszcze mniej, ale tu przynajmniej pozostała jakaś doza niepewności. Zaczął hamować.

– Oby miał pan dobrą pamięć – mruknął.

Zatrzymał się niemal i zbadał wzrokiem przecinkę. Rzeczywiście było to coś w rodzaju leśnej drogi, niezbyt chyba uczęszczanej, bo jedynie z lekka pooranej koleinami. Jego samochód nie nadawał się do takiej jazdy. Ale pewne pocieszenie stanowił fakt, że jazda w ogóle była tu możliwa.

Przyglądał się odrobinę za długo – skręcając w las dostrzegł wyłaniającego się zza zakrętu jeepa. Janiszewski zaniepokoił się.

– Zdążyliśmy się schować?

– Nie wiem. Zaraz się przekonamy.

Stanął, przestawiając drążek zmiany biegów na luz. Wyraźnie słyszeli zbliżającego się jeepa. Jechał z dużą prędkością. Ton jego silnika rósł, w pewnym momencie osiągnął maksimum, a potem zaczął szybko maleć. Grand Cherokee minął wjazd na leśną drogę.

– Tym razem mieliśmy szczęście – ucieszył się Janiszewski.

– Może wrócimy na drogę? – zasugerował Graczyk. – Zanim zorientują się, że gonią za mirażem, będziemy już daleko.

– Jadą bardzo szybko – Janiszewski pokręcił głową. – Zorientują się prędzej niż pan przypuszcza. Radziłbym trzymać się planu. Wiem, jak stąd trafić prosto pod pański komisariat w Głuszycy.

Graczyk przyglądał mu się sceptycznie.

– A te góry wokoło? Jak długo tu stoją, nikt chyba po nich jeszcze nie jeździł hondą civic.

– Zdziwiłby się pan, czym tutaj jeżdżono. Sądzi pan, że kolejka wąskotorowa to pojazd terenowy? Jeśli ona przejechała, przejedzie wszystko.

Droga w głąb lasu wiodła pod górę. Na szczęście od dłuższego czasu nie padało i ziemia była twarda; inaczej miejskie auto nie poradziłoby sobie w takich warunkach. Graczyk prowadził ostrożnie, świadom faktu, że już dawno nie robił nic tak niemądrego.

– Jak mam jechać?

– Na razie tak, jak prowadzi droga. Potem trochę pokombinujemy.

– Czuję, że pan to powie.

W cieniu drzew upał dawał się mniej we znaki niż na otwartej przestrzeni. Jedyna korzyść z tej niezbyt rozsądnej eskapady, pomyślał Graczyk. Musiał jednak przyznać, że Janiszewski nie koloryzował – dawny nasyp kolejki wąskotorowej stanowił całkiem niezłą drogę, wspinając się po zboczu łagodnymi łukami.

– Jeszcze kawałek pod górę i znajdziemy się na wysokości głównych obiektów naziemnej części kompleksu Osówka – odezwał się Janiszewski. – Potem będzie już w dół.

– Dokąd właściwie jedziemy?

– W czasie wojny całą górę przecinało wiele rozgałęzień torów kolejki. Prowadziły do każdego miejsca, gdzie trwała budowa. Wiodły też poza Osówkę. Jedna nitka łączyła tę budowę z budową na Soboniu. Druga – z dworcem kolejowym w Głuszycy Górnej, skąd dostarczano wszelkie potrzebne materiały. Jeśli tamtędy pojedziemy, doprowadzi nas – tak jak obiecałem – niemal do pańskiego komisariatu.

Graczyk popatrzył na niego sceptycznie.

– Jakoś to zbyt pięknie brzmi... Gdzie tkwi haczyk?

– No cóż – Janiszewski wzruszył ramionami. – Nigdy całej tej trasy nie pokonywałem. Nie jestem pewien, czy niektóre odcinki zanadto nie pozarastały lasem... Ale – dodał widząc, że Graczyk otwiera usta – jest tu tyle rozwidleń, że na pewno jakoś przejedziemy.

Graczyk powstrzymał się od komentarza. Skoro już dał się na to namówić, narzekanie nie miało sensu. Przed nimi dawno już zapewne nikt tędy nie jechał. Musiało się to zresztą zdarzać sporadycznie. Jedynie leśnicy korzystali z tego rodzaju dróg. Dotarli do rozwidlenia; zapewne niegdyś w tym miejscu znajdowała się zwrotnica kolejki wąskotorowej. Janiszewski bez wahania wskazał kierunek na wprost.

– Gdybyśmy pojechali w lewo, dotarlibyśmy do położonych wyżej ruin jednego z osiedli robotników Organizacji Todta, która uczestniczyła w budowie „Riese” – wyjaśnił.

– A jadąc prosto?

– Przejedziemy przez główną część zabudowań kompleksu i za nimi wydostaniemy się na drogę, która nie będzie już nasypem dawnej kolejki, ale prawdziwą drogą, tyle że gruntową.

– Wydostaniemy się – Graczyk z aprobatą skinął głową. – To słowo mi się podoba.

Po kilkudziesięciu metrach znaleźli się na kolejnym rozjeździe. Tym razem nasypy rozchodziły się pod niewielkim kątem, lecz jeden biegł w górę, a drugi coraz niżej. Wbrew oczekiwaniom Graczyka, Janiszewski kazał mu jechać w górę.

– Dolny tor kończył się kiedyś bocznkami i nie ma tam przejazdu – stwierdził. – Co prawda, trasa jest ciekawa, bo wiedzie obok Siłowni, o której panu mówiłem, ale potem jest już tylko las.

– W takim razie zwiedzimy ją kiedy indziej.

– Wyżej też jest ciekawie. Przejedziemy obok największego bunkra, jaki powstawał w Górach Sowich. Ma ponad pięćdziesiąt metrów długości. Okoliczni mieszkańcy nazywają go Kasynem albo Zamkiem Hitlera. Tak naprawdę nie wiadomo, czym miał być. I dlaczego zlokalizowano go akurat tutaj, na Osówce. Niczego podobnego nie ma w innych kompleksach.

– Kolejna tajemnica?

– Kolejna to mało powiedziane. Łatwiej byłoby wymienić to, co nie jest tajemnicą.

Szara bryła przysadzistego, parterowego, niezwykle długiego obiektu wznosiła się nieco wyżej od poziomu, na którym się znajdowali. Otaczały ją drzewa, wciskając swoje korzenie nawet w szpary w spękany beton. Kiedyś to miejsce musiało wyglądać zupełnie inaczej. Nagi, bezdrzewny szczyt góry opasywały drogi i tory kolejowe. Hałas maszyn i kompresorów tłoczących powietrze do podziemi niósł się nad górami dniem i nocą. Wszędzie pełno było ludzi: więźniów w pasiakach, robotników w kombinezonach Organizacji Todta, inżynierów i żołnierzy SS. Gdyby Dante żył siedemdziesiąt, a nie sześćset lat temu, znalazłby tu dobrą inspirację do swojego „Pieśń”.

– Jak pan myśli – odezwał się Janiszewski – kto to mógł być, tam, na drodze?

– Nie wiem – odparł Graczyk.

Janiszewski patrzył na niego z powątpiewaniem.

– To trochę dziwne, że ktoś usiłował zepchnąć z drogi samochód i to akurat pański – drążył Janiszewski. – Chyba że ma to związek z naszymi przyjaciółmi z podziemi. Ale to by oznaczało, że zdołali jakoś zawiadomić swoich ludzi na powierzchni.

Janiszewski zamilkł raptownie. Mijali właśnie ciąg wielkich betonowych boksów, służących niegdyś za składowisko materiałów budowlanych. Do dziś niektóre wypełniał piasek, którego nie zdążono wykorzystać, a w jednym leżały schludnie poukładane worki skamieniałego cementu. Za zbiornikami czekało jednak coś, czego próżno byłoby szukać w tamtej epoce. Graczyk odruchowo nacisnął na hamulec.

– Jak nas znaleźli? – zdumiał się, zniżając głos niemal do szeptu.

Janiszewski ze strachem patrzył na czarnego jeepa, stojącego na drodze opasującej zbiorniki z drugiej strony i nieco wyżej, niż ta, po której jechali.

– Musieli zawrócić i wjechać w las za nami, ale pojechali górą, koło ruin obozu Organizacji Todta – odparł. – Potem skręcili w dół i znaleźli się na sąsiedniej nitce dawnej kolejki. Mówiłem panu, że tu wszystko jest ze sobą połączone.

Jeep trwał w bezruchu. W ciemnych szybach przeglądały się okoliczne drzewa.

– Może w środku nikogo nie ma? – zasugerował Janiszewski.

– Sądzi pan, że poszli zwiedzać Kasyno? Nie liczyłbym na to.

– Co w takim razie zrobimy?

– To pytanie raczej do pana. Ja jestem tylko szoferem. Ale coś mi mówi, że jeśli ruszymy, to i oni ruszą.

– Żeby nas dopaść, muszą okrążyć zbiorniki. My w tym czasie zdołamy się oddalić. Pomyślą, że pojechaliśmy prosto, do drogi na poziomie sztolni. A my przeskoczmy na inne torowisko i zgubimy ich.

– Już raz próbowaliśmy i się nie udało.

– Tym bardziej będą przekonani, że pojechaliśmy prosto.

Graczyk słuchał tego ze sceptycyzmem. Nie mieli jednak wyboru. Wcisnął sprzęgło i wrzucił pierwszy bieg. Spojrzał na Janiszewskiego.

– Pański plan przeciwko ich napędowi na cztery koła. Trudno to uznać za wyrównane szanse.

Janiszewski wyraźnie bał się, ale starał się nadrabiać miną.

– To prawda – odwzajemnił spojrzenie. – Mamy przewagę.

Las porastający ruiny, po siedemdziesięciu latach ciszy, znów wypełnił się rykiem silników. Kierowca jeepa ruszył niemal równocześnie z Graczykiem i w jednej chwili obalił ich plany. Patrzyli ze zdumieniem, jak Grand Cherokee zjeżdża z drogi i ocierając się niemal o drzewa, łamiąc krzewy i ryjąc miękką ściółkę, przebija się na przełaj przez las, błyskawicznie pokonując dzielącą ich odległość.

Graczyk poczuł skurcz żołądka, kiedy wielka maszyna wypadła na drogę tuż za nimi. Zarzuciło ją, niemal obróciło w miejscu, lecz kierowca zdołał wyrównać budząc wyciem silnika upiory przeszłości.

– Boże święty! – Janiszewski nie mógł oderwać oczu od pędzącego olbrzyma. – Szybciej! Zaraz nas dogonią!

Graczyk nie mógł bardziej przyspieszyć. Już i tak wyciągał prawie siedemdziesiątkę, co na gruntowej drodze wijącej się wokół grzbietu zalesionej góry zakrawało na szaleństwo. Silnik zawodził na wysokich obrotach, lecz Graczyk nie zmieniał biegu, wciąż jadąc na drugim.

Poczuł dłoń Janiszewskiego na swoim ramieniu.

– Niech pan zrobi to samo, co oni! – zawołał tamten.

– Co takiego?

– Na drodze nas dogonią, więc niech pan z niej zjedzie.

– Zbikował pan do reszty?

Janiszewski wskazał na zbocze po prawej stronie.

– Kilkanaście metrów od nas, równoległe do drogi, którą jedziemy, biegnie stary nasyp kolejki. My o tym wiemy, ale oni na pewno nie. Znajdzie pan jakąś lukę i zjedzie na dół. Może tam uda się uciec. A może jacyś ludzie będą zwiedzać sztolnie? Przy świadkach nic nam nie grozi.

– Znajdzie lukę? – Graczyk myślał, że się przesłyszał. – Mam jechać przez las?

– Te torowiska się nie łączą. Zbliżają się do siebie, ale nie łączą. Nachylenie stoku jest niewielkie. To tylko kilkanaście metrów. Damy radę.

Chłodnica jeepa zawisła już niemal nad tylnym zderzakiem hondy. Spod kół Grand Cherokee bryzgały grudy ziemi. Graczyk wiedział, że lada chwila może się spodziewać uderzenia. Bez względu na to, czy zostanie zepchnięty, czy sam zjedzie z drogi, hondę mógł już spisać na straty. Po tym wszystkim będzie się nadawała tylko na złom. O ile w ogóle będzie jakieś potem.

– Teraz! – ryknął Janiszewski.

Graczyk szarpnął kierownicą. Nie widział żadnej luki. Zbocze po prawej, rzeczywiście niezbyt strome, porastał las, wprawdzie dość rzadki, ale przestrzeń między drzewami wypełniały krzewy. Zaklął i nadepnął na pedał gazu. Koła hondy zabuksowały, lecz zaraz odzyskały przyczepność i auto dosłownie zeskoczyło z drogi. W samą porę. Jeep właśnie przymierzał się do uderzenia. Trafiał w pustkę i poniosło go siłą rozpędu, zanim kierowca rozpoczął hamowanie. Graczyk i Janiszewski zyskali kilka cennych sekund.

Wpadli między drzewa jak gładz toczący się po stoku. Impet pozwolił im przebić się przez pierwszą linię zarośli. Honda kładła pokotem krzewy i młode drzewka. Ich gałęzie waliły z głuchym dudnieniem w karoserię, a jakaś cienka witka przez otwarte okno smagnęła Graczyka po twarzy. Poczuł pieczenie na policzku. Jeep zdołał już zawrócić i runął za nimi. Był w lepszej sytuacji, ponieważ mógł wskoczyć w wyrwę w zaroślach, którą zostawiali za sobą. Jego kierowca umiejętnie to wykorzystywał. Grand Cherokee parł naprzód nie zważając na nic. Masywne koła miażdżyły wszystko, co przedni zderzak wepchnął pod zawieszenie. W tych rzadkich chwilach, kiedy wstrząsy pozwalały Graczykowi dostrzec coś we wstecznym lusterku, widział coraz bliższe czarno-srebrne błyski pośród listowia.

– Jeszcze kawałek! – zawołał Janiszewski, przekrzykując hałas. – Potem w prawo!

Graczyk tylko skinął głową. Bał się zrobić cokolwiek poza kurczowym trzymaniem kierownicy. Już kilkakrotnie unikał uderzenia w drzewo. Wolał się nawet nie zastanawiać, jak bardzo przód i boki hondy były pokiereszowane. Zwolnił, podświadomie napinając mięśnie. To już pewnie gdzieś tutaj...

– Droga! – krzyknął Janiszewski.

Graczyk skręcił od razu i lekko przyspieszył, dzięki czemu zjechał na drogę nie prostopadle, lecz pod pewnym kątem. Pozwoliło mu to dość płynnie przejść do jazdy w poziomie. Nabieram wprawy, przemknęło mu. Jeszcze kilka takich ucieczek i będę mógł wziąć udział w rajdzie. Pod warunkiem, że ktoś pożyczy mi samochód.

Janiszewski spojrzął do tyłu.

– Jeśli nie zauważą naszego manewru i pojedą prosto, już po nich – spadną w przepaść.

– Tam jest przepaść?!

– Może nie przepaść, ale bardzo wysoka skarpa. Tak czy inaczej... Uwaga!

Graczyk nacisnął hamulec, zanim jeszcze przebrzmiał okrzyk Janiszewskiego. Było już jednak za późno. Chwila nieuwagi sprawiła, że zjechał z drogi. Niewiele, ale to wystarczyło. Koła z lewej strony samochodu zabuksowały na luźnych kamieniach, podczas gdy pozostałe trzymały się wciąż twardego gruntu. Hondą zarzuciło. Obruszyło to kolejne kamienie i zaczęli się zsuwać po stoku. Graczyk z zaskoczeniem dostrzegł przed nimi metalową barierkę, ustawioną w okręg.

Nie miał czasu się nad tym zastanawiać. Rozpaczliwie skręcił kierownicę i honda zatrzymała się wreszcie, opierając się bokiem o stalowe szczeble. Silnik zgasł. Graczyk poczuł, jak krew odpływa mu z twarzy - za barierką znajdowała się wielka dziura w ziemi.

– To szyb wentylacyjny kompleksu Osówka – wykrztusił Janiszewski. – Niewiele brakowało.

– Głęboki?

– Jakies pięćdziesiąt metrów.

Graczyk obejrzał się.

– To jeszcze nie koniec.

Kierowca jeepa omal nie przegapił nasypu dawnej kolejki. Zorientował się odrobinę za późno, lecz miał w ręku wielki atut – prowadził samochód z napędem na cztery koła. To go uratowało. Grand Cherokee zatańczył na skraju drogi, miażdżąc ostatnie krzewy, zdołał jednak wyhamować, a nawet ustawić się we właściwym kierunku. W chwilę później podjął pościg.

Nadzieje Janiszewskiego na wciągnięcie tamtego w pułapkę okazały się płonne. Pozostało im niewiele czasu. Graczyk przekręcił kluczyk w stacyjce. Silnik zakrztusił się, ale nie zapalił. Graczyk spróbował ponownie, lecz i to nie odniosło skutku. Janiszewski spojrzął na niego z przerażeniem.

– Co się dzieje?

Graczyk zmusił się, by chwilę odczekać, i znów włączył zapłon. Przytrzymał kluczyk przez dobrych kilka sekund. Rozrusznik działał prawidłowo, mimo to silnik nie zaskoczył.

– Dalej, psiarew! – Graczyk obracał kluczykiem raz po raz, choć miał świadomość, że lada chwila może rozładować akumulator.

Kierowca Grand Cherokee musiał się zorientować, że już mu nie uciekną. Postanowił zakończyć sprawę raz na zawsze. Graczyk, patrząc na pędzącego w ich kierunku jeepa, zrozumiał, że tamten się nie zatrzyma. Zaprzestał prób uruchomienia silnika i rozpiął pasy.

– Niech pan wyskakuje! – krzyknął.

Honda stała przyciśnięta lewą stroną do barierki otaczającej szyb, mogli więc ją opuścić tylko jednym wyjściem; tym od strony pasażera. Janiszewski oswobodził się z pasów, ale zamiast wysiąść, sięgnął na tylne siedzenie.

– Co pan robi, do diabła?! – zdenerwował się Graczyk.

– Mój plecak!

– Proszę go zostawić!

Janiszewski pokręcił głową. Namacał szelkę plecaka, lecz nie mógł go wyciągnąć; podczas szaleńczej jazdy plecak zsunął się między siedzenia i zaklinował. Graczyk zaklął i również sięgnął do tyłu. Chwycił drugą szelkę. Szarpnęli razem. Rozległ się odgłos dartego materiału i plecak się poddał. Był zaskakująco ciężki.

– Co pan tam ma? – warknął Graczyk. – Kamienie?

Niemal wypchnął Janiszewskiego z samochodu. Tamten wyskoczył, potknął się i rozciągnął jak długi. Graczyk spadł mu na plecy. Znajdowali się po stronie szarżującego jeepa. Poobijany, lecz wciąż błyszczący chromem olbrzym gnał wprost na nich. Nie mieli już czasu się podnieść. Graczyk złapał Janiszewskiego za kurtkę i zmusił do odczołgania się od samochodu. W sekundę później Grand Cherokee uderzył w hondę.

Huk pękających blach przetoczył się przez góry niczym grom i wrócił zwielokrotniony echem. Pod wpływem uderzenia honda, niemal przełamana na pół, zmiotła barierkę i tocząc się runęła w czeluść szybu. Zamieniła się we wrak, zanim jeszcze osiągnęła jego krawędź.

Przez mgnienie zdawało się, że jeep zdoła się zatrzymać. Jednak jego kierowca, chcąc ostatecznie zniszczyć hondę, zbyt długo zwlekał z hamowaniem. Prędkość auta w chwili zderzenia była zbyt wielka. Tym razem tylny napęd nie był w stanie pomóc, choć spod buksujących wściekle kół wystrzeliły odłamki skał i płaty darni. Te usiłowania tylko pogorszyły sprawę. Wskutek nierówno rozłożonych sił Grand Cherokee obrócił się lekko i zaczął przewracać na lewy bok. Graczyk i Janiszewski ujrzeni, że drzwi od strony pasażera otwierają się, ale było już za późno. Nikt nie zdołałby wysiąść w takiej sytuacji. Jeep, leżąc na burcie, z bezradnie kręcącymi się kołami, zsuwał się coraz szybciej w kierunku szybu. Nic już nie mogło go zatrzymać.

Długoletnie doświadczenie w roli opiekunki na koloniach nauczyło Marię Walczak, że jeśli w pobliżu zabraknie ubikacji, to na pewno znajdzie się dziecko, które będzie musiało pilnie z niej skorzystać. Nie zżymała się więc nawet, kiedy Natalka oświadczyła, że chce do toalety. Prośby nie można było zlekceważyć, choć oznaczało to, że cała grupa wraz z przewodnikiem będzie musiała poczekać i że rozpoczną zwiedzanie z opóźnieniem. Jednak spacer po Tajemniczym Podziemnym Mieście „Osówka” miał trwać ponad godzinę. Zbyt długo dla dziesięciolatki.

– Idźcie - druga opiekunka pokiwała z rezygnacją głową. – Zaczekamy.

Ubikacja znajdowała się w niewielkim budynku przed wejściem do sztolni numer dwa, gdzie rozpoczynała się podziemna trasa turystyczna. Marii Walczak numeracja sztolni nic nie mówiła; nie interesowała się tego typu obiektami, choć była tu nie po raz pierwszy. Pomysł zorganizowania wycieczki także nie wyszedł od niej – należało to do stałych punktów programu pobytu dzieci na koloniach w Głuszycy. Co roku każdy turnus „zaliczał” podziemia Osówki, bez względu na to, czy ktokolwiek miał na to chęć, czy nie. Ona już jej nie miała; ileż razy można oglądać te same tunele, wykute w zimnej skale?

Kilkuminutowego opóźnienia nie udało się nadrobić. Wyraźnie irytowało to przewodnika, skądinąd miłego starszego pana. Co gorsza, dzieci w tym wieku nie należą do szczególnie zdyscyplinowanych, toteż opóźnienie stopniowo rosło. Do ostatniego fragmentu podziemi dotarli dobry kwadrans po przewidzianym czasie.

Na dzieciach nie zrobiło większego wrażenia to, co zazwyczaj zachwyca dorosłych – olbrzymie, niemal wykończone hale o rozmiarach boiska sportowego. Bardziej podobały się pomieszczenia z grubsza wyciosane, w których można było poczuć się jak w jaskini. Największy entuzjazm wzbudził jednak chwilowy brak prądu i kompletna ciemność, jaka wówczas zapadła. Maria Walczak była na to przygotowana – rzekoma awaria stanowiła jedną z atrakcji, serwowanych każdej grupie zwiedzającej podziemia. Wreszcie dotarli do jednej z największych tutejszych atrakcji. Na skrzyżowaniu dwóch tuneli wykuto przed siedemdziesięciu laty olbrzymią dziurę w stropie, wiodącą aż na powierzchnię. W trakcie budowy pełniła ona rolę szybu wentylacyjnego, a później miała prawdopodobnie stać się szybem transportowym; przeznaczonym do montażu windy. Pod szyb można było podejść i spojrzeć w górę, na skrawek nieba, jaśniejący w owalnym otworze wlotowym. Widoczny od spodu szyb przypominał lej krateru wulkanicznego. Wrażenie naturalności potęgowała surowość z grubsza tylko ociosanych skalnych ścian.

Szyb wzbudził, jak zawsze, zainteresowanie dzieci, mocno już osłabione zbyt długim zwiedzaniem. Przepychając się i dokazując stłoczyły się pod olbrzymią dziurą w ziemi. Ten radosny harmider udobruchał nieco przewodnika, wciąż niezadowolonego z opóźnienia. Jego opowieść o sposobie, w jaki wykuwano tak wielkie, pionowe otwory, przerwał jednak hałas, dobiegający gdzieś z góry i wzmacniany w czeluści szybu niczym w ogromnym rezonatorze. Mocno zniekształcony przez wielokrotne odbicia między skalnymi ścianami, przypominał warkot jakichś mechanizmów. Marii Walczak przyszły na myśl piły spalinowe, jakimi drwale ścinają drzewa. Musiałyby to jednak być wyjątkowo duże piły.

Przewodnik był wyraźnie zaskoczony. Widocznie takie rzeczy nie zdarzały się tu

często. Podobnie jak cała grupa, stał z uniesioną głową i traf sprawił, że to właśnie jego uderzył jeden z pierwszych kamieni, które zaczęły wypadać z krawędzi szybu.

Maria Walczak nie patrzyła w jego stronę, niczego więc nie widziała. Dopiero, kiedy przewodnik upadł, pojęła, że stało się coś niedobrego. Krew na jego twarzy przeraziła ją. Odruch skierował ją jednak nie ku niemu, lecz ku dzieciom. Z góry leciało coraz więcej skalnych odłamków, jakby ponad szybem osuwało się całe zbocze.

– Wychodzimy! Szybko! – zagarnęła ramionami najbliższe dzieci i pchnęła je w kierunku wyjścia z komory pod szybem.

To samo uczyniła druga opiekunka. Jakiś spory kamień trafił ją boleśnie w plecy, kiedy jako ostatnia chowała się w korytarzu. Kilkoro dzieci miało drobne skaleczenia; na szczęście, grupa zareagowała na polecenie opiekunek bez zwykłej opieszałości i wyjątkowo karnie. Odbiegli parę metrów, zanim odważyli się spojrzeć do tyłu. Przewodnik wciąż leżał, tam gdzie upadł, lecz nie stracił przytomności, jak wydawało się wcześniej. Uniósł rękę i dotknął czoła. W jego oczach pojawiło się zdumienie, kiedy ujrzał krew.

Lawina kamieni ustała równie nagle, jak się pojawiła. Maria Walczak pomyślała, że trzeba pomóc przewodnikowi, skoro dzieci były już bezpieczne. W tej samej chwili w górze rozległ się huk, który wzbudził echo w całych podziemiach. Jakby jakiś olbrzym zwarł dwie pancerne pięści. A potem coś wielkiego – znacznie większego od kamieni – zaczęło staczać się do szybu. Z miejsca, w którym stali, nie było niczego widać, ale mogli obserwować twarz przewodnika. Maria Walczak wiedziała, że wyrazu śmiertelnego przerażenia, które ścięło rysy mężczyzny, nie zapomni do końca życia.

W trzy sekundy później bryła poskręcane żelastwa uderzyła w dno szybu. Huk zatrzęsł skalnymi ścianami i wszystko utonęło w tumanach pyłu. Stało się to tak szybko, że Maria Walczak nie była nawet pewna, co zobaczyła. Bo czy to możliwe, żeby do wnętrza góry wpadł samochód i to w miejscu, gdzie nie istniała żadna droga?

Gryzący pył szczypał w oczy. Dzieci krzyczały; trudno było ocenić, czy tylko ze strachu, czy też coś się komuś stało. W tym hałasie utonęły wszystkie inne odgłosy, lecz Marii Walczak nie umknął fakt, że do szybu znów zaczęły spadać kamienie. Mogło to być następstwem upadku samochodu, jednak podświadomość podsunęła jej inne skojarzenie.

– Zabieramy dzieci! – krzyknęła do swojej koleżanki. – Natychmiast!

– Dokąd?

– Jak najdalej stąd!

Trzeba było chwili, żeby zapanować nad chaosem, który ogarnął grupę. Opiekunki nie bawiły się w subtelności. Ponaglając, a nawet popychając i ciągnąc dzieci, zdołały je doprowadzić do najbliższego zakrętu korytarza. Maria Walczak nie oglądała się za siebie, lecz czuła, że to jeszcze nie koniec niespodzianek. Poprzednim razem też nie skończyło się na spadających kamieniach.

Następstwa upadku drugiego samochodu były najgorszą rzeczą, jaką Maria Walczak kiedykolwiek przeżyła. Ogłuszający huk, z jakim wbiły się w siebie obie masy żelastwa, był niczym, w porównaniu z wybuchem, który w tej samej chwili wstrząsnął całą górą. W korytarze runęła fala uderzeniowa. Nawet w odległości, na jaką zdołali się oddalić, była tak silna, że nikomu nie udało się utrzymać na nogach. Na szczęście ogień nie sięgnął tak daleko; podmuch przyniósł tylko żar, który zaraz rozpląnął się w chłodzie podziemi.

Eksplozja do reszty przeraziła dzieci. Podnosząc się z posadzki Maria Walczak słyszała wszędzie wokół płacz i krzyki. Mimo swego doświadczenia nie znajdowała się jeszcze nigdy w takiej sytuacji. Jeszcze mniej mogła się spodziewać po swej młodszej koleżance. A co najtragiczniejsze – nie mieli przewodnika. Jego okropna śmierć stanęła jej przed oczyma. Bo w to, że zginął, nie wątpiła. Nikt nie mógł wyjść cało z takiego piekła.

Zostali bez jedyne go człowieka, który mógł ich stąd wyprowadzić. Z całej grupy tylko ona była w podziemiach więcej niż raz. Co z tego, skoro nigdy nie interesowała się tym, co

widzi, a cóż dopiero mówić o zapamiętaniu drogi. Myśl, że są uwięzieni, przyprawiła ją o drżenie.

Opanowała się z najwyższym trudem. Zaraz. Tylko spokojnie. Zawsze znajdzie się jakiś sposób. Jeśli nie opuszczą podziemi o wyznaczonej porze, ktoś na pewno się tym zainteresuje. Następna grupa, czekająca na wejście, podniesie alarm. Ludzie z obsługi domyślą się, że coś się stało. Wystarczy poczekać. Najlepiej tu, na miejscu. Nie powinni stąd się ruszać, żeby nie utrudnić poszukiwań. A może już ktoś usłyszał wybuch i śpieszy na ratunek? Tak, to było możliwe. Tym bardziej więc należało tu zostać.

Przede wszystkim, wraz z drugą opiekunką, musiały zająć się dziećmi. Kilkoro miało drobne obtarcia i skaleczenia; w sumie nic poważnego, jednak ich ból – nieważne, czy prawdziwy, czy wyimaginowany – mógł lada moment udzielić się pozostałym. Przypadki zbiorowej hysterii zdarzały się rzadko, lecz nie na tyle, by je lekceważyć. Ona sama także ucierpiała. Stłukła sobie łokieć i podrapała twarz, a do wcześniej posiadanych siniaków doszły kolejne. Jej strój był w oplakany stan. To, co rano uznała za strój turystyczny, kompletnie zawiodło – puścił szew jednej z nogawek spodni, a od kurtki niemal oderwał się kaptur. Przydał się natomiast kask, którego tak nie znosiła. Jakiś kamień, jeszcze w szybie, niechybnie rozbiłby jej głowę, gdyby nie to niewygodne, plastikowe okropieństwo.

Dobrze przynajmniej, że nie zgasło światło. Wybuch nastąpił w miejscu, gdzie nie zamontowano instalacji elektrycznej; nie była potrzebna, jako że szyb wentylacyjny wystarczająco rozjaśniał najbliższe otoczenie. Maria Walczak wolała nie myśleć, co by się działo, gdyby zapadła ciemność. Jediną latarkę miał przy sobie przewodnik.

Wśród dzieci dostrzegła Natalkę. Dziewczynce nic się nie stało, podobnie jednak jak inne, była w lekkim szoku. Maria Walczak nie miała zwyczaju obwiniać ludzi o niepopelnione grzechy, lecz wciąż nie dawała jej spokoju myśl, że gdyby nie opóźnienie, spowodowane przez Natalkę, w chwili wypadku znajdowałiby się o wiele dalej stąd. Może nawet opuściliby już podziemia.

Wraz z drugą opiekunką pomogły wstać wszystkim dzieciom i każde dokładnie obejrzały. Pozwoliło to zaprowadzić jaki taki porządek i nieco uspokoić grupę. Niewiele więcej były w stanie zrobić. Nie miały nawet zwykłego plastra. Gdyby przyszło udzielić komuś poważniejszej pomocy, byłyby w nielichych opałach.

Znajdowali się w jednej z dużych, niewykończonych hal. Ani Maria Walczak, ani jej koleżanka nie potrafiły jednak określić, czy wcześniej już tędy przechodzili, czy było to jakieś nieznane miejsce. Ważne, że prawdopodobnie znajdowało się na trasie wycieczek, skoro założono tu oświetlenie. To w takich miejscach przede wszystkim będą ich szukać.

Swąd palonej gumy nie od razu ją zaniepokoił. Dopiero kiedy po korytarzach zaczął się rozpełzać czarny, duszący dym, pojęła, że to wciąż jeszcze nie koniec. W oczach koleżanki dostrzegła strach i potwierdzenie swoich obaw: nie mogli tu zostać. Tylko w którą stronę pójść?

Wyścigu z rozprzestrzeniającym się dymem nie mogli jednak wygrać. Co gorsza, Maria Walczak odnosiła wrażenie, że w głębi kompleksu dymu jest więcej, niż przy szybie. Nie miała pojęcia, jaka mogła być tego przyczyna.

Początkowo szli prosto przed siebie. Wkrótce natrafili na pierwsze skrzyżowanie. Ustalili, że będą kierować się tam, gdzie zaprowadzi ich światło. Marsz był bardzo powolny. Dym szczypał w oczy i wdierał się do gardeł. Dzieci z trudem posuwały się naprzód, zanosząc się chóralnym kaszlem. Maria Walczak stopniowo traciła pewność, czy powinni byli ruszać się z miejsca. Pod stopami coraz mocniej chlupotała woda. Wilgotny chłód przenikał przez ubrania. Wprawdzie wszyscy mieli na sobie ciepłe rzeczy, ale przebywali w podziemiach stanowczo za długo. Będzie dobrze, jeśli żadne z dzieci nie nabawi się przeziębienia. Maria Walczak uśmiechnęła się gorzko do tej myśli; potencjalne przeziębienie stanowiło ich najmniejszy problem.

Spojrzała na zegarek. Ich nieobecność powinna już zostać zauważona. Czy jednak komuś przyjdzie do głowy, że zostali bez przewodnika? Z drugiej strony, ktoś spowodował ten wypadek, zatem ktoś musiał wiedzieć, co zaszło. Chyba że wszyscy, którzy w nim uczestniczyli, znajdowali się w tych dwóch samochodach... Aż stanęła z wrażenia. O tym wcześniej nie pomyślała. Z jakiegoś powodu w ogóle nie zastanawiała się nad tym, że zazwyczaj samochody mają kierowców, a nawet pasażerów. Śmierć przewodnika przysłoniła jej fakt, że mogło zginąć więcej osób. Mój Boże, co tam się stało?

W gęstniejącym dymie dotarli do następnego skrzyżowania. Światło wskazało im kierunek w prawo i tam też podążyli. Maria Walczak szła na końcu grupy, pilnując, by żadne z dzieci nie zostało w tyle. Jej obecność nie mogła jednak zdziałać cuda: nie mogła uchronić dzieci przed zimnem, strachem i zmęczeniem. Modliła się w duchu, by zmięzali we właściwą stronę.

Jej obawy sprawdziły się szybciej, niż sądziła. Jednak to chłopcy, a nie dziewczynki, okazali się słabsi. Jedenastoletni Dominik potknął się o kamień i upadł. Cała grupa zatrzymała się. Chłopcu nic się nie stało, ale przemoczył ubranie, co w połączeniu ze strachem i chłodem panującym w podziemiach kompletnie go załamało. W innej sytuacji naraziłoby go to na kpiny kolegów, lecz tym razem nikt się z niego nie śmiał.

Maria Walczak pomogła wstać chłopcu, choć bliższe prawdy byłoby stwierdzenie, że go podniosła. Poddał się jej bezwolnie, lecz z trudem utrzymał się na nogach. Zdawała sobie sprawę, że musi go jakoś zmobilizować do dalszego marszu, ponieważ o niesieniu jedenastolatka nie było nawet mowy.

– Już niedaleko – szepnęła mu na ucho.

– Dalej nie mogę – pokręcił głową.

– Dasz sobie radę.

– Nie mogę.

Nie chciała go zawstydząć, ale czasami tylko to skutkowało.

– W takim razie poproszę Anię i Monikę, żeby ci pomogły. Aniu...

– Nie! - popatrzył na nią z przerażeniem. – Pójdę sam.

Obserwując jak z ociąganiem rusza za grupą, nie odczuwała satysfakcji z tego drobnego zwycięstwa.

Druga opiekunka nie protestowała, gdy Maria Walczak skierowała grupę w lewo. Najwyraźniej polegała na jej ocenie sytuacji. Ten korytarz był nieco węższy niż te, które składały się na główną część kompleksu; w czym także przypominał sztolnię wylotową. Podobieństwo potęgował fakt, że po przejściu dobrych czterdziestu metrów nie napotkali kolejnego skrzyżowania. Najwyraźniej dość regularna szachownica tuneli, tworzących zasadniczą część podziemi, pozostała za nimi. Nadzieja coraz śmieiej wkradała się w serce Marii Walczak. To musiała być sztolnia. A w tym kompleksie były tylko dwie i obie posiadały wyjścia dostępne dla turystów.

– Jeszcze kawałek – odezwała się do dzieci. – Jesteście bardzo dzielni. Niedługo odpoczniemy.

Z ich spojrzeń wyczytała, że większość jest już u kresu wytrzymałości. Tym, co nadal pchało ich do przodu, był strach. Jednak musiała przyjść chwila, kiedy i on ustąpi przed zmęczeniem.

Dym uparcie im towarzyszył i coraz bardziej gęstniał. Nagłe zwężenie korytarza zaskoczyło ją. Jedna ze ścian biegła dalej prosto, podczas gdy druga tworzyła załom, w wyniku którego tunel stawał się węższy niemal o połowę. Maria Walczak niczego takiego sobie nie przypominała. Poczowała strach. Coś było nie tak.

Kłęby dymu w przedzie niemal całkowicie tłumiły słabe światło rzadko rozmieszczonych lamp. Dlatego skalna ściana, przegradzająca korytarz, ukazała się ich oczom dopiero w ostatniej chwili. To nie był jeden z licznych w podziemiach zawałów, odcinających

dalszą drogę. Lita skała tworzyła ze ścianami, stropem i posadzką jedną całość, nie naruszoną kilofem robotników budujących „Riese”. Maria Walczak tym razem wiedziała, przed czym stoją. To był górniczy przodek; miejsce, do którego doprowadzono kucie tunelu i gdzie go zaprzestano. Tutaj dalszej drogi nigdy nie było. Znaleźli się w pułapce.

Leżąc na ziemi, Graczyk i Janiszewski widzieli jak jeep majestatycznie znika w czeluści szybu. Odgłos wcześniejszego upadku hondy już przebrzmiał i nad las wróciła zdumiewająca po tym wszystkim cisza. Nie trwała długo. Po kilku uderzeniach serca, którego obecności Graczyk nigdy jeszcze tak namacalnie nie czuł, świat stanął dęba.

Masywem skalnym targnął potężny wybuch. Zbocze, na którym leżeli, zadrżało, a z otworu szybu wystrzelił strumień ognia. Równie szybko znikł, zastąpiony czarnym, tłustym dymem. Wydawało się, jakby w głębi góry obudził się wulkan.

– Jezu Chryste! – wykrztusił Janiszewski. – Co się stało?

– Pewnie wybuchła benzyna – domyślił się Graczyk. – Musieli mieć włączony zapłon.

Wstał, machinalnie otrzepując ubranie, zanim zdał sobie sprawę, że to absurd. Janiszewski również się podniósł. Nie wypuszczał z ręki plecaka, przez który omal obaj nie zginęli.

Graczyk patrzył na smolisty dym, wciąż wydobywający się z szybu. Nigdy nie zwiedzał kompleksu Osówka, ale wiedział, że latem przyjeżdża tu sporo turystów. Poczł dreszcz.

– A jeśli ktoś był w podziemiach, kiedy doszło do wybuchu?

Janiszewski, zbity z pantałyku, spojrział na zegarek.

– Na pewno nie w pobliżu szybu. Dobrze znam plan zwiedzania. Nie wpuszczają do środka pojedynczych osób. Kolejne grupy wchodzi o pełnych godzinach i docierają do szybu po około trzydziestu minutach. Jeśli znajdowała się tam jakaś grupa, to opuściła pobliże szybu kwadrans przed wypadkiem. Przewodnicy ściśle trzymają się harmonogramu.

– Wybuch był silny. Mogło się coś zawalić.

– To skały gnejsowe, bardzo twarde – Janiszewski pokręcił głową. – Trzeba specjalnych ładunków, odpowiednio założonych, by spowodować obwał. Nieukierunkowany wybuch zbiornika z benzyną, w dodatku w otwartej komorze, nie wystarczy. Jeśli jakaś wycieczka znajdowała się o piętnaście minut marszu od szybu, to oddzielało ją od niego kilka krzyżujących się sal i korytarzy. Co najwyżej poczuli lekki wstrząs i usłyszeli niegłośny huk. To wszystko. Pewnie wyjdą z podziemi, zanim my tam dotrzemy.

– Jest pan pewien czy pan zgaduje?

– Nie mówiłem panu? Ukończyłem górnictwo na AGH.

Pomimo optymizmu Janiszewskiego, Graczyk skłonił go do pośpiechu. Nie znał drogi, więc to Janiszewski prowadził, jednak czując wątpliwości Graczyka szedł najszybciej, jak było można.

Musieli opuścić leśną drogę i zejść w dół stromą ścieżką, która zaprowadziła ich w pobliże wejścia do sztolni numer jeden. Dotarcie do sztolni numer dwa wymagało jeszcze pokonania ponad dwustu metrów wzdłuż zbocza, po brukowanej drodze, wybudowanej przez Niemców w czasie wojny. Była to ta sama droga, która opasywała także Soboń i łączyła wszystkie kompleksy w Górach Sowich. To przy niej lokalizowano wejścia do sztolni. Druga sztolnia Osówki pełniła obecnie rolę punktu startowego wycieczek zwiedzających podziemia. Postawiono przy niej niewielki budynek, w którym mieściła się kasa biletowa.

Kiedy Graczyk i Janiszewski, niemalże biegnąc, dotarli na miejsce, w pobliżu wejścia do sztolni kręciło się kilka osób. Najwyraźniej czekali na swoją kolej, by wejść do środka. W budynku znaleźli tylko kobietę sprzedającą bilety. Popatrzyła na nich bez większego zainteresowania; jak na spóźnionych turystów, którzy spieszyli się, by zdążyć na najbliższą turę zwiedzania. Graczyk nie tracił czasu na wyprowadzanie jej z błędu.

– Czy w środku jest jakaś grupa? – wydyszał.

– Wejście za kilka minut – uśmiechnęła się kobieta. – Zdążyli panowie.

– Nie o to chodzi – zniecierpliwiał się Graczyk. – Czy jacyś ludzie są w tej chwili w podziemiach?

Kobieta zawahała się. Coś w zachowaniu obu mężczyzn przestało jej się podobać.

– Proszę pani? – ponaglił ją Janiszewski.

– Tak – odparła wreszcie. – Jest jeszcze poprzednia grupa. Ale...

– Nie powinni już wyjść? – przerwał jej Graczyk.

– To jeszcze chwilę potrwa. Weszli z kilkunastominutowym opóźnieniem.

Graczyk spojrzał na Janiszewskiego. Tamten wyglądał, jakby otrzymał cios w żołądek.

– Wiecie panowie, jakie są dzieci – ciągnęła kobieta. – Zawsze któreś zamarudzi, a potem...

– O Boże! – szepnął Janiszewski.

Graczyk pochylił się nad biurkiem.

– Chce pani powiedzieć, że w środku są dzieci?

Bileterka spojrzała na niego z niepokojem.

– No tak, jakaś wycieczka kolonijna z Głuszycy. W wakacje często mamy takie grupy.

Przez chwilę panowała cisza. Bileterka przenosiła spojrzenie z Graczyka na Janiszewskiego, jakby przerażona, że jest sama z dwoma podejrzanymi osobnikami.

Graczyk obrócił się do Janiszewskiego.

– Wchodzimy tam – rzucił. Tamten skinął głową.

– Co? – zdziwiła się bileterka. – Jak to? Wejście dopiero za kilka....

Graczyk uciszył ją ruchem ręki.

– Jesteśmy z policji. W podziemiach doszło do wypadku – zawahał się. Wtajemniczenie kobiety nie miało sensu; nie uwierzyłaby, że dwa samochody wpadły do szybu wentylacyjnego. – Do wybuchu. Dzieci mogą być w niebezpieczeństwie. Rozumie pani?

Kobieta machinalnie skinęła głową.

– Może nam pani bardzo pomóc. Proszę zadzwonić po pogotowie i na policję w Głuszycy. Proszę powiedzieć, że jest tu komisarz Graczyk i opowiedzieć, co się stało. Oni będą wiedzieli, co robić. Zapamięta pani moje nazwisko? My wejdziemy do środka. Nie możemy czekać, aż ktoś przyjedzie.

– Ale... – próbowała wtrącić bileterka.

– Jeszcze jedno. Pod żadnym pozorem nie wolno wpuścić do podziemi kolejnej grupy. Czy to jasne?

– Tak, ale oni i tak nie mogliby wejść! Panowie także. Przewodnik jeszcze nie wrócił.

Graczyk spojrzał na Janiszewskiego. Ten wzruszył ramionami.

– To żaden problem.

– W takim razie idziemy.

Zostawiwszy zdezorientowaną kobietę, pobiegli ku wejściu do sztolni. Graczyk modlił się w duchu, by bileterka zdążyła zadzwonić, zanim do reszty zwątpi w ich wiarygodność. Czekający przed sztolnią turyści obserwowali ich z zaciekawieniem. Najwyraźniej także i oni o niczym nie wiedzieli. A więc Janiszewski mógł mieć rację, że wybuch, który jemu wydał się silny, tutaj nie był nawet słyszalny.

– Najbardziej obawiałbym się dymu z palącego się plastiku i gumy – odezwał się Janiszewski, jakby znał jego myśli. – Jest bardzo toksyczny. Jeśli rozejdzie się po korytarzach, może być naprawdę niedobrze.

– Ile czasu może to zabrać?

– Nie mam pojęcia. Nikt nigdy nie robił takich doświadczeń.

Wejście do sztolni zamykała krata. Janiszewski otworzył kłódkę kluczem otrzymanym od bileterki. Kiedy weszli do środka, zawahał się.

– Lepiej jej ponownie nie zamykać. Może ktoś będzie chciał się tędy wydostać. Zamarkujmy tylko, że ją zamykamy; żeby nikt za nami nie wszedł.

Spojrzał z niepokojem w głąb tunelu.

– Co się stało? – Graczyk podążył wzrokiem za jego spojrzeniem.

– Dym. Czuję zapach dymu.

Janiszewski wyciągnął z kieszeni latarkę.

– To na wypadek, gdyby zrobiło się ciemno.

Graczyk uniósł brwi.

– Pod ziemią zazwyczaj bywa ciemno.

Janiszewski popatrzył na niego, nie wiedząc, czy żartuje, czy mówi serio.

– Na razie pójdziemy trasą, którą chodzą wycieczki, a tam jest światło – wyjaśnił. – Miejmy nadzieję, że przewodnik będzie się jej trzymał, nawet jeśli zechce jak najszybciej wyprowadzić grupę na powierzchnię. Na pewno wie, że ewentualna pomoc nadejdzie tamtędy.

– Ucieczka z pobliza szybu mogła ich zmusić do wybrania innej trasy.

– Zdaję sobie z tego sprawę. Dlatego właśnie trzymam w ręku latarkę.

Początkowy odcinek Osówki przypominał Graczykowi inne podziemia. Takie same z grubsza wyciosane korytarze, takie same skały i wszechobecna wilgoć. Zerknął na Janiszewskiego. Jak można pasjonować się monotonią? Szli szybko i Graczyk musiał przyznać, że Janiszewski rzeczywiście czuł się tu, jak u siebie. Niedaleko za wartowniami, pilnującymi wejścia, dotarli do schodów.

– Wchodzimy na piętro? – zdziwił się.

– Owszem – odparł Janiszewski. – To miejsce, to jedna z największych tajemnic Gór Sowich. Tak zwany uskok.

– Jeszcze jedna tajemnica? – jęknął Graczyk.

Janiszewski uśmiechnął się.

– Zgadza się i na pewno nie ostatnia. Dwa wejścia do kompleksu „Osówka” wykuto na różnych poziomach, toteż korytarze i sale tworzą jakby dwa piętra. My weszliśmy przez sztolnię znajdującą się niżej. Ale w miejscu, w którym jesteśmy, wywołano zawał, który połączył oba poziomy i zamknął dalszą drogę na poziom niższy. Nikt tam jeszcze się nie przedostał. Dlatego znamy teraz tylko piętro wyższe kompleksu.

– A skąd te schody?

– Zbudowano je niedawno, przystosowując kompleks do zwiedzania. W ten sposób całkowicie uniemożliwiono jakiegokolwiek próby przekopania się przez zawał.

– Może tam nic nie ma?

– Może. Ale najciekawsze jest to, o czym już wspominałem – że prawdopodobnie zawału wcale nie spowodowali Niemcy. Zrobili to Rosjanie, już po spenetrowaniu podziemi. Co chcieli ukryć?

– To akurat mnie nie dziwi. Rosjanie ukrywali, co tylko mogli. Tacy już są.

– Fakt. Jednak nawet w Berlinie nie burzyli niczego bez powodu.

Prosty jak strzelił korytarz za uskokiem pokonali niemal biegiem. Teraz i Graczyk czuł zapach spalenizny. Miał wrażenie, że światło lamp w przedzie nieco zbladło.

– Dym – skonstatował Janiszewski. – Rozchodzi się coraz dalej.

Stało się to oczywiste, kiedy dotarli do pierwszego skrzyżowania korytarzy. Obie odnogi były pełne dymu, lecz w tunelu prowadzącym w prawo wydawał się on gęstszy.

– Tu zaczyna się zasadnicza część kompleksu – wyjaśnił Janiszewski. – Sieć połączonych ze sobą hal i korytarzy. Do szybu wentylacyjnego mamy jeszcze mniej więcej taką odległość, jaką już pokonaliśmy.

– Więc ruszajmy. Tylko niech pan nie mówi, że w prawo.

– No cóż, prawdę mówiąc...

– Chwileczkę! – przerwał Graczyk. – Słyszysz pan?

Gdyby cisza w podziemiach nie była tak całkowita, niczego by nie usłyszeli. Nawet gdyby szli, ich kroki zagłuszyłyby ten odgłos. Ale to nie mogło być nic innego. Mocno zniekształcony krzyk, czy może raczej wołanie, dochodził gdzieś z głębi kompleksu. Powtórzył się trzykrotnie i umilkł. Coś w nim zaskoczyło Graczyka. Nie miał pojęcia, co.

– Skandują jakieś słowo – domyślił się Janiszewski. – Wołają na komendę. To zorganizowana grupa. Wycieczka, której szukamy!

– Ale dlaczego wołają? Dlaczego przewodnik nie prowadzi ich do wyjścia?

Janiszewski spojrzał na niego. Nie musiał odpowiadać. Sprawy miały się gorzej niż przypuszczali.

Bieg na dwieście metrów nawet w szkole nie był mocną stroną Graczyka. Wolał gry zespołowe i to raczej statyczne, takie jak siatkówka. Teraz kłął swoje lenistwo i skłonność do nadwagi. Nie był pewien, czy to nie jego trzeba będzie ratować, kiedy już dotrą na miejsce.

Po około stu metrach zaczęło im brakować powietrza. Gęstniejący dym wypełnił korytarz. Odór palącej się gumy stał się trudny do zniesienia.

– Mamy cholernego pecha, że jest lato, a nie zima – wysapał Janiszewski.

– Dlaczego?

– Mówiłem panu, jak działa szyb wentylacyjny. Kiedy na zewnątrz jest zimniej niż w środku, powietrze z niego wypływa. Latem natomiast dzieje się odwrotnie. Dlatego teraz ruch powietrza wciąga dym do tuneli. To pogarsza sprawę.

– Możemy coś na to poradzić?

– Jedyne biec szybciej.

– Wolne żarty.

Janiszewski miał rację – w bezpośrednim pobliżu szybu wentylacyjnego dymu było najmniej. Szyb zasysał świeże powietrze, które wpychało dym w głąb korytarzy, oczyszczając w znacznym stopniu komorę pod szybem. Dlatego to tutaj, a nie w głębi kompleksu, warunki do oczekiwania na pomoc wydawały się najlepsze. Jednak w pobliżu szybu nikogo nie było.

– Mój Boże – wyszeptał Janiszewski.

Samochody wciąż płonęły. Zgruchotane upadkiem, leżące jeden na drugim wraki tworzyły stos sięgający niemal wylotu szybu. Kształtu hondy można było się tylko domyślać. Przygniatający ją jeep spoczywał na dachu; palące się koła wirowały wolno na osiach, niczym element scenografii do filmu katastroficznego. Wnętrze jeepa z wolna dogasało. Przypominało wypaloną skorupę z okopconej blachy. Znajdujący się tam ludzie musieli spłonąć równie doszczętnie, jak elementy wyposażenia. Graczyk poczuł mdłości na ten widok. Nagle Janiszewski chwycił go za ramię.

– Drzwi jeepa są otwarte – powiedział.

Rzeczywiście, drzwi od strony pasażera były otwarte i niemal oderwane od burty. Graczyk przypomniał sobie, że tuż przed stoczeniem się jeepa do szybu, ktoś próbował z niego wyskoczyć. Wątpliwe, żeby ponownie zamknął drzwi.

– Myśli pan, że ktoś wypadł? – zapytał.

– Możliwe. Ale jeśli nawet, to nic nie zmienia. Spaść mógł tylko tutaj... – zawiesił głos.

Graczyk przyznał mu rację. Nikt nie mógł przeżyć tego, co się wydarzyło. W momencie wypadku musiało tu panować prawdziwe piekło. Ta myśl przypominała mu, po co tu przybyli. Z trudem oderwał wzrok od płonących samochodów.

– Nie ma żadnych ciał – rzekł. – Wycieczka musiała być jednak daleko. Może minęli to miejsce i szli już do wyjścia, kiedy to się stało? A może usłyszeli hałas i w porę zawrócili?

Janiszewski milczał chwilę.

– Wygląda na to, że nikt nie ucierpiał, to prawda. Ale jeśli zawrócili, to dlaczego nie spotkaliśmy ich po drodze, na trasie zwiedzania?

– W takim razie, pewnie już zmierzają do wyjścia.

– Skoro tak – Janiszewski potarł piekące oczy – to dlaczego wołają?

W podziemiach znów rozległo się wołanie. Słuchali uważnie, lecz kamienne ściany silnie zniekształcały każdy dźwięk. Janiszewski pokręcił głową.

– Gdyby szli do wyjścia, nie traciliby czasu na wołanie. Zresztą, kogo mieliby wołać? W środku zawsze jest tylko jedna grupa.

Graczyk musiał się z nim zgodzić. To nie miałyby sensu.

– Jest pan w stanie określić kierunek, z którego dochodzi wołanie? – zapytał, choć z góry znał odpowiedź.

– Przy tych wszystkich odbiciach? Nie ma mowy.

– Co w takim razie zrobimy?

– Trzeba założyć, że coś się stało. Może się zgubili? Nie wiem, co prawda, jakim cudem, skoro są z przewodnikiem, ale... Musimy ich poszukać.

Graczyk pokiwał głową.

– Pan tu dowodzi. Ja nie znalazłbym nawet samego siebie. W którą stronę?

– Jak najdalej stąd. Gdzieś tam pewnie uciekli.

– Mówił pan, zdaje się, wcześniej, że jest to drugi pod względem wielkości podziemny kompleks w Górach Sowich?

– Niestety, to prawda. Mogą być daleko.

Graczykowi dudniły w uszach te słowa, kiedy niemal biegnąc przemierzali korytarze. Janiszewski skierował się w tę samą stronę, z której tu przybyli. Nie było innej możliwości; płonące samochody zamykały dostęp do alternatywnego dojścia do szybu. Kiedy jednak skręcili w lewo na najbliższym skrzyżowaniu, nie skręcili już więcej, lecz podążyli dalej prosto, mijając kolejne boczne korytarze, aż Graczyk stracił wreszcie ich rachubę.

Dym rozpełzł się już po całych podziemiach. Nasączony wilgocią, niczym mokry knebel utrudniał oddychanie. Graczyk potknął się o jakiś kamień i omal nie upadł. Zatoczył się i oparł o skałę. Poczul chęć, by postać tak przez chwilę. Miał wrażenie, że płuca oblepiła mu jakaś szybko tężejąca masa i ścisła je coraz mocniej. Nie był już młodzieniaszkiem. W dodatku jego tryb życia już dawno przestał sprzyjać utrzymaniu dobrej kondycji. Kiedyś będzie musiał coś z tym zrobić.

Janiszewski obejrzał się na niego z irytacją. Graczyk zrozumiał wyrzut. Odkleił się niechętnie od ściany i ruszył za nim. Tamten miał rację. Jeśli oni byli już u kresu sił, to co dopiero musiały odczuwać dzieci?

Za kolejnym rozwidleniem tuneli panował mrok; najwyraźniej dotarli do tej części kompleksu, której nie udostępniano turystom. Z tego, co wiedział, była to większa część; tylko nieliczne komory i korytarze uznano za bezpieczne na tyle, by wpuścić do nich wycieczki. Zatrzymali się, ciężko dysząc. Dla nich mrok nie stanowił problemu; mieli latarkę. Ale czy grupa, w której znajdowały się dzieci, zapuszczałaby się w nieznaną ciemność?

– Nie sądzę – Janiszewski pokręcił głową. – Ktokolwiek ich prowadzi, na pewno zdaje sobie sprawę, że tylko oświetlonymi korytarzami można łatwo dotrzeć do wyjścia. Poza tym, oprócz przewodnika nikt z wycieczkowiczów zwykle nie ma latarki.

– Czyli – Graczyk zgiął się nagle w ataku kaszlu i chwilę trwało, zanim zdołał dokończyć zdanie – zawracamy?

– Niezupełnie. Chyba wiem, gdzie mogli utknąć.

Obaj byli już wprawdzie zmęczeni i na wpół zczadzeni, niczym pszczoły okadzane dymem, ale Janiszewski odzyskał rezon, którego zabrakło mu na powierzchni. Tu, w podziemiach, czuł się znacznie pewniej, niż w samochodzie pędzącym na złamanie karku. Graczyk wcale mu się zresztą nie dziwił.

Biegnać zakręcali jeszcze kilkakrotnie. Graczyk już dawno pogubił się w tych manewrach. Jego towarzysz najwyraźniej jednak wiedział, co robi. Wkrótce okazało się, że nie były to czcze przechwałki.

Najpierw usłyszeli kaszel. Suchy i uporczywy, zwielokrotniony przez echo.

Zatrzymali się.

– Mamy ich! – Janiszewski nie krył satysfakcji.

– Kierunku, skąd dochodzi, i tak nie uda nam się określić...

– Nie szkodzi. Wiem, gdzie są. To już niedaleko.

Miał rację, lecz dym niemal do ostatniej chwili skrywał przed ich wzrokiem grupę, której szukali. Kilkanaścioro dzieci tłoczyło się w ślepym zaułku - korytarzu prowadzącym na północny-zachód, w kierunku odległego o jakieś trzy kilometry kompleksu Rzeczka. Tyle tylko, że korytarza nigdy nie ukończono; zdołano wykuć niespełna sto metrów. W wąskim przodku dym był znacznie bardziej niebezpieczny niż w otwartych tunelach. Graczyk zdumiał się, że tu siedzą, zamiast czym prędzej wracać. Przestał się dziwić, kiedy z bliska spojrzął w twarze dzieci. Były wyczerpane i śmiertelnie przerażone. W ich oczach dostrzegł nadzieję, kiedy go zobaczyły, ale żadne nawet się nie odezwało.

– Czyżby były same? – zaniepokoił się Janiszewski. – Co tu się stało, do diabła?

Gdzieś w przedzie rozległ się hałas, jakby ktoś nagle poderwał się na nogi.

– Kto tam? – usłyszeli.

Z dymu wyłoniła się wysoka, pięćdziesięciokilkuletnia kobieta. Sprawiała wrażenie przekonanej, że niczego tu nie ma, a głos Janiszewskiego to tylko omamy słuchowe. Na ich widok stanęła jak wryta.

– O Boże! – westchnęła.

– Już dobrze, nic wam nie grozi – powiedział Graczyk. – Wydostaniemy was stąd.

Wyraźnie próbowała się opanować. W chwilę później usłyszały ich dzieci i powodując nieopisany harmider, rzuciły się w ich kierunku. Graczyk nie należał do osób wylewnych. Obstawiony przez rozwrzeszczanych jedenastoletków, nie bardzo wiedział, co robić. Z opresji wybawił go Janiszewski, niczym urodzony gwiazdor rozdając na prawo i lewo uściski i uśmiechy. Opiekunka, wyraźnie zmęczona, przepchnęła się przez tłumek swoich podopiecznych.

– Dziękujemy – zwróciła się do Graczyka, zapewne zauważywszy jego zmieszanie i bezradność. – W samą porę. A więc jednak ktoś ruszył nam na pomoc.

– Akcja ratunkowa jest w toku – odparł. – Wyprowadzimy was stąd.

– Gdzie wasz przewodnik? – zapytał Janiszewski.

– Nie żyje. Zginął... Znajdował się w szybie, kiedy te samochody... To było straszne.

– Chryste – szepnął Janiszewski.

– Ruszajmy – zdecydował Graczyk. – To najgorsze miejsce, w jakim mogliście się znaleźć.

Kobieta potrząsnęła głową.

– Dzieci nie mogą już iść. Nie zmusimy ich.

– Nikt nie zamierza ich zmuszać.

Popatrzył po zwróconych na niego dziecięcych twarzach.

– Ten pan – wskazał na Janiszewskiego – tak dobrze zna te podziemia, że może nas zaprowadzić do wyjścia nawet z zamkniętymi oczami. Dotrzemy tam za piętnaście minut. To mniej, niż długa przerwa w szkole. Za kwadrans znajdziecie się na dworze. Ale musimy wyruszyć teraz; wszyscy razem. Pójdziemy prosto do wyjścia. Wiem, że jesteście zmęczeni. Czy ktoś chce, żeby go ponieść?

Wiedział, że ich zawstydzi. Był nieznanym, a żaden jedenastolatek nie poprosi obcego o wzięcie na ręce.

– Czy ten pan jest przewodnikiem? – zapytał jeden z chłopców.

– Najlepszym ze wszystkich, jacy są w tych podziemiach.

Janiszewski skrzywił się, ale nie odezwał. Znakomicie, pomyślał Graczyk. Szybko się uczy. Należy dawać nadzieję, a nie ją odbierać. Prawda jest drugorzędna. Zresztą, nie skłamał. W tych podziemiach nie było aktualnie nikogo, kogo można by określić mianem przewodnika.

W wąskim korytarzu dzieci zbiły się w ciasną gromadkę. Graczyk nigdy jeszcze nie widział grupy sprawiającej równie żalosne wrażenie. Ale i on sam pewnie wyglądał nie lepiej. Dziwne, że w ogóle zdołał pozyskać ich zaufanie.

– Pracuje pan tutaj? – zapytała opiekunka, kiedy ruszyli za Janiszewskim, wskazującym drogę. – W obsłudze tej podziemnej trasy turystycznej?

Zaskoczony, przez sekundę zastanawiał się, co odpowiedzieć. Ale nie było potrzeby kłamać.

– Jestem policjantem.

– Tak szybko przyjechaliście? – wyraźnie ją to zdziwiło.

– Niezupełnie – zawahał się. – To nasz samochód spadł do szybu.

Potknęła się. Podtrzymał ją, ale odrzuciła jego rękę.

– Co takiego?

– Niestety, to prawda.

– Więc to wszystko wasza wina?

– Nie. Ale to przecież i tak niczego nie zmienia.

Milczała dłuższą chwilę.

– Co się właściwie stało?

– Będzie śledztwo, więc nie mogę o tym opowiadać. Przepraszam.

– Myślę, że jest pan nam to winien.

– Naprawdę przepraszam.

Któreś z dzieci zaczęło gwałtownie kaszleć. Kobieta pochyliła się nad nim, otoczyła ramieniem i prowadziła przez jakiś czas. Graczyk myślał, że już się do niego nie odezwie. Odezwała się jednak.

– Pana przyjaciół też jest policjantem?

– Nie, tylko ja.

– A więc naprawdę jest przewodnikiem?

– W pewnym sensie.

Uniosła brwi.

– Ma wszelkie kwalifikacje – uspokoił ją. – Zapewniam panią, że mógłby zostać przewodnikiem choćby dziś.

– To może być niezbędne – odparła. – Zważywszy, że wasz samochód spowodował tu wakat.

Widok słońca dawno już nie sprawił Graczykowi takiej przyjemności. Co zatem odczuwali więźniowie, wykuwający te podziemia? Ich radość musiała być podwójna: że znów widzą niebo i że przeżyli kolejny dzień.

Niewiele się pomylił obiecując dzieciom, że dotrą do wyjścia w ciągu kwadransa. Trwało to pięć minut dłużej i wymagało olbrzymiego wysiłku, ale dokonali tego. Janiszewski bez kłopotu doprowadził ich do wylotu sztolni numer dwa – miejsca, w którym rozpoczynała się podziemna trasa turystyczna. Normalnie wycieczki kończyły się w sztolni numer jeden, jednak chcieli wyjść tam, gdzie znajdował się budynek z kasą i gdzie najprawdopodobniej podjadą samochody z pomocą.

Wszyscy byli w opłakanym stanie. Tak przerażone dzieci Graczyk widział dotąd tylko raz – kiedy przed kilku laty w okolicach Walimia turystyczny autobus zderzył się z ciężarówką. Nikt wówczas wprawdzie nie zginął, lecz szpital w Wałbrzychu zappełnił się dziećmi, z których większość znalazła się tam nie z powodu urazów fizycznych, ale szoku.

Na wysypującą się ze sztolni gromadkę czekał już komitet powitalny. Dawno już przed wejściem do tej - ani jakiegokolwiek innej - sztolni w Górach Sowich nie panował taki rozgardiasz; po raz ostatni zapewne w czasie wojny, kiedy wykuwano te kuriozalne konstrukcje. Dwa wozy bojowe straży pożarnej i karetka pogotowia stanowiły tło dla zamieszania, w którego środku Graczyk wcale nie chciał się znaleźć. Tak samo musiał myśleć Janiszewski, bowiem gdy cała grupa opuściła podziemia, zatrzymał się w przedsionku sztolni i chwycił za ramię Graczyka.

– Niech pan zaczeka – odezwał się. – Ciągle mamy coś do zrobienia. Pamięta pan?

– Chodzi panu o poszukiwania tego chłopca? Oczywiście, że pamiętam.

– Dla Marcina każda chwila może oznaczać życie lub śmierć. Ale chodzi też o powstrzymanie ludzi w podziemiach przed zrobieniem tego, co zamierzają. Po tym, co widzieliśmy, wydaje mi się, że ich akcja – na czymkolwiek by polegała – zbliża się do finału.

Graczyk pokiwał głową.

– Ja też odniosłem takie wrażenie.

– Nie mówię, żebyśmy wyparli się odpowiedzialności za to, co się tu stało. Po prostu nie mówmy zbyt wiele. Wyjaśnimy wszystko na komendzie w Wałbrzychu.

Graczyk bił się z myślami. Kilku ludzi dziś zginęło. Może dobrze byłoby choć jednego uratować?

– Pojedziemy najszybciej, jak to będzie możliwe – zdecydował. – Ale najpierw musimy opowiedzieć jakąś bajeczkę.

W południe strażacy zebrali swój sprzęt i odjechali, a ludzie Graczyka skończyli spisywać zeznania wszystkich, którzy byli w stanie zeznawać. Znalaziono zwęglone ciała czterech osób. W jednym, dzięki metalowemu kaskowi na głowie, zidentyfikowano przewodnika. Z pozostałych – nierozpoznanych – dwa znajdowały się we wnętrzu jeepa, a

jedno na zewnątrz. Zwłoki zabrano do Wałbrzycha. Ponieważ był to wypadek, a nie morderstwo, i to w pewnym sensie wypadek drogowy, sprawa nie podlegała jurysdykcji inspektora Turskiego. Graczyk odczuwał z tego powodu ulgę. Ekipa z wałbrzyskiej drogówki, mocno zaskoczona, wykonała odpowiednią dokumentację śladów w okolicy szybu i na jego dnie. Graczyk z trudem zachowywał powagę widząc ich miny, kiedy opuszczali podziemia.

Usunięcie wraków pozostawiono na później. Ich wydobywanie w całości było praktycznie niemożliwe; ciężki sprzęt mógłby zapewne dostać się w okolice szybu, ale nikt nie podjąłby takiego ryzyka. Pozostało jedynie pociąć samochody i wynieść je w częściach. Mogło to trwać tygodniami. Tak czy inaczej, kompleks miał być zamknięty do odwołania.

Z pewnością nie martwiło to Marii Walczak. Już wcześniej oświadczyła, że nigdy więcej nie zabierze dzieci w takie miejsce. Graczyk sądził, że odjedzie bez pożegnania, ale kobieta podeszła do nich przed zajęciem miejsca w ostatniej karetki; poprzednie zabrały dzieci i młodszą opiekunkę. Nie znalazła czasu, by się umyć i doprowadzić do porządku, lecz nie wydawała się skrzepowana.

– Nie zdążyłam panom podziękować – odezwała się. – W imieniu nas wszystkich, oczywiście.

Graczyk poczuł zmieszanie.

– Sądzę, że poradzilibyście sobie – odparł. – Nigdy jeszcze nie widziałem tyle determinacji. Jestem pewien, że wystarczyłoby jej wam na znalezienie wyjścia, bez względu na przeszkodę.

Uśmiechnęła się.

– Determinacji, mówi pan? Ja nazwałabym to oślim uporem. Ale niech będzie. Jeszcze raz dziękuję.

Kiedy karetka ruszyła Janiszewski popatrzył znacząco na Graczyka. Obaj byli zmęczeni. Mieli jednak coś jeszcze do zrobienia.

– My jedziemy, sierżancie – Graczyk zwrócił się do Żabińskiego. – Ty tu teraz dowodzisz, dopóki wszystko się nie skończy. Nas już tutaj nie ma.

Żabiński wzruszył ramionami.

– A jak zamierzacie urzeczywistnić waszą nieobecność?

– Zabieramy land rovera – Graczyk uśmiechnął się pod nosem. – I tak pewnie nie ruszysz się stąd do wieczora.

– Pięknie. Po prostu wspaniale.

Kiedy ruszyli Janiszewski popatrzył kpiąco na Graczyka.

– No i jak? Przyjemnie być bohaterem?

– Wątpię, żebym dostał medal. A już na pewno nie wtedy, gdy wszyscy się dowiedzą, że to mój samochód tam leży.

Komenda miejska policji w Wałbrzychu mieściła się w starym ceglanym budynku o surowej, industrialnej architekturze. Graczyk bywał tam od czasu do czasu. Nigdy jednak nie wyglądał na żebraka, którego poturbowali koledzy z noclegowni.

Droga do Wałbrzycha minęła bez żadnych niespodzianek; być może tamci – kimkolwiek byli – zrezygnowali z kolejnych prób pozbycia się ich. A może uznali, że nikt już nie zdoła przeszkodzić w realizacji ich celu? To wydawało się bardziej prawdopodobne. Graczyk wątpił, by zdołał przekonać Turskiego – a tym bardziej jego przełożonych – do jakiegokolwiek reakcji. Musieliby uwierzyć mu na słowo. A przecież był dla nich tylko wsiowym krawężnikiem. Zaś Janiszewski – brudny i z plecakiem – wyglądał na przerośniętego studenta. Tworzyli mało wiarygodną parę.

Turskiego nie było. Graczyk przedstawił się i poprosił o podanie prywatnego numeru telefonu lub adresu inspektora.

– Czy mogę zobaczyć legitymację? – dyżurny mierzył ich podejrzliwym spojrzeniem.

– Niestety, nie mam jej przy sobie.

– Przykro mi, ale nie mogę podać ani numeru telefonu, ani adresu.

Graczyk wiedział, że niczego nie wskóra. Nawet gdyby dyżurnemu chciało się pofatygować – co bardzo wątpliwe – by spojrzeć, jakim samochodem przyjechali. A rozmowa z kimś innym nie miała sensu.

– W takim razie mam prośbę. Niech pan zadzwoni do inspektora i powie, że chcę z nim rozmawiać, dobrze? Na pewno się zgodzi.

– Dlaczego nie zadzwonił pan z komisariatu w Głuszycy, tylko przyjechał do Wałbrzycha?

– To długa historia. Bardzo proszę.

Dyżurny niechętnie sięgnął po telefon.

– Tracimy tylko czas – warknął cicho Janiszewski.

– Być może – zgodził się Graczyk – ale ustaliliśmy, że trzeba spróbować, więc nie ma sensu się nad tym rozwodzić.

Janiszewski spojrzał na niego krzywo.

– Nie może pan tego jakoś przyspieszyć? Jest pan policjantem.

– To nawet gorzej. Pana potraktują uprzejmie, ponieważ jest pan przedstawicielem społeczeństwa, z którym policja chce współpracować. Ja, jako gliniarz z pipidówki, muszę znać swoje miejsce w szeregu. A to znaczy, że kiedy ci tutaj sikają, powinienem udawać, że pada deszcz.

– Nawet po tym wszystkim, co przeszliśmy?

– Tym bardziej. Będzie cudem, jeśli nam uwierzą. A bardzo nam zależy, żeby uwierzyli, prawda? Więc musimy być grzeczni.

Jednak Turski nie wykazał entuzjazmu, tym bardziej że przy dyżurnym Graczyk nie chciał wdawać się w szczegóły. Zwłaszcza w te najbardziej nieprawdopodobne. Jego opowieść brzmiała więc co najmniej dziwnie.

– Proszę przyjść jutro na komendę – inspektor najwyraźniej się niecierpliwił. Oderwali go zapewne od jakichś ważniejszych spraw. – Wtedy porozmawiamy.

– Rzecz w tym, że trzeba działać jak najszybciej. Jutro może być za późno.

– Niech pan da spokój, Graczyk. Przez zamek przewinęły się przez pół wieku tysiące ludzi. Nic tam nie ma do zrabowania.

– To się nie dzieje w zamku, lecz pod nim – Graczyk niemal krzyczał szeptem, jeśli to w ogóle możliwe. – W podziemiach, które oficjalnie nie istnieją, więc nie było jak sprawdzić, co w nich właściwie jest.

– Nie wiem, co panu naopowiadał ten badacz tajemnic od siedmiu boleści – w głosie Turskiego brzmiało znużenie – ale dziwi mnie, że pan w to uwierzył. Niech pan przyjedzie jutro rano. Najlepiej z pełnym raportem w rękę.

– Ale zamek...

– Remont zamku to prestiżowa inwestycja, a firma Kronos jest poważną firmą. Miasta nie stać na narażanie na szwank takiego przedsięwzięcia.

– Remont zamku to ściema, do jasnej cholery!

– Żegnaj, komisarzu. Proszę przyjść jutro. Ale wcześniej radzę ochłonąć.

Turski przerwał połączenie. Mina dyżurnego wyrażała satysfakcję, jakby chciał powiedzieć: a nie mówiłem?

– Można było się tego spodziewać – stwierdził Janiszewski, gdy opuścili budynek.

– Spodziewałem się – burknął Graczyk. – Co nie zmienia faktu, że jeszcze bardziej nie lubię dupków z Wałbrzycha.

Janiszewski parsknął.

– A ja nie lubię dupków z Wrocławia. Z kolei oni pewnie nie przepadają za tymi z Warszawy. Sieć wzajemnej niechęci to najtrwalsza struktura w dziejach świata.

Stanęli przy samochodzie.

– Mam dość na dzisiaj – Graczyk wyjął kluczyki. – Nie pomożemy nikomu, jeśli będziemy padali z nóg. A ja na pewno padnę, jeśli się nie położę. Jadę do domu.

– Niechętnie to przyznaję, ale chyba znów ma pan rację – zgodził się Janiszewski. – Nie będziemy w stanie pomóc nawet sobie, a co dopiero Marcinowi. Poza tym, trzeba się przygotować. Myślę, że w obecnej sytuacji kilkanaście godzin nie robi wielkiej różnicy. A jeśli nawet, nic na to nie poradzimy.

– Może Turski będzie jutro bardziej skłonny do współpracy.

Janiszewski pokręcił głową.

– Nie będziemy już robić z siebie idiotów.

– Nie widzę wyboru. Tym bardziej, że Książ to ich teren.

– Mój także.

– A co pan może? Bez urazy, ale już rozmawialiśmy, że to nas przerasta. Jeśli Turski nie zmieni zdania, pójdę wyżej.

– Jeszcze pan nie rozumie? – zirytował się Janiszewski. – Im wyżej, tym gorzej. Dla tych z góry najważniejsza jest lokalna polityka. Czy na miejscu komendanta policji zaryzykowałby pan karierę, żeby sprawdzić niepotwierdzone pogłoski o podziemnym pociągu pancernym z drugiej wojny światowej? Sam by się pan z tego śmiał. A potem opowiedziałyby pan to, jako dowcip, podczas kolacji z prezesem firmy Kronos.

Graczyk bawił się kluczykami.

– Tak, jak pan to przedstawia... – mruknął. – Hm...

– Niech pan przyjedzie jutro rano do Wałbrzycha – powiedział Janiszewski. – Ale nie na komendę, tylko do mnie. Poradzimy sobie bez Turskiego.

Graczyk popatrzył na niego sceptycznie.

– Co pan kombinuje?

Janiszewski mrugnął.

– Już mówiłem – wejście awaryjne.

– Awaryjne, tak? A co z wyjściem? Jakie będzie?

- Tego nie wiem.
- Dzięki. Teraz na pewno będę spał spokojnie – Graczyk zajął miejsce za kierownicą.
- Pomyślę o tym. Do zobaczenia.

Teresa Liszcz przez cały dzień odwlekała decyzję. Była bardzo podenerwowana. Dziś mieli wyjątkowo dużo pracy, więc jej obecność po godzinach była całkowicie uzasadniona. Dochodziła już dwudziesta, kiedy wreszcie postanowiła działać.

Przez chwilę siedziała nieruchomo i nasłuchiwała. Potem wstała i odłożyła notatnik. Prezesa Kellera nie było od rana. Jego gabinet mieścił się tuż obok. Firma Kronos AG wynajęła całe piętro w hotelu przy zamku Książ, a właściwie w jednym z hotelowych budynków oraz kilka pokoi w innych obiektach. Trudno było bowiem mówić o jednym hotelu. Budynków było kilka; znajdowały się w oficynie, nie opodal głównego wejścia na teren dawnego dolnego zamku. Dziś miejsce to przypominało raczej pasaż handlowy z kawiarniami i sklepikami.

Teresa weszła do gabinetu Kellera, zamknęła za sobą drzwi i zbliżyła się do biurka, zavalonego papierami. Część z nich znała, zajmowała się bowiem ich tłumaczeniem, i to nie one ją interesowały. Nie szukała właściwie niczego konkretnego. Miała nadzieję, że jak to znajdzie, będzie o tym wiedziała. Jej podejrzania opierały się w dużej mierze na intuicji. Dlatego nie mogła się nimi z nikim podzielić; musiała sama je potwierdzić bądź odrzucić.

Wątpliwości co do firmy Kronos nie narodziły się wczoraj. Od wielu dni gromadziła w pamięci rozmaite wskazówki, niejasności i poszlaki. Ich wydźwięk był jednoznaczny: nie wszystko było takie, na jakie wyglądało. Zastanawiała ją, na przykład, zaskakująco duża liczba pracowników, jacy przewinęli się przez zamek w ostatnim czasie. Wielu z nich widziała tylko raz, po czym znikali bez śladu. Niestety, gotowa była iść o zakład, że nie jest w stanie tego udowodnić - w każdym momencie robotników było tyle samo, odnosiła jednak wrażenie, że nie zawsze były to te same osoby. Gdzie więc się podziewali ci, których widziała poprzednio? I dlaczego się zmieniali?

Inne jej wątpliwości dotyczyły spraw mniej uchwytnych. Jakieś zasłyszane fragmenty zdań lub odwrotnie – rozmowy cichnące na jej widok. Teresa zdawała sobie sprawę, że jej podejrzania są co najmniej dyskusyjne, a obserwacje – bardzo kobiece, być może za mocno oparte na intuicji.

Keller przy całym swym profesjonalizmie nie był pedantem. Papiery walały się po biurku bez ładu i składu. Z jednej strony ułatwiało to Teresie zadanie, ponieważ nie sposób będzie zauważyć, że cokolwiek było ruszane. Z drugiej – mogła myszkować w tym bałaganie do sądnego dnia. Przypominało to próbę wyciągnięcia szczęśliwego losu z kosza wypełnionego pustymi kuponami.

Musiała się spieszyć. Część dokumentów była po polsku i te odkładała natychmiast; wątpliwe, by wśród nich kryło się coś interesującego. Na dokumenty niemieckie składały się przede wszystkim zamówienia, specyfikacje i listy przewozowe. Wiele technicznych nazw nic jej nie mówiło; jej znajomość niemieckiego ograniczała się raczej do zagadnień ogólnych. Wprawdzie w ciągu kilku tygodni pracy dla spółki Kronos nabyła nieco wiedzy o terminach technicznych, jednak czytając zamówienie na części do jakiegoś urządzenia mogła tylko domyślać się, o jakie urządzenie chodzi.

Nie znalazła niczego niezwykłego. Ot, normalna papierkowa robota kierownika budowy. Być może specjalista dostrzegłby jakieś niejasności, które jej umknęły, ale nic nie

mogła na to poradzić. Sam pomysł pogrzebania w papierach Kellera już nie wydawał jej się tak dobry, jak jeszcze dziś rano, kiedy na niego wpadła. Zawahała się, sięgając do uchwytu szuflady; jej otwarcie oznaczałoby znacznie głębsze naruszenie prywatności, niż przerzucenie kilku formularzy na biurku.

– Za późno na wyrzuty sumienia – mruknęła. Już i tak tkwiła w tym po uszy.

Szuflada okazała się – co ją zaskoczyło – niemal pusta. Podobnie jak kolejna. Tak, jakby Keller rzadko ich używał, woląc mieć całą swoją buchalterię na widoku. Niemal wszystkie znalezione tu dokumenty były dla niej zrozumiałe i niczego nadzwyczajnego w nich nie wyczytała. Trzeba szukać dalej.

Nie zdążyła otworzyć następnej szuflady. Drzwi otwarły się i stanął w nich Keller. Na jego twarzy odmalowało się zaskoczenie, ale spojrzenie natychmiast stwardniało.

– *Frau Listz* – powiedział. – Nieładnie. Jest pani bardzo wścibską osobką.

Znów był w tym okropnym mieście. Płaskim, szarym i przygaszonym, niczym kolorowe zdjęcie zamieszczone w czarno-białej gazecie. Wyczuwał wokół siebie wrogość, podszytą lękiem. Każda z ulic, którymi kluczył, kończyła się ślepo wysokim murem. Na jego szczycie wiły się zwoje drutu kolczastego, a na nim siedziały dziwnie milczące wróble.

Idąc coraz szybciej skręcał w kolejne ulice, lecz nie mógł trafić do wyjścia. Myśl, że miałby tu zostać, przerażała go. Chciał spytać kogoś o drogę, ale choć wokół pełno było przechodniów, jakimś dziwnym trafem do nikogo nie mógł się zbliżyć. Im mocniej się starał, tym bardziej rósł dystans między nim a nimi. W końcu zaprzestał prób i zaczął biec przed siebie. Kiedy na jego drodze wyrósł mur, odbił się i skoczył. Na ułamek sekundy dotknął wierzchołka muru, ale nie zdołał się utrzymać i runął w dół. Upadł ciężko na plecy aż zadrżała ziemia i wtedy się obudził.

Jak to czasami bywa w przypadku ludzi, którzy wiele podróżują, inżynier Udo Ritter przez chwilę odczuwał dezorientację, nie wiedząc, gdzie jest. Pokój niczym szczególnym się nie wyróżniał, ale za oknem było zbyt ciemno, żeby mógł znajdować się w centrum jakiegoś miasta. Lecz gdzie miałby nocować rycerz, jeśli nie w zamku? Co prawda, nie w samym zamku. Ritter mieszkał w jednym z budynków hotelowych w dawnej oficynie gospodarczej zamku Książ, w małym, ale bardzo stylowym, obłożonym bluszczem „Pensjonacie Księżnej Daisy”.

Po całym dniu pracy zasnął pod wieczór jak kamień. Był inżynierem elektrykiem, a zamki stanowiły jego pasję. Prowokowało to niekiedy żarty znajomych na temat wpływu nazwiska na wybór drogi życiowej. Ale Rittera pociągało związane z tym wyzwanie. Właściwe oświetlenie zabytkowych wnętrz to nie przelewki. Problem polegał na tym, że zamki były budowane na długo przed erą elektryczności i trzeba było nie lada kunsztu, żeby dostosować ich oświetlenie do wymagań nowoczesności, zachowując jednocześnie jak najwięcej z surowej, mrocznej estetyki. Sprawa była, rzecz jasna, znacznie bardziej złożona. Należało uwzględnić obecne przeznaczenie budowli – czy miał służyć za hotel, za muzeum czy też za prywatną siedzibę. Trzeba było też mieć na uwadze epokę, z jakiej pochodził zamek bądź poszczególne jego fragmenty – innego oświetlenia wymagała gotycka baszta, a innego barokowa sala balowa czy romańskie krużganki.

Istniejące dziś zamki posiadały już co prawda oświetlenie elektryczne, i to od ponad stu lat, ale często była to pozbawiona smaku i pomysłu, dość przypadkowa iluminacja. W taki sposób, pomyślał Ritter, można oświetlić halę fabryczną, a nie perłę architektury obronnej czy pałacowej. Wiedza i doświadczenie Rittera w tej dziedzinie wciąż jego samego wprawdzie nie zadowalały, ale fachowcy z branży uważali go za jednego z najlepszych. Toteż nie miał kłopotów ze zleceniami. Przyjazd do Książa, na podstawie kontraktu z firmą Kronos AG, z którą już kilkakrotnie współpracował, poprzedzony był pracą na zamku w Bawarii. Później, niemal prosto stąd miał lecieć do Hiszpanii, by zaprojektować oświetlenie w świeżo odrestaurowanym przez jakiegoś prywatnego inwestora zameczku w Kastylii.

Jego życie nie należało do szczególnie skomplikowanych, skąd więc ten koszmar, wspomnienie dawno minionej epoki? Jako dziecko odwiedził z rodzicami Berlin Wschodni. Do dziś pamiętał krzywe spojrzenia jego mieszkańców, rzucane na ich nowy samochód i

modne ubrania. Ci ludzie emanowali irracjonalną niechęcią do wszystkiego, co zachodnie. Czy było to uczucie szczere, czy wymuszone obawą przed wszechobecnymi konfidentami i agentami Stasi, nie wiedział. Czuł się jednak, mimo swych dziesięciu lat, niczym w matni.

Podobnie jak wszyscy cieszył się oglądając w telewizji, jak pada berliński mur, ale nigdy już, nawet w wiele lat później, nie pojechał na tamtą stronę. Choć na Potsdamer Platz nie było dziś śladu po strefie śmierci, a na jałowej ziemi wzniesiono pomniki życia i konsumpcji, takie jak Centrum Sony, miejsce to wciąż było naznaczone przeszłością. Wiedział, że dla niego wschodnie dzielnice Berlina zawsze pozostaną tamtą stroną.

Kiedy po studiach uzyskał wreszcie swobodę wyboru miejsca zamieszkania, bez większego żalu porzucił Berlin na rzecz Hamburga. To miasto miało przestrzeń, oddychało; zapewne dzięki niedalekiemu morzu. Nie nosiło też nigdy piętna dwóch rzeczy, które chciał zostawić za sobą: dzielącego je muru i feralnego miejsca na obwodnicy, w którym volkswagen passat jego rodziców zderzył się z wielką ciężarówką, która nagle wtargnęła na ich pas ruchu.

Usiadł na łóżku. Do dwudziestej drugiej brakowało kwadransa. Spał więc zaledwie pół godziny. Co go obudziło? Być może sprawił to sam sen, ale miał wrażenie, że było coś jeszcze. Zresztą, to i tak bez znaczenia; teraz już trudno będzie mu ponownie zasnąć. W pokoju było ciemno i cicho. Tak cicho może być tylko z dala od miasta. Wstał i po omacku poszedł do łazienki. Kiedy zabłysło światło, musiał na chwilę zamknąć oczy. Przemywając twarz wodą uświadomił sobie, że nawet w przybliżeniu nie jest w stanie określić, w którym to już hotelu gości. Dwadzieścia lat pracy i dziesiątki podróży, tysiące pokonanych kilometrów, setki pokoi, zawsze pojedynczych. To właśnie dla takich jak on ukuto określenie: życie na walizkach. A także inne: stary kawaler.

Wróciwszy do pokoju wyjrzał przez okno. Miał pecha, bo nie wychodziło na zamek, lecz na dziedziniec otoczony budynkami oficyny. W dodatku część widoku zasłaniały drzewa. Nagle poczuł wstrząs. A raczej cień wstrząsu; ledwie uchwytnie wrażenie, jakby na podłogę bezgłośnie spadł worek z piaskiem. Co się stało? Czy właśnie to go wcześniej obudziło? W nowych miejscach dość często miał do czynienia z tajemniczymi odgłosami. Były one tajemnicze dopóki pozostawały nowe. Zwykle szybko okazywało się, że to najczęściej hałasy z klimatyzacji, rur wodociągowych albo nocnych robót drogowych na sąsiedniej ulicy. Tak samo było zapewne i tym razem.

Kłopoty ze snem przytrafiały mu się już wcześniej, jak wielu często podróżującym ludziom. Wiedział, że najlepszym lekarstwem jest zmęczenie. Nie warto było leżeć i na siłę starać się zasnąć. Zazwyczaj pomagał spacer lub późny jogging. Oczywiście, nie wszędzie było to wskazane; tu jednak, na terenie zamku, chyba nic mu w nocy nie groziło. Zdecydował się na krótką przebieżkę, ubrał się więc w lekki dres i adidasy.

Recepcjonistka była z pewnością przyzwyczajona do wieczornych wyjść i powrotów gości, ale jego strój w połączeniu z porą chyba ją nieco zaskoczył. Uśmiechnęła się jednak profesjonalnie, kiedy zostawił klucz. Noc była bardzo ciepła. Tylko kilka lamp rozświetlało ciemność. W niektórych oknach budynków oficyny paliło się jeszcze światło. Bryła zamku ciemniała na tle gwiazdzonego nieba. Ritter przez chwilę zastanawiał się, jaką trasę obrać. Miał dwie możliwości: pobiegać po wzgórzu zamkowym, w obrębie murów, bądź przejść przez bramę i pobiegać po parku. To pierwsze byłoby z pewnością bezpieczniejsze, lecz musiałby biegać w kółko, natomiast drugie – ryzykowne, ale bardziej interesujące. Pokręcił głową; nie miał ochoty na eksperymenty - potrzebował zmęczenia, a nie zastrzyku adrenaliny.

Skierował się w prawo, a następnie ponownie w prawo. Dobiegł do budynku dawnej kuźni i zawrócił. Teraz pobiegł prosto przed siebie, wzdłuż wewnętrznego muru. Po kilkudziesięciu metrach przestrzeń tarasu zwęziła się i znalazł się między dwoma murami. Z jednej strony miał położony niżej taras zachodni, z drugiej – leżący wyżej dziedziniec honorowy. Wkrótce dotarł do zachodniego skrzydła zamku i ponownie musiał zawrócić.

Pobiegł wzdłuż muru dziedzińca honorowego, w kierunku oficyny. Był na wysokości pensjonatu, w którym nocował, kiedy usłyszał jakieś głosy. Najwyraźniej z nocnej wyprawy wracali spóźnieni goście hotelowi.

Chcąc ich ominąć skręcił w prawo, między budynki oficyny. Teren wznosił się tu do poziomu, na którym znajdował się sam zamek i większość zabudowań. Wbiegł pod górę, minawszy róg jednego z budynków hotelowych, i nagle stanął jak wryty. Omal nie wpadł na grupkę ludzi, równie zaskoczonych jak on. Ze zdumieniem rozpoznał prezesa Kellera i tę młodą tłumaczkę, jak jej tam, chyba Terezę. Widywał ją praktycznie codziennie, ale tylko raz miał okazję zamienić z nią kilka słów. Była bardzo atrakcyjną kobietą. Zwracała powszechną uwagę; zwłaszcza męskiej części personelu firmy Kronos. Towarzyszyło im dwóch zwalistych typów w kombinezonach roboczych. Jeden z nich trzymał dziewczynę pod ramię. Nie wyglądało to na przyjacielski uścisk.

Keller szybko odzyskał rezon.

– *Herr Ritter* – uśmiechnął się. – Nie wiedziałem, że pan biega. Sam też kiedyś próbowałem, ale wolałem robić to rano. Niestety, zabrakło mi samozaparcia.

– Każda pora jest dobra, żeby zażyć trochę ruchu, *Herr Keller* – odparł ostrożnie Ritter. – Czy coś się stało?

Sytuacja była dziwna. Nie wiedział, co robić.

– No cóż, mamy pewien kłopot z *Frau Listz*, *Herr Ritter* – powiedział Keller.

– Kłopot?

– *Frau Listz* okazała się bardzo niegrzeczną młodą damą. Włamała się do mojego biurka, grzebała w szufladach. Chyba chciała coś ukraść.

– Ukraść! – wybuchnęła Teresa. – Dobrze pan wie, że niczego nie chciałam ukraść!

Keller odwrócił się do niej.

– Zaprzecza pani, że grzebała w moim biurku?

Dziewczyna milczała.

– Sam pan widzi, *Herr Ritter* – Keller westchnął teatralnie. – W tym kraju nikomu nie można wierzyć. Dla nich grzebanie w cudzych rzeczach nie jest przestępstwem.

Ritter wahał się. Nie mógł uwierzyć w winę pięknej tłumaczki, ale jej milczenie...

– Najlepiej byłoby chyba wezwać policję, prawda? – zasugerował.

– Ależ oczywiście, że ją wezwiemy. Chcemy tylko zadać tej pani kilka pytań, żeby się upewnić, czy nie wykradła jakichś tajemnic firmy.

– Tajemnic? – zdziwił się Ritter. – Jakie tajemnice może mieć firma budowlana?

– Każda firma ma swoje tajemnice, *Herr Ritter*.

Keller miał sporo racji. Ritter, jako najemny specjalista, już nie raz był zmuszony podpisywać zobowiązanie do zachowania dyskrecji. Popatrzył na Teresę i pilnujących ją osiłków. Coś tu jednak było nie w porządku.

– Mimo wszystko, uważam, że powinien pan wezwać policję, *Herr Keller* – powiedział.

Tamten przestał się uśmiechać.

– Przypominam, że pracuje pan dla mnie, *Herr Ritter*. Pański kontrakt jeszcze się nie skończył. Proszę nie ingerować w moje kompetencje. Niech pan biega dalej, a potem grzecznie idzie spać. Wrócimy do tego rano.

– Pracuję...

Nagle dziewczyna wyszarpnęła rękę z uchwytu trzymającego ją osiłka i kopnęła go w gołęń. Mężczyzna wrzasnął z bólu. Drugi z goryli zamachnął się, by chwycić Teresę i jego ręka otarła się o ramię Rittera. Ten zareagował odruchowo. Tak jak go uczyli na treningach *krav magi*, izraelskiej sztuki walki wręcz, złapał przeciwnika za nadgarstek i wykorzystując ramię jak dźwignię, pociągnął w dół. Tępe chrupnięcie łamanych kości złało się z

przerażliwym krzykiem. Jednocześnie Ritter wyprowadził kopnięcie w bok nogi tamtego, tuż pod kolano. Napastnik zwałił się na ziemię.

Widząc to drugi z osiłków, ignorując ból, rzucił się na Ritтера. Popenił błąd, bowiem Ritter, sam zaskoczony własną reakcją, wcale nie miał zamiaru się bić. To był odruch, impuls będący skutkiem całej tej sytuacji. Gdyby drugi z robotników dał mu chwilę czasu, z pewnością na tym by się skończyło. Ale tamten natarł niczym bokser wagi ciężkiej, nie dając szansy na jakiegokolwiek wyjaśnienia. Ritter posiadał w *krav madze* stopień G1, czyli zaledwie pierwszy z pięciu stopni zaawansowanych; w dodatku nie miał żadnego doświadczenia w prawdziwych bójkach. Wiedział więc, że jest w nie lada tarapatkach.

Zobaczył jak pięść tamtego, wzmocniona siłą rozpędu potężnego ciała, zmierza w stronę jego głowy. Odchylił się do tyłu unosząc jednocześnie zgiętą w łokciu lewą rękę i odbił cios. W tej samej chwili przesunął ciężar ciała na prawą nogę, a lewą wycelował w pachwinę napastnika. Nie musiał nic więcej robić; tamten sam nadział się na jego nogę. Musiał być jednak prawdziwym twardzielem, gdyż tylko stęknął, zgiął się w pół i chwycił stopę Rittera. Na jego twarzy wykwitł uśmiezek. Ritter szarpnął nogą, lecz bezskutecznie; tkwiła jak w imadle. Powoli, przełamując opór Rittera, tamten zaczął ją przekręcać. Był niesamowicie silny. Ritter gorączkowo szukał wyjścia z sytuacji, wiedząc, że za chwilę straci równowagę. Nagle jakiś przedmiot przeleciał mu nad ramieniem i ugodził tamtego w twarz. Uścisk na sekundę zelżał i to wystarczyło, by Ritter wyswobodził nogę. Prawie natychmiast kopnął, tym razem wyżej, w pierś tamtego. Siła reakcji odrzuciła go w tył, ale mężczyzna nie zdołał utrzymać się na nogach i upadł, staczając się po niewielkiej pochyłości.

Do miejsca, gdzie poprzednio stał, podbiegła, utykając, Teresa i podniosła przedmiot, którym rzuciła. Był to czarny pantofel na niskim obcasie.

– Szybko! – krzyknęła do Rittera. – Uciekajmy zanim dojdą do siebie!

Ritter obejrzał się. Drugi z napastników też jeszcze leżał, ale to się mogło wkrótce zmienić. Wiedział, że wygrał pierwsze starcie tylko dzięki zaskoczeniu i że tamci zaraz się podniosą; byli zbyt twardzi, jak na zwykłych robotników. Stojący z boku Keller patrzył na to wszystko osłupiały. Teresa pchnęła go mocno, aż zatoczył się na ścianę hotelu.

– Na co pan czeka?! – krzyknęła ponownie do Rittera.

Ten spojrział na nią, nie rozumiejąc. Dlaczego miałby uciekać? Przecież nic nie zrobił. Został zaatakowany i bronił się. To nieporozumienie z pewnością da się łatwo wyjaśnić.

– Ritter! – głos Teresy wyrwał go z zamyślenia. – Nie rozumie pan? Teraz i panu grozi niebezpieczeństwo.

– Niebezpieczeństwo?

– Rusz się, człowieku!

Ritter rozejrzał się. Jeden z osiłków już się podnosił. Drugi zaczynał dochodzić do siebie. Z boku rozległy się przekleństwa. Keller usiadł przy murze, potrząsnął głową i dotknął rany na skroni. Na palcach ujrzał krew.

– Idioci! – wrzasnął. – Nie dajcie im uciec!

Teresa chwyciła rękę Rittera i pociągnęła go za sobą. Po kilku krokach zapomniał o swoich wątpliwościach. Choć wszystko to było nieprawdopodobne, uwierzył jej. Napastnicy oddzielali ich od bramy, więc nie pozostało im nic innego, jak pobiec w stronę zamku. Kiedy pokonali kamienny most łączący zamek dolny z górnym, mijając postumenty z lwami podtrzymującymi kartusze herbowe Hochbergów, Teresa śmiało wbiegła na wielki trawnik zdobiący dziedziniec honorowy. Ritter poczuł przelotne ukłucie wstydu, że niszczy coś tak pięknego, lecz podążył za nią. Przeciąwszy trawnik dotarli do zejścia na tarasy, akurat w chwili, kiedy za nimi zatupotały kroki ścigających ich ludzi.

Ritter nie wiedział, czy ich dostrzeżono, lecz nie było czasu, by to sprawdzić. Pokonywali schody po dwa, po trzy naraz, dopóki nie zatrzymali się przed metalową furką przy baszcie prochowej. W dzień sprawdzano w tym miejscu bilety wstępu na tarasy. Innej

drogi nie było, więc niewiele się namyślając Teresa, a za nią Ritter, przeszli przez furtkę i zbiegli po kilku ostatnich schodach, żeby wreszcie stanąć na tarasie bogini Flory.

Z góry dochodziły jakieś głosy. Nie byli w stanie rozróżnić słów. Taras, na którym się znajdowali, leżał około piętnastu metrów poniżej dziedzińca honorowego. Tamci nie mogli ich zobaczyć, ale z pewnością szybko się domyśla, którędy uciekli. Istniało tylko jedno zejście na tarasy. Drugie, od strony tarasu wejściowego, nie było używane. Kiedy napastnicy sprawdzą otoczenie zamku, niewątpliwie podejmą pościg. Choć mur otaczający taras – stanowiący zarazem mur zamkowy – był od ich strony bardzo niski, ucieczka tędy nie wchodziła w rachubę, ponieważ z drugiej strony opadał kilkanaście metrów w dół, a dalej było strome zbocze wąwozu, nad którym wzniesiono zamek. Mogli uciekać tylko do przodu, z tarasu na taras, z których każdy położony był coraz niżej wokół zamku.

Żadne światła nie rozjaśniały mroku; nie docierał tu blask latarni oświetlających oficynę. Na szczęście ich oczy zdążyły już przyzwyczać się do ciemności na tyle, by mogli biec nie potykając się o schody, murki i żywopłoty, jakich pełno było na tarasach. Między tarasem bogini Flory, a następnym na ich drodze tarasem środkowym, bezpośrednio w skale, na której stał zamek, Ritter dostrzegł stalowe drzwi, spięte kłódką.

– Może tamtędy? – zasugerował szeptem.

– Nie zdołamy ich otworzyć – Teresa pokręciła głową. – A gdyby nawet, to znajdziemy się w pułapce. To wejście do podziemi. Jedyne.

– Dziwne, wszystkie podziemia jakie znam, mają po kilka wejść.

– Tu też jest ich więcej, ale pozostałe są zamurowane.

– Dlaczego?

– Pewnie z obawy przed wypadkami.

Ritter podziwiał jej spokój. Nie potrafił ocenić, czy wynika on z opanowania, czy z niedoceniań zagrożenia. Często zdarza się, że ludzie postawieni w krajnej sytuacji doznają czegoś w rodzaju rozdwojenia jaźni; mają wrażenie jakby stali z boku, a rozgrywające się sceny ich nie dotyczyły. On sam przeżył coś podobnego podczas niedawnej walki przed hotelem.

Kiedy dotarli do tarasu kaskadowego, zza chmur wyszedł księżyc. Zbliżał się do pełni, dzięki czemu wokół zrobiło się nieco jaśniej. W zimnym blasku zaśniła woda spływająca szeregiem kaskad z wylęwu umieszczonego w skale u podnóża wyżej położonego tarasu kasztanowcowego. Wkrótce potem skręcili w prawo i znaleźli się na najrozleglejszym z zamkowych tarasów – tarasie zachodnim. Otaczał on zachodnią, neorenesansową fasadę Książa.

Ritter nie mógł się dłużej powstrzymać przed zadaniem tego pytania.

– Czy prezes Keller mówił prawdę?

– Prawdę? – Teresa spojrzała na niego z zaskoczeniem.

– Że zaglądała pani do jego biurka.

– O tak. To akurat była prawda.

– Dlaczego pani to zrobiła?

Zatrzymała się.

– Nie czas na wyjaśnienia, *Herr Ritter*. Zapewniam pana jednak, że nie chciałam niczego ukraść. Dowiedzieć się, owszem. Ale nie tak, jak przedstawił to Keller. Nie szpieguję dla konkurencji.

– Wierzę pani. Tylko dlaczego nie broniła się pani, tam, przed hotelem, kiedy Keller panią oskarżał?

– Nie chciałam pana w to wciągać. Niestety, nie udało się. Przepraszam.

– Nie sądzę, żeby była w tym pani wina.

– Tam, na górze, doskonale pan sobie poradził. Co to było: karate, judo?

– Izraelska *krav maga*. Trochę ćwiczę w wolnych chwilach.

– Kompletnie ich pan zaskoczył. A ja nie zdążyłam nawet panu podziękować. Jestem naprawdę wdzięczna za pomoc.

– No cóż, taki już ze mnie rycerz.

Nie widział jej miny, ale miał wrażenie, że przygląda mu się ze zdumieniem. Zapewne dotychczas sądziła, że łatwiej spotkać ducha niż Niemca z poczuciem humoru. Tak właśnie rodzą się stereotypy.

Z tyłu dobiegły ich stłumione głosy. Najwyraźniej ich prześladowcy zainteresowali się wreszcie tarasami. Ritter nie sądził, żeby tamci mieli ze sobą latarki; z pewnością szkoda by im było czasu na powrót do hotelu. Szanse były więc wyrównane. Przemknęła mu myśl, że może powinni ukryć się w jakimś zakamarku i kiedy tamci pójdą dalej, wrócić na dziedziniec honorowy, a stamtąd pobiec do bramy lub poprosić o pomoc w recepcji hotelu. Plan ten miał jednak słabą stronę – co będzie, jeśli tamci się rozdziela i zostawią kogoś na górze? Wystarczyłby jeden człowiek, by nikt nie zdołał wymknąć się z tarasów. Odrzucił pomysł, lecz w chwilę potem zaczął tego żałować, kiedy zobaczył, co wymyśliła Teresa.

– To się nie uda – pokręcił głową. – Nie damy rady.

Stali przy murze zamykającym taras zachodni. W tym miejscu mur zamkowy uległ rozdzieleniu. Jedna linia biegła w prawo tworząc mur wewnętrzny, druga w dół, najpierw prosto, a potem zakolem w prawo, otaczając zamek od północy drugim murem – zewnętrznym. Między obydwoma liniami murów leżało coś w rodzaju podgrodzia – zaniedbany, porośnięty trawą i drzewami, silnie pochyły teren.

– Uda się – zapewniła Teresa. – Widzi pan, że wewnętrzny mur jest dość niski, więc z łatwością zeskoczymy. Nie wiem, jak wygląda mur zewnętrzny, ale nie może być zbyt wysoki. A zbocze za nim nie jest strome i pełno tam drzew; jakoś wyhamujemy upadek.

Ritter miał wrażenie, że słucha kwestii z jakiegoś kiepskiego filmu.

– Zbocze? Upadek? Pani chyba zwariowała. Przecież ten zamek stoi nad przepaścią.

– Nie nad przepaścią, tylko nad wąwozem. Od tej strony, gdzie jesteśmy, stok wąwozu ma dość łagodne nachylenie. Proszę mi wierzyć, to jest możliwe. Zresztą, ma pan inny pomysł?

Ritter popatrzył na niknącą w ciemności linię muru zewnętrznego. Dziewczyna mogła mieć rację. Mur wzniesiono tylko z tej strony, co zapewne oznaczało, że da się tamtędy podejść, a więc również i zejść. Z innych stron dostępu do zamku skutecznie broniły przeszkody naturalne - skalne urwiska. Sam powinien był się tego domyślić; w końcu, kto tu był miłośnikiem zamków?

Za plecami, coraz bliżej, słyszeli odgłosy pościgu. Tamci mogli być już na tarasie kaskadowym. Podczas gdy Ritter gorączkowo zastanawiał się, co zrobić, Teresa przeszła do działania. Bez trudu wspięła się na niski mur i ostrożnie opuściła się z drugiej strony.

– Na co pan czeka? – syknęła. – Zaraz tu będą.

Ritter nie bez obaw poszedł w jej ślady. Kiedy stanął na ziemi u stóp wewnętrznego muru, Teresa już schodziła w dół wzdłuż muru zewnętrznego. Biegła tamtędy prowizoryczna ścieżka, co podniosło Ritтера na duchu, bo skoro była ścieżka, ktoś musiał tędy chodzić. Od strony zamku mur zewnętrzny sięgał im zaledwie na wysokość ramion. W miejscu, gdzie mur zakręcał w prawo, istniało coś w rodzaju narożnika – być może początek nigdy nie wybudowanej baszty. W samym narożniku ziemia była wybrana, a dół zawałono ściętymi gałęziami i rozmaitym śmieciem.

– Musimy wejść na mur i zeskoczyć – powiedziała Teresa. – To około czterech metrów wysokości. Poradzimy sobie.

– Czyżby?

– Jeśli zawisniemy na rękach, to do ziemi pozostanie mniej niż dwa metry. Tyle, co nic.

Ritter nie miał pojęcia, czy dziewczyna kpi, czy mówi serio. Zresztą, to i tak nie miało znaczenia. Nigdy nie skakał nocą z zamkowego muru. Ale też nigdy nie uciekał przed pogonią, która znajdowała się coraz bliżej.

Weszli na mur, co podobnie jak w przypadku muru wewnętrznego nie było zbyt trudne. Dalej było już jednak gorzej. Musieli przejść kilka metrów po wąskim i nierównym szczycie muru. Teresa ostrożnie stawiała stopy. Kiedy znaleźli się w narożniku, przykucnęła, wsparła dłońmi o krawędź muru i opuściła się w dół, na zewnątrz. Przez chwilę widział jeszcze jej dłonie, potem i one zniknęły. Gdzieś w dole rozległo się głuchoe tąpnięcie i zaszeleściły liście.

– W porządku – usłyszał. – Teraz pana kolej. Śmiało.

Niemal dokładnie powtórzył jej ruchy. Miała rację, nie było zbyt wysoko. Dotykając stopami ziemi, ugiął nogi i wylądował dość miękko.

Byli poza zamkiem. Uciekli.

– Co dalej? – zapytał Ritter.

– Musimy przedostać się do mojego samochodu. Stoi na parkingu koło hipodromu. Przed samym zamkiem nigdy nie ma miejsca do zaparkowania.

– Trafimy?

– Z tym nie będzie problemu. Po prostu pójdziemy wzdłuż muru i dojdziemy do głównej bramy. Martwi mnie co innego.

– Mianowicie?

– Że my jesteśmy na dole, a tamci są na górze. Jeśli się domyślą, którędy uciekliśmy i dokąd zmierzamy, będą mieli bliżej. Mogą nas wyprzedzić. Ale na to nic nie poradzimy. Lepiej ruszajmy.

Zewnętrzny mur zamku był bardzo nierówny. W miejscu, gdzie skoczyli, mierzył około czterech metrów wysokości, a kawałek dalej wznosił się już na siedem, osiem metrów. U stóp muru biegła ścieżka, wspinając się stopniowo coraz wyżej. Początkowo dość szeroka, szybko zaczęła się zwężać, aż stała się tylko cienką nitką, wijącą się między drzewami. Po lewej ręce mieli stok wąwozu, z szumiącą gdzieś w dole Pełcznicą.

Ritter szedł za Teresą właściwie po omacku. Pod stopami wyczuwał nierówności ścieżki, lecz nic nie przygotowało go na to, co miało nastąpić. Teresa potknęła się nagle i zakłęła cicho. Odruchowo sięgnął, by ją podtrzymać. Nieuważny krok sprawił, że lewa noga straciła oparcie i osunęła się poza ścieżkę. Zamachał rękoma i runął na bok, a potem dalej w dół. Pochyłość może nie była zbyt stroma dla kogoś, kto schodził na własnych nogach, lecz Ritter toczył się niepowstrzymanie, objijając się o drzewa i miażdżąc krzewy.

– Ritter! – krzyknęła Teresa. – Niech pan się czegoś złapie!

Tak, jakby nie wiedział! Ale nie było czego się złapać. Zdarł sobie tylko skórę z dłoni próbując chwytać pnie drzew. W końcu, po kilkunastu sekundach karkołomnego slalomu, stok nagle urwał się i Ritter zawisł w powietrzu. Żołądek podszedł mu do gardła, a serce omal nie wyskoczyło z piersi, lecz okazało się, że to nie przepaść, tylko niska skarpa i w chwilę później wyrznął ciężko o ziemię, na szczęście już nie pochyłą, lecz płaską. Uderzenie sprawiło, że stracił dech. Kiedy leżał usiłując zaczerpnąć powietrza, usłyszał gdzieś w górze szelest i ciche nawoływania.

– Ritter! Gdzie pan jest?

Usiadł. Chyba był nadal w jednym kawałku. Rozejrzał się wokół. Spadł na coś w rodzaju tarasu w połowie zbocza. W skarpe, u stóp której się znalazł, wchodziło podłużne wyrobisko, a jego koniec zamykała betonowa ściana, w której tkwiły stalowe drzwi, opatrzone jakimś napisem. Obok wyrobiska biegła droga gruntowa, a zaraz za nią zbocze opadało stromo ku rzece.

– Ritter! – usłyszał ponownie.

– Tutaj – odkrzyknął półgłosem, choć wątpił, czy taka ostrożność ma jeszcze sens. Tamtym z pewnością nie umknął hałas, jaki wywołał swoim upadkiem.

Musiał odezwać się jeszcze dwukrotnie, zanim Teresa, na poły schodząc, na poły zsuwając się po zboczu, zdołała go odnaleźć. Była wyraźnie zaniepokojona.

– Nic się panu nie stało?

– Wszystko w porządku – odparł podnosząc się. – Liczenie żeber zajęło mi trochę czasu, ale chyba żadnego nie brakuje.

– Rzeczywiście, prawdziwy z pana rycerz. Lepiej wychodzi panu walka niż ucieczka.

– Nie powiedziałbym. Co to za walka, po której trzeba uciekać?

Teresa parsknęła śmiechem. Ritter przyłączył się do niej, kiedy zdał sobie sprawę z absurdalności sytuacji. Oto on, dobrze opłacany specjalista, bywały w świecie, stoi teraz w środku mrocznego parku, w utyłanym dresie, obolały i zmęczony, uciekając przed ludźmi, o których nie mógł nawet powiedzieć, że zrobili coś złego.

Kiedy przestali się śmiać, wskazał na betonową ścianę w głębi wyrobiska.

– Co to za drzwi? Co jest na nich napisane?

– To wejście do podziemi, w których mieści się ośrodek badawczy Instytutu Geofizyki Polskiej Akademii Nauk. Zainstalowano tam aparaturę sejsmograficzną do badania trzęsień ziemi.

– Chwileczkę. Na jednym z tarasów też pokazała mi pani wejście do podziemi. Ale to tutaj znajduje się znacznie niżej. Czy chodzi o te same podziemia?

– Pod Książem wykuto w czasie wojny co najmniej dwa poziomy podziemnych korytarzy; jeden poziom mniej więcej piętnaście metrów pod zamkiem, drugi – kolejnych czterdzieści metrów niżej. To wejście, które pan widzi, jest jednym z czterech prowadzących na drugi poziom. Pozostałe są zasypane.

– Powiedziała pani: co najmniej dwa poziomy? Czy to znaczy, że może być ich więcej?

– Bardzo możliwe. Niektórzy są nawet tego pewni. Ale nikt jeszcze nie znalazł wejścia.

– Więc skąd te podejrzenia?

– W zamku znajduje się szyb windy, a na tablicy jest jedenaście przycisków. Sam zamek liczy pięć pięter, szóste i siódme to piwnice, następne dwa to oba poziomy podziemi, co razem daje dziewięć. Dokąd w takim razie jechała winda po naciśnięciu dwóch pozostałych przycisków?

– Rzeczywiście, dobre pytanie. Nie próbowano tego zbadać?

– Niestety, polskie władze wykazały w tej kwestii wyjątkowy brak zainteresowania. Wygląda na to, że nikomu nie zależało na wyjaśnieniu tajemnic Książa.

– Tajemnic? Już drugi raz dzisiaj słyszę to słowo.

– Z pewnością jeszcze pan je usłyszy.

Ritter nie miał pojęcia, w którą stronę należy się skierować, żeby dotrzeć do parkingu, ale odpowiedzi na to pytanie dostarczyło samo ukształtowanie terenu. Gdyby podążyli w lewo, schodziliby w dół, coraz niżej w głąb wąwozu Pełcznicy. Jedynie z prawej strony teren się wznosił. Początkowo szli drogą, ale już wkrótce musieli z niej zejść, ponieważ oddalała się od zamku. Między drzewami wypatrzyli ścieżkę, pnącą się ostro w górę. Tym razem to Ritter objął prowadzenie; w swoim sportowym stroju nie miał większych problemów z pokonaniem stromizny. Teresa, choć nie bez wahania, ujęła jego wyciągnięta dłoń i pozwoliła się niemal wciągnąć na nieco równiejszy teren. Wkrótce znaleźli się w pobliżu ruin amfiteatru, mijając skryte za parkowymi drzewami wejście do zamku. Panowała tam cisza, co mogło świadczyć o tym, że napastnicy jeszcze tu nie dotarli. Jeśli wciąż było ich tylko trzech, istniała szansa, że powrót przez wszystkie tarasy zajmie im trochę czasu.

Na parkingu przed zamkiem o tej porze nie było już żadnych samochodów; hotelowi goście parkowali wewnątrz murów. W świetle latarń cicho pluskała dziwaczna fontanna obok bramy. Przypominała jakiś niedokończony obiekt militarny z czasów wojny, zamieniony – z braku lepszego zastosowania – w fontannę. Podążyli dalej parkowymi ścieżkami, utrzymując mniej więcej taki sam kierunek, jak droga dojazdowa. W pewnej chwili Ritterowi wydało się, że zatoczyli koło i wrócili w pobliże zamku – nad ciemnymi koronami drzew dostrzegł

jeszcze ciemniejszą bryłę jakiejś sporej budowli. Pokazał ją Teresie, ale ona pokręciła uspokajająco głową.

– To kaplica grobowa Hochbergów. Jesteśmy na właściwej drodze.

Z bliska budowla nie wydawała się już tak wielka, ale jej architektura przykuwała uwagę. Zbudowana na planie krzyża greckiego zajmowała szczyt niewielkiego wzgórza. Prowadziła do niej alejka wysadzana topolami. Kiedy znaleźli się z drugiej strony kaplicy, Teresa chwyciła Ritтера za ramię.

– Niech pan uważa.

Ritтер ujrzał w ziemi dwa rzędy ciemnych otworów mniej więcej półmetrowej średnicy, obudowanych betonowymi cembrowinami, niczym studnie. Pochylił się ostrożnie nad jednym. Niczego nie zobaczył, ale miał wrażenie, że niżej jest kilkumetrowa głębia.

– Co to takiego?

– Nie wiadomo. Otwory prowadzą do dużej komory sąsiadującej z piwnicami kaplicy.

– Nie wygląda to na barokową architekturę.

– Bo nią nie jest. Zbudowali to pańscy rodacy podczas ostatniej wojny.

– Podobnie jak podziemia?

– Właśnie.

Ritтер uciszył ją ruchem ręki. Po chwili szepnął:

– Słyszysz pani?

– Co takiego?

– Tam, w dole.

Teresa wstrzymała oddech. Stęchłe powietrze z otworu rzeczywiście niesło jakiś dźwięk. Gdzieś na granicy słyszalności rozbrzmiewało niskie dudnienie. Tak ciche, że nawet najbliższy szelest liści wystarczył, żeby je zagłuszyć.

– To dźwięk mechaniczny – powiedział Ritтер. – Jest zbyt rytmiczny na odgłos naturalny.

– Może to jakieś urządzenie gdzieś niedaleko, na powierzchni?

– Nie sądzę. Najwyraźniej komora pod tymi otworami działa jak rezonator – zbiera dźwięki i wzmacnia je. Jeśli mimo to ten odgłos jest tak cichy, to znaczy, że hałas powstaje na bardzo dużej głębokości. Coś się dzieje w podziemiach – popatrzył nagle na Teresę. – Wiedziała pani o tym. Ma to jakiś związek z firmą Kronos, a pani się tego domyśliła, prawda? Dlatego panią zatrzymali.

Przez chwilę milczała, jakby rozważała możliwość uniknięcia odpowiedzi.

– Rzeczywiście. Chciałam potwierdzić swoje podejrzenia. Wydawało mi się, że prace nie ograniczają się tylko do samego zamku. Nie wiem, co dokładnie robią w podziemiach, ale wiem, że uczynią wszystko, żeby nikt się o tym nie dowiedział. Teraz dotyczy to również pana. Nie sądzę, żeby uwierzyli, iż niczego panu nie powiedziałam.

– Chyba nie sugeruje pani, że mogą nas skrzywdzić? – spytał z niedowierzaniem. – To jakiś absurd.

– Tak pan myśli? Jeśli mam rację, to w podziemiach Książa jest coś, dla czego warto wydawać ogromne pieniądze na zorganizowanie całej tej mistyfikacji. W grę wchodzi dziesiątki milionów euro. Czy pan na ich miejscu zawahałby się przed uciszeniem nic nie znaczącej tłumaczki i cenionego wprawdzie, ale – proszę mi wybaczyć – najemnego inżyniera?

Pokręcił głową.

– Niemcy nie mogą do końca świata odgrywać ról czarnych charakterów z taniego kryminału.

– Oczywiście, że nie. Ale każdy człowiek, bez względu na narodowość, chciałby odzyskać coś, co kiedyś zostawił, prawda? A niektórzy potrafią bardzo mocno chcieć.

– Trudno mi w to wszystko uwierzyć.

– Dlatego właśnie potrzebuję dowodów. Bez nich nikt mi nie uwierzy.
– Znalazła pani coś u Kellera?
– Niestety, nie zdążyłam. Ale jego reakcja świadczy o tym, że z pewnością ma coś do ukrycia.

Ritter nie wydawał się przekonany, ale nic nie powiedział. Za kaplicą wiatr przyniósł charakterystyczny zapach koni.

– Stadnina i hipodrom – wyjaśniła Teresa. – Już niedaleko.

To, co nazywano parkingiem, było właściwie zaimprovizowanym placem dla samochodów, utworzonym z fragmentu wybiegu dla koni. Stał tu tylko jeden samochód, więc śmiało wyszli zza drzew. Ritter obrzucił auto sceptycznym spojrzeniem. Toyota yaris nie prezentowała się zbyt okazale. Teresa zauważyła jego wzrok.

– A czego pan się spodziewał? Jestem tylko polską nauczycielką, która chciała sobie dorobić jako tłumaczka.

Wyjęła z kieszeni żakietu pęk kluczy.

– Dobrze, że nigdy nie chowam ich do torebki – powiedziała. – Zabrali mi ją. Cholera!
– przypomniała sobie. – W torebce były dokumenty. Pan też pewnie nie ma żadnych przy sobie?

– Niestety, nie.

– Trudno, jeśli zatrzyma nas policja, coś wymyślimy.

– Może po prostu powiemy prawdę?

– A dowody? Nie mamy ich, zapomniał pan?

Droga z parkingu do skrzyżowania z szosą wylotową z Wałbrzycha zabrała im niespełna minutę. Mimo późnej pory na szosie panował duży ruch. Musieli przepuścić kilka aut jadących w stronę Wałbrzycha, zanim mogli skrócić za nimi. Teresa prowadziła pewnie i Ritter zaczął się już odpręzać, kiedy nagle impet gwałtownego hamowania targnął nim do przodu. Poczuł, jak pas bezpieczeństwa tężeje i przyciska go do fotela. W następnej chwili Teresa skrzyła kierownicę i Ritter poleciał na drzwi. Przy wtórze pisku opon miejskie auto wykonało obrót godny bolidów formuły jeden i stanęło, omal przy tym nie tracąc równowagi.

Zanim Ritter zdążył coś powiedzieć, dostrzegł wielkiego, granatowego opla, który wtargnął na szosę z bocznej drogi dojazdowej do Książa, innej niż ta, którą oni wyjechali. Samochód pędził, jakby zamierzał ich staranować, a teraz mijał ich hamując rozpaczliwie.

Toyota Teresy jechała prawym skrajnym pasem. Z lewej strony stopniowo wyprzedzał ich biały van. Jego kierowca, skupiony na wymijaniu wolniejszego auta, zbyt późno dostrzegł rozpędzonego opla. Miało to dla niego tragiczne konsekwencje. Wydawało się, że opel ledwie musnął tylny zderzak vana. To jednak wystarczyło, by rozpętało się piekło. W jednej chwili van ustawił się poprzecznie do kierunku jazdy i pchnięty siłą bezwładności zaczął koziółkować. Bryzgi szkła z tłuczonych szyb zabębniły o asfalt. Wielka bryła powgniatanej blachy, w jaką zmienił się van, wtoczyła się niczym kula bilardowa na sąsiednie pasy. Minęła o włos nadjeżdżającego z przeciwka citroena i grzmotnęła w przód rozpędzonego tira.

Olbrzymia ciężarówka, jak bokser po otrzymaniu ciosu w splot słoneczny, zaczęła się zginać. Podczas gdy ciągnik wskutek uderzenia uległ przyhamowaniu, naczepa zachowała poprzedni pęd. Ritter ujrzał z przerażeniem jak tir łamie się wpół, a naczepa wypiętrza się nad kabiną kierowcy, by zaraz opaść i zmiażdżyć ją jak puste pudełko po zapalkach.

– Chryste – wyszeptał. – Niech pani zawraca. Zawracaj!

Teresa jak szalona zakręciła kierownicę i wcisnęła do oporu pedał gazu. Słaby silnik reagował jednak zbyt powoli. Bała się oderwać wzrok od drogi, żeby spojrzeć w lusterko.

Przerażona, słyszała tylko budzący grozę huk zgniatanego metalu. Ritter odwrócił się na siedzeniu i patrzył jak zaczarowany na naczepę ciężarówki. Pod wpływem rozpędu zerwała się z mocowań, położyła na boku i sunęła teraz za nimi całą szerokością jezdni, niczym ogromny pług, krzesząc snopy iskier. Gdzieś już widział podobną scenę, w jakiejś hollywoodzkiej superprodukcji, ale nigdy by nie przypuszczał, że ujrzy to na własne oczy.

Dostrzegł granatowego opla, który po zderzeniu z vanem wypadł na pobocze. Auto prawie wcale nie ucierpiało; kierowca z furią usiłował wyprowadzić je z powrotem na szosę. Naczepa minęła go o centymetry, ani na sekundę nie zwalniając pędu.

– Szybciej! – krzyknął Ritter.

– Szybciej nie można!

Ritter wiedział już, że nie uciekną. Z dziwną fascynacją obserwował, jak jeden z końców naczepy zagarnia ich niczym ogon prehistorycznego potwora. Dopiero w ostatniej chwili, tuż przed uderzeniem, skulił się na fotelu.

W odpowiedzi na cios Teresa krzyknęła. Jakimś cudem zdołała utrzymać kierownicę. Impet rzucił toyotę na prawą stronę szosy akurat w miejscu, gdzie znajdowało się skrzyżowanie. Teresa wykorzystała szansę, kierując auto w boczną drogę. Manewr mógłby się udać, gdyby nie dwie rzeczy: szybkość była o wiele za duża i... nie było dokąd jechać. Zbyt lekką toyotę dosłownie poderwało w powietrze. Przeleciała kilkanaście metrów, upadła ciężko na dach i zaczęła się toczyć. Wszystko zniknęło w ogłuszającym huku pękających szyb. Okruchy szkła sypały się na nich jak srebrny deszcz.

Oboje odruchowo zamknęli oczy, nie widzieli więc, że najgorsze dopiero przed nimi. To, co wyglądało na drogę, okazało się ślepą uliczką. Dawna aleja została zamknięta trzema masywnymi, betonowymi słupkami, a dalej były już tylko zarośla, między którymi wiła się wątła ścieżka. Niegdyjsza droga ocieniona była potężnymi kasztanowcami. Samochód, a raczej to, co z niego zostało, odbił się od pierwszego z drzew, otarł się o drugie i z mrozącym krew w żyłach zgrzytem trafił w jeden z betonowych słupków, przełamując się niemal na pół.

W nagłej ciszy z nieba zaczęły spadać liście.

Intruzi musieli wejść przez balkon. W jaki sposób tego dokonali - Graczyk nigdy się nie dowiedział. Ale łatwo domyślił się, kim byli i po co przyszli.

Lecz w chwili, kiedy się przebudził, nic nie wskazywało na czyjąś obecność. Czuł parcie na pęcherz - znak, że organizm wciąż zmagał się z wypitym przed snem piwem. Nie chciało mu się wstawać. Łatwo było zrozumieć, dlaczego przez tyle wieków ludzie zadowalali się nocnikami, trzymanymi pod łóżkiem, zamiast budować ubikacje.

Napastnicy zaczekali aż wyjdzie z łazienki. Bez względu na to, czy już byli w mieszkaniu, czy dostali się do środka właśnie w tym momencie, zaskoczyli go całkowicie. Trudno o większą bezradność, niż ta, jaką czuje mężczyzna przyłapany w samych slipach.

Coś kazało mu się odwrócić, gdy zamykał za sobą drzwi łazienki. W mroku przedpokoju, rozjaśnionym jedynie słabym światłem lampki nocnej z sypialni, ujrzał jakiś ruch i uchylił się. Uderzenie, które miało spaść na jego głowę, trafiło go w bark. Było silne; impet rzucił nim o ścianę. Uniósł ramię w obronie przed kolejnym ciosem, który jednak nie nastąpił. Zamiast tego poczuł kopnięcie pod kolana i nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Całym ciężarem grzmotnął o podłogę.

Być może lepiej by zrobił, gdyby tak pozostał. Lecz odruch sprawił, że usiłował się podnieść. To był błąd. Gdy tylko jego głowa uniosła się znad podłogi, spadł na nią cios, tym razem celny.

Zawlekli go do salonu. Nie pamiętał tego, ale kiedy się ocknął, leżał twarzą w dół na dywanie. Wokół słyszał odgłosy plądrowania. Intruzi zaglądali do szaf i szafek, wyrzucając zawartość szuflad i wywlekając wszystko, co wpadło im w ręce. Sprawiało to wrażenie, jakby nie szukali niczego konkretnego, a po prostu chcieli zrobić bałagan. Czynili to wyjątkowo cicho i sprawnie. Zbyt profesjonalnie, jak na złodziejskie standardy małego miasteczka.

Gdyby nie fakt, że wypił tylko jedno piwo, Graczyk uznałby to za pijackie rojenia. Takie rzeczy nie zdarzały się na polskiej prowincji. Nawet najgłupszy bandyta nie napadnie na dom policjanta, chociażby dlatego, że raczej się przy tym nie obłowi. Lecz to nie byli bandyci. Wiedział, kim musieli być. Jego dokumenty zostały w podziemiach. Tylko z nich mogli poznać jego adres. Skoro nie zabili go od razu, widocznie był im do czegoś potrzebny. Zapewne chcieli się czegoś dowiedzieć. Nie wątpił, że potem go zabiją.

Sądząc z odgłosów, napastników było co najmniej trzech. Każdy myszkował w innej części mieszkania. Z pewnością byli zbyt zajęci, by go obserwować, nie mógł wszakże wykluczyć możliwości, że jest pilnowany przez czwartego, stojącego tuż obok, zbyt cicho, by zdradzić swoją obecność. Dlatego bał się poruszyć. Fachowa brutalność, z jaką go potraktowali, świadczyła o bezwzględności; tym niebezpieczniejszej, że wyzutej z wszelkich emocji. Zazwyczaj napady zamieniały się w orgię przemocy, ponieważ napastnicy - równie zestresowani, jak ich ofiary - zagłuszali własny strach bestialstwem. Graczyk widział już skutki podobnych rozbojów. Bywały okropne, lecz paradoksalnie świadczyły o ludzkiej słabości sprawców. Naprawdę przerażające - bo tak sprzeczne z naturalnym instynktem - było zimne wyrachowanie.

Nie wiedział, jak długo pozostawał nieprzytomny. W salonie paliło się światło. Tamci niczego jednak nie zaniedbali - Graczyk widział skrawek okna z opuszczoną żaluzją. Z

zewnątrz wyglądało to pewnie tak, jakby ktoś, kto tu mieszkał, zasiedział się do późnej nocy. Z tej strony raczej nie należało się spodziewać odsieczy. Musiał liczyć wyłącznie na siebie.

W pobliżu rozległ się szczęk metalu i Graczyk ujrzał kątem oka wchodzącego do salonu mężczyznę. Zapewne nadszedł czas, by zapytać go o coś. Nie widział całej postaci; tylko nogi i lewą dłoń trzymającą nóż sprężynowy. Boże, przemknęło mu, tylko nie to.

Kiedy tamten się zbliżył, przekonany, że Graczyk jest nieprzytomny, komisarz uniósł się i oburącz chwycił nadgarstek bandyty. Bandzior miał błyskawiczny refleks. Nim jeszcze zatrzymał się na dobre, uderzył z półobrotu drugą ręką. Graczyk jednak nie był ułomkiem. Przy stu osiemdziesięciu czterech centymetrach wzrostu ważył prawie dziewięćdziesiąt kilo. Zbyt wiele, jak ciągle wypominała mu żona. Teraz okazało się to zaletą. Całym ciężarem pociągnął tamtego na ziemię. Napastnik zachwiał się i cios trafił w próżnię. Graczyk miał nadzieję, że przeciwnik upadnie. Nie docenił jego umiejętności. Nieznajomy przykleknął tylko i zaparł się kolanem. Zamachnął się ponownie.

Dopiero teraz Graczyk miał okazję przyjrzeć się napastnikowi. Był to mocno zbudowany mężczyzna, ubrany w coś w rodzaju ciemnego kombinezonu roboczego. Opaloną twarz o przeciętnych rysach i zimnych oczach okalała kilkudniowa szczecina. Jasne włosy, krótko ścięte nad czołem, na skroniach były całkowicie wygolone. Człowiek ten mógł mieć około trzydziestu lat. Wyglądał na komandosa. Z całej jego postaci przebijała mordercza skuteczność. Graczyka ogarnął strach. To nie był ktoś pokroju znanych mu opryszków. W panice pociągnął mocniej i tym razem tamten nie zdążył uderzyć; nie zdołał także utrzymać równowagi. Lecz upadając przekreślił dłoń z nożem w taki sposób, że sięgnął czubkiem ostrza przedramienia Graczyka. Ten poczuł jakby dotknęło go rozpalone żelazo. Zadziałał odruch – pod wpływem bólu cofnął zranioną rękę. Przeciwnik tylko na to czekał. Silnym szarpnięciem oswobodził uzbrojoną dłoń.

Graczyk zrozumiał, że ma niewiele czasu. Jedyne co mógł zrobić, to wejść w zwarcie i uniemożliwić zadanie ciosu nożem. Prawie mu się udało. Tamten był jednak bardzo szybki. Graczykowi zabrakło ułamka sekundy, by przygwoździć go do podłogi ciężarem swojego ciała. Schwytał tylko powietrze, a napastnik jednym ruchem dźwignął się na nogi. Nagle znalazł się ponad Graczykiem. Dobrze odmierzone kopnięcie trafiło komisarza w nerki. W chwilę później prawa dłoń napastnika zacisnęła się na jego gardle, a lewa wzniosła nóż do uderzenia. Graczyk przymknął oczy.

Cios nie nastąpił. Graczyk uchylił powieki i ujrzał, że ręka z nożem opadła. Nigdy jeszcze nie doznał uczucia tak wielkiej ulgi. Napastnik przygniatał go jednak nadal do podłogi, a obok pojawili się dwaj inni.

– Ty był s drugi tschlowiek – zapytał jeden z nich łamaną polszczyzną. – Kto to? Gdzie on?

Graczyk wpatrywał się w niego bez słowa; zbyt zaskoczony i przestraszony, by odpowiedzieć.

– Kto wi jestze o tym? Gada!

I wtedy rozległo się gniewne walenie do drzwi.

Zapomniał o sąsiadach. Mimo późnej pory starszowie trwali na posterunku. Nic dziwnego – byli tak czujni, że potrafili liczyć każde jego kichnięcie.

Intruzy robili niewiele hałasu; nie więcej niż on sam. I to był ich błąd. Gdyby hałasowali bardziej, stary nie odważyłby się na interwencję. Lecz najwyraźniej uznał, że hałasuje Graczyk, przyszedł więc, by swoim zwyczajem zrobić awanturę.

Napastnicy porozumieli się wzrokiem. Na jakiś znak, dany przez kogoś znajdującego się gdzieś poza polem widzenia Graczyka, jego przeciwnik znów uniósł rękę. Lecz tym razem nie chodziło o pchnięcie nożem. Sękata pięść jak obuch spadła na skroń komisarza. I pogasiła wszystkie światła.

Koszmarne dudnienie rozsadzało mu czaszkę. Nie chciało przestać, a na dodatek potęgował je inny dźwięk – uporczywe stukanie. Otworzył oczy. Nadal leżał w salonie, lecz napastnicy zniknęli. Poza owym nieprzyjemnym dźwiękiem, który rozpoznał jako walenie do drzwi, w domu panowała cisza. Czyżby staruszek z dołu wciąż się do niego dobijał? Bogu dzięki. Jeśli to on, to nie mogło minąć zbyt wiele czasu. Gdzie podziiali się bandyci? Czy po tym wszystkim tak po prostu uciekli? Dotknął głowy. Na palcach została krew. Dziwne, że w ogóle miał jeszcze głowę. Stracić przytomność dwukrotnie w ciągu godziny to coś, czego wcześniej nie doświadczył.

Wszędzie wokół poniewierały się porozrzucane przedmioty. Podobny bałagan Graczyk widział ostatnio przed kilkoma laty, kiedy rozpoczynali remont mieszkania. Zaklął w myślach – miał nadzieję na odpoczynek podczas nieobecności rodziny, ale wyglądało na to, że będzie musiał zająć się sprzątaniem. Już samo to wystarczyłoby, żeby zapuszkować tych sukinsynów.

Jak weszli? Jak wyszli? Odpowiedź na drugie pytanie mogła pomóc w znalezieniu odpowiedzi na pierwsze. Lub odwrotnie.

Walenie w drzwi nie ustawało.

– Co tam się dzieje?! – usłyszał głos starego. – Co to za hałasy?!

Graczyk podniósł się, pojękując, i poszedł otworzyć. Musiał to zrobić, bo inaczej stary gotów był postawić na nogi całą Głuszycę. Zapomniał jak wygląda.

– Co się panu stało? – stary cofnął się i wytrzeszczył oczy.

– To nic – Graczyk zerknął na siebie. W głowie mu się kręciło; bał się, że zwymiotuje prosto pod nogi tamtego. – Uderzyłem się – dostrzegł, że staruszek z przerażeniem patrzy na jego zakrwawioną rękę. – I skaleczyłem.

– Co pan wyrabia po nocy? Jak panu nie wstyd?

Graczyk westchnął.

– Przepraszam. To się więcej się nie powtórzy.

– Zawsze pan tak mówi.

– Naprawdę nie chciałem państwa budzić...

– Umarłego by pan obudził. Moja żona ma chore serce. Nie powinna się denerwować. A jak ma się nie denerwować, kiedy nad jej głową wyprawia się takie rzeczy?

Graczyk potakiwał, wiedząc, że stary musi się wygadać. Nie było sensu zaogniać sytuacji. Chociaż – z drugiej strony – po dzisiejszej nocy i tak pewnie nie sprzedadzą mu swojego mieszkania.

– Przepraszam – wtrącił, kiedy wyczerpany przemową staruszek chwycił oddech. – Położę się spać. Jest już późno. Dobranoc.

Zbyt wolno zamknął drzwi. Usłyszał jeszcze dobiegające z półpiętra, pogardliwe:

– Pijak!

Telefon od szefa ochrony obudził Kellera, który miał przez chwilę wrażenie, że dopiero co się położył. A może tak w istocie było? Historia z tą wścibską Polką nie pozwoliła mu na odpoczynek. A kiedy już się uporał z problemem i ledwie zdążył zasnąć, zadzwonił telefon. Z kolejnym problemem. A właściwie, ciągle z tym samym. Naprawdę irytujące.

– Nie uciszyl go? – powtórzył czując narastający gniew.

– Mieli rozkaz najpierw wypytać go o tego drugiego i o to, czy ktoś jeszcze wie o tym, co się wydarzyło – wyjaśnił jego rozmówca. – Dopiero potem mieli... dokończyć zadanie. A ponieważ się nie dowiedzieli, bo ktoś im przeszkodził...

Keller przymknął oczy. Musiał powściągnąć gniew. To nie był dobry moment na wszczynanie zamieszania.

– Rozumiem – rzekł. – Ponieważ się nie dowiedzieli, uznali, że nie mogą dokończyć zadania.

– Właśnie.

Keller zaklął w duchu. Cholerny niemiecki *Ordnung*. Tak się kończy ściśle przestrzeganie poleceń.

– Trudno – rozbudził się już całkowicie. – Zostawmy to. Nie ma już czasu na kolejne próby.

– Mogą nam bruździć. Nie wiemy, co zrobią i do kogo z tym pójda.

Keller wpatrzył się ponuro w ciemność za oknem, przełamaną już delikatną sugestią świtu.

– Tego nie wiemy – powiedział. – Ale wiemy jedno – tamci są na górze, na powierzchni. I nie mają już żadnych możliwości, żeby znaleźć się na dole. Cokolwiek zrobią, już nam nie przeszkodzą.

CZEŚĆ DRUGA

Starając się nie myśleć o zwłokach swojego pomocnika, leżących w korytarzu za drzwiami kabiny, maszynista Kazimierz Ławniczak bez szemrania wykonywał polecenia intruzów, którzy przejęli lokomotywę. Ze zdumieniem przyjął fakt, że byli Niemcami; tylko jeden mówił po polsku, ale za to dobrze, choć z wyraźnym śląskim akcentem. Niewątpliwie był doświadczonym kolejarzem. Zdradzał to sposób, w jaki obserwował Ławniczaka obsługującego lokomotywę. Ławniczak zdawał sobie sprawę, że potrzebują go głównie do prowadzenia rozmów przez radio i na wypadek, gdyby pojawił się jakiś funkcjonariusz Straży Ochrony Kolei. Wiedział, że kiedy stanie się całkowicie zbędny, podzieli los kolegi.

Wciąż nie mógł dociec, o co im chodzi. Nie widział żadnego sensu w porwaniu lokomotywy przez ludzi, którzy sami ją wynajęli. Wracając myślą do chwili, kiedy do kabiny weszli napastnicy, czuł się jak idiota. Ale czy mógł przypuszczać, że zdarzy się coś tak nieprawdopodobnego?

Lokomotywa Ławniczaka była własnością firmy Atrax z Gliwic, zajmującej się wynajmem lokomotyw spalinowych wraz z obsługą. Był to popularny model ST44, co prawda nie najnowszy, ale silny i niezawodny. Te radzieckie lokomotywy eksportowane były do krajów bloku wschodniego, a więc także do Polski. Maszyniści nazywali je pieśczośliwie „Gagarinami” lub „Ruskami”. Z dokumentów, jakie Ławniczak otrzymał, wynikało, że lokomotywa została wynajęta przez jakąś firmę wznawiającą produkcję w dawnej cegielni pod Wałbrzychem. Zapewne mieli coś, czego nie dało się wywieźć ciężarówkami, lub też chcieli zaoszczędzić na transporcie.

Znał to miejsce. Znajdowało się na tak zwanym Łuku Świebodzickim – odcinku torów między Wałbrzychem a Świebodzicami, omijającym dużym zakolem kilka niewysokich wzgórz. Od głównych torów odchodziła tu stara bocznica, prowadząca do zakładu w pobliskim Lubiechowie. Nigdy wcześniej, prowadząc na tej trasie pociągi towarowe, nie interesował się, co to za zakład, ale sądząc po stanie bocznic, upadł jak wiele innych na początku lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku. Nagle z zaskoczeniem stwierdził, że bocznica została odnowiona. Szyny wyglądały na niedawno położone, a pomiędzy podkładów zniknęła bujnie rosnąca trawa. Co ciekawe, o ile wiele starych cegielni posiadało nie tylko sieć transportu wewnętrznego, ale także bocznicę kolei wąskotorowej, to ta najwyraźniej należała do zmodernizowanych po ostatniej wojnie, do których podciągnięto kolej normalnotorową. Musiała swego czasu szczycić się sporą produkcją.

Jego pomocnik ręcznie przełożył zwrotnicę i lokomotywa wjechała na bocznice. Pokonali jakieś trzy kilometry, zanim zza wzgórz wyłoniły się zabudowania starej fabryki. W przeciwieństwie do torów, one nie zostały odnowione. Budynek z początku dwudziestego wieku straszył liszczami po odpadłym tynku. Wyglądało na to, że komuś, kto zdecydował się tu zainwestować, zależało tylko na bocznicie.

A jednak nie tylko – Ławniczak ujrzał, że ruiny otoczone są nowym płotem, a brama, przed którą stanęli, jest solidna i, co dziwniejsze, strzeżona przez bardzo profesjonalnie wyglądających ochroniarzy.

Wszystko rozegrało się błyskawicznie. Ochroniarze podeszli, jakby chcieli zapytać go o przepustkę, po czym wdarli się z obu stron przez boczne drzwi do przedsionka, a następnie

do kabiny; sprawnie niczym ludzie wykonujący takie akcje na co dzień. Z zimną krwią zastrzelili pomocnika, choć nawet nie zdążył w żaden sposób zareagować. Ławniczak poczuł wówczas przeraźliwy strach, ponieważ niewątpliwie było to działanie zaplanowane – tamci najwyraźniej nie potrzebowali ich obu.

Kiedy brama została otwarta, kazali mu ruszyć; prosto ku ogromnym, stalowym odrzwiom w zbczu wzgórza. Były wystarczająco duże, aby mogły w nie wjechać spalinowóz i ciężarówka jednocześnie. Pomimo strachu, Ławniczak poczuł ciekawość. Domyślił się już, że wewnątrz musi znajdować się coś, czego wywiezienie wymaga mocy dwóch tysięcy koni mechanicznych. I najwyraźniej nie może odbyć się legalnie.

Za stalowymi wrotami tor przecinał duże pomieszczenie, które niegdyś mogło być magazynem, a następnie biegł dalej obszernym tunelem, który wiodł w głąb masywu i mieścił tory oraz drogę o betonowej nawierzchni.

Na polecenie jednego z napastników Ławniczak włączył światła lokomotywy. Dudnienie potężnego diesla, do którego tak już się przyzwyczył, że normalnie go niemal nie słyszał, teraz wydało mu się ogłuszające. Między kamiennymi ścianami a półkolistym sklepieniem hałas nabierał mocy, osiągając wartość trudną do zniesienia. Ławniczak nie raz przejeżdżał przez tunele podczas trzydziestu lat swojej pracy na kolei, jednak zawsze wiedział, że wkrótce wyjedzie na powierzchnię. Tu było inaczej – zagłębiał się w chłodny półmrok nie mając pojęcia, co znajduje się na końcu drogi.

Bał się. Nigdy wcześniej nie odczuwał takiego strachu. Kiedyś omal nie stracił życia w zderzeniu dwóch pociągów skierowanych na ten sam tor, lecz wówczas wszystko działo się tak szybko, że dziś nawet nie miał pewności, czy zdążył się wtedy przestraszyć. Wyszedł cało dzięki szczęściu, które sprawiło, że jego lokomotywa o kilka sekund wcześniej minęła rozjazd, nim wjechał na drugi spalinowóz i uderzył w wagony. Ławniczak został ranny, ale to nie zniechęciło go do pracy, którą wykonywał. Teraz znajdował się w zupełnie innej sytuacji. Przed strachem nie chroniła go nagłość wydarzeń. Zniknęło już zaskoczenie z pierwszych chwil napadu.

Pokonali już prawie dwa kilometry i zdumienie Ławniczaka rosnęło. Nigdy by się nie spodziewał, że w tych łagodnych wzgórzach kryją się takie tunele. Co prawda, całkiem niedaleko, między Wałbrzychem a Jedliną Zdrój, istniał najdłuższy tunel kolejowy w Polsce, liczył jednak tylko niewiele ponad półtora kilometra. Ten tutaj już teraz bił go na głowę, a końca wciąż nie było widać. Dlaczego o nim wcześniej nie słyszał? Odpowiedź nasuwała się sama i nie poprawiła mu nastroju. Ukryto tu coś, za co warto było zabić nawet po siedemdziesięciu latach od zakończenia wojny. Już wkrótce miał się dowiedzieć, co to takiego. Zapewne jako jeden z niewielu, ale jakoś go to nie satysfakcjonowało.

Tunel biegł teraz niemal prosto, toteż Ławniczak z daleka dostrzegł, że światło reflektorów odbija się od jakichś obiektów gdzieś w przedzie. Nie był to jednak wyjazd na powierzchnię. Wkrótce stwierdził, że nadal są w tunelu, lecz zbliżają się do jakiejś większej przestrzeni; może do wielkiej jaskini czy hali.

– Wolnej – polecił napastnik mówiący po polsku.

Ławniczak domyślił się, że chodziło mu o „wolniej”. Zmniejszył prędkość.

To był podziemny dworzec. Nieprawdopodobieństwo tego faktu przekraczało już jego zdolność dziwienia się.

– Stój – padł rozkaz.

Gdy lokomotywa zatrzymała się, dwaj ochroniarze wynieśli ciało pomocnika. Ławniczak nie mógł dojrzeć, co z nim zrobili. Postój trwał kilka minut. Ochroniarz mówiący po polsku, który zajął miejsce pomocnika maszynisty, rzucił wreszcie:

– Naprzód.

Ławniczak ujął nastawnik jazdy i zaczął zwiększać obroty silnika. Stalowy kolos drgnął i ruszył w stronę tunelu, którego wylot znajdował się w przeciwległej ścianie dworca.

Po tym, co już zobaczył, nawet nie starał się wyobrazić sobie, co jeszcze mogło kryć się w mroku tego nieprawdopodobnego, podziemnego świata.

Z rosnącym niedowierzaniem rejestrował kolejne przejechane kilometry. Coś takiego nie miało prawa istnieć. A jednak istniało. Dla starego kolejarza był to wstrząs. To tak, jakby żeglarz wpłynął nagle na podziemny ocean. No, może raczej jezioro, ale to i tak kłóciło się ze zdrowym rozsądkiem.

Dopiero po dobrych kilkunastu kilometrach reflektory wydobyły z ciemności coś innego niż kamienne ściany i szyny. Ławniczak, kierując się poleceniami Niemca, stopniowo zwalniał, usiłując zrozumieć, na co patrzy. Na torze, po którym jechali, stało coś masywnego, niezgrabnego i kanciastego, znacznie różniącego się kształtem od jego lokomotywy. Wreszcie, z bliska, rozpoznał, z czym ma do czynienia.

Pociągi pancerne widział tylko na zdjęciach, a i tak nie przyglądał się im zbyt dokładnie. Fakt, że był maszynistą, nie oznaczał, że musi interesować się kolejnictwem. Nie pasjonował się też historią wojen. Trudno byłoby jednak nie domyślić się, co oznaczają te pancerne płyty, otwory strzeleckie i lufy działek. Mój Boże, pomyślał, gdzie ja jestem? Widział tylko przód pierwszego, potężnego wagonu artyleryjskiego. Lokomotywa pociągu pancernego musiała znajdować się gdzieś w głębi. Z tej perspektywy nie mógł ocenić, jak duży jest skład i jakie wagony go tworzą.

Gdy zderzaki lokomotywy i wagonu zetknęły się miękko, jeden z mężczyzn, których kilku stało obok pociągu, niewątpliwie czekając na przybycie lokomotywy, wszedł na tory i sprawnie podczepił do niej wagon artyleryjski. Uczynił to fachowo, zdradzając tym, że również i on musiał znać się na pracy na kolei. Inny mężczyzna, wyglądający na przywódcę, obserwował ludzi przy torach. Sprawiał wrażenie bardzo zmęczonego, lecz ożywionego świadomością, iż to, czego się podjął, zbliża się do końca. Było widać, że należy do ludzi, którzy muszą wszystkiego sami dopilnować.

Ławniczak wiedział, że zaraz będzie musiał przejść do drugiej kabiny, by ruszyć w kierunku, z którego przybyli. O nic innego bowiem nie mogło chodzić, jak tylko o wyciągnięcie stąd pociągu pancernego. Lecz to musiał być siedemdziesięcioletni zabytek! Czy będzie w stanie ruszyć z miejsca, nie mówiąc już o pokonaniu dwudziestu kilometrów?

– Co teraz? – odważył się odezwać do polskojęzycznego Niemca.

– Tschekaj – padła odpowiedź.

Ławniczak nie miał złudzeń, że uczestniczy w czymś, o czym nawet nie powinien wiedzieć. Ci ludzie nie mogliby go tak po prostu puścić wolno. Nie miał złudzeń co do swojej przyszłości. Kiedy przestanie być potrzebny, pozbędą się go. Co mógł zrobić, żeby temu zapobiec? Odpowiedź była oczywista: nic. Równie dobrze mógłby już teraz zbuntować się i odmówić pomocy. Tyle tylko, że ludzki umysł tak nie funkcjonuje. Śmierć spodziewana w przyszłości jest lepsza od śmierci natychmiastowej. Zawsze istnieje nadzieja, nawet gdy jej nie ma. Dlatego wiedział, że będzie posłusznie wykonywał polecenia napastników. Doprowadzi pociąg pancerny do miejsca przeznaczenia, gdziekolwiek się znajdowało. I bez względu na to, jaki miałyby to mieć cel.

Janiszewski mieszkał w nowej plombie niedaleko centrum miasta. Graczyka czekało nieliczne zaskoczenie, kiedy tamten otworzył. Oprócz trzech solidnych zamków, drzwi mieszkania zabezpieczała potężna zasuwka, zamykana wyłącznie od wewnątrz. Ale to nie wszystko. Zarówno drzwi, jak i okna chronione były alarmem monitorowanym przez firmę ochroniarską.

– Jest pan kolekcjonerem? – Graczyk z nowym zainteresowaniem spojrzał na Janiszewskiego.

– W pewnym sensie. Zaraz pan zobaczy.

Mieszkanie miało około stu metrów kwadratowych, z czego dwie trzecie zajmowała otwarta przestrzeń, składająca się z przedpokoju, salonu i kuchni. Jedynie dwa pomieszczenia zostały wydzielone i posiadały drzwi: sypialnia oraz pokój, zamknięty na zamek nie mniej skomplikowany od tych przy drzwiach wejściowych. Graczyk sądził, że to gabinet Janiszewskiego – choć Bóg jeden wie, dlaczego miałby być zamknięty – ale okazało się, że jest w błędzie. To była zbrojownia.

– A niech mnie... – westchnął przekroczywszy próg.

W niewielkim pokoju znajdowały się dwa regały, stół warsztatowy i kilka wiszących szafek. Na regałach leżała broń: pistolety, rewolwery i karabiny. Większość, na ile Graczyk był w stanie to ocenić, z epoki amerykańskiej wojny secesyjnej lub starszych. Na stole dostrzegł narzędzia i jakieś przyrządy, których przeznaczenia nie znał. W powietrzu wisiał dziwny zapach.

– Więc jednak jest pan kolekcjonerem – odezwał się.

– Powiedziałem, że w pewnym sensie, ponieważ nie tyle kolekcjonuję czarnoprochowce, ile z nich strzelam – odparł Janiszewski. – To nie to samo, co zbieranie znaczków bądź etykiet od piwa. Bardziej jestem, by tak rzec, użytkownikiem.

– Nie pochwalił się pan pozwoleniem na broń.

– To broń kapiszonowa, na czarny proch. W Polsce można ją posiadać bez zezwolenia. Strzelanie z niej to niegroźne hobby.

Graczyk nie był tego taki pewien, patrząc na grube, najczęściej sześciokątne lufy. Niektóre strzelby wyglądały tak, jakby można z nich było bez trudu ustrzelić bizona.

– Bo i można – potwierdził Janiszewski. Podniósł jeden z karabinów – To Remington M1863 Zouave kaliber 58. Ze stu metrów przebija pięciocentymetrową deskę.

– I pan to nazywa niegroźnym hobby?

– Groźna może być nawet kuchenka mikrofalowa.

Kilka małych pistoletów miało po dwie lufy, a jeden nawet cztery. Wiele egzemplarzy było bogato zdobionych.

– To autentyki? – zapytał Graczyk.

– Niektóre tak. Ale większość to współczesne repliki, oczywiście w pełni funkcjonalne.

– Czy to cenna kolekcja?

– To kwestia względna. Oryginały kosztują czasami kilkanaście tysięcy dolarów. Ale nie tylko dlatego mieszkanie ma tyle zabezpieczeń. Po prostu broń to broń, a ja jestem odpowiedzialnym kolekcjonerem.

Graczyk dotknął kolby wielkiego rewolweru o długiej lufie. Jego archaiczny wygląd nie mógł ukryć faktu, że sprawiał wrażenie wyjątkowo niebezpiecznego.

– Niezła armata.

– To colt walker, kaliber 44. Najpotężniejszy rewolwer czarnoprochowy, jaki kiedykolwiek istniał. Przy odpowiedniej naważce prochu jego kule mają siłę współczesnego magnum.

– Naważce?

– Chodzi o ilość prochu sypaną do bębna. Ten rewolwer to replika, ale bardzo dobra. To dawna broń teksańskich Rangersów. Niech go pan weźmie do ręki.

Graczyk był przygotowany na ciężar, ale nie aż taki. Rewolwer ważył dobre półtora kilograma. Już samo utrzymanie go w ręce nastęczało trudności, a co dopiero mówić o trafieniu do celu. Poczul się jak chłopiec, któremu rodzice kupili pierwszy w życiu korkowiec.

– Chciałby pan go wypróbować? – Janiszewski uśmiechnął się.

– Chyba nie tutaj?

– Kiedyś wybierzemy się na strzelnicę. Jak to wszystko się skończy.

– Czy musiał pan o tym przypominać? – Graczyk nie bez żalu odłożył piękny rewolwer na półkę.

– Nie przypominam bez powodu. Ktoś chciał nas zabić. Myślę, że powinniśmy zwiększyć swoje bezpieczeństwo.

Graczyk spojrzał na niego.

– W jaki sposób?

– W najprostszy z możliwych – uzupełniając ekwipunek.

Z zacięciem patrzył jak Janiszewski kładzie na stole warsztatowym colta walkera. Rewolwer aż lśnił czystością, mimo to Janiszewski przetarł go dokładnie szmatką i przeczyścił wyciorem lufę. Następnie otworzył jedną z szafek i wyciągnął laboratoryjny stojak, w którym tkwiło kilkanaście fiolek z granatowym, dość gruboziarnistym proszkiem. Obok postawił drewnianą miseczkę, wypełnioną ołowianymi kulkami o nieco ponad centymetrowej średnicy.

– Niestety, to nie to samo, co wymiana magazynka – odezwał się. – Trzeba się trochę napracować.

– Faktycznie, niezbyt to praktyczne.

– Ale za to, jeśli komuś przyjdzie dziś do głowy znów nas zaatakować, ta zabawka – Janiszewski poklepał colta walkera – godnie go przywita.

– Strzeliłby pan do człowieka?

– Jeszcze przedwczoraj zapewne nie. Ale teraz...

Nie była to nazbyt zdecydowana deklaracja, lecz Graczyk rozumiał go. Znacznie lepiej niż samego siebie. Jakim cudem był zdolny do tego wszystkiego, czego dokonał? Przyczynił się do śmierci kilku ludzi, choć przez ćwierć wieku pracy w policji ani razu nie wyciągnął pistoletu. Co prawda, wczoraj też go nie użył, ale, tak czy inaczej, paru ludzi znalazło się na dnie szybu Osówki.

– Nie chciałbym być wścibski – odezwał się Janiszewski – ale co się panu stało? Chyba wczoraj nie był pan tak poobijany.

Graczyk odruchowo dotknął siniaków na twarzy. Nawet nie wiedział, w którym momencie się ich nabawił.

– Miałem gości – odparł. – Nieproszonych.

Janiszewski zagapił się na niego.

- Przyszli do pana ludzie z Kronosa?
- Nie powiedziałbym, że przyszli, ale owszem, byli u mnie.
- Czego chcieli?
- Poznać nazwisko człowieka, który był ze mną w Centrum.

Janiszewski zbladł i spojrzał odruchowo w kierunku drzwi wejściowych. Graczyk uśmiechnął się krzywo.

- Spokojnie. Nie zdążyłem niczego powiedzieć. Spłoszył ich sąsiad.
- Nie zdążył pan czy nie chciał pan?
- Nie zdążyłem zachcieć.

Janiszewski z wolna się odprężył.

– Sam nie wiem, czy ta odpowiedź mnie satysfakcjonuje. Ale może śledzili pana dzisiaj?

- Nie. Zwraçałem na to uwagę. Na pewno nie.
- To niedobrze.
- Niedobrze? Oszalał pan?

– Chodzi mi o to, że skoro odpuścili, to znaczy, że mają ważniejsze rzeczy na głowie. Cokolwiek robią, zbliża się to do punktu kulminacyjnego. Mamy mało czasu.

Precyzyjnymi, oszczędnymi ruchami nabijał colta. Najwyraźniej uspokajała go ta czynność, podobnie jak Graczyka – dłubanie przy kolejce. W każdej z fiolek znajdowała się odmierzona ilość czarnego prochu, wystarczająca do napełnienia jednej komory w bębenku. Po nasypaniu prochu, do komory należało włożyć przybitkę, a następnie kulę. Średnica ołowianych kul nieco przekraczała średnicę komór bębna. Do ich wciskania służył pobojczyk – rodzaj pręta, umocowanego pod lufą. Czynność nie była skomplikowana, ale wymagała pewnej wprawy. Janiszewskiemu jej nie brakowało.

– Co za różnica, czy mamy mało, czy dużo czasu – zapytał Graczyk. – Stąd, gdzie jesteśmy, nie możemy nic zrobić. A na zamek na pewno nas nie wpuszczą.

– Nie wybieramy się na zamek.

– A dokąd, jeśli wolno spytać? Chciałbym wiedzieć, gdzie po raz kolejny będą chcieli mnie zabić.

– Oczywiście p o d zamek.

– Tego się domyśliłem. Tylko jak?

– Mam pewien pomysł. Umie pan udawać policjanta?

Janiszewski skończył nabijanie pierwszej komory i obrócił bęben z cichym kliknięciem. Graczykowi przypomniało to dzieciństwo, kiedy z wypiekami na twarzy oglądał westerny.

– Jestem policjantem – warknął.

– Ale zgubił pan legitymację, więc będzie pan musiał udawać.

– No tak...

Janiszewski popatrzył na niego.

– Istnieje pewne ryzyko.

– Co pan powie? – Graczyk nie mógł sobie odmówić złośliwości. – Dlaczego próba zaskodzenia dużej grupie niebezpiecznych ludzi miałaby być ryzykowna?

– Ja tylko ostrzegam.

– Dziękuję, czuję się ostrzeżony. Ale nie lubię, kiedy ktoś dwukrotnie usiłuje mnie zabić. Nie mam trzeciego policzka, więc nie zamierzam go nadstawiać. Dlatego przyjechałem do pana, a nie do Turskiego. Inna rzecz, że to głupota.

Kliknięcie obracanego bębna obwieściło nabicie następnej komory potężnego rewolweru.

– Naprawdę rozpoznał pan ten pociąg w podziemiach? – Janiszewski zmienił temat. – Nie sądziłem, że interesuje się pan tajemnicami drugiej wojny światowej.

– Bo się nie interesuję. Interesują mnie pociągi.

– Jest pan pewien, że to pociąg z Wrocławia?

Graczyk wzruszył ramionami.

– Głowy nie dam, ale na dziewięćdziesiąt procent jest to jeden z dwóch bliźniaczych pociągów pancernych, zbudowanych we Wrocławiu, tuż przed okrążeniem miasta przez Armię Czerwoną w lutym 1945 roku i w początkowej fazie oblężenia. Jeden z nich, zbudowany później, nosił nazwę „Pörsel” od nazwiska swojego dowódcy, natomiast nie wiadomo, jak nazywał się drugi, ten zaginiony. Pociągi zbudowano w oparciu o kadłuby czołgów oraz wieże z armatami kalibru 88 mm. Uzbrojono każdy z nich także w jedno działko przeciwlotnicze kaliber 37 mm, dwa działka przeciwlotnicze kaliber 20 mm oraz dwa karabiny maszynowe MG 42. Pociąg obsługiwało 108 osób, wliczając w to 6 maszynistów. „Pörsel” rozpoczął walkę 20 marca na terenie jednej z dzielnic Wrocławia, Muchoboru Małego, a jego głównym zadaniem była ochrona lotniska na Gądowie. Ale już w pierwszych dniach kwietnia został uszkodzony tak poważnie, że musiał zostać poddany naprawie, po czym przesunięto go w inny rejon miasta, gdzie pozostał aż do kapitulacji Festung Breslau. Nie wiadomo natomiast, co się działo z jego bratem-bliźniakiem. Zniknął po prostu z Wrocławia. Wielu badaczy twierdzi zresztą, że nigdy nie istniał.

Janiszewski wyszczerzył zęby.

– Skąd ja znam takie opinie? Ale to mi się podoba: nieistniejący pociąg w nieistniejących podziemiach. Chciałbym zobaczyć miny „badaczy”, kiedy to wszystko wyjdzie na jaw.

– Ja też chciałbym je zobaczyć na własne oczy, dlatego z mniejszym entuzjazmem niż pan podchodzę do naszej próby włożenia kija w mrowisko.

– Rozumiem pana, ale jeśli tego nie zrobimy, może się okazać, że nikt już niczego nie zobaczy. Jak pan sądzi, po co tamci zakładali ładunki wybuchowe? Jeśli je zdetonują, podziemia pozostaną na zawsze niedostępne. A właściwie – nie będzie już żadnych podziemi.

Graczyk musiał się z nim zgodzić.

– Obawiam się, że ma pan, niestety, rację. Pytanie tylko, po co zaraz po zbudowaniu pociągu pancernego Niemcy ukryli go w podziemiach? Co takiego ważnego jest w wagonach?

– Och, to akurat żadna tajemnica.

– Czyżby?

– Jasne. Każdy, nawet początkujący entuzjasta tajemnic Gór Sowich wie, że tuż przed końcem wojny Niemcy ukryli gdzieś cały pociąg z bardzo cennym ładunkiem. Wskazuje się wiele lokalizacji, ale najbardziej prawdopodobną, moim zdaniem, zawsze było „Riese”.

– Jednego nie rozumiem. Dlaczego ukryto pociąg tak daleko, w Centrum, a nie bezpośrednio pod zamkiem?

– Mogę tylko spekulować. Przypuszczam, że chodziło o dodatkowe zabezpieczenie. Widocznie Niemcy obawiali się, że podziemia pod Książem mogą zostać odkryte i spenetrowane. Zapewne zawalili bądź nawet zamurowali i ukryli tunel prowadzący w kierunku Gór Sowich. To dawało gwarancję, że pociąg nie zostanie odnaleziony.

– A dlaczego użyli pociągu pancernego? W końcu był to pojazd bojowy, a więc coś, czego bardzo wówczas potrzebowali.

– Nie mam pojęcia. Być może wyszli z założenia, że jeden pociąg pancerny i tak nie przechyli szali na ich korzyść. Woleli użyć go do tego celu na wypadek, gdyby po drodze pojawiły się jakieś oddziały radzieckie. Taki pociąg miał sporą siłę ognia i mógłby się obronić w razie ataku.

– No dobrze, ale co ma być w tym pociągu?

Skończywszy ładowanie bębna rewolweru Janiszewski sięgnął po niewielki pojemnik o nietypowym, spiralnym kształcie.

– To kapiszonownik – rzekł, jakby nie słyszał pytania. – Mieści się w nim prawie dwieście kapiszonów. Żeby zapalić proch w komorze potrzebna jest iskra. W naboju zintegrowanym, takim jak we współczesnej broni, iskrę daje spłonka. Tutaj tę rolę spełnia kapiszon.

Graczyk patrzył jak Janiszewski nakłada małe, niezbyt przypominające kapiszony, miedziane cylinderki na tak zwane kominki, znajdujące się na bębnie i połączone otworem z komorą pocisku. Jak wyjaśnił - kiedy kurek rewolweru uderza w kapiszon, powoduje jego odpalenie, w rezultacie czego płomień przedostaje się przez otwór kominka do komory, gdzie dochodzi do zapalenia się prochu i wyrzucenia kuli.

– Kapiszony powinno się nakładać tuż przed strzelaniem, żeby zminimalizować ryzyko przypadkowego zapłonu, ale później może nie być na to czasu. W tym modelu colta nie można ustawić kurka w pozycji bezpiecznej, więc pozostawię jeden z kominków bez kapiszona i tam umieszczę kurek. Tak się zazwyczaj robi, z tym że ma się wtedy tylko pięć strzałów. No, gotowe – Janiszewski odłożył kapiszonownik. – A może coś dla pana?

Graczyk spojrział na niego ze zdumieniem.

– Mówi pan serio? Nie umiałbym z tego strzelać.

– To się prawie niczym nie różni od strzelania ze współczesnej broni.

– Prawie?

– Cóż, zapłon jest nieco przedłużony. To znaczy, czas między ściągnięciem spustu, a wystrzałem jest trochę dłuższy niż w przypadku współczesnej broni. Minimalnie, ale trzeba się przyzwyczaić.

– Tak czy inaczej, dziękuję. Nienajlepiej radzę sobie nawet ze służbowym pistoletem.

– Czuję się bezpieczniej, mając taką policję – zakpił Janiszewski.

– To bez znaczenia, bo i tak nie jestem uzbrojony. Pistolet jest w sejfie na komendzie. Gdybym tam pojechał, musiałbym odpowiedzieć na zbyt wiele pytań. Ale nie odpowiedział pan na moje. Co jest w tym pociągu?

– Ach, w pociągu... Złoto. Złoto Wrocławia.

Zdaniem Krzysztofa Rogowskiego nawet trzęsienie ziemi nie narobiłoby takiego zamieszania, jak remont górnych piętér Książa. Jeszcze do niedawna, kiedy przed siódmą rano przychodził do pracy, na zamku i w jego otoczeniu panował spokój. Teraz było zupełnie inaczej. Już od kilku tygodni nie można było normalnie pracować. Musiał jednak trwać na posterunku, na wypadek, gdyby przydarzyło się prawdziwe trzęsienie ziemi.

Na szczęście Rogowskiego absorbowwała przypuszczalna awaria sejsmometru STS-2, co odciągało jego uwagę od placu budowy za oknem. Wciąż nie był pewien, czy rzeczywiście do niej doszło. Feralne urządzenie już wcześniej psuło się i dawało dziwne odczyty, dlatego takie wytłumaczenie uznał za najbardziej prawdopodobne. Nie widział możliwości, by głęboko pod wzgórzem, na którym stał Książ, mogło dojść do wstrząsu sejsmicznego – nie ma tąpnięć tam, gdzie nie ma podziemnych wyrobisk. Oczywiście, pierwsze, co zrobił, to skontrolował stację czujników w tunelach pod zamkiem. Nie odkrył niczego niepokojącego.

Mimowolnie zerknął znad komputerowego monitora przez okno wychodzące na główny dziedziniec zamku. Znajomy do znudzenia widok nieco się zmienił, dzięki kilku dodatkowym samochodom, zaparkowanym przed barokową fasadą. Przed remontem zamku auta nie miały tu wjazdu. Nawet pracownicy, jak on sam, musieli zostawiać swoje pojazdy na parkingu. Dla obsługi budowy zrobiono wyjątek. Firma Kronos korzystała z tego przywileju w całej pełni. Dzisiaj niewątpliwie aut było więcej niż zazwyczaj. Lecz Rogowski skonstatował to bez większego zainteresowania. Nie należał do osób ciekawskich.

Był naukowcem, rzecz jasna, więc ciekawość miał niejako wpisana w drogę życiową. Lecz była to prawdziwa ciekawość, a nie wścibstwo. Dziękował Bogu, że zajęcia, które wykonywał, uwalniało go od konieczności zabiegania o rzeczy przyziemne: fundusze, granty i dotacje. Dzięki temu nie musiał nikomu schlebiać ani dociekać, jaka opcja polityczna jest akurat u władzy. W kraju, w którym trzęsienia ziemi pozostawały zjawiskiem egzotycznym, sejsmologia nie miała wymiaru politycznego, toteż na żadnym szczeblu nie wzbudzała ani krzty emocji. I bardzo dobrze, pomyślał. Brakowało mu tylko użerania się z lokalnymi kacykami.

Rogowski skrzywił się pogardliwie. Ci ludzie, zamknięci w swej ograniczonej perspektywie, nie wykraczającej poza drobne polityczne kombinatorstwo i wciąż zmieniające się ukłádziki, wydawali mu się żałośni. On, dzięki czujnikom aparatury sejsmicznej i komputerom, ogarniał przestrzeń, o jakiej im się nawet nie śniło: dziesiątki, setki i tysiące kilometrów w głąb Ziemi oraz na jej powierzchni. Jednym kliknięciem myszką mógł uzyskać informację o zdarzeniu na drugim końcu świata. Daleko stąd działy się zresztą rzeczy znacznie ciekawsze niż tutaj.

Robotnicy budowlani przebiegali dziedziniec w gorączkowym pośpiechu, ale Rogowski już się nimi nie interesował. Śledził na ekranie krzywe wykresów obrazujących żywą, będącą w ciągłym ruchu tkankę naszej planety. Myślami błądził daleko od miejsca, gdzie przez dziesiątki lat nie wydarzyło się nic godnego uwagi. I na pewno się nie wydarzy.

Graczyk stłumił wątpliwości i zapukał. Czuł się dziwnie na myśl, że będąc policjantem będzie musiał udawać policjanta. Rzecz w tym, że dotychczas bycie policjantem przychodziło mu zupełnie naturalnie. Teraz nie miał odznaki, więc musiał być szczególnie przekonujący. Ale, co zabawne, czuł się jak oszust.

Co gorsza, mimo nasuniętej na oczy bejsbolówki miał wrażenie, że lada chwila z zamku dostrzeże go któryś z nocnych gości i podniesie alarm.

Drzwi otworzył niewysoki mężczyzna po czterdziestce.

– Tak? – uniósł brwi.

– Jesteśmy z policji – powiedział Graczyk. – Prowadzimy dochodzenie, które ma związek z tutejszą stacją sejsmologiczną. Chcielibyśmy porozmawiać z kimś z personelu.

– Jestem kierownikiem stacji. Czy coś się stało?

– Czy możemy wejść?

Mężczyzna obrzucił nieco zaskoczonym spojrzeniem Janiszewskiego z wypchanym plecakiem, ale cofnął się.

– Proszę.

W innej sytuacji Graczyk z ciekawością rozejrzałby się po miejscu pracy sejsmologa, ale teraz był zbyt spięty. Przedstawił się.

– Komisarz Graczyk, aspirant Janiszewski – pochwycił cierpkie spojrzenie Janiszewskiego i omal się nie uśmiechnął.

– Krzysztof Rogowski. W czym mogę panom pomóc?

Sejsmolog wyglądał na zaniepokojonego, ale i trochę chyba zaciekawionego niespodziewaną wizytą. Na szczęście, jak większość ludzi, nie pomyślał o zażądaniu okazania legitymacji. Janiszewski miał więc rację, zapewniając, że nie będzie z tym problemu.

– Zatrzymaliśmy grupę mężczyzn, którzy twierdzą, że dzisiejszej nocy włamali się do podziemi, gdzie trzymacie sejsmometry – Graczyk wyrzucił z siebie kłamstwo, które wymyślili z Janiszewskim po drodze.

– Co takiego?! – zdębiał Rogowski.

– Czterech ludzi. Wpadli przypadkiem, w związku z innym przestępstwem, i jeden z nich zeznał, że włamali się także do was. Czasami zdarzają się takie złodziejskie rajdy, kiedy w jedną noc plądrują kilka miejsc.

– Ale to niemożliwe! Jakiś absurd! Tam się nie można włamać. Wejście jest bardzo solidnie zabezpieczone.

– Nie ma idealnych zabezpieczeń, proszę pana.

– No tak, ale po co mieliby się włamywać? Sprzętu, który tam się znajduje, nie można sprzedać na pchlim targu.

– Ale można sprzedać co cenniejsze części. A resztę na złom.

– Jezus Maria! Tylko tego brakowało. Ale zaraz – Rogowski popatrzył na komputery.

– Przecież gdyby coś tam został ukradzione albo zniszczone, aparatura przestałaby działać. Wiedziałbym o tym.

Janiszewski zerknął porozumiewawczo na Graczyka. Ten zrozumiał. Nie powinien dawać sejsmologowi zbyt wiele czasu na myślenie.

– Mam nadzieję, że się pan nie myli – zapewnił Graczyk. – Niestety, nie udało nam się ustalić, czy coś ukradli. Składają sprzeczne zeznania. Procedura wymaga, żebyśmy to sprawdzili. Czy może pan nas tam zaprowadzić?

– Tam nie wolno wchodzić.

– Chcemy tylko stwierdzić, czy drzwi są nienaruszone. Myślę, że pan też powinien się upewnić, czy wszystko jest w porządku.

To był strzał w dziesiątkę.

– Tak... – zasępił się Rogowski. – Ma pan rację. Lepiej sprawdzić.

Stalowe drzwi nie wyglądały na uszkodzone. Nieduże, wielkości zwykłych drzwi do mieszkania, tkwiły w betonowej ścianie zamykającej wielki wykop w zboczu góry zamkowej, ponad pięćdziesiąt metrów poniżej głównego dziedzińca. Ścianę i częściowo drzwi pokrywały wątpliwej jakości graffiti. Nad drzwiami widniał niewiele lepiej wyglądający napis: „Instytut Geofizyki PAN”. U dołu ściany, obok drzwi, znajdował się niewielki otwór, od którego w dół wykopu biegła betonowa rynienka.

– Do odprowadzania wody z tunelu – wyjaśnił Rogowski, widząc zdziwione spojrzenie Graczyka.

Obejrzał drzwi.

– Wszystko w porządku – stwierdził. – Nikt się tu nie włamywał.

– Proszę otworzyć – powiedział Graczyk. – Włamywacze nie zawsze pozostawiają ślady na zewnątrz.

– To niemożliwe. Musieliby mieć klucz.

– A gdyby go mieli?

– Jakim cudem?

– Zapewniam pana, że jest wiele sposobów zdobycia kluczy, choćby ich skopiowanie. Nie będziemy mieli pewności, dopóki nie zajrzemy do środka. Zresztą, zajrzy pan sam. My poczekamy na zewnątrz.

Sejsmolog wahał się, ale Graczyk wiedział, że tamten otworzy drzwi. Nie lekceważył się ryzyka utraty cennego sprzętu.

– No, dobrze.

Rogowski przekreślił klucz i uchylił drzwi. Sięgnął ręką i zapalił światło. Już otwierał usta, by stwierdzić, że nie ma żadnych śladów włamania, gdy Janiszewski wepchnął go do środka. Graczyk wskoczył za nimi, zamykając za sobą drzwi. Sejsmolog zatoczył się na ścianę i wybałuszył oczy.

– Co to ma znaczyć? – wybełkotał. – Kim jesteście? Nie jesteście policjantami!

– Daję panu słowo, że jestem policjantem – zapewnił go Graczyk. – Chwilowo nie mogę panu pokazać legitymacji. To skomplikowana historia. Nie mamy czasu, by ją panu opowiedzieć. Musi pan nam zaufać.

– Zaufać? Zwariowaliście? Czego chcecie?

Janiszewski, który z fascynacją oglądał korytarz, spojrzął na niego.

– Bez obaw. Tylko tędy przechodzimy.

Korytarz w gruncie rzeczy był sztolnią prowadzącą na drugi poziom podziemnego kompleksu pod zamkiem, ale ze względu na jakość wykonania trudno byłoby go tak nazywać. Choć od wojny niewiele tu zrobiono, upływ czasu pozostawił mało śladów; użyte materiały musiały być naprawdę w dobrym gatunku. Nic zresztą dziwnego, skoro miała tu się znajdować podziemna kwatera Hitlera.

Łukowe sklepienie nakrywało korytarz o szerokości około trzech metrów i wysokości jakichś trzech i pół. Na stropie wisiały stare uchwyty do lamp; w niektórych z nich zamontowano współczesne lampy. Stopień wykończenia tunelu znacznie przewyższał to, co można było zobaczyć w znanych podziemiach Gór Sowich, jednak z pewnością wiele jeszcze brakowało do osiągnięcia projektowanego wyglądu.

– Jak to przechodzicie tędy? – zdumiał się Rogowski. – Dokąd? Stąd nie ma innego wyjścia.

– Myli się pan – zaproponował Janiszewski. – Na ten poziom prowadzą cztery sztolnie. Trzy są rzeczywiście zamknięte. Jednak my chcemy zejść piętro niżej.

– Niżej? Pan zwariował! Tu nie ma niższego piętra.

Janiszewski uśmiechnął się.

– To wersja oficjalna. Ale my jesteśmy tu nieoficjalnie, więc nie musimy się jej trzymać.

Rogowski najwyraźniej postanowił poszukać pomocy u Graczyka, bo popatrzył na niego bezradnie. Graczyk stłumił niepokój. A jeśli Janiszewski się mylił? Jeśli nie będzie żadnego przejścia? Cóż, wówczas kompromitacja będzie ich najmniejszym zmartwieniem.

Janiszewski wyciągnął z kieszeni kartkę z wyrysowanym planem.

– Tędy – zaordynował.

Graczyk skinął na sejsmologa.

– Proszę z nami.

– Ale tam jest bardzo delikatna aparatura... – zaprotestował Rogowski.

– Będziemy uważać – rzucił przez ramię Janiszewski.

Graczyk odniósł nieprzyjemne wrażenie, że usłyszał w jego głosie kpinę. Dałby wiele, żeby zakończenie tej historii przeczytać w gazetach.

– Tak nie można! – zaperzył się Rogowski. – To bezprawie! Nie ujdzie wam to...

Graczyk miał tego dość. Przysunął swoje dziewięćdziesiąt kilogramów do drobnego sejsmologa.

– Zamknij się, człowieku – wycedził. – Jesteśmy tu naprawdę z ważnego powodu.

Tamten, o dziwo, posłuchał. Być może to siniaki na twarzy Graczyka tak na niego podziały. Milczał, kiedy ruszyli dalej.

Ten poziom podziemi Książa, niższy z dwóch znanych, był dość rozległy, chociaż po tym, co widzieli w Górach Sowich, nie mógł ich niczym zaskoczyć. Niemniej, dla amatorów podziemi byłaby to nie lada gratka, gdyby kompleks został udostępniony do zwiedzania. Na to się jednak nie zanosilo, a przyczynę poznali wkrótce: kilka różnej wielkości metalowych skrzynek w jednej z czterech wielkich, łukowato sklepionych sal. Graczyk domyślił się, że to sejsmometry, w czym upewniła go mina Rogowskiego. Strach na twarzy sejsmologa ustąpił

uldze dopiero wówczas, gdy idąc za wskazówkami Janiszewskiego minęli obojętnie aparaturę i poszli dalej.

Janiszewski dysponował planem, który powstał – jak z uśmiechem wyjaśnił – na bazie powszechnie dostępnych w literaturze przedmiotu szkiców, zmodyfikowanych przez własne badania, domysły, przypuszczenia i pobożne życzenia. Usłyszawszy to Graczyk nawet się nie przejął. Przekroczył już chyba próg, poza którym nic nie było w stanie go poruszyć.

Mylił się jednak.

– Co chce pan zrobić?! – wrzasnął w chwilę później.

Stali przed pozornie niczym nie wyróżniającym się fragmentem ściany korytarza, gdzieś w bocznym skrzydle kompleksu. Tu już nie było lamp; najwyraźniej miejsce to, jak zresztą większa część podziemi, nie należało do uczęszczanych. Przy świetle latarek Janiszewski dokonał szeregu pomiarów za pomocą laserowego dalmierza, aż wreszcie, usatysfakcjonowany, postukał w betonową ścianę.

– Tu powinien być korytarz prowadzący do szybu komunikacyjnego łączącego ten poziom z niższymi.

– Jest pan tego pewien? – sceptycznie zapytał Graczyk.

– Przeanalizowałem relacje więźniów, którzy pracowali tu podczas wojny i połączyłem z innymi wskazówkami. Topografia podziemi to potwierdza. Jestem pewien na tyle, na ile można być pewnym w tych okolicznościach.

– I jest pan w stanie tak dokładnie określić miejsce?

– Proszę pana, choć wygląda to prosto, proszę mi wierzyć, że włożyłem wiele pracy w sporządzenie tego planu.

Graczyk nadal miał wątpliwości.

– Chce pan się przebić przez tę ścianę?

– To nie ściana, tylko betonowy korek maskujący wlot korytarza.

– Jak gruby?

– Sądząc z pewnych prób sondowania ścian, przeprowadzonych na wyższym poziomie, może mieć grubość nawet półtora metra.

– Półtora metra betonu?! Potrzebujemy buldożera.

– Buldożer nie zmieściłby się w plecaku. Ale mam coś lepszego.

Janiszewski pochylił się nad plecakiem.

– To jakieś bzdury – odezwał się Rogowski. – Tam nic nie ma. Pracujemy tu od lat i nikt niczego nie znalazł.

– A czy ktoś szukał? – zapytał Janiszewski.

– No, nie wiem... Ale...

Graczyk nawet ich nie słuchał. Kiedy pojął, do czego zmierza Janiszewski, nie od razu uwierzył własnym oczom.

– Co chce pan zrobić?! – krzyknął.

Janiszewski metodycznie wykladał z kieszeni plecaka niewielkie, grube cylindry, przypominające zniekształcone cygara, a następnie pęk jakiegoś zielonego przewodu zakończonych czymś w rodzaju sporej pojedynczej wtyczki.

– Przecież to oczywiste – odparł jakby nigdy nic. – Chyba pan nie myślał, że znajdziemy tu drzwi z tabliczką: „Niższy poziom”?

– Tylko bez głupich dowcipów – zdenerwował się Graczyk. – Ukryte przejście to jedno, a sposób jego otwarcia to drugie. Nie było mowy o użyciu materiałów wybuchowych!

– To j e d y n y sposób. Nie dysponujemy maszyną do drążenia tuneli. Albo wysadzimy kawałek ściany, albo możemy od razu jechać na komendę i dać się zamknąć za napad, nielegalne wtargnięcie czy co tam jeszcze. I to bez żadnych okoliczności łagodzących.

– Ale dynamit? Oszalał pan?!

– To nie dynamit, tylko trotyl.

– A jaka różnica?

– Ogromna. Od razu widać, że jest pan laikiem. Trotyl jest znacznie słabszym, ale i bezpieczniejszym materiałem. Można nawet do niego strzelić, a pocisk nie spowoduje wybuchu. To jest – Janiszewski uniósł jedno z cygar – tak zwany nabój wiertniczy, czyli siedemdziesięciopięciogramowy ładunek trotylu w formie walca o długości siedmiu i średnicy trzech centymetrów. Jak sama nazwa wskazuje, jest tak uformowany, aby zmieścił się w otworze wywierconym w ścianie kopalni lub kamieniołomu.

Graczyk usłyszał jak Rogowski wciąga gwałtownie powietrze. Sam patrzył z niepokojem na niepozorny cylinder.

– Skąd pan to ma?

– Mówiłem już, że skończyłem AGH. Wiem wszystko o materiałach wybuchowych stosowanych w górnictwie.

– Robił pan to kiedyś?

– Pracowałem jakiś czas w branży – odparł tamten enigmatycznie. – A uprzedzając pańskie następne pytanie: nie, nie posiadam pozwolenia.

– Nawet nie zamierzałem pytać – warknął Graczyk. – Przecież to oczywiste.

Janiszewski zachichotał. To całkowicie wytrąciło z równowagi Rogowskiego.

– Zwariowaliście?! – rzucił się. – Chcecie coś wysadzać?! To niedopuszczalne! Sejsmometry...

– Pańskie sejsmometry są daleko – przerwał mu Janiszewski. – Najwyżej zarejestrują niewielki wstrząs. To nawet może być dla pana ciekawe.

– One już coś zarejestrowały – palnął tamten.

Janiszewski uniósł głowę.

– Co takiego?

– Serię wstrząsów pod zamkiem kilka dni temu. A tu przecież nie ma żadnej kopalni.

Janiszewski i Graczyk porozumieli się wzrokiem.

– Za wcześnie, żeby coś zasypywali – mruknął Graczyk. – To się zwykle robi na końcu, więc...

– Więc musieli coś odkopywać – dokończył Janiszewski. – Albo udrażniać coś, co było zablokowane.

– Pociąg...

– Być może.

Sejsmolog przenosił wzrok z jednego na drugiego.

– O co chodzi? – nie wytrzymał. – Jacy oni? Jaki pociąg?

Zignorowali go.

– Ponieważ nie mamy czym wywiercić otworów, zrobimy inaczej – powiedział Janiszewski. – Wykujemy jedną niszę u podstawy ściany i włożymy tam ładunek skupiony, czyli kilka związanych razem naboju wiertniczych. Myślę, że dziesięć powinno wystarczyć.

Mieli tylko młotek i przecinak, które Janiszewski wyciągnął ze swojego przepastnego plecaka. Na szczęście beton okazał się już trochę zwietrzały; w każdym razie jego wierzchnia warstwa. Janiszewski określił rozmiar otworu i wkuł się na jakieś dziesięć centymetrów, a potem zmienił go Graczyk. Sam tymczasem przystąpił do przygotowywania ładunku. Graczyk zerkał nań kątem oka między jednym uderzeniem młotka a drugim.

Janiszewski utworzył wiązkę z dziesięciu cylindrycznych naboju, a potem obwiązał je mocno szeroką taśmą klejącą. W jeden ze środkowych cylindrów wetknął niby-wtyczkę.

– To lont prochowy z zaciśniętą spłonką pobudzającą – wyjaśnił, widząc spojrzenie Graczyka. – Przygotowałem go już w domu. Nawiasem mówiąc, ten typ lontu wykonuje się na bazie czarnego prochu, takiego samego, jakiego używam do mojego colta.

– Lont? Chce pan użyć lontu? Nie ma jakichś bardziej nowoczesnych sposobów?

Janiszewski potrząsnął głową z politowaniem.

– Zapewniam pana, że lont jest całkowicie bezpieczny. A przy tym prosty i wygodny w użyciu.

Graczyk zaklął cicho, kiedy młotekomal nie ześlizgnął się z przecinaka.

– Najpierw colt i proch, a teraz lont i trotyl – poskarżył się. – Coraz bardziej czuję, jakbym grał w westernie.

– Myślę, że to raczej zabawa w policjantów i złodziei.

– Może i tak, ale mam dziwne wrażenie, że to nie jest komedia.

Zmienili się ponownie i w pół godziny później Janiszewski uznał, że dziura w ścianie jest wystarczająco głęboka. Umieścił w niej pękatą wiązkę ładunków trotylu, a w pustą przestrzeń wokół niej poupychał odłamki betonu i wyciągniętą z plecaka – jak to nazwał – glinę przybitkową. Następnie rozwinął lont. Graczyk na jego widok nie krył niepokoju.

– Czy ten lont nie jest za krótki?

– Skąd. Jest nawet za długi. Ten rodzaj lontu pali się w tempie jednego centymetra na sekundę. Łatwo policzyć, że metr lontu pali się przez półtorej minuty. Tu są trzy metry, więc mamy cztery i pół minuty na ukrycie się w bezpiecznym miejscu. To mnóstwo czasu.

Miał rację. Po zapaleniu lontu zdążyli schować się za najbliższym zakretem korytarza, dobrych kilkadziesiąt metrów od miejsca wybuchu, i jeszcze musieli czekać, a czas zdawał się wlec niemiłosiernie. Palący się lont syczał głośno, niczym powietrze ulatujące z przebitej dętki. Janiszewski patrzył na zegarek.

– Uwaga – odezwał się. – Jeszcze kilkanaście sekund. Radzę zatkać uszy.

Graczyk objął głowę dłońmi. W chwilę później przedarł się przez nie ostry huk. Zdawało się, jakby górą targnął wstrząs, ale to chyba było złudzenie wywołane falą uderzeniową rozchodzącą się w przestrzeni wąskiego korytarza. Usłyszeli jak odłamki betonu uderzają w ściany i sypią się na posadzkę, niby grad. Kłęb dymu i pyłu nadleciał z głębi tunelu, owionął ich i pognał dalej. Ktoś zakasłał.

– Nieźle, co? – Janiszewski wyszczerzył zęby. – Zawsze lubiłem robić dziury. Im większe, tym lepsze.

– Jeszcze nie wiemy, czy pan zrobił – Graczyk usiłował rozpędzić dym machając ręką.

– Na pewno. Pytanie tylko, jak dużą.

– Pieprzony wariat – wśród kaszlu dało się słyszeć niewyraźny głos Rogowskiego.

– Niezbyt duża – zauważył Graczyk.

– Wystarczy – Janiszewski patrzył na swoje dzieło z satysfakcją. – Nie ma czasu na jej powiększanie. Ktoś mógł usłyszeć wybuch.

– Kto? – zdziwił się za ich plecami Rogowski.

W miejscu małego otworu wykutego w betonie ziała potężna dziura, o średnicy na wlocie mniej więcej półtora metra i nieco większej głębokości. Jej wielkość na wylocie malała do jakiegoś metra, a może nawet nieco mniej. Zaś wylot otwierał się na głęboką ciemność.

Poświecili tam latarkami i dostrzegli posadzkę, podobną do posadzki po tej stronie. W przedzie nie było niczego; najwyraźniej korytarz biegł prosto i światło latarek nie sięgało na tyle daleko, by ujawnić jakiś jego zakręt. Musiał być też znacznie szerszy od tego, w którym

stali, ponieważ gdy poświecili na boki, zamajaczyły tam zaledwie jakieś odległe jaśniejsze plamy.

Otwór w betonowym korku zamykającym nieznaną tunel, nie podobał się Graczykowi. Był bardzo nieregularny, ze sterczącymi odłamami, a ściana wokół była mocno spękana. Odrywały się od niej co rusz mniejsze i większe fragmenty, i spadały na rumowisko u podstawy. Tym niemniej, było to przejście do ukrytej części podziemi. Janiszewski trafił w dziesiątkę.

– Gratuluję – odezwał się Graczyk. – Naprawdę miałem wątpliwości, czy jest pan w stanie wskazać właściwe miejsce. I czy w ogóle jest takie miejsce.

– Ja miałem większe wątpliwości. Pan, na swoje szczęście, nie wiedział, na jak nikłych przesłankach oparłem moją analizę.

– No to mnie pan pocieszył.

Janiszewski odwrócił się do Rogowskiego.

– Pan zostaje. Niech pan zawiadomi policję; zresztą, i tak pewnie by pan to zrobił. Niech pan im powie, że możemy potrzebować pomocy. Rozumie pan?

Tamten pokiwał głową.

– Rozumiem, ale...

– Nieważne, czy uznają nas za wariatów, czy za terrorystów; niech coś zrobią.

– Dobrze, powiem im, ale...

Janiszewski już nie zwracał na niego uwagi. Skinął na Graczyka.

– Idziemy.

Zdjął plecak i opadł na kolana, po czym na czworaka wsunął się w otwór. Kiedy przeciskał się przez jego wylot, musiał jeszcze bardziej się pochylić. Otarł się mimo to plecami o beton, powodując obsunięcie się kilku luźniejszych fragmentów.

– Teraz pan, ale najpierw plecak – wyciągnął rękę do Graczyka.

Ten wepchnął plecak w dziurę i sam do niej wpelzł. Był wyższy i mocniej zbudowany od Janiszewskiego, toteż natychmiast się przekonał, że nie pójdzie mu równie łatwo. W dodatku, plecak okazał się ciężki i musiał nieźle się namęczyć, by przesunąć go przed sobą. Na szczęście odległość nie była duża. Po chwili dłoń Janiszewskiego chwyciła pasek plecaka.

– Ale co tam jest, do cholery?! – zawołał za nimi Rogowski. – I kto?!

Nie zdążyli mu odpowiedzieć. Janiszewski szarpnął plecak, nie zauważywszy, że jedna z szelek zaczęła się o wystający odłam betonu. Być może uznał, że plecak zahaczył o jakiś leżący luźno kamień, bo szarpnął mocniej. Rozległ się trzask pękającego betonu.

Graczyk wiedział, że nie zdąży się wycofać. Kiedy plecak zniknął, dosłownie wyrwany z dziury przez Janiszewskiego, rzucił się do przodu, jakby chciał zanurkować w ciemność po drugiej stronie. Poczul nacisk na plecy i nagle coś chwyciło go za wyciągnięte w przód ręce i pociągnęło. Przez sekundę szorował brzuchem po kanciastych odłamkach, a potem raptownie wyskoczył z otworu, jak korek od szampana. Za nim gruchnęło potężnie, w powietrzu zawirował pył, a z nieba zaczął padać deszcz kamieni. Janiszewski trzymał go nadal i na poły włokąc, a na poły prowadząc, odciągał w głąb korytarza. Łoskot walących się skał zdawał się trwać całą wieczność. Wreszcie wszystko ucichło.

Janiszewski podniósł upuszczoną latarkę i skierował ją w stronę przejścia. Nie było go. Przez kłęby kurzu patrzyli na osuwisko. Wielkie bryły betonu i skały, zmieszane z mniejszymi, tworzyły pochyłe zbocze, wznoszące się stromo od posadzki po strop znajdujący się na wysokości pięciu metrów. Graczykowi przypominało to wielki obwał we Włodarzu, za którym znaleźli zwłoki więźniów.

Wtem coś gdzieś w górze zatrzeszczało. Posypał się pył. Poświecili w górę. Łukowaty strop wyglądał, jakby się łuszczył. Pokrywająca go licówka była popękana i pokruszona, a częściowo nawet odstawała od skały macierzystej.

– Widocznie wybuch naruszył konstrukcję hali – głośno myślał Janiszewski. – Widzi pan te na wpół oderwane płyty? Strop odlewano z betonu warstwami, dlatego w miejscu styku warstw jest on słabszy. Najwyraźniej może się odrywać, jak łupiny cebuli.

– Pięknie. I jak się teraz wydostaniemy?

– Przecież pan wie, komisarzy, że jest tylko jedna możliwość. Musimy znaleźć wyjście, którego używają ludzie z zamku.

– Owszem, to wiem. Ale nie martwię się o znalezienie wyjścia, tylko o to, jak się nim wydostaniemy. Właśnie dlatego, że używają go ludzie z zamku. Duża liczba ludzi.

– Jakoś sobie poradzimy.

– No proszę, nareszcie konkrety!

Janiszewski skrzywił się, ale pohamował ripostę. Nieprzyjemny trzask pod stropem tunelu powtórzył się, a zaraz po nim rozległo się podejrzanе skrzypienie.

– Nic tu po nas, ruszajmy – zdecydował. – Cały ten strop może się zawalić. Być może ładunek był jednak za mocny. Albo źle ukierunkowany. Albo konstrukcja została kiepsko wykonana.

– Coś za dużo tych „albo”. Podobno pracował pan w branży?

– Tylko na pół etatu.

Tym razem ironia w głosie Janiszewskiego była tak wątła, że równie dobrze mogło jej wcale nie być.

Bywają przebudzenia, po których można zatęsknić za bezsennością. Po raz drugi Ritter poczuł, że ze snu wyrwało go coś gwałtownego. Jednak nie to było najgorsze, lecz różnica między pokojem w hotelu, a pomieszczeniem, w jakim znajdował się obecnie.

Nie większe, niż dziesięć metrów kwadratowych i wysokie na jakieś trzy metry, niemal w całości wypełnione było dwoma ogromnymi zbiornikami, przypominającymi wielkie bojłery. I rzeczywiście, musiały to być bojłery, na co wskazywał system rur doprowadzających zimną wodę i odprowadzających ciepłą. Ulokowane jeden nad drugim wznosiły się aż po sufit. Poza zbiornikami w pomieszczeniu niczego nie było. Nagie ściany pokrywał biały tynk, nałożony niezbyt starannie. Widocznie niewiele oczu miało go oglądać. Z sufitu zwieszała się pojedyncza lampa, dająca silne, jaskrawe światło.

Było zimno, ale bardzo duszno. Ritter czuł się jak w zapuszczonej piwnicy. Obok siedziała Teresa i patrzyła na niego wyczekująco.

– No, obudził się pan – powiedziała. – Już myślałam, że będę musiała pana cucić.

Dotknął tyłu głowy i jęknął namacawszy bolący guz.

– Trochę się potłukłem – skonstatował. – A pani jest cała?

Teresa uśmiechnęła się współczująco.

– Wyglądało to groźnie, ale nic mi się nie stało. Pan jest chyba bardziej poobijany. Naprawdę mi przykro.

– No cóż – skrzywił się. – Ważne, że żyjemy. Domyśla się pani, gdzie jesteśmy?

– Sądzę, że w podziemiach pod zamkiem. Musieli nas wyciągnąć z samochodu i przenieść tu, gdy byliśmy nieprzytomni.

– Po co tyle kłopotu? – zauważył sceptycznie. – Mogli nas pozostawić martwych w aucie. Policja z pewnością uznałaby nas za ofiary wypadku.

Teresa wzruszyła ramionami.

– Może bali się, że nasza śmierć spowoduje niewygodne pytania? Może nie chcą nas zabijać? Może nie było rozkazu? Wy, Niemcy, jesteście bardzo konsekwentni; ściśle trzymacie się ustalonych procedur.

– Chciała pani powiedzieć, że jesteśmy okropnie nudni – uśmiechnął się. – Może i tak.

Wstał. Bolała go nie tylko głowa, ale i wszystkie mięśnie. Kiedy się wyprostował, zimno panujące w pomieszczeniu uderzyło go ze zdwojoną siłą. Obejrzał zbiorniki. Każdy miał jakieś półtora metra średnicy i ze dwa i pół metra długości. Miały mieścić zapewne po dwieście, trzysta litrów wody. Wyglądały na stare.

Zbliżył się do drzwi. Były stalowe, osadzone w stalowej futrynie. Miały szary kolor farby antykorozyjnej. Jeśli posiadały klamkę, to musiała znajdować się po drugiej stronie. Otwierały się na zewnątrz, oczywiście po uprzednim przekręceniu klucza, którym, niestety, nie dysponowali. Ogólnie rzecz biorąc, były to typowe drzwi do pomieszczenia gospodarczego w rodzaju kotłowni czy pralni. Mogły znajdować się wszędzie.

Ritter pchnął je lekko, raczej na wszelki wypadek, niż z nadzieją, że okażą się otwarte. Ani drgnęły.

– To na nic – machnął ręką.

Usiadł obok Teresy i oparł się o ścianę. Pozostawało im tylko czekać.

– Może powinniśmy byli iść pieszo, zamiast uciekać samochodem – mruknęła. – Może nie wpadlibyśmy tak łatwo w łapy Kellera.

Ritter westchnął.

– Niedługo będzie pani straszyć Kellerem dzieci, *Frau Listz*. Prawdę mówiąc, nie mamy nawet pewności, że to on stoi za wypadkiem. To mógł być jakiś zwykły pirat drogowy.

– Który o dwunastej w nocy przyjechał zwiedzać Książ? Sam pan w to nie wierzy.

– Nie wiem, w co powinienem wierzyć.

Teresa zauważyła, że rana na jego skroni znów zaczęła krwawić. Z kieszeni żakietu wyjęła chusteczkę higieniczną i starła krew.

– Naprawdę jestem panu wdzięczna za pomoc, Udo. Przepraszam za wszystko, co pan przeze mnie przeszedł.

Poczuła ukłucie wstydu, że go w to wciągnęła. Kilka godzin spędzonych z Kellerem i jego goryłami upewniło ją, że wdała się w sprawy, przy których pozbycie się jednej czy dwóch niewygodnych osób to drobiazg niewart wzmianki. Wprawdzie nie zrobili jej krzywdy – Keller zapewne nie odważyłby się na to na powierzchni – lecz już samo przesłuchanie, jakiemu została poddana, dało jej przedsmak tego, co mogło ją spotkać. Keller kazał poczekać, aż zrobi się późno i okolica opustoszeje, żeby móc dyskretnie przeprowadzić ją do zamku, gdzie zapewne znajdowało się wejście do podziemi. Wątpiła, by ktokolwiek ujął się za nią, kiedy towarzyszył jej sam prezes spółki. Nawet jeśli zaczęłaby krzyczeć. Ale pojawił się Ritter.

Popatrzyła na niego, a potem na siebie. Oboje wyglądali okropnie. Ritter w pobrudzonym i poplamionym krwią dresie; ona w kostiumie żywcem wyjętym z jakiegoś filmu o sekretarce ściganej przez szefa uwikłanego w brudne interesy. Wszędzie miała siniaki. Gdyby ujrzała ją aktywistka jakiejś organizacji kobiecej, z pewnością kazałaby jej zostawić drania, który ją tak podle traktuje. Co za ironia, pomyślała, przemoc to ostatnia rzecz, jaką się bierze pod uwagę, kiedy się z kimś wiąże, a zarazem pierwsza rzecz, jaka przychodzi do głowy, kiedy się widzi posiniaczoną kobietę. Czy ona też nosiła w sobie to odwieczne przekleństwo jej płci – syndrom ofiary? Nic na to nie wskazywało. Uśmiechnęła się na wspomnienie paru znajomości. Na razie to ona rozdawała karty w tej grze i lubiła to.

Ilekoć patrzyła w lustro, spoglądała na nią stamtąd trzydziestodwuletnia kobieta, wciąż u progu swych zawodowych możliwości, ale już na progu swoich życiowych oczekiwań. Jeszcze krok, a przejdzie przez drzwi z napisem: „Tylko dla starych panien. Uwaga na głowę!”. Najgorsze, że otoczenie dostarczało wielu modelowych przykładów. Mężczyźni omijali inteligentne kobiety z daleka. Inteligentne kobiety w podobny sposób traktowały większość mężczyzn. Szansa, że ślepy traf pozwoli na bezkolizyjne zetknięcie się tych dwóch światów, była nikła. No cóż, mówiła zawsze kobiecie z lustra, tym gorzej dla świata.

– Udo – powiedziała z uśmiechem. – Jest pan najbardziej zwariowanym Niemcem, jakiego znam.

– A pani jest wyjątkową kobietą, *Frau Listz*. Znakomicie radzi sobie pani z sytuacją.

– Prawdziwy z pana dżentelmen, ale nie ma w tym nic wyjątkowego. Wiedziałam, czym ryzykuję i spodziewałam się kłopotów.

– Pytanie, czy było warto?

– No cóż, nic konkretnego na Kellera nie mam, przyznaję. To, że usiłował mnie zatrzymać, mogło wynikać raczej z jego nadgorliwości niż z rzeczywistego zagrożenia, jakie stwarzam. Tak czy inaczej, istnieje niebezpieczeństwo, że pański kontrakt z firmą Kronos także nie przetrwa tej nocy. I to z mojej winy.

– O ile wiem, nie złamałem żadnych jego klauzul. Ale co właściwie pani podejrzewa?

Zawahała się i znów poczuł, że stara się tak sformułować odpowiedź, by zdradzić jak najmniej.

– Sądzę, że przyjechali po coś, co zostało tu ukryte przez pańskich rodaków przed końcem wojny – odparła. – A budowa hotelu w Książu to tylko pretekst, bardzo wygodny, ponieważ umożliwia prowadzenie szeroko zakrojonych prac bez wzbudzania podejrzeń.

– Czego mieliby szukać?

– Nie wiem, co to jest, ale zawsze krążyły w okolicy legendy o skarbach ukrytych w podziemiach.

Skrzywił się z powątpiewaniem.

– Takich powojennych legend jest mnóstwo w całej Europie i nie tylko w Europie. Począwszy od Bursztynowej Komnaty, a skończywszy na złocie Yamashity. Nie mówiąc już o tym, że od zarania dziejów każdy zamek miał własną opowieść o ukrytych w nim skarbach.

– To niewykluczone, ale...

– Ale pani w to nie wierzy?

– Oni robią coś w podziemiach, Udo. Przecież tu jesteśmy.

– K t o ś robi coś w podziemiach, *Frau Listz*. Nie wiemy, kto.

Stłumiła irytację.

– Mówi pan, jak polskie władze, które przez pół wieku nie zrobiły nic, żeby sprawdzić, czy coś jest na rzeczy. Mało tego. Celowo zasypano niektóre fragmenty podziemi, wejścia zawalono, a najlepiej zachowaną część kompleksu zamknięto na głucho pod pozorem zainstalowania tam aparatury sejsmograficznej. Czy pamięta pan trawnik na dziedzińcu honorowym zamku?

– Oczywiście. Trochę go podeptaliśmy dziś w nocy.

– A czy wie pan, co tam się znajdowało tuż po wojnie? Wielka dziura w ziemi. Wykop o średnicy dwudziestu metrów, w którym miano wybudować szyb transportowy łączący różne poziomy podziemi. Gotowy szyb miał mieć pięć metrów średnicy. Wyrobisko zasypano doszczętnie gruzem i śmieciami, a na wierzchu posadzono kwiatki.

– To niczego nie dowodzi. Przyzna pani, że taka dziura przed zamkiem nie dodałaby mu uroku.

– Naturalnie. Ale takich działań, tłumaczonych względami estetycznymi lub wymogami bezpieczeństwa, było znacznie więcej, zarówno tu, jak i w Górach Sowich, gdzie Niemcy budowali kilka takich podziemnych kompleksów. Przez wiele lat po wojnie coś tam zasypywano, zamuroywano, sadzono las i tak dalej. Zupełnie jakby państwo przyjęło zasadę: co z oczu, to z serca. Nie widać problemu, więc problemu nie ma.

– Nie wiedziałem, że w okolicy jest więcej takich podziemi.

– O tak. Musiałby pan któregoś dnia odwiedzić mnie w Głuszycy. Podziemia są w pobliskich górach. Niektóre można zwiedzać.

– Chętnie skorzystam z zaproszenia.

Zamilkli.

– Co właściwie pani zamierzała zrobić po ucieczce z zamku? – zapytał po chwili.

– Sama nie wiem. Chciałam kogoś zawiadomić, ale bałam się, że usłyszę te same argumenty, które pan przedstawił. Wyszłabym na idiotkę. Miastu bardzo zależy na obcym kapitale. Nikt nie kiwnąłby nawet palcem.

– Mógłbym opowiedzieć o tym, co zaszło dziś w nocy...

– Pańskie słowa przeciwko wersji firmy, która zainwestowała w Książ miliony euro. Jak pan myśli, komu by uwierzyli? Keller znalazłby sposób, żeby pana skompromitować. Nie, lepiej niech się pan w to nie miesza. Już i tak wiele pan dla mnie zrobił. Właściwie powinniśmy mówić sobie po imieniu – dodała. – W obecnej sytuacji formy grzecznościowe brzmią trochę absurdalnie, prawda?

– Będzie mi bardzo miło... Tereza.

– Udo...

Nagle znów ni to usłyszał, ni poczuł coś dziwnego. Gdzieś daleko rozległ się stłumiony huk, lecz Ritter miał wrażenie, jakby odebrał ten dźwięk całym ciałem. Najwyraźniej przez powietrze przetoczyła się fala ciśnienia.

Teresa spojrzała na niego.

– Co się dzieje?

– Też to poczułaś? - zapytał. – Chyba podobny odgłos obudził mnie wieczorem, kiedy wyszedłem pobiegać. Ciekawe, co to mogło być?

Usiadła trąc oczy.

– Przypuszczam, że wybuchy. Pewnie coś robią w podziemiach. Mogłeś to słyszeć w hotelu, ponieważ niedaleko znajduje się wylot dawnego szybu wentylacyjnego. Jest wprawdzie zaślepiiony, ale mimo wszystko może ułatwiać rozchodzenie się dźwięku.

– Dużo wiesz o podziemiach.

Spojrzała na niego, jakby badając, co kryje się za jego stwierdzeniem.

– Mój ojciec bardzo się nimi interesował.

– Interesował?

– Nie żyje od kilku lat.

– Przepraszam.

Ritter znów wstał i zbliżył się do zbiorników.

– Mimo wszystko, trudno uwierzyć, że jesteśmy w podziemiach – mruknął z podziwem.

– A jednak – odparła. – Wykończenie rzeczywiście jest idealne. Nic dziwnego; miała tu być podobno kwatera Hitlera.

– Twierdzisz, że to wszystko przetrwało aż siedemdziesiąt lat?

– To kwestia odpowiedniej technologii i prac zabezpieczających, jakie przeprowadzono przed opuszczeniem obiektu. Przypuszczam, że nie wszędzie jest tak schludnie. Zapewne tak wykończona jest tylko najważniejsza część kompleksu.

– Najważniejsza z jakiego powodu?

– Tego właśnie będziemy musieli się dowiedzieć.

Spojrzał na nią z zaskoczeniem.

– Myślałem, że chcemy tylko wyjść z tego cało.

– Bo tak jest. Ale nie możemy wyjść z pustymi rękami. Musimy coś wynieść – informacje. Siedząc tu niczego się nie dowiemy. Trzeba się stąd wydostać.

– Nie wiem, czy to dobry pomysł – mruknął Ritter. – Jeśli nawet nam się uda, to co dalej? Jesteśmy jak w lochach średniowiecznego zamku.

– Z lochów też uciekano.

– Poprzednim razem nie bardzo nam się poszczęściło.

– Z zamku uciekliśmy.

– Faktycznie. Niestety, niezbyt daleko. O mnie nikt nie wie, ale ciebie ktoś chyba będzie szukał? – zapytał.

– Niewykluczone, ale jeśli nawet, to policja niewiele wskóra. Zresztą, możliwe że już mnie szukają. Na pewno zainteresował ich mój rozbity samochód.

W jej głosie słyszał powątpiewanie. Było jasne, że jej zdaniem mogli liczyć tylko na siebie. Co do niego, wciąż nie pozbył się uczucia, że to jakiś skomplikowany, absurdalny żart. Myśl, że ktoś mógłby zrobić im krzywdę, nie mieściła mu się w głowie. Takie rzeczy nie przytrafiają się statecznym, nikomu nie wadzącym inżynierom.

Podzielał opinię dziewczyny co do nikłości szans, by policja zainteresowała się bliżej działalnością firmy Kronos. Poza tym, jak sprawić, by ich szukano w podziemiach, skoro te podziemia oficjalnie nie istniały? Z punktu widzenia policji Teresa i on nie mogli znajdować się w miejscu, którego nie było. To nawet logiczne. A jeśli nie znaleziono by ich gdzie

indziej... Mało to ludzi wychodzi z domu i nie wraca? Policja ma na to odpowiednie procedury; wystarczająco długotrwałe, by wszyscy zapomnieli o całej sprawie.

– No dobrze – Teresa też wstała. – Dość tego leniuchowania. Musimy się stąd wydostać.

– Obawiałem się, że to powiesz.

– Powinieneś już wiedzieć, że kobiety nigdy nie rezygnują.

– A czy dbają również o szczegóły? Drzwi są zamknięte, a za nimi może być strażnik.

– No cóż, przecież jesteś inżynierem. Wymyśl coś.

– Tu przydałby się McGywer. Ja jestem tylko elektrykiem.

Zamilkł nagle. Światło! Gdyby tak udało się je wyłączyć, po ciemku mieliby większe szanse na ucieczkę. Spojrzał na włącznik oświetlenia przy drzwiach. Spowodowanie zwarcia nie powinno być problemem, jeśli tylko zdoła zdjąć pokrywkę i dostanie się do przewodów. Nie wiadomo tylko, jaki będzie efekt; zależało to od konstrukcji sieci elektrycznej, a przecież nie miał pod ręką schematu. Czy warto było ryzykować? Lecz samo zwarcie to za mało. Trzeba było też jakoś otworzyć drzwi. Inaczej pozostaną w tej klitce, tyle że bez światła. Perspektywa mało zachęcająca.

– A może – odezwał się – odwołamy się do klasyki?

– To znaczy?

– Po prostu zaczniesz krzyknąć.

Strażnik Gerhardt Schmidt już dawno przyzwyczał się do nudy. Wiało nią z większości zadań, które wypełniał najpierw w wojsku, a później pracując dla firmy Kronos AG. Nie znaczyło to, że był niezadowolony. Robota to robota. Tak naprawdę nie uczestniczył nigdy w żadnej poważnej operacji. Nie było w tym nic dziwnego; żył w kraju, który nie prowadził wojen. Kiedy odszedł do cywila i uzyskał status ochroniarza, wiedział, że także będzie się nudził. Ale za większe pieniądze.

Nie on jeden rekrutował się z sił specjalnych. Inni mieli za sobą doświadczenia w jednostkach antyterrorystycznych, policji, a nawet w wywiadzie. Teraz wszyscy byli najemnikami.

Ciekawość nie stanowiła czynnika sprzyjającego przetrwaniu, nie była więc uwzględniana w programie szkolenia komandosów. Schmidt obserwował wprawdzie bacznie otoczenie, jednak nie zaprzętał sobie głowy pytaniami w rodzaju: co tu robią i o co w tym chodzi? Bez względu na to, jak dziwna mogłaby być odpowiedź, i tak niczego by to nie zmieniło. Zawarł kontrakt i zamierzał go dotrzymać. Miał także wrażenie, że nadmierna ciekawość nie była wskazana. Pilnowanie pomieszczenia, w którym zamknięto tych dwoje sabotażystów, i tak stanowiło odmianę wobec codziennej rutyny. Nie udzielono mu wprawdzie zbyt wielu informacji o zatrzymanych, wiedział jednak, że zostali ujęci podczas próby spenetrowania podziemi; zapewne z zamiarem poinformowania miejscowych władz, a do tego nie wolno było dopuścić. Schmidtowi to wystarczyło.

Wtem aż się wzdrygnął, kiedy tuż za jego plecami zadudniły stalowe drzwi, w które ktoś załomotał. Usłyszał kobiecy krzyk.

– Ratunku! Coś się dzieje z Ritterem! Na pomoc!

Jeszcze tego brakowało, pomyślał. W oczach drugiego strażnika też dostrzegł zaskoczenie. Tamten kiwnął głową - trzeba to sprawdzić.

– Na pomoc! – wciąż krzyczała kobieta. – Ratunku!

Schmidt przekręcił klucz w zamku i uchylił drzwi. Zobaczył przyciśniętą do ściany dziewczynę, patrzącą na niego z przerażeniem, i otworzył drzwi szerzej, wchodząc do środka.

Na to właśnie czekał Ritter. Zasłonięty drzwiami, stał przy otwartym włączniku światła. Za chwilę miało się okazać, czy jego plan się powiedzie.

Ostatni kwadrans zabrały mu przygotowania. Pokrywka włącznika przykręcona była czterema śrubami, a on nie miał śrubokręta. Lecz stary plastik nie był zbyt mocny i łatwo pękł, kiedy uderzył weń krawędzią podeszwy swojego adidasa. Wolałby nie bawić się przewodami elektrycznymi pod napięciem, lecz nie miał wyboru. Wyszarpnął przewód masy ze złącza, uważając, by nie dotknąć przewodu zasilającego. Trudność polegała na tym, że końcówki przewodów, znajdujące się w puszcze, były bardzo krótkie. Musiał je uchwycić dosłownie koniuszkami palców. Ale udało się i teraz mógł spowodować zwarcie stykając ze sobą bezpośrednio oba przewody. Wiedział, że i tak ryzykuje. Całkiem możliwe, że skończy się na solidnym „kopnięciu”. Jednak tylko w taki sposób mogli uzyskać element zaskoczenia.

– Kiedy zaczynamy?

– Nie ma co czekać – odparła Teresa. Zaczerpnęła tchu i zaczęła wołać o pomoc.

To, co nastąpiło później, rozegrało się błyskawicznie. Kiedy Ritter zobaczył strażnika, wyłaniającego się zza drzwi, przytknął końcówkę przewodu masy do końcówki przewodu zasilającego. Strzeliło ogłuszająco, syknęło iskrami i zrobiło się ciemno. Jednocześnie Ritter - choć od „kopnięcia” prądem zdrętwiały mu palce trzymające kabel - runął na strażnika. Tamten dał się zaskoczyć, a Ritter nie bawił się w subtelności. Siłą rozpędu i masą ciała zepchnął strażnika na ścianę i wyrzwał go w twarz pięścią. Tamten stęknął ciężko, ale nie upadł. Wszedł z Ritterem w zwarcie. W kompletnej ciemności zaczęli się objąć o ściany. Tamten był silniejszy i doskonale wyszkolony; Ritter czuł, że tym razem znalazł się w prawdziwych tarapatach.

Z odsieczą przyszedł mu niechcący drugi strażnik. Wbrew nadziejom Rittera było ich bowiem dwóch, a w dodatku do środka wszedł tylko jeden. Jednak jego również zaskoczyła ciemność. Słyszając szamotaninę i nie widząc, co się dzieje, spanikował i otworzył ogień. W ciasnym korytarzu strzały zadudniły jak grzmot.

Ritter miał szczęście. Sekundę wcześniej strażnik, z którym walczył, znalazł się między nim a drzwiami. Czuł jak w ciało zasłaniającego go mężczyzny wbijają się kule. Lada chwila któraś z nich mogła dosięgnąć i jego. Niewiele myśląc odepchnął strażnika, a sam padł na podłogę. Miał nadzieję, że Teresa zdążyła zrobić to samo. Ogień na moment ustał. Wiedział, że to jedyna szansa. Przetoczył się po posadzce w nadziei, że zdoła podciąć napastnika. Nie trafił jednak lub może tamten zdołał się odsunąć. Przez ułamek sekundy Ritter miał wrażenie, że lada moment w jego stronę polecą grad metalu. Kiedy się podnosił, niespodziewanie rozbłysło światło. Najwyraźniej mieli tu awaryjne zasilanie. Pomyśleli o wszystkim, przemknęło mu.

Zdołał powstrzymać się od zamknięcia oczu i to go uratowało. Znajdował się tuż obok strażnika, nieco za nim, podczas gdy lufa pistoletu tamtego mierzyła wciąż w kierunku pomieszczenia z bojlerami.

Przydały się teraz godziny treningu. Zanim tamten zdołał obrócić lufę, Ritter kopnął go w zgięcie kolana. Trzeba nie lada szczęścia, żeby nie upaść po takim ciosie. Strażnik go nie miał. Kiedy leżał, Ritter zmiażdżył mu łokciem krtań. Chciał uderzyć słabiej, lecz strach przejął kontrolę nad jego odruchami. To nie była sala treningowa.

Z przerażeniem patrzył, jak tamten się dusi. W niczym nie mógł mu pomóc. Okropne charczenie ucichło dopiero po dwóch, trzech minutach. Twarz strażnika przybrała siną barwę, a język wyszedł na wierzch. Ritter odwrócił się i zwymiotował. Doszedłszy do siebie przypomniał sobie o dziewczynie.

– Tereza! - zawołał.

Usłyszał jakiś ruch w pomieszczeniu z bojlerami.

– W porządku! – odezwała się. – Nic mi nie jest.

Wyloniła się stamtąd niczym zjawa. Obrzuciła wzrokiem trupa, plamy krwi i ślady po kulach.

– Jezus Maria – szepnęła.

Dostrzegła wymiociny i podniosła oczy na Rittera.

– Zabiłem go – wskazał na strażnika u swoich stóp. – Przestraszyłem się. Spanikowałem.

Jej wzrok stwardniał.

– Zrobiłeś to, co musiałeś. Walczyłeś o życie. O moje także. Oni nie mieliby takich skrupułów.

Z pewnością miała rację. Ale to nie za jej sprawą człowiek umarł w męczarniach. Na treningach uczono go, by używać wszelkich dostępnych środków dla jak najszybszego wyeliminowania przeciwnika. I choć było jasne, że broniąc własnego życia można zabić, nigdy tak naprawdę o tym nie myślał. W gruncie rzeczy chodziło o rekreację; jedni grają w koszykówkę, on trenował *krav magę*. Nigdy nie zamierzał jej używać. Z drugiej strony, gdyby

nie to, on by tu teraz leżał. A może jednak nie? Może po prostu nie ryzykowałby ucieczki? A nawet już wówczas, przy zamku, kiedy natknął się na Teresę, Kellera i jego ludzi, może nie podjąłby walki, a tym samym nie wplątałby się w tę całą aferę?

Trudno o bardziej jałową czynność niż gdybanie. Stało się i tyle.

– Lepiej się stąd zmywajmy – ponagliła Teresa. – Ktoś mógł usłyszeć strzały.

– Wątpię; już by tu byli – pokręcił głową. – Chcesz tak po prostu wyjść? Spójrz na nas. Nie wyglądamy na członków tutejszego personelu.

Rzeczywiście, sprawiali wrażenie pary kloszardów po bijatyce o najlepsze miejsce pod mostem. Teresa z irytacją potarła jedną z wielu plam na swojej spódnicy, ale wiedziała, że to i tak nic nie da. Zasepiła się; jej wzrok padł na trupa strażnika. Potem spojrzała na Rittera. Zrozumiał.

– O nie, tylko nie to – zaprotestował.

– Tak trzeba. Będziesz udawał strażnika, a ja będę twoim więźniem.

Nigdy jeszcze nie wykonywał czynności równie makabrycznej, jak rozbieranie martwego strażnika i zakładanie jego munduru. Coś wołało w nim, żeby tego nie robił; że jest tu przez pomyłkę i że wciąż istnieje szansa na wyjaśnienie tego koszmarnego nieporozumienia. Wystarczyłoby poczekać na kogoś rozsądnego. Na pewno znalazłby się ktoś otwarty na rzeczowe argumenty.

Usłyszał, że Teresa mówi coś do niego. Spojrzał na nią.

– Broń - powtórzyła. – Zabierz broń.

– Broń?

– Strażnik powinien być uzbrojony, prawda? Weź pistolet z pełnym magazynkiem; ten, z którego nie strzelano.

O tym nie pomyślał. Wyjął pistolet z kabury pierwszego strażnika, leżącego w pomieszczeniu z bojlerami, i obejrzał. Nie był pewien, czy powinien czegokolwiek dotykać.

– Nie baw się, tylko pomóż mi ukryć ciało – usłyszał głos Teresy. – Ach ci mężczyźni; dać im broń do ręki...

Popatrzył na nią z zaskoczeniem.

– Sprawdzalem tylko... – zaczął.

W jej wzroku dostrzegł ironię. Oczywiście żartowała. A on to wziął na poważnie. Schował pistolet do bocznej kieszeni kombinezonu, mając nadzieję, że nie będzie go musiał wyciągać.

– No dobrze – powiedziała. – Pewnie niewiele to da, ale myślę, że nie powinniśmy ich tak zostawiać. Ukryjmy ich tam, gdzie nas trzymali. Może dzięki temu zyskamy trochę na czasie.

Ritter mocno w to wątpił. Ale warto było spróbować. Nawet jeśli ktoś poweźmie jakieś podejrzenia, to żeby je potwierdzić, będzie musiał włamać się do pomieszczenia, co potrwa jakiś czas.

Kiedy przeciągnęli ciało strażnika, Ritter, przekręciwszy klucz w zamku, złamał go uderzywszy ręką pistoletu.

– Sprytnie – pochwaliła go Teresa.

– Widziałem to na jakimś filmie – odparł.

Coś zazgrzytało mu pod butem, kiedy szli w kierunku wyjścia z piwnicy. W korytarzu poniewierały się łuski. Nie mogli ich tak zostawić. Przez kilka minut zbierali te, które udało im się znaleźć. Wreszcie stanęli przed drzwiami na wyższy poziom. Ritter był spocony, brudny i czuł, że od razu widać, iż jest przebiezańcem. To się nie mogło udać.

Teresie nie umknęło jego wahanie. Położyła mu dłoń na ramieniu.

– Spokojnie - powiedziała. – Mówisz tym samym językiem. Nikomu nie przyjdzie do głowy, że znajdujący się tutaj Niemiec, w dodatku w uniformie strażnika, może nie należeć do spisku.

Spojrzał na nią z ukosa.

– Jesteś bardzo pewna siebie.

– To dlatego – odparła – że jestem całkowicie pewna ciebie.

Co do jednego Teresa miała rację – nikt nie zwrócił na nich uwagi. Zapewne dlatego, że nikogo nie spotkali. Wyglądało na to, że ta część podziemi została ponownie opuszczona; jak przed siedemdziesięciu laty.

– Nie wiemy, którędy do wyjścia, a mam wrażenie, że lepiej się nie rozpytywać – mruknął Ritter.

Czuł się paskudnie w uniformie zdartym z trupa. Nie tak wyobrażał sobie swoją pracę dla Kronos AG. W innych okolicznościach otoczenie z pewnością budziłoby w nim ciekawość. W końcu mieli do czynienia z prawdziwym cudem sztuki inżynierskiej.

Korytarz miał około trzech metrów szerokości i ze dwa metry wysokości. Otynkowany na biało, surowy w swej prostocie, przypominał korytarz piwniczny jakiegoś budynku użyteczności publicznej. Jego podłogę pokrywały płytki z jasnoszarego kamienia. Identycznie pomalowany sufit był zupełnie gładki; jedynie jego środkiem biegł rząd lamp o wypukłych kloszach. Nigdzie nie było widać żadnych instalacji, rur czy przewodów. Po obu stronach korytarza znajdowały się otwory drzwiowe, pozbawione jednak ościeżnic i drzwi. Mimo to, całość i tak wywierała wielkie wrażenie.

Rittera nigdy nie interesowała druga wojna światowa. Zapatrzony w swoje zamki, z trudem przyjmował do wiadomości, że historia nie skończyła się wraz z upadkiem ostatniego z nich. Nie było z nim wprawdzie aż tak źle, by wstąpił do jednego z modnych dziś bractw rycerskich, by własnoręcznie wyklepywał sobie zbroję i wymachiwał czymś, co niegdyś jedynie z trudem uznano by za miecz – a może był już na to po prostu za stary – lecz podobnie jak tamci entuzjaści czuł się niekiedy człowiekiem, który rozminął się z właściwą epoką. Kto wie zresztą, czy tak nie myślała większość ludzi. W każdej epoce.

– Jak się stąd wydostaniemy? – zapytał.

– Nie wiem, ale jest ktoś, kto wie – odparła Teresa.

Ritter zatrzymał się.

– Chyba żartujesz.

– Kto jak kto, ale Keller na pewno mógłby nam powiedzieć, jak się stąd wydostać.

– Być może, ale nie wiemy, gdzie go szukać.

Teresa uśmiechnęła się.

– Chętnie cię zaprowadzę.

Oddał jej uśmiech, zanim ze zdumieniem zorientował się, że wcale nie żartuje.

– Nie możesz tego wiedzieć – stwierdził stanowczo.

– Podczas gdy ty oddawałeś naturze ostatnio zjedzoną kolację, ja ucięłam sobie pogawędkę z pierwszym strażnikiem. Niestety, bardzo krótką, zważywszy na jego agonię, ale zdążył powiedzieć mi to i owo.

Patrzył na nią w oszłomieniu.

– Jesteś niesamowita. Ale, na Boga, dlaczego nie zapytałaś go po prostu, jak stąd uciec?

– Bo jest też kilka innych spraw, o które koniecznie chcę zapytać Kellera.

Westchnął teatralnie.

– Nie sądzę, żeby zechciał o nich mówić, nawet jeśli go znajdziemy.

Wzruszyła ramionami.
– Wtedy wsadzisz mu lufę w zębra.
Nie miał wątpliwości, że mówi poważnie. Lufę w zębra; cóż prostszego? Nie, stanowczo rozminął się z właściwą epoką.
– Obawiam się, że mnie przeceniasz – powiedział.
– I kto to mówi? – zakpiła. – Rycerz?
Ritter musiał się uśmiechnąć.
– Jakie czasy, tacy rycerze. Pomyśl – kto najczęściej ginie na wojnie? Najodważniejsi. A kto przeżywa i przekazuje swoje geny? Tchórze i spryciarze, którym udało się uniknąć walki. Dlatego w puli genowej ludzkości maleje ilość genów odwagi, a rośnie ilość genów ostrożności.
– Jak dotąd, nie splamiłeś się tchórzostwem.
– Zawsze byłem anachroniczny.
– A może już przekazałeś swoje geny i nie musisz być ostrożny?
Wytrzeszczył na nią oczy. Jej bezpośredniość zbiła go z pantałyku.
– Przepraszam – uśmiechnęła się. – Nie chciałam być nieuprzejma.
– Nic się nie stało – odparł z rezerwą. – Nie mam dzieci, jeśli o to ci chodziło. Nie jestem żonaty.
Nie zadała kolejnego pytania, ale widział, że czeka na odpowiedź.
– Nigdy nie byłem – dodał. – Kto by wytrzymał z facetem, który ciągle jest w podróży?
– Kto by wytrzymał z takim, który cały czas siedzi w domu?
Roześmiał się. Jednak, jak zauważyła, z pewnym przymusem. Czyżby się zawstydził?
Urocze.
– Naprawdę sądzisz, że Keller się nas przestraszy? – zapytał. – Myślę, że uważa nas za niegroźnych.
– W takim razie popełnia błąd.
– Jesteśmy groźni?
– O tak. Jesteśmy.
Przypatrywał się jej chwilę, niepewny, czy znów żartuje, czy mówi poważnie. W końcu, nie rozstrzygnąwszy problemu, pokiwał głową, ale trudno było nie dostrzec powątpiewania w jego wzroku. Nie dziwiła mu się.
W każdej chwili oczekiwali wszczęcia alarmu. Nic się jednak nie stało i bez przeszkód dotarli do rozwidlenia korytarzy. Ritter obawiał się, że nie byłby w stanie pociągnąć za spust, gdyby ich zdemaskowano. Co innego dać się ponieść panice i uderzyć za mocno, a co innego zastrzelić kogoś z premedytacją. Teresa z pewnością zdawała sobie sprawę z jego rozterki; nic jednak nie mówiła. Był jej za to wdzięczny.
Zgodnie z jej sugestią skręcili w prawo. Ten korytarz również był pusty. Tynk pokrywający ściany w wielu miejscach odpadł, odkrywając goły beton, lub uległ przebarwieniu wskutek wilgoci. Posadzka też nie była idealnie gładka, a spory jej fragment przy ścianie w ogóle nie został wyłożony płytkami. Wszystko to zdradzało, że budowa nigdy nie została ukończona. Koszmarny pomysł przeniesienia pod ziemię kwatery Führera, a zapewne i kwater innych dostojników III Rzeszy, zrodził się, kiedy było już za późno na jego realizację. Mimo to przystąpiono do pracy, kosztem Bóg wie ilu istnień ludzkich.
Zatrzymali się kilka kroków przed pozbawionym drzwi wejściem do pomieszczenia, gdzie, według strażnika, miał znajdować się zaimprovizowany gabinet Kellera. W środku mógł być nie tylko on. Mogło też, oczywiście, nie być nikogo.
Oboje zdawali sobie jednak sprawę, że nie powinni tak stać na widoku.
– Już za późno, żeby się cofnąć – szepnęła Teresa.

– Tak zawsze mówią bohaterowie w filmach, kiedy zamierzają wdepnąć w jeszcze większe kłopoty – odparł Ritter.

– Gorzej. Rzeczywistość często przerasta fikcję.

Spojrzał na nią.

– Nigdy nie ustępujesz, prawda?

– Keller wie, co tu się dzieje. Nie możemy zaprzepaścić takiej okazji.

– Ta okazja może nas drogo kosztować.

Zawahała się.

– Zamierzam zaryzykować, ale ty nie musisz. Rozdzielmy się. W tym przebraniu powinno ci się udać jakoś dotrzeć do wyjścia. Już i tak dość dla mnie zrobiłeś.

Pokręcił głową.

– W ciągu ostatniej doby słyszałem to już tyle razy, że mógłbym napisać o tym książkę.

Dotknęła jego ramienia.

– Czy ktoś ci mówił, że jesteś wyjątkowo zwariowanym Niemcem?

– Tak, ty niedawno.

– Widzisz? Coś jest na rzeczy, skoro ciągle ci to powtarzają.

Ritter nigdy nie myślał o sobie, jak o człowieku pozbawionym poczucia humoru. Wydawało mu się, że ani dowcip, ani dystans do samego siebie nie są mu obce. Lecz przy tej dziewczynie czuł się, jak kostyczny Anglik na występie Latającego Cyrku Monty Pythona.

– Z pewnością chodzi o coś więcej, niż odzyskanie ukrytych w podziemiach skarbów – powiedziała. – To pachnie czymś znacznie paskudniejszym. Musimy coś zrobić.

– Co? Znajdujemy się kilkadziesiąt metrów pod zamkiem.

Już mówiąc to czuł, że rzuca grochem o ścianę.

– Tam jest ktoś, kto może odpowiedzieć na wiele pytań – zauważyła.

– A jeśli nie zechce? Zabijemy go? Sądzisz, że przestraszy się nauczycielki i elektryka?

– Sądzę, że problem, jak zdobyłeś uniform i broń, da mu do myślenia. Jeśli zna swoich ludzi, łatwo pojmie, że nie skończyło się na uprzejmej prośbie.

Ritter nie podzielał jej optymizmu. Powinni wynieść się stąd czym prędzej. Zdawał sobie jednak sprawę, że jej nie przekona.

Ścisnął w dłoni broń. Ruszył pierwszy, w nadziei, że jego przebranie zmyli na ułamek sekundy osoby znajdujące się wewnątrz.

Zakładanie ładunków w Mulen Berg, w tunelu kolejowym i w samym Fürstenstein trwało znacznie dłużej, niż Keller się spodziewał. Za to przygotowanie pociągu pancernego do drogi na dworzec pod zamkiem, choć zajęło wiele godzin wyteżonej pracy, poszło nadzwyczaj sprawnie i bez niespodzianek. Specjaliści poradzili sobie z tym znakomicie. Keller wiedział, co robi, zatrudniając najlepszych z danej branży. Warci byli każdego wydanego na nich euro.

Trochę żałował, że świat nie zobaczy tego wszystkiego, co znajdowało się pod ziemią. Już od czasu studiów był zdania, że to, co było najlepsze w niemieckiej nauce i technice, miało miejsce przed kilkudziesięciu laty. Nieistotne, jakiemu ustrojowi ówczesni naukowcy służyli; ważne, że był to ustrój, który potrafił wyzwolić w nich tak wiele inwencji, jak nigdy przedtem i nigdy potem. Wystarczyło przyjrzeć się, choćby pobieżnie, niemieckim osiągnięciom z tamtych – trudnych przecież – czasów, by się przekonać, że niemiecka nauka nie miała sobie wówczas równych.

I co po tym pozostało? Żałosne resztki dawnej świetności. Niemiecka nauka, po tym, jak alianci rozgrabili jej intelektualny potencjał – zabijając, porywając i wywożąc najwybitniejszych naukowców – dotąd się nie podźwignęła.

Keller całkowicie akceptował niezbędną rolę przemocy w obliczu wyższej konieczności. A dla niego nadrzędnym celem było odrodzenie niemieckiej nauki. Potrzebny był impuls, wstrząs, by obudzić uspięione możliwości najzdolniejszego narodu świata. Takiego bodźca mogło dostarczyć przypomnienie dawnej świetności. Martin Keller zamierzał to zrobić. Już niedługo miał przywrócić Niemcom największe osiągnięcie ich dziadków. Nikt o nim nie słyszał. Lecz kiedy to nastąpi, usłyszą wszyscy.

To niemal cud, że wszystko przetrwało ponad pół wieku. Wielka w tym zasługa prac zabezpieczających, wykonanych tuż przed ewakuacją, w maju 1945 roku. Keller od razu zwrócił uwagę na doskonały stan korytarzy, pomieszczeń i całej infrastruktury technicznej. Wszystko zdawało się na nich czekać, jakby wyłączone spod niszczącego działania dziesięcioleci. Nie zaprzętał sobie głowy pytaniem, do czego w ostatecznym rozrachunku doprowadzą rezultaty ich obecnej pracy tutaj. Jeśli nawet ktoś kiedyś zostanie skrzywdzony, to krzywdę tę z nawiązką wyrówna wkład w rozwój światowej wiedzy. Lepsze jutro warte jest gorszego dzisiaj. Jego poprzednicy z okresu ostatniej wojny dobrze o tym wiedzieli. Podziwiał ich za hart ducha, z jakim znosili codzienne okropności po to, by pomóc w zbudowaniu czegoś nowego na gruzach starego.

Ładunki, rozmieszczone na poszczególnych poziomach Mulen Berg, łączył kabel opuszczony w głąb wielkiego szybu transportowego. Sam szyb także został zaminowany, podobnie jak klatka schodowa i szyby wind osobowych. Po detonacji nie miał prawa pozostać tam choćby jeden dostępny poziom. Brano pod uwagę możliwość, że w wyniku szeregu eksplozji i zawalenia się tylu wyrobisk zapadnie się cały grzbiet Mulen Berg. Dlatego nie można było doprowadzić do tego przedwcześnie; jeśli nawet udałoby się uniknąć śladów na powierzchni, w Książu funkcjonowało obserwatorium sejsmologiczne, które natychmiast wykryłoby wstrząs.

Keller wiedział, że będzie można nacisnąć guzik dopiero w ostatniej chwili. Wymagało to rozwiązania pewnego problemu. Kompleks badawczo-produkcyjny wewnątrz Mulen Berg dzieliło od kompleksu pod zamkiem Fürstenstein blisko dwadzieścia kilometrów. O tak długim kablu musieli zapomnieć. Postanowili więc wykorzystać fale radiowe. W stosunkowo prostym tunelu, łączącym oba obiekty, ich propagacja powinna przebiegać bez zakłóceń. Detonatory zainstalowane w Mulen Berg podłączono do odbiornika, a wzdłuż tunelu rozmieszczono przekaźniki wzmacniające sygnał z Fürstenstein. W drugiej fazie miał ulec zniszczeniu sam tunel. A w ostatniej – podziemia pod Fürstenstein.

Keller uśmiechnął się sardonicznie. Oddamy je Polakom, pomyślał, owszem. Będą tylko musieli dobrze tu posprzątać.

W korytarzach jeszcze kręcili się ludzie, ale wkrótce mieli zniknąć stąd prawie wszyscy. Na poziomie minus siedemdziesiąt, czyli na terenie podziemnego dworca, miała pozostać ekipa niezbędna do realizacji ostatniego zadania. Pracownicy Kronosa w zamku mieli, rzecz jasna, pozostać na miejscu, pozorując kontynuację prac budowlanych.

W podziemiach widać było wyraźne oznaki kończącej się ewakuacji. Nie była ona może tak gorączkowa, jak ta w maju 1945 roku, ale Keller pomyślał z ironią, że historia rzeczywiście lubi się powtarzać. Sprzęt, w dużej ilości zgromadzony w podziemiach, postanowiono zostawić. Jego wywiezienie nie tylko byłoby kłopotliwe, ale i ryzykowne – kogoś mogłoby zastanowić, do czego potrzebnych było tyle maszyn i urządzeń.

Każda konspiracja prędzej czy później ulega dekonspiracji. Od tej zasady nie ma odwołania. Keller codziennie zastanawiał się, czy nastąpi to już tego dnia, czy może dopiero nazajutrz. Jego obawa wynikała z trzeźwej oceny sytuacji – trudno utrzymać tajemnicę, kiedy wie o niej zbyt wiele osób i wszystko trwa za długo. To cud, że dopiero po kilku tygodniach pojawili się ci intruzi w Mulen Berg i ta wścibska Polka tutaj, wraz z tym głupim Niemcem, Ritterem. Co za osioł! Rycerz na białym koniu. Otrzyma to, co mu się należy. Wraz ze swoją damą stanie się częścią tajemnicy „Riese”, której – kiedy Keller naciśnie już guzik – nikt nigdy nie zdoła rozwikłać.

Za bardzo dali mu się we znaki i to w chwili, gdy dość miał kłopotów z tamtymi dwoma Polakami. Jakby się zmówili. Za ten cios w plecy *Frau Listz* i *Herr Ritter* mają się smażyć w piekle świadomości nadciągającej śmierci. Czy też, mówiąc mniej poetycko, mają umierać ze strachu.

Trochę to powinno potrwać. W ciągu najbliższej godziny pociąg pancerny znajdzie się na dworcu pod zamkiem. Następną parę godzin zabierze przeniesienie jego ładunku na ciężarówkę. Potem wyjazd z podziemi. Razem maksymalnie sześć do siedmiu godzin. Będzie już wówczas noc, co ułatwi ewakuację i utrudni reakcję polskich służb na ewentualne sygnały o podejrzanych zjawiskach sejsmicznych.

Tyle mniej więcej życia pozostało Polce i Ritterowi. To i tak za dużo.

Duży pokój, w którym znalazł się Ritter, a za nim Teresa, był niemal pusty. Za prostym, drewnianym biurkiem siedział Martin Keller. Był sam.

Jego mina świadczyła o kompletnym zaskoczeniu. Wpatrywał się w nich, jakby zmaterializował się przed nim sam Adolf Hitler.

– To wy! – wykrztusił.

Prezes Kronos AG nie mógłby wybrać bardziej niesamowitej scenerii. Sprawiała wrażenie przeniesionej w czasie. Wszystko wydawało się jedną wielką dekoracją. Ritter nie była jednak pewien, czy chce uczestniczyć w tym spektaklu.

– Jak pan widzi – odparła Teresa.

– Czego chcecie?

– Żeby nam pan powiedział, co tu się dzieje. I żeby nas pan stąd wyprowadził.

– Tylko tyle? – prychnął Keller, szybko odzyskując panowanie nad sobą. Teresa zrozumiała, że Ritter mógł mieć rację; nie wyglądali na bandziorów, których można się przestraszyć.

– Pańscy ludzie też nas zlekceważyli. To był ich ostatni błąd.

– Zabicie mnie nic wam nie da.

W głosie Kellera pojawiła się arogancja. Ritter poruszył się niespokojnie, ale Teresa dotknęła uspokajająco jego ramienia.

– Poza satysfakcją? – uśmiechnęła się.

Keller taksował ich wzrokiem.

– Co ze mną zrobicie, jeśli wam pomogę?

– Zobaczymy. Ale wiem, co robi Udo, jeśli nam pan nie pomoże.

Pochwyciła kose spojrzenie Rittera, ale nie zmieniła wyrazu twarzy.

– Tak, wiem co nieco o wyczynach pana Rittera – mruknął Keller. – Zdaje się, że wdawanie się w bójki nie przystoi inżynierowi?

– Jeśli wejdiesz między wrony, musisz krakać jak i one – odparował Ritter. – Wśród bandytów obowiązują inne standardy.

Keller wzruszył ramionami.

– Jak pan chce.

– Gdzie jesteśmy? – zapytała Teresa.

– Jak zapewne państwo już się domyślacie, jesteśmy głęboko pod ziemią, w ostatniej, nie ukończonej kwaterze Führera – odparł Keller.

Teresa poczuła się dziwnie. Coś niesamowitego było w świadomości, że oto patrzy na miejsce, w którym największy zbrodniarz w historii miał śnić o podboju świata. A może tylko o przetrwaniu.

– Po co zrobiono coś tak nieracjonalnego? – zapytała. – Ilu więźniów z tego powodu zginęło?

– Racjonalność to cecha nas, zwykłych, szarych ludzi, *Frau Listz* – Keller uśmiechnął się powściągliwie. – Prawdziwy geniusz jest od niej wolny.

– Pan jest chory.

Popatrzył tylko na nią ironicznie.

– Jak się tu dostaliśmy? – zainteresował się Ritter.

– Do podziemi jest kilka wejść – odparł Keller. – Was dostarczono przez wejście w zamku.

– Czego szukacie? – zapytała Teresa. – Czegoś, co zostało ukryte podczas wojny?

Keller nagrodził jej obcesowość uśmiechem.

– Skarby w podziemiach to mit, *Frau Listz*. A w każdym razie większość tych opowieści. Poza tym, czy sądzi pani, że interesowałoby nas samo złoto; w dodatku tak trudno dostępne?

– Mam na myśli nie tylko złoto. Ukrywaliście także cenne dzieła sztuki, zrabowane w całej Europie. Ich nie da się odtworzyć; można je tylko odzyskać.

– To prawda. Jednakże to, co najcenniejsze, zostało już dawno odnalezione. Dla drobiazgow nie warto byłoby tak się angażować.

– A Bursztynowa Komnata?

Keller roześmiał się.

– Tu mnie pani zastrzeliła. Zapewniam panią jednak, że w miejscu, w którym się znajdujemy, nie ma i nigdy nie było tego arcydzieła.

– Skąd ta pewność?

– Ależ, *Frau Listz*! Skoro wiem, co tu jest, to muszę również wiedzieć, czego nie ma, prawda?

– No dobrze – nie ustępowała Teresa. – W takim razie, o co wam chodzi?

Pokręcił głową.

– Nie zrozumie pani tego.

– Może więc ja zrozumie? – wtrącił Ritter.

– Wątpię – sucho stwierdził Keller. – Należy pan do tych Niemców – coraz liczniejszych, niestety – którzy są Niemcami nie z ducha, lecz wyłącznie z racji przyścia na świat nad Renem czy Łabą. To już Polacy są od was lepsi. Mają przynajmniej jakąś wspólną tożsamość – nienawidzą nas, Niemców.

– Mówi pan jak neonazista, *Herr Keller* – odciął się Ritter.

– Neonaziści – zabrzmiało to tak, jakby Keller splunął tym słowem. – Kłauń ośmieszający sprawy, które ich przerastają. Takich, jak oni, nasi dziadowie pozbyli się w Noc Długich Noży.

– Więc co robicie? – drążyła Teresa. – Odnawiacie podziemia?

– Ależ skąd, *Frau Listz*. Na co nam one? Dokonywaliśmy tylko pewnych niezbędnych korekt.

– Sporo ryzykujecie, używając materiałów wybuchowych. Z pewnością pan wie, że w Książu znajduje się stacja sejsmologiczna. Nie mogą nie wykryć tych wstrząsów.

– Ma pani oczywiście rację – sejsmolodzy na pewno to wykryją. Tylko co z tego?

– Nie rozumiem.

– Wszystko jest kwestią interpretacji. Jak pani sądzi, co pomyślą sejsmolodzy, kiedy ich aparatura zarejestruje wstrząsy wygenerowane sztucznie, w miejscu, gdzie nie ma żadnej kopalni, a co więcej – w miejscu, w którym owa aparatura się znajduje?

Teresa wzruszyła ramionami.

– Niech mnie pan oświeci.

– Ależ to proste, *Frau Listz*! Jeśli coś nie ma prawa istnieć, a aparatura pokazuje, że mimo to istnieje, to znaczy...

– Że z aparaturą jest coś nie tak – dokończyła Teresa.

– Otóż to. Kiedy ją sprawdzą i stwierdzą, że nic się nie zepsuło, będzie już za późno, żeby nam przeszkodzić.

Rittera uderzył złowieszczy ton w tym stwierdzeniu.

– W czym przeszkodzić, *Herr Keller*? – zapytał.

Keller zignorował pytanie.

– No cóż, dążenie do celu wymaga podejmowania ryzyka – powiedział. – Ale to miejsce jest tego warte.

– Miejsce? – Teresa wyzywająco popatrzyła mu w oczy. – Ma pan na myśli tę kuriozalną parodię kwatery najbardziej odrażającego potwora w dziejach świata?

Twarz Kellera stężała.

– Już mówiłem, że pani tego nie zrozumie. Ale kiedyś rozumiały to miliony Niemców. I nadal jest wielu takich, którzy rozumieją.

– Skąd pańska firma wiedziała o istnieniu tych podziemi?

– Wiele tajemnic ostatniej wojny pozostaje tajemnicą tylko dlatego, że nikt dotychczas nie postanowił inaczej. Nie znaczy to przecież, że nikt o nich nie wie. Ale dlaczego mielibyśmy dostarczać wam, Polakom, wiedzy o miejscach, które należą do nas?

– Chciał pan powiedzieć – należały.

Wzrok Kellera stwardniał.

– Odebranie nam ziemi, pod osłoną rosyjskich bagnetów, nie czyni was jej właścicielami.

Nie wyglądał na przestraszonego. Raczej, zdaniem Teresy, na wściekłego, że mu przeszkadzają.

– No dobrze – opanował się. – Co chcecie wiedzieć, *Frau Listz*?

– Wszystko o tym, co macie zamiar stąd zabrać. I nie mówię o złocie i dziełach sztuki. Musi być coś jeszcze. Sam pan zresztą wyraźnie dał nam to do zrozumienia.

– Cóż... Chyba rzeczywiście byłem zbyt gadatliwy. Naprawdę chce pani to wiedzieć?

Teresa nawet się nie odezwała.

– Widzę, że tak – skonstatował Keller. – W takim razie chodźcie ze mną. Coś wam pokażę.

– Wolne żarty! – obruszył się Ritter. – Prosto w łapy pańskich opryszków?

– Przecież ma pan broń, Ritter. Jestem pańskim zakładnikiem. Zastrzeli mnie pan zanim ktokolwiek zdąży coś zrobić.

– I sami przy tym zginiemy, co? Nic z tego.

Keller popatrzył na Teresę.

– Chce pani wiedzieć, co tam jest, czy nie?

Teresa spojrzała w oczy Ritterowi, który poczuł zimny dreszcz na plecach. Wiedział, co odpowie. I nie mógł w żaden sposób temu zapobiec.

Powróciła spojrzeniem do Kellera.

– Tylko bez żadnych sztuczek – ostrzegła.

– Oczywiście. Nie jestem idiotą.

– A ja jestem inżynierem, Keller – rzekł Ritter. – Niech pan o tym pamięta i nie opowiada nam bajeczek.

– Pamiętam, *Herr Ritter*, a jakże. Zapewniam jednak, że uwierzyć w prawdę będzie panu trudniej niż w bajkę. Po co zresztą miałbym kłamać? Nie sądzę, żebyście zdołali się stąd wydostać.

– To nadmierny optymizm z pana strony – warknęła Teresa. – Niech pana o to głowa nie boli.

Klatka schodowa sąsiadowała z jednym z bocznych korytarzy. Nie było żadnych drzwi, tylko niewielka nisza, na którą trafili przypadkiem. Wszędzie panowała ciemność.

Od wejścia do nieznannej części podziemi pod Książem minęło niemal pół godziny. Oddalając się od zawału wywołanego wybuchem, wciąż słyszeli niepokojące trzaski dochodzące spod nadwerżonego stropu. Graczyk odniósł nawet w pewnej chwili wrażenie, że usłyszał huk walących się skał, ale nie przejął się tym zbytnio; osuwisko mniejsze czy większe, co za różnica? I tak nie mogliby tamtędy wrócić.

Plan Janiszewskiego nie zdał się już, oczywiście, na nic; byli skazani na domysły, a właściwie na czysty przypadek i łut szczęścia. Schemat korytarzy nieznanymi poziomów pod zamkiem Książ, choć niewątpliwie musiał istnieć, kiedy je wykuwano, nigdy nie został odnaleziony. Widząc Janiszewskiego, kreślącego z zapalem przebytą drogę, Graczyk nie wątpił, że tamten myślał w tej chwili tylko o jednym – że to on odtworzy plan jako pierwszy.

Błądzenie w ciemności tylko pozornie przypominało kluczenie po Centrum. Różnica była kolosalna. Wiedzieli, że tutaj nie są sami. To już nie była eksploracja. To miała być dywersja.

Korytarze po tej, nieznannej, stronie kompleksu przypominały wielkością i wyglądem tamte, w których znajdowały się sejsmografy. Potwierdzało to fakt, że podział na część dostępną i część ukrytą został dokonany arbitralnie, poprzez zbudowanie przez ewakuujących się Niemców ściany w poprzek bocznego tunelu, w miejscu nie wyróżniającym się niczym szczególnym. Graczyk po raz kolejny przeżywał *déjà vu*. I nie było to uczucie przyjemne. Ileż to już takich korytarzy przeszedł w ciągu ostatnich dni? Stanowczo za dużo.

– Niesamowite – zachwycił się tymczasem Janiszewski. – Nigdy bym nie przypuszczał, że znajdę się w nieznannej części kompleksu pod Książem.

– Przecież znał pan miejsce, w którym trzeba się przebić.

– Och, to były tylko przypuszczenia.

– Teraz pan to mówi?

– Gdybym powiedział wcześniej, miałby pan mnóstwo powodów do marudzenia. A przecież się udało.

– Kiedyś może przestać nam się udawać.

– No i marudzi pan.

– Trudno. Niech się pan przyzwyczai.

Janiszewski wzruszył ramionami. Najwyraźniej nic nie było w stanie zwarzyć jego entuzjazmu. Zobaczymy, jak długo – pomyślał z przekąsem Graczyk, zanim zdał sobie sprawę, że przecież jadą na tym samym wózku. Cokolwiek zepsuje humor Janiszewskiemu, jeszcze bardziej odbije się na nim. A to nie byłoby zabawne.

Nisza z wejściem na schody nie była w żaden sposób oznaczona, z czego mogłoby wynikać, że kompleks nie był ukończony w momencie ewakuacji. Schody prowadziły tylko w dół; jeśli były gdzieś drugie, wiodące na wyższy poziom, to musiały znajdować się w innym miejscu. Nie były wykute w skale macierzystej, jak mógłby przypuszczać laik, lecz zbudowane ze zbrojonego betonu, niczym schody w bunkrze. Być może miały być pokryte jakimś rodzajem kamienia, o czym mogłaby świadczyć ich surowa powierzchnia.

Jeśli ktokolwiek po nich chodził, to na pewno nie przez ostatnie pół wieku. Warstwa ziarnistego pyłu i kurzu wyglądała na nienaruszoną. Graczyk czuł się niemal jak Robinson, stąpający po dziewiczej plaży bezludnej wyspy. Niestety, wiedział, że prędzej czy później, jak Robinson, natrafią na obce ślady.

– Czego możemy spodziewać się niżej? – zapytał, kiedy zaczęli schodzić.

– Myślę, że na razie nie ma się czego obawiać. Ale potem zaczną się schody – parsknął Janiszewski, jednak zmitygował się pod ciężkim spojrzeniem Graczyka. – Cóż, cała aktywność Niemców – przepraszam, Austriaków – moim zdaniem koncentruje się na najniższym poziomie, czyli tam, gdzie znajduje się dworzec pod Książem. To jest jakieś, jak przypuszczam, siedemdziesiąt kilka metrów poniżej dziedzińca zamkowego, czyli ze dwadzieścia metrów pod nami. Wysokość ośmiopiętrowego budynku. To nie tak dużo, więc mimo wszystko musimy być ostrożni.

– A jeśli między nami a najniższym poziomem jest jeszcze jakiś pośredni?

– Nie mogę tego wykluczyć, ale nie sędzę. Nie pasowałby do schematu. Pierwszy poziom znanych podziemi pod Książem znajduje się na głębokości piętnastu metrów pod dziedzińcem, drugi, ten, na którym jesteśmy, na głębokości pięćdziesięciu pięciu metrów. Czyli jest między nimi czterdzieści metrów różnicy. Jeśli najniższy poziom znajduje się na głębokości siedemdziesięciu metrów, a wiele na to wskazuje, to myślę, że istnieje jeszcze jeden poziom, ale nie pod nami, lecz nad nami, gdzieś w połowie między obydwoma znanymi poziomami, czyli jakieś dwadzieścia metrów wyżej od nas. W ten sposób otrzymujemy pod zamkiem cztery poziomy podziemi, oddalone od siebie w pionie mniej więcej o dwadzieścia metrów. Czy to nie elegancki schemat?

Graczyk pokiwał głową.

– Fakt, ale było już wiele eleganckich teorii, które okazywały się nieprawdziwe.

Janiszewski uśmiechnął się.

– Jak to mówią, nawet jeśli to nieprawda, zostało dobrze wymyślone. Ale czuję, że to jednak prawda. Sam bym tak rozplanował.

– No tak – stwierdził kwaśno Graczyk. – To jest argument. Nurtuje mnie tylko, co dalej? Z podziemi Książa do pociągu jest jakieś dwadzieścia kilometrów. To kawał drogi.

– Może uda nam się pożyczyć któryś z tych pojazdów elektrycznych. Zobaczymy.

Janiszewski miał rację. Pokonanie ośmiu pięter zabrało im kilka minut i nie natknęli się po drodze na żadne wyjście z klatki schodowej. Gdy w świetle latarek dostrzegli prostokąt wyjścia na dolny poziom, zatrzymali się. Pozwoliło im to potwierdzić swoje podejrzenia. Już od dobrej chwili wydawało im się bowiem, że słyszą stłumiony, lecz narastający hałas. Teraz stało się oczywiste, że gdzieś niedaleko, choć za grubymi ścianami, działa jakaś potężna maszyna. Graczykowi dźwięk ten coś przypominał, lecz był tak zniekształcony przez wielokrotne odbicia i nakładające się echa, że nie potrafił określić jego pochodzenia. Nie ulegało wątpliwości, że trwa tam jakaś aktywność. A to oznaczało niebezpieczeństwo.

Zgasili latarki.

– Spokojnie – szepnął Janiszewski. – Tego się właśnie spodziewaliśmy.

Próba odegrania bohatera nie wypadła przekonująco. Jego głos brzmiał tak, jakby sam siebie usiłował uspokoić. Graczyk uznał, że bezpieczniej będzie w ogóle się nie odzywać.

Gdy zapadła ciemność okazało się, że zza wyjścia, ku któremu zmierzali, sączy się nikły blask, dzięki czemu mogli pokonać kilka ostatnich stopni bez światła. Za pustym otworem drzwiowym znajdował się dwudziestometrowy korytarz, załamujący się pod kątem prostym i kończący się wyjściem. W miarę jak się do niego zbliżali robiło się coraz jaśniej i coraz głośniejszy. Hałas stał się teraz trudny do zniesienia, ale wyglądało na to, że osiągnął już swoje maksymalne natężenie. Graczyk odkrył jednak ze zdumieniem, że źródło dźwięku najwyraźniej się przemieszcza, choć bardzo powoli. I nagle rozpoznał ten dźwięk; w tym samym momencie, w którym Janiszewski ostrożnie wyjrzał za węglą.

Przez chwilę nic się nie działo. Potężne dudnienie rozsadzało niemal ściany korytarza. W powietrzu pojawił się charakterystyczny odór spalin.

– Co pan tam widzi? – Graczyk nie wytrzymał.

– Cudowne rzeczy, by zacytować Howarda Cartera. Niech pan sam zobaczy. W pobliżu nikogo nie ma.

Graczyk przykucnął i centymetr po centymetrze wychylił się za krawędź drzwi. Nie był przygotowany na to, co ujrzał; nawet po tym wszystkim, co widział w Centrum. Gigantyczna hala była niewątpliwie dworcem; jak twierdził Janiszewski. Świadczył o tym nie tylko tor kolejowy, biegnący jej środkiem, lecz i zupełnie zwyczajne perony, niczym nie różniące się od setek spotykanych do dziś na małych, prowincjonalnych stacjach. Obecnie służyły za rampy przeładunkowe.

Na peron właśnie wjeżdżał pociąg pancerny, który jeszcze wczoraj znajdował się wewnątrz masywu Gór Sowich. Graczyk z zaskoczeniem stwierdził, że skład jest podczepiony do lokomotywy ST44, noszącej oznakowania jakiejś nieznanego mu firmy przewozowej. Mniej by się chyba zdumiał, gdyby ujrzał siedemdziesięcioletni parowóz jadący o własnych siłach. Ale to miało sens. Wynajęcie lokomotywy nie stanowiło większego problemu; na rynku działało sporo spółek dysponujących spalinowozami. Większość stanowiły małe podmioty, zadowolające się dwoma czy trzema maszynami, a często nawet tylko jedną.

Na wybetonowanej drodze obok jednego z peronów stały dwa TIR-y gotowe do załadunku, a także pikap, dwa land rovery i SUV z przyciemnionymi szybami. Wokół nich i pociągu uwijało się co najmniej kilkunastu ludzi. Lampy na stropie dawały niezbyt wiele światła, ale rozstawione w odpowiednich miejscach potężne, zespolone reflektory na kratownicach rozjaśniały całą halę, niewiele pozostawiając miejsc zaciemnionych. Nie najlepiej wróżyło to ewentualnej próbie dostania się w pobliże peronów.

– A więc jednak pociąg dojechał aż tutaj – szepnął Graczyk. – I to w taki sposób.

– Mogliśmy się tego domyślić. Tylko tutaj mogą go rozładować i wywieźć ładunek ciężarówkami. Tunel do Centrum jest zbyt wąski, żeby mogły tam wjechać większe pojazdy. Wygląda na to, że ciężarówki wyjadą stąd tunelem, którego wylot widać tam, po przeciwnej stronie dworca.

– Dokąd może prowadzić?

– Zapewne kończy się gdzieś w okolicy Lubiechowa. Ta współczesna lokomotywa musiała tu jakoś wjechać, więc sądzę, że tory dochodzą do jakiegoś rozjazdu na szlaku kolejowym między Wałbrzychem a Świebodzicami. Od dawna zresztą krążyły domysły, że gdzieś w tamtym rejonie zniknął pociąg ze złotem Wrocławia. I oto jest.

– Nie wiemy, czy jest w nim złoto.

– Potraktujmy to na razie jako hipotezę roboczą. Mamy szczęście; jeszcze nie rozpoczęli rozładunku.

– Trochę tu tłoczno, nie uważa pan? Może będzie lepiej, jak ograniczymy się do obserwacji? Dowiemy się, co jest w wagonach, gdy zaczną je opróżniać.

– Tak rzeczywiście byłoby lepiej, gdybyśmy chcieli tylko zaspokoić ciekawość.

Graczyk skrzywił się.

– Ale naturalnie my chcemy czegoś więcej? Jakoś mnie to nie dziwi. Co pan, u licha, kombinuje?

– To prawdziwe zrzędzenie losu – Janiszewski spojrzał na niego; jego oczy błyszczały. – Niech pan pomyśli. Chcieliśmy tylko dostać się do Centrum, żeby sprawdzić, co jest w pociągu. Potem musielibyśmy wezwać pomoc, bo sami niczego nie zdołalibyśmy zrobić. Teraz możemy wziąć sprawę w swoje ręce.

Graczyk poczuł chłód pełznący mu po grzbiecie.

– Nie podoba mi się kierunek, w jakim zmierza ta rozmowa.

Janiszewski wyszczerzył zęby.

– Niech mi pan nie mówi, że nie miał pan nigdy ochoty przejechać się taką lokomotywą.

W jednej z końcowych scen filmu „Most na rzece Kwai” pułkownik Nicholson rozpacza na widok zniszczonego mostu, zbudowanego przez jego ludzi: „Szaleństwo! Szaleństwo!”. Graczykowi cisnęły się na usta te same słowa, nie mógł ich jednak wykrzyknąć, lecz co najwyżej wyszeptać. To wszakże nie było w stanie zniechęcić Janiszewskiego.

Łatwiej jednak było powiedzieć, niż zrobić. Co prawda, ludzie wokół pociągu byli zajęci i na pewno nie spodziewali się intruzów, lecz podziemny dworzec nie był aż tak duży, aby chęć pozostania niezauważonym mogła okazać się czymś więcej niż płonną nadzieją. Za bardzo różnili się ubiorem od ludzi w kombinezonach roboczych. W dodatku Janiszewski taszczył rzucający się w oczy plecak.

– Musi pan go zostawić – wyszeptał Graczyk.

Janiszewski pokręcił głową.

– Nie ma mowy.

– Co ma pan w nim takiego ważnego? Przedpotopowy rewolwer?

– Nigdy nie wiadomo, co może okazać się ważne.

Graczyk na tyle już poznał swego towarzysza, że wiedział, iż nie warto się spierać. Tym niemniej, nadal nie widział wyjścia z impasu. Tu, gdzie się znajdowali, byli w miarę bezpieczni, lecz tylko jako bierni obserwatorzy. A nawet on w głębi duszy czuł, że to za mało i że muszą coś zrobić.

Wyglądali przez drzwi znajdujące się blisko jednego z końców hali dworcowej; niedaleko wylotu tunelu prowadzącego w kierunku Gór Sowich. Mieli przed sobą ponad dwadzieścia metrów otwartej przestrzeni do torów, a następnie drugie tyle do wagonu artyleryjskiego znajdującego się na końcu pociągu pancernego. Na ich korzyść przemawiał fakt, że droga dojazdowa i rampa, gdzie koncentrowała się aktywność Niemców, znajdowały się po przeciwnej stronie toru, co sprawiało, że pociąg dawał im częściową osłonę. W praktyce niewiele to zmieniało, więc Graczyk wcale nie palił się do wyjścia z ukrycia. Janiszewski, pomimo buńczucznych deklaracji, również. I wtedy zgasły lampy. Nie zrobiło się ciemno, bowiem świeciły nadal silne reflektory, lecz poza ich zasięgiem pojawiły się cienie. Ponadto nagła awaria spowodowała małe zamieszanie. Janiszewski od razu dostrzegł w tym szansę.

– Teraz – syknął.

Gdyby dał Graczykowi szansę zaprotestowania, ten by się sprzeciwił. Lecz Janiszewski wyszedł po prostu za drzwi, jakby wybierał się na spacer. Graczyk zaklął w duchu i podążył za nim. Biegając zwróciliby na siebie uwagę, więc ruszyli szybkim krokiem w stronę pociągu. Zdołali niemal skryć się za wagonem artyleryjskim, kiedy lampy ponownie rozblęły. Na szczęście nikt nie patrzył w ich kierunku.

Janiszewski niemal pieczołliwie dotknął stalowego pancerza. Z bliska widać było ogniska korozji, zwłaszcza wokół nitów, lecz jak na swoich siedemdziesiąt lat całość sprawiała wrażenie konstrukcji niezwykle solidnej i prawie nie nadgryzionej zębem czasu.

– Gdyby mnie tu nie było, nie uwierzyłbym w to – wyszeptał.

Graczyk był pod równie wielkim wrażeniem, choć znacznie bardziej interesowała go lokomotywa pancerna. Nie widział jej dobrze z tego miejsca; wysokie kazamaty wagonu

artyleryjskiego zasłaniały resztę składu. Chęć zobaczenia jej z bliska przeważała nad strachem, gdy przykucnąwszy przesuwali się powoli ku przodowi.

Płyty opancerzenia wagonów i lokomotywy schodziły nisko nad tory, nieomal całkowicie zakrywając koła. Prześwit był tak mały, że musieli schylać się do samych szyn, aby dostrzec cokolwiek po drugiej stronie pociągu. Dzięki temu jednak byli niewidoczni dla krzątających się tam ludzi. Kiedy rozpoczął się peron, wysoki na kilkadziesiąt centymetrów, prześwit całkowicie zniknął. Poczuli się bezpieczni; przynajmniej dopóki ktoś nie wpadnie na pomysł, aby zajrzeć na ich stronę peronu.

Lufy dwóch 88-milimetrowych dział wagonu artyleryjskiego znajdowały się w pozycji marszowej; lekko podniesione i skierowane ku sobie, a właściwie ku centralnej wieżycze obserwacyjnej. Graczykowi przemknęło, że być może nigdy z nich nie strzelano, jeśli to, co oglądali, było w istocie zaginionym bliźniakiem pociągu pancernego „Pörsel”.

Wagony szturmowe prezentowały się mniej bojowo; nietrudno było się domyślić, że były to zwykłe wagony towarowe, częściowo opancerzone, przeznaczone do przewożenia oddziału piechoty. Za nimi znajdował się parowóz. Przypominał wielką stalową skrzynię czy może raczej kanciastą beczkę, spłaszczoną od spodu, z doczepionymi kołami, zderzakami i kikutem komina. Budka maszynisty i tender niemal nie wystawały poza obrys kadłuba. Całość wyglądała zarazem archaicznie i nowoczesnie; tak, jak mógłby wyglądać japoński maglev wymyślony przez Juliusza Verne’a.

Przed lokomotywą wznosiły się kazamaty przedniego wagonu artyleryjskiego, identycznego z tylnym. Poprzedzał go współczesny spalinowóz, do którego cały pociąg był podczepiony. Tam właśnie starali się dotrzeć.

Powiedzieć, że pomysł był szalony, byłoby sporym niedomówieniem. To miała być najbardziej kretyńska akcja, o jakiej Graczyk kiedykolwiek słyszał. Co prawda, Janiszewski musiał mieć rację twierdząc, że skoro lokomotywa tu wjechała, to może i wyjechać, jednak był to jedyne pewny punkt planu. Czy zdołają wyjechać i gdzie wyjadą – tego już plan nie precyzował. Nie wiedzieli zresztą najważniejszej rzeczy – czy w pociągu znajdowało się coś wartego ryzyka. Założyli, że tak jest, ponieważ było to jedyne logiczne wyjaśnienie tego, co się tu działo, ale w gruncie rzeczy żaden z nich niczego takiego nie widział. Próba zajrzenia do wagonów nie wchodziła w grę. Żeby się czegoś dowiedzieć, musieliby zatem poczekać na rozpoczęcie rozładunku, a wtedy byłoby już za późno. Graczyk czuł się jak niezbyt bystry kasiarz sądzący naiwnie, że w sejfie musi być dużo pieniędzy, ponieważ jest zamknięty.

Na peronie nie mieliby gdzie się ukryć, gdyby ktoś wyszedł nagle zza pociągu. Na szczęście, nie spodziewano się tu intruzów, toteż nikt nie pełnił straży; najwyraźniej wszyscy ludzie uczestniczyli w przygotowaniach do rozładunku wagonów.

Graczyk znał schemat budowy lokomotywy spalinowej ST44. Wiedział, że najpierw muszą dostać się do przedsionka wejściowego, a dopiero stamtąd do kabiny maszynisty. Był przekonany, że w środku zastaną co najmniej maszynistę, a zapewne i pomocnika; pociąg dopiero co się zatrzymał, wątpliwie więc, by zdążyli już wysiąść.

Jak przypuszczał, boczne drzwi nie były zamknięte. Chwycił klamkę i uchylił je ostrożnie. Ponieważ znajdowali się przy kabinie A lokomotywy, za którą umiejscowiono szafkę elektryczną, drzwi z tej strony nie prowadziły bezpośrednio do przedsionka, lecz do przedziału maszynowego. Była to dla nich korzystna okoliczność, mogli bowiem wejść do środka niepostrzeżenie.

Wspiał się jako pierwszy. Janiszewski, nie zwlekając, pospieszył za nim i zamknął za sobą drzwi. W środku było dość jasno; przez okno w drzwiach wpadało sporo światła. Blask sączył się także od strony drzwi do przedsionka. Krzątanie na zewnątrz nie było tu słychać; przestrzeń wypełniała głośna kakofonia dźwięków wydawanych przez pracujący silnik. Mogli nie obawiać się, że zostaną usłyszani. Obeszli blok sprężarki, przechodząc pod grubymi rurami wentylatorów silników trakcyjnych i prądnicy głównej. Graczyk uchylił drzwi do

przedsionka. Za nimi, na wprost, znajdowały się drzwi do kabiny. Były tylko przymknięte, lecz nie pozwalało to dostrzec wnętrza. Ktoś jednak był w środku.

Choć się tego spodziewał, poczuł skurcz żołądka. Na próżno powtarzał sobie, że maszynista na pewno nie jest uzbrojony, bo i po co? Pomocnik także. Jednak lęk przed fizyczną konfrontacją musiał leżeć w jego naturze, skoro nie wyzbył się go przez te wszystkie lata pracy w policji. Ale nie było już odwrotu. Zrobił kilka kroków i szarpnięciem otworzył szerzej drzwi do kabiny.

– *Ruhe!* – warknął na maszynistę, przywołując z pamięci strzępy języka niemieckiego, zapamiętane ze szkolnych lekcji sprzed trzydziestu lat.

Zbyt późno zorientował się, że w lewej części kabiny ktoś wprawdzie siedzi, ale to nie jest pomocnik, i w dodatku trzyma w dłoni pistolet. Co oznaczała ta scena, w pierwszej chwili nie pojął, jednak wyczytał w oczach maszynisty, który spojrzał w tamtą stronę ze strachem, że grozi im niebezpieczeństwo. W tej samej chwili usłyszał metaliczne szczęknięcie. Wiedział, co oznacza. Nim zdołał się poruszyć, maszynista poderwał się z fotela i skoczył na drugą stronę kabiny. Z nieartykułowanym okrzykiem zderzył się z tamtym, rozległ się stłumiony huk, a potem rumor, kiedy obie postaci wpadły na pulpit stanowiska pomocnika, strącając stojący tam czajnik. Zwarci w uścisku ludzie stoczyli się na podłogę. Maszynista już na niej pozostał, lecz drugi mężczyzna zaczął się podnosić. Był ubrany w kombinezon firmy Kronos i nadal trzymał w dłoni pistolet.

Graczyk, zupełnie bezwiednie, w przyпіływie paniki chwycił czajnik, który potoczył się pod jego nogi, i zdzielił tamtego z całej siły w głowę. Czajnik był niemal pusty, ale cios kantem denka miał morderczą skuteczność. Graczyk usłyszał chrupnięcie. Mężczyzna zwiotczał i osunął się na posadzkę.

Graczyk niemal poszedł w jego ślady, kiedy ugięły się pod nim nogi. Oparł się o framugę czekając aż opadnie poziom adrenaliny. Janiszewski zajrzał mu przez ramię i wyszeptał:

– Jezu. Chyba go pan zabił.

– A co miałem robić? – zirytował się Graczyk.

– Spokojnie, tylko mówię. Co z tym drugim?

– Nie mam pojęcia. Słyszałem strzał. Może też nie żyje.

– Dziwne. Dlaczego się bili?

– Skąd mam wiedzieć, do cholery? To chyba jest maszynista. Ale ten drugi nie wygląda na pomocnika.

– Po prostu głośno myślę, niech się pan nie denerwuje.

Maszynista poruszył się. Wokół jego tułowia rozlewała się plama krwi. Graczyk nie znał się na ranach, ale to nie wyglądało dobrze. Krwi było zbyt dużo.

Janiszewski pochylił się.

– *Wer sind Sie?* – zapytał. – *Der Lokomotivführer?*

Tamten najwyraźniej tracił przytomność, lecz mimo to w jego oczach błysnęło zdumienie.

– Kim – zdołał wyszeptać – jesteście?

Wystrzał z działa wagonu artyleryjskiego mniej by ich zapewne zaskoczył, niż te dwa słowa wypowiedziane czystą polszczyzną. Dwa ostatnie słowa.

Jeśli wcześniej przestronne korytarze kompleksu pod Książem wprawiły ich w podziw, to teraz widok podziemnego dworca zupełnie ich oszołomił. Żadne z nich nigdy czegoś podobnego nie widziało. Teresa nie mogła ukryć zdumienia, lecz jej twarz pozostała poważna, a spojrzenie chłodne. Za to Ritter był wyraźnie poruszony, jakby dotarło do niego to, o czym mówił Keller – że ich naród był zdolny dokonać takich rzeczy. Teresie nie podobała się jego mina.

Stojący na dworcu pociąg, choć zadziwiający, wywarł na niej złowrogi wrażenie. Jego szara, mordercza bryła lepiej, jej zdaniem, niż dworzec symbolizowała to, do czego byli zdolni Niemcy. Powinna powiedzieć to Ritterowi.

Pociąg najwyraźniej dopiero co przyjechał; silnik lokomotywy wciąż działał na jałowym biegu, dudniąc miarowo i rozsnuwając wokół smród spali. Skąd przyjechał? Nad tym nie próbowała się nawet zastanawiać. Przy stojących niedaleko peronów samochodach krzątało się kilkunastu ludzi Kronosa. Dysponowali dźwigami i innym specjalistycznym sprzętem do przemieszczania ciężkich przedmiotów. Nietrudno było się domyślić, że zamierzają przeładować zawartość wagonów na ciężarówkę. Równie jasne było, że wyjadą one następnie tunelem, którym tu przyjechały. A wówczas – czego Teresa była pewna – będą mogły przebyć całą Europę bez wzbudzania podejrzeń.

Robotnicy patrzyli na nich z zaciekawieniem, ale żaden nie ośmielił się, nie pytany, odezwać do Kellera. Ten zaś ignorował ich spojrzenia.

– Co jest w tych wagonach? – zapytała Teresa.

– W tych? – Keller wskazał wagony szturmowe, niektóre z otwartymi furtami, za którymi widać było drewniane skrzynie. – Głównie papier.

– Papier? – zdziwił się Ritter.

– Papier bywa cenniejszy od złota, *Herr Ritter*. Wszystko zależy od tego, co jest na nim napisane bądź narysowane. A tu znajduje się pełna dokumentacja największych osiągnięć niemieckiej nauki. Myślę, że to by pana zainteresowało.

– Tylko papier? – odezwała się Teresa.

– Cóż, jest tu też trochę precjozów, których wartość pozwoli nam zrekompensować koszty przedsięwzięcia, ale to tylko dodatek do tego, co najważniejsze – do wiedzy.

– Co za pęd do wiedzy – zakpiła Teresa. – Zamierza pan nam pokazać tylko jakieś dokumenty? Mógł pan po prostu o nich opowiedzieć.

– O tym, co chcę państwu pokazać, również opowiem, ale bez zobaczenia tego na własne oczy na pewno byście mi nie uwierzyli.

– Zakładając, że w ogóle uwierzemy choćby w jedno pana słowo.

– Spróbujmy. Co państwo wiecie o grawitacji?

– Jestem germanistką – zauważyła Teresa.

– Do rzeczy, Keller – warknął Ritter.

– Cierpliwości, *Herr Ritter*. Ja również jestem laikiem, więc mogę powiedzieć tylko tyle, ile powiedziano mnie. Zgodnie z teorią względności, grawitacja to nic innego, jak zakrzywienie przestrzeni spowodowane obecnością określonej masy. Na przykład mówimy, że Ziemia nas przyciąga, ale tak naprawdę zakrzywia ona przestrzeń wokół siebie w taki

sposób, że aby przezwyciężyć zakrzywienie musielibyśmy poruszać się z pewną prędkością, wyższą od przyspieszenia ziemskiego. Na co dzień to rozróżnienie nie ma dla nas żadnego znaczenia. Ale to sprawa kluczowa.

– Dlaczego? – zapytał Ritter.

– Zaraz pan się dowie. Już dawno podejrzewano, że grawitacja ma charakter falowo-korpuskularny, podobnie jak światło. Innymi słowy, że mogą istnieć zarówno fale, jak i cząstki grawitacji, tak zwane grawitony.

– Jak na razie rozumiem – mruknęła Teresa. – Mniej więcej.

– Proszę mi wierzyć, *Frau Listz*, że to żadna ujmą nie rozumieć współczesnej fizyki. Sam jestem tego najlepszym przykładem.

– Więc co pan tu robi?

– Ponieważ, parafrazując znane powiedzenie, nauka to zbyt poważna rzecz, by pozostawić ją naukowcom. Ale wracając do grawitacji, obiektem naszego zainteresowania tutaj jest nie tyle ona, co jej przeciwieństwo.

– Antygravitacja? – zachnął się Ritter. – Akurat!

Keller zaśmiał się cicho. Stanęli właśnie przed stalowymi drzwiami do znajdującego się w środku składu wagonu szturmowego. Drzwi były uchylone. Keller otworzył je szerzej i wszedł do środka, gestem przywołując Teresę i Rittera. Wnętrze, pozbawione wszelkich akcesoriów bojowych, wypełniały zabezpieczone linami, zakotwiczonymi w podłodze, drewniane skrzynie różnej wielkości. Największa miała około dwóch metrów wysokości. Jej przednia ścianka była zdjeta, jak gdyby ktoś chciał upewnić się co do zawartości skrzyni. W środku znajdowało się coś w rodzaju wielkiego, metalowego klosza czy też dzwonu, wyglądającego na niezwykle masywny i ciężki. Był wyższy od przeciętnego mężczyzny, a jego średnica mogła przekraczać półtora metra.

– Zdrowy, lecz całkowicie nieuzasadniony sceptycyzm, *Herr Ritter* – odezwał się Keller. – Słyszał pan o antymaterii? Świat cząstek elementarnych ma swoje lustrzane odbicie w postaci antycząstek. Jeśli nośnikami grawitacji są grawitony, to dlaczego nie miałyby istnieć również antygravitony? A tym samym antygravitacja?

– Brednie.

– Tak samo mówiono sto lat temu o latających aparatach cięższych od powietrza. A dziś samoloty zabierają na pokład kilkaset osób.

– Tak, tak, wiem. A Rutheford, odkrywca promieniotwórczości, twierdził, że energii atomowej nie da się w żaden sposób wykorzystać. Takie przykłady można mnożyć. Tylko czego to dowodzi? Bombę jądrową skonstruowano w kilkanaście lat po wypowiedzi Rutheforda i pół wieku po odkryciu promieniotwórczości. Tymczasem od odkrycia grawitacji minęło ćwierć tysiąclecia, a antygravitacja to nadal domena fantastyki.

– Ma pan nieaktualne informacje. Zgodnie z moją wiedzą, pierwszy działający – oczywiście w bardzo skromnym zakresie – generator wytwarzający antygravitony powstał w roku 1934.

Ritter roześmiał się.

– Gdzie? Na Marsie?

– W Augsburgu. Prace prowadziła organizacja o nazwie *Deutsches Ahnenerbe*. Miała wszelkie możliwe plenipotencje, jako że jej członkami byli najwyżsi funkcjonariusze Trzeciej Rzeszy, z Himmlerem włącznie. Jeszcze przed wojną, w 1935 roku, nadał on jej status instytutu naukowego, funkcjonującego pod nadzorem Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy. Mimo to, niemieccy generałowie nie mieli zrozumienia dla tak rewolucyjnej technologii i przekonali Hitlera, żeby priorytet miała broń konwencjonalna. Z tego powodu aż do roku 1943 badania nad antygravitacją posuwały się bardzo powoli. Dopiero klęski wojenne i pilna potrzeba skonstruowania *Wunderwaffe* skłoniły Hitlera do zmiany

priorytetów i wydania rozkazu przyspieszenia prac w nowym ośrodku badawczym nazwanym Gladshiem, tak jak pałac Odyna. A ściślej mówiąc, jeden z pałaców.

– Gladshiem, Walaskjalf i Walhalla; znam mitologię germańską, *Herr Keller*. Nazwa równie realistyczna, jak samo przedsięwzięcie.

– Jest pan uparty, *Herr Ritter*. Ale *Frau Listz* z pewnością wykaże mniej sceptycyzmu, jeśli powiem, że chodzi o miejsce, niedaleko którego mieszka.

Teresa zmierzyła go podejrzliwym spojrzeniem. I nagle zrozumiała.

– Góry Sowie! – wykrzyknęła. – Podziemia „Riese”.

– W rzeczy samej. Natomiast miejsce, gdzie się znajdujemy, otrzymało nazwę Walaskjalf. Ale wracając do rzeczy, jeśli grawitacja to zakrzywienie czasoprzestrzeni, można powiedzieć obrazowo, że antygravitacja tę czasoprzestrzeń „prostuje”. Na ciało, znajdujące się w obszarze oddziaływania, przestaje działać siła przyciągania; staje się ono nieważkie.

Ritter potrząsnął głową.

– Nie mogę w to uwierzyć. Już prędzej uwierzę w Odyna. A jak to niby działa?

– Nie jestem fizykiem, lecz to ma coś wspólnego z elektrycznością i polem magnetycznym, w którym wirują z wielką prędkością dyski wypełnione rtęcią. Zgodnie z ogólną teorią względności istnieje nie tylko pole grawitacyjne związane z obiektami statycznymi, takimi jak planety, ale także wtórne pole wytwarzane przez wirujące masy. Jest to związane z polaryzacją spinów atomowych i bywa nazywane także oddziaływaniem elektrograwitacyjnym lub grawimagnetycznym. To oddziaływanie może zneutralizować siłę przyciągania ziemskiego. Jest więc antygravitacją. Tyle tylko, że my nie używamy tej nazwy. Dla nas jest to mezopole, które według kwantowej teorii grawitacji jest związane z polem grawitacyjnym w taki sam sposób, jak elektryczność jest związana z magnetyzmem, tworząc elektromagnetyzm. W odpowiednich warunkach mezopole i grawitacja mogą się znosić, zerować. Rzecz jasna, jest to znacznie bardziej skomplikowane, niż to przedstawiłem. Chociażby dlatego, że, jak już wspomniałem, grawitacja ma charakter falowo-korpuskularny. A więc oprócz pól należy brać pod uwagę cząstki – grawitony. Urządzenie, którym dysponujemy, stanowi najwyższy wytwór niemieckiej techniki, a jego widok wywiera niezapomniane wrażenie.

– Wzruszające – prychnął Ritter. – Chce pan mi wmówić, że w Niemczech już siedemdziesiąt lat temu skonstruowano generator antygravitacji?

– Owszem. Ma go pan przed sobą.

Wytrzeszczyli oczy. Masywny klosz wyglądał tak topornie i niezgrabnie, że myśl, iż mógłby mieć coś wspólnego z nieważkością, wydawała się nedorzeczna.

– To tylko główna część obudowy generatora – wyjaśnił Keller widząc ich reakcję. – Reszta znajduje się w tych skrzyniach; zabezpieczona przez jego twórców na czas transportu.

– Po co opowiada nam pan bajki, Keller? – warknęła Teresa. – Co chce pan osiągnąć pokazując nam to coś? Stara się pan odwrócić naszą uwagę od ważniejszych rzeczy ukrytych w pociągu?

– Zapewniam panią, że to nie bajki, i że w tym pociągu nie ma niczego ważniejszego.

Ritter potrząsał głową, jakby nie był w stanie wyrazić słowami swojego sprzeciwu.

– Nawet zakładając, że mówi pan prawdę – odezwał się – to jest przecież niemożliwe, żeby potem już nikt, na całym świecie, nie zbudował czegoś podobnego.

– Były rozmaite próby, a jakże. W biurach patentowych i specjalistycznych pismach można znaleźć trochę pomysłów zbliżonych do naszego, tyle tylko, że żaden nie wszedł w fazę realizacji. Tym niemniej świadczą one o tym, że koncepcja, którą pan tak wykpiwa, jest w pełni zgodna z prawami fizyki. Mógłbym podać kilka przykładów patentów niemieckich z lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku, a także wcześniejszych patentów angielskich i innych. Różnią się one szczegółami, ale niemal wszystkie dotyczą

wykorzystania rotujących przeciwbieżnie mas w postaci cienkich walców lub dysków w celu wytworzenia mezopola czy – inaczej mówiąc – antygravitacji.

– Patenty, mówi pan? To niczego nie dowodzi. W biurach patentowych drzwi się nie zamykają przed szaleńcami, którym się wydaje, że wynaleźli *perpetuum mobile* albo technologię zimnej fuzji.

– Można zaprowadzić konia do wody, ale nie można go zmusić, żeby się napił – zakpił Keller. – Nie zmuszę pana, żeby pan uwierzył, *Herr Ritter*. Ale to pański problem, nie mój. Mam wrażenie, że swoją arogancją usiłuje pan pokryć frustrację wywołaną faktem, że jako inżynierowi trudno panu rozstać się ze stereotypami. Jednakże nie ma róży bez kolców. Kiedy nasi dziadowie skonstruowali podczas wojny urządzenie, o którym mówimy, przekonali się ku swemu zaskoczeniu, że skutkiem ubocznym jego pracy jest bardzo niebezpieczne... – zawahał się – promieniowanie, choć to słowo nie bardzo pasuje, gdyż nie jest to żaden ze znanych nauce rodzajów promieniowania.

– Urządzenie, które wytwarza nieznaną nauce antygravitację i nieznaną nauce promieniowanie? – wtrącił szyderczo Ritter. – Nie za wiele tego dobrego?

– W czym tkwi niebezpieczeństwo? – Teresa starała się być bardziej rzeczowa.

– Przebywanie w pobliżu działającego generatora oznacza śmierć. Oczywiście, zależy to od pewnych czynników, takich jak czas ekspozycji, odległość czy moc wyjściowa, a także od ewentualnych zabezpieczeń. Ale dla człowieka, który o niczym nie wie i znajdzie się w zasięgu urządzenia, nadzieja na ocalenie nie jest wielka.

Teresę coraz bardziej niepokoiła ta rozmowa. Keller mógł kłamać, ale nie o to chodziło. Zbyt chętnie udzielał wyjaśnień. Nie zachowywał się jak człowiek działający pod przymusem. Sprawiał wrażenie kogoś, kto korzysta z okazji, by się wygadać. Tak nie postępują złoczyńcy. Chyba że mają w tym jakiś cel.

– Po tylu badaniach nie domyślacie się, czym jest to promieniowanie? – zapytał Ritter.

– Och, domysłów nie brakuje. W tym względzie na naukowców zawsze można liczyć. Najbardziej prawdopodobny wydaje się jakiś związek tego oddziaływania z entropią. Wskazywałyby na to rodzaj zmian zachodzących w organizmach żywych poddanych jego wpływowi.

– Z entropią? Co pan ma na myśli?

– Odwrócenie strzałki czasu. Fizyka dopuszcza możliwość, że antycząstki to nic innego, jak cząstki poruszające się wstecz w czasie. Dotyczyłoby to również antygravitonów. A więc w obrębie pola antygravitacyjnego dochodziłoby do odwrócenia strzałki czasu. Jak państwo wiecie, kierunek upływu czasu możemy określić za pomocą entropii. Wszechświat i wszystko, co się w nim znajduje, zmierza w kierunku od stanu uporządkowania do stanu chaosu. To właśnie nazywamy entropią. W tym kierunku płynie czas; z przeszłości w przyszłość.

– Nie wszystko – wtrącił Ritter. – A życie?

– No właśnie. Życie wyłamuje się z tego schematu. Wysoko zorganizowane organizmy żywe powstają z niezorganizowanej materii, czyli uporządkowanie wyłania się z chaosu. Jest to więc proces odwrotny do entropii. Ale co się stanie, jeśli odwrócimy strzałkę czasu wobec istot żywych? Struktury uporządkowane powinny zamienić się w chaos. I tak się dzieje w strefie oddziaływania generatora.

– Co więc się dzieje? – zapytała Teresa.

– Organizmy roślin i zwierząt ulegają rozpadowi. Tkanki rozpadają się na poszczególne komórki, a te z kolei na molekuly.

– Wydawałoby się raczej, że człowiek umieszczony w polu odwróconego czasu powinien odmłodnieć? – mruknął Ritter.

– Byłoby wspaniale. Niestety, zapominamy o związku czasu z entropią. Chyba że uznamy powrót do chaosu molekuł, z jakich powstał nasz organizm, za radykalne odmłodzenie.

– Nigdy w to wszystko nie uwierzę – stwierdził Ritter. – Pokazał nam pan coś, zgoda, ale to może być cokolwiek. Choćby wielki młynek do kawy.

Keller wzruszył ramionami.

– Jak już mówiłem, nie można zmusić konia, żeby się napił. Niech pan wierzy lub nie, lecz to jest największe osiągnięcie niemieckiej nauki, które trzeba przywrócić naszemu narodowi. A pan jest Niemcem, Ritter.

Teresa nie odrywała oczu od złowrogiego ładunku.

– Twierdzi pan, że całe urządzenie znajduje się w tych skrzyniach? – zapytała.

– Tak.

– Więc trzeba je zniszczyć.

Keller parsknął.

– Zniszczyć należy wszystko, *Frau Listz* – odrzekł z ponurym uśmiechem – z wyjątkiem właśnie tego. Ale już o tym pomyśleliśmy. Mam tu zresztą coś odpowiedniego. Ładne, prawda?

Wyciągnął z kieszeni nieduże pudełko, wielkości telefonu komórkowego.

– Jeśli naciśnę ten guzik, wszyscy zginiemy – zagroził. – Niech pan odda broń, Ritter.

– Nie rób tego, Udo – powiedziała Teresa. – On blefuje. Nie zabije siebie i nie zniszczy tego, po co tu przybył.

– Zaryzykuje pan, Ritter? Położy pan na szali nie tylko wasze życie, ale i te wszystkie cuda niemieckiej nauki, które znajdują się w pociągu?

Ritter z wahaniem sięgnął do kieszeni. Spojrzał niepewnie na Teresę.

– Nie, Udo – pokręciła głową. – I tak nas zabije.

– Skąd ta pewność, *Frau Listz*? Niech pan pomyśli, Ritter. Czy może pan z ręką na sercu powiedzieć, że nastawałem na wasze życie? Wszystkie... kłopoty, jakie mieliście, ściągnęliście na siebie sami. Nikt celowo nie chciał zrobić wam krzywdy.

Ritter przenosił wzrok to na niego, to na Teresę.

– Cóż...

– Nie słuchaj go, Udo. Przecież to oczywiste, że za dużo wiemy, aby mógł nas stąd wypuścić.

– Zgadza się, że wiecie zbyt dużo, *Frau Listz* – przytaknął Keller. – Jednak już wkrótce nie będzie to miało znaczenia. Poza tym wątpię, czy ktokolwiek wam uwierzy. Nawet pan, Ritter, nie chce w to uwierzyć, chociaż ma pan to przed sobą. Nie ma więc powodu, żeby was zabijać. Pozostaniecie przez jakiś czas w zamknięciu. Moi ludzie uwolnią was, kiedy ładunek pociągu znajdzie się w drodze do miejsca przeznaczenia. Wówczas nie będziecie już mogli nam zaszkodzić.

– Akurat! – prychnęła Teresa. – Zostawcie nas tutaj i wysadźcie wszystko w powietrze.

Keller wzruszył ramionami.

– Niech pan wybiera, Ritter. Pewna śmierć teraz albo szansa, że jednak mówię prawdę. Proszę wyjąć broń i położyć na podłodze. Powoli. I tak nie jest pan dość szybki, aby mnie zastrzelić, zanim zdążę nacisnąć guzik.

– Ale ja jestem.

Keller patrzył na Rittera, nie zauważył więc, kiedy w dłoni Teresy pojawił się pistolet. Z zaskakującą wprawą dobyła go spod zakietu, uniosła i ściągnęła spust.

I wtedy pociąg ruszył. Nagłe szarpnięcie ścięło ich z nóg, a hałas dobijających zderzaków zagłuszył wystrzał. Kula wprowadziła nie chybiła całkowicie, ale otarła się tylko Kellerowi o ramię. To raczej wstrząs spowodował, że wypuścił detonator, który potoczył się

po podłodze. On sam upadł w przeciwnym kierunku. Teresa przewróciła się również, a pistolet wysunął się jej z ręki i wpadł między skrzynie.

Ritter nie miał szczęścia. Stał tuż przy drzwiach wagonu, kiedy pociąg ruszył. Siła bezwładności wypchnęła go na zewnątrz, zanim zdążył się czegokolwiek chwycić. Upadł na peron i pewnie by się tylko potłukł, gdyby pociąg stał w miejscu. Lecz noga zsunęła mu się poza krawędź peronu i obrót ciężkiego koła wciągnął go pod wagon. Teresa ujrzała jak znika w dole i usłyszała mrozący krew w żyłach krzyk.

Czas stanął w miejscu. Pociąg wprawdzie przyspieszał, koła dudniły coraz głośniejsze, a Keller usiłował wstać, rozglądając się za detonatorem, lecz ona widziała tylko krawędź wagonu, za którą przepadł Ritter. Wpatrywała się w nią tak intensywnie, że dostrzegła pojedyncze nity łączące stalowe blachy.

Keller! Ocknęła się nagle, wracając do rzeczywistości, w instynktownej reakcji na bezpośrednie zagrożenie. Austriak zdołał się już niemal podnieść. Teresa nie zdążyłaby odzyskać broni, lecz leżała bliżej detonatora. Sięgnęła ku niemu. Wagon zatoczył się, odsuwając niewielki przedmiot. Znów wyciągnęła rękę, ale Keller chwycił ją za nogę. Kopnęła na oślep raz i drugi, trafiając w dłoń, którą ją przytrzymał. Zaklął i puścił ją. Nim zdążył zrobić dwa kroki w jej stronę, zdołała dosięgnąć detonatora.

Uniosła rękę w niedwuznacznym geście. Keller zawahał się.

– Co pani robi?!

Wstała, cały czas trzymając kciuk na przycisku.

– To, co pan zamierzał zrobić. Tyle że wcześniej.

– Zostaniemy tu pogrzebani!

Odetchnęła głęboko.

– Mam taką nadzieję – nacisnęła guzik.

Nic się nie stało.

– Ty głupia dziwko! – Keller zniemacka uderzył ją w twarz.

To był mocny cios. Upadła na podłogę. Tracąc przytomność zdołała jeszcze dostrzec, że Keller wcale nie rzucił się, aby podnieść upuszczony przez nią detonator. Zamiast tego skoczył między skrzynie, jakby czegoś szukał. Nie zdążyła już jednak się temu zdziwić.

Wczesnym popołudniem Robert Morawski ponownie pojawił się koło cegielni w Lubiechowie. Tym razem nie zamierzał kręcić się bez celu przy bramie, jak dwa dni temu. Zbliżył się do ogrodzenia za głównymi zabudowaniami, tak jak mu doradził człowiek, z którym wczoraj rozmawiał. Gdzieś tutaj powinno znajdować się to miejsce.

Tamten nie chciał z nim pójść, ale zdradził mu, którędy najlepiej dostać się na teren zakładu. Pewien niewielki odcinek płotu znajdował się w martwym polu – nie było go widać, ani z wartowni przy bramie, ani z żadnego z okien budynków. W latach osiemdziesiątych, podczas stanu wojennego, robotnicy przemycali tamtędy materiały konspiracyjne, a niekiedy nawet ludzi – emisariuszy demokratycznego podziemia. Od czasu do czasu ktoś wyskakiwał przez płot w jakiejś niecierpiącej zwłoki sprawie; najczęściej na piwo lub po flaszkę.

Rozmówca Morawskiego nie był pewien, czy w obecnych okolicznościach uda się zastosować tę dawną sztuczkę. On sam – jak lojalnie uprzedził Morawskiego – by tego nie próbował. Morawski także miał wątpliwości. Jeśli ktoś go złapie, naje się wstydu, a może nawet wpędzi w kłopoty gazetę. Po takiej wpadce redaktor naczelna osobiście wykopie go z pracy. Miał wątpliwości, czy ktoś będzie po nim płakał. To samo mogło mu jednak grozić, gdyby przestał przynosić do redakcji ciekawe tematy. Poza tym, lubił wracać oknem, jeśli wyrzucono go drzwiami. Nie wyglądał na takiego i dlatego było to tak zabawne.

Dostrzegł za ogrodzeniem niską przybudówkę z czerwonej cegły. W bocznej ścianie znajdowały się stalowe drzwi z napisem „Kotłownia”. Stanął tak, by mieć je nieco z lewej strony. Tak, to niewątpliwie to miejsce. W zasięgu wzroku nie było żywego ducha. Musiał jednak liczyć się z tym, że ochroniarze niewątpliwie patrolowali teren. W każdej chwili ktoś mógł się pojawić. Człowiek, z którym rozmawiał, nie miał pojęcia, ilu ludzi mogło przebywać na terenie cegielni.

Morawski zmierzył wzrokiem ogrodzenie. Kiedy to po raz ostatni pokonywał płot? Dwadzieścia lat temu? Zapewne więcej. Ten miał ze dwa i pół metra wysokości. Właściwie drobiazg, nawet dla niezbyt wysportowanego, trzydziestosiedmioletniego gryzpiórka.

Nie było na co czekać. Chwycił siatkę i wsuwając czubki butów w jej oka wspiął się na górę. Nieco trudniejsze okazało się utrzymanie równowagi podczas przechodzenia na drugą stronę, ale poradził sobie i po chwili zeskoczył na ziemię. Natychmiast skrył się w trójkącie cienia między ścianami przybudówki i głównego budynku.

Zastanowił się, co dalej. Jego rozmówca opisał mu teren cegielni, toteż z grubsza znał przeznaczenie poszczególnych budynków, jednak był to opis już przestarzały i wiele mogło się zmienić. Być może sprzęt górniczy, który rzekomo tu sprowadzano, umieszczono w starych magazynach, ale możliwe też, że znaleziono jakieś inne miejsce. Od czegoś należało jednak zacząć, a drogę do magazynów znał. Potem się zobaczy.

Musiał okrążyć przybudówkę. Mijając drzwi z napisem „Kotłownia” nacisnął klamkę; okazały się zamknięte. Z drugiej strony przybudówki biegła droga wewnętrzna, a za nią wznosiły się magazyny zbudowane z czerwonej cegły, jak wszystko tutaj. Do jednego z budynków przylegała rampa załadunkowa. Sprawdziwszy, czy nikt nie nadchodzi, przemknął się w pobliże rampy. Okna i drzwi budynku były pozamykane. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie stłuc szyby w niewielkim oknie przy tylnym wejściu, prowadzącym zapewne na

zaplecze magazynu. Mógłby jednak mieć się z pyszna, gdyby ochroniarz to zauważył, a on sam znajdował się akurat w środku.

Zaklął w duchu, zły na człowieka, z którym się spotkał. Choć rozmawiali kilka godzin, jego opowieść niewiele wniosła nowego ponad to, o czym Morawski już wiedział od znajomego z redakcji. Podejrzenia opierały się na domysłach i nieufności do obcych. Działał także inny mechanizm – zawiedzione nadzieje, że ludzie, którzy kupili cegielnię, uruchomią szerszą działalność i będą rekrutować pracowników spośród okolicznych mieszkańców. Tymczasem nic takiego nie nastąpiło. Nawet ochroniarze dojeżdżali z Wałbrzycha.

Jako źródło informacji człowiek ten kompletnie zawiódł. Na postawie jego relacji Morawski nie zdołałby sklecić ani jednego sensownego zdania. Musiał znaleźć konkrety. Nadzieja na to malała jednak z każdą chwilą.

Usłyszał kroki. Ktoś obchodził budynek; najprawdopodobniej strażnik. Morawski poczuł przypływ paniki. Wiedział, że nie zdąży ukryć się za rogiem. Ale za wybrukowanym chodnikiem, opasującym tyły obu budynków, rósł żywopłot. Przeskoczył go i legł na trawie. Ochroniarz omiół spojrzeniem okna i drzwi magazynu. Morawski podziękował Opatrzności, że powstrzymała go przed rozbiciem szyby.

Wstał dopiero wówczas, kiedy tamten zniknął za warsztatem. Nie miał pojęcia, kiedy będzie następny obchód, ani nawet, czy strażnik pokonuje stałą trasę, czy chodzi jak mu się podoba. Musiał liczyć się z jedną i drugą ewentualnością. Co gorsza, strażników patrolujących teren mogło być więcej.

Zastanowił się. Wszystko na terenie zakładu było ciche i martwe; jakby nic tu się nie działo od lat. Lecz intuicja podpowiadała mu co innego.

Główną halę z piecem do wypalania cegły nietrudno było odnaleźć – wznosił się nad nią wysoki komin, nieco już, jak ocenił Morawski, skrzywiony. Widział jego koślawą sylwetkę na tle nieba. Do budynku dochodziła jedna z bocznic kolejowych; najwyraźniej już dawno nieużywana. Pod kątem prostym do hali z piecem umiejscowiono budynki suszarni i wyrobowni. Główny budynek, z tego co pamiętał, mieścił w sobie szatnię. Przed jego frontem było zbyt dużo otwartej przestrzeni, aby mógł tam podejść. Jeden bok zwrócony był ku bramie, więc i on odpadał, ale drugi sąsiadował z drogą wewnętrzną. Jeśli w cegielni trwała jakaś aktywność, to robotnicy gdzieś musieli się przebierać. Przypuszczenie okazało się trafne. Za uchylonym oknem, przez które ostrożnie zajrzał, znajdowała się szatnia. Dostrzegł w niej szeregi szafek ubraniowych, z których część pozamykana była na kłódki. Kłódki były nowe.

Chwilowe podekscytowanie szybko opadło. Ten obrazek o niczym nie rozstrzygał. Tylko znalezienie nowych urządzeń, jednoznacznie kojarzących się z działalnością górniczą, mogło stanowić potwierdzenie podejrzeń człowieka, z którym się spotkał. Ponieważ cegielnia nie była kopalnią, sprzęt górniczy mógł posłużyć tylko do jakiegoś tajemniczego celu. Jakiego? Morawski już od dawna szukał dowodu, że ziemia Dolnego Śląska ukrywa więcej, niż po wojnie udało się odkryć, i że Niemcy doskonale o tym wiedzą. Czyżby wreszcie był bliski znalezienia go?

Popatrzył na wnętrze szatni. Wiedział, że to szaleństwo, ale pokusa była zbyt silna. Rozejrzał się, lecz nikogo w pobliżu nie zobaczył. Szybko, nie dając sobie czasu, aby się rozmyślić, wspiął się na okno, zeskoczył na podłogę i skrył się za pierwszym rzędem szafek. Były to stare szafki, zamykane na kłódkę i mocno zużyte – pokrzywione, z odstającymi drzwiczkami. Znalazł jedną szczególnie zniekształconą. Pociągnął za odstającą górną krawędź drzwiczek i udało mu się je uchylić na dobrych kilkanaście centymetrów. W środku znajdowało się ubranie i rzeczy osobiste. Nie mógł jednak tam sięgnąć, ponieważ nie był w stanie jedną ręką utrzymać drzwiczek w takiej pozycji. Rozejrzał się po szatni. W kącie stało kilka metalowych taboretów, pamiętających zapewne czasy realnego socjalizmu. Wiedział jednak, że są równie toporne, co niezniszczalne. Użył jednego z nich jako dźwigni, wkładając

krawędź siedziska w górną szparę drzwiczek i ciągnąc za nogi. Dzięki temu mógł lewą rękę wsunąć do wnętrza szafki.

Na hałas nie sposób było nic poradzić, ale należało się spieszyć. Wymacał kieszenie letniej kurtki i przeszukał je. Znalazł pęk kluczy, paczkę papierosów i portfel. Ten ostatni wyjął. W środku były karty kredytowe i dokumenty na nazwisko Jürgen Sauer, a także kilkaset euro i dwie stuzłotówki. Dowód osobisty i paszport zostały wystawione w Dortmundzie; stamtąd zapewne pochodził ich właściciel. Z jednej z przegródek Morawski wyciągnął legitymację górniczą. A więc jego informator nie mylił się, choć ten fakt można było interpretować na różne sposoby. Ciągle niczego konkretnego nie miał. Ani cienia poszlaki na tyle jednoznacznej, by uzasadnić ponoszone ryzyko. Tym niemniej, zdobył swój punkt zaczepienia. Nie mógł już tego tak zostawić.

Rozejrzał się niespokojnie. Obawiał się, że kiedy usłyszy kroki strażnika, nie zdąży się ukryć. Nie miał tu już nic do roboty. Wsunął portfel z powrotem do kieszeni kurtki i zwolnił drzwi szafki. Odształciły się nieco i odstawały trochę bardziej niż wcześniej, ale musiał je tak zostawić. Odniósł na miejsce taboret i opuścił budynek przez to samo okno, którym tu wszedł.

Zawahał się. Przy budynku biurowym nie miał czego szukać; stał on zresztą zbyt blisko bramy. Znacznie ciekawsze mogło być co innego. Druga bocznicą wiodła do wielkich wrót w skarpie wzgórza i znikła za nimi. To ona właśnie, a dokładniej jej końcowy odcinek, wyglądał na świeżo zbudowany, co Morawski zauważył już dwa dni temu. Pomyślał, że jeśli gdziekolwiek, to właśnie tam powinien szukać.

Po drodze musiał obejść młyn do kruszenia odpadów cegieł, do którego również wiodła bocznicą, lecz, podobnie jak pierwsza, wyglądała na nieczynną. Był to nieduży budynek, kompletnie zapuszczony. Wyglądało na to, że nie był potrzebny nowym właścicielom zakładu.

Przebiegłszy w kilku krokach drogę oddzielającą zabudowania od skarpy, ukrył się za stojącym tam starym przenośnikiem taśmowym. Nie była to kryjówka idealna, ale korpus bębna napędowego, ledwie wystający nad bujną trawę, dawał jako taką osłonę. Tuż za plecami miał skarpe, w której, jakies dwadzieścia metrów dalej, tkwiły olbrzymie, stalowe odrzwia, pod którymi znikwały tory. Widział je doskonale, tyle że nie miał pojęcia, w jaki sposób bezpiecznie sprawdzić, co znajduje się za nimi. Nawet jeśli nie były zamknięte, to możliwe, że w środku ktoś jest; przecież ci wszyscy pracownicy, których szafki ubraniowe widział, musieli się gdzieś podziąć. A reszta fabryki wyglądała na wyludnioną. Pozostawała też kwestia przedostania się pod same wrota. Znajdowały się na otwartej przestrzeni, toteż każdy kręcący się przy nich człowiek byłby widoczny z daleka.

Znienacka odniósł wrażenie, że dłoń, którą oparł na kratownicy przenośnika, przeszył ledwie uchwytny dreszcz. Poczul też raczej, niż usłyszał, niski grzmot dochodzący gdzieś z głębi wzgórza. To nie mogło być złudzenie. Czyżby jednak prowadzono tu jakieś prace górnicze?

Dźwięk powtórzył się, podobnie jak drżenie, tyle że już nie tylko taśmociągu, ale i gruntu. Jakaś obluźwana część przenośnika zabręczała metalicznie. Morawski odruchowo cofnął dłoń. Co tam się działo? Głuchy, przeciągły i narastający grom czuł już całym sobą. Nigdy wprawdzie nie przeżył zejścia lawiny, ale tak właśnie wyobrażał sobie towarzyszący jej hałas.

W oddali pojawił się ochroniarz na rutynowym obchodzie. Naraz zatrzymał się i rozejrzał niepewnie, jakby coś go zaniepokoiło. Morawski skulił się odruchowo za bębniem przenośnika, ale nie chodziło o niego. W chwilę później także ochroniarz usłyszał już i poczul dochodzące gdzieś z głębi wzgórza dudnienie. Morawski znajdował się blisko skarpy, toteż natychmiast poczul silny wstrząs, tąpnięcie; jak gdyby ukryty w jaskini olbrzym mocno tupnął nogą. Zaraz potem ziemia drgnęła ponownie i jeszcze raz. Na coraz głośniejszy

grzmot, dochodzący już teraz wyraźnie zza warstwy skał, z których zbudowane było wzgórze, nałożył się stłumiony łoskot.

Grunt pod stopami Morawskiego zakołysał się. Z daleka widział, jak ochroniarz ślania się na nogach. To było nieprawdopodobne. W Polsce nie zdarzają się takie trzęsienia ziemi. Co prawda, w rejonie Wałbrzycha ziemia była dziurawa jak rzeszoto, pocięta tysiącami kopalnianych tuneli, i nieraz dochodziło do tąpnięć, lecz Morawski nigdy – choć mieszkał tu od urodzenia – żadnego sam nie doświadczył.

Jego uwagę przyciągnęły stalowe wrota. Wyraźnie drżały, każde skrzydło we własnym rytmie, a spod nich wypływały kłęby kurzu i pyłu. Jakby w środku doszło do wybuchu. Być może nastąpił wypadek, przemknęło mu, jakaś detonacja, zawiniona przez ludzi lub nie. Ochroniarzowi musiało przyjść do głowy to samo, bowiem ruszył biegiem w kierunku wrót.

Morawski pomyślał, że to dobry moment, aby się stąd zabierać. Jeśli nastąpiła katastrofa, wkrótce zaroi się tu od rozmaitych służb. Na pewno go zdemaskują. Poza tym ogłuszający już hałas i dalsze wstrząsy, które wcale nie ustały, napępniały go przerażeniem. To nie mógł być zwykły wybuch. Raczej kataklizm.

Nie zdążył jednak zrobić nawet kroku. Masywna brama w ścianie zbrocza nagle jakby eksplodowała. Ciężkie skrzydła wrót, wyrwane z zawiasów, jakaś straszliwa siła cisnęła w powietrze. Jedno z nich porwało ze sobą ochroniarza, zabijając go na miejscu. W powstałej jamie w zbroczu wzgórza pojawił się potwór. Wielka, otoczona kłębami kurzu lokomotywa niczym pancerna pięść przebiła odrzwia i runęła w niepowstrzymanym pędzie przed siebie. Nie ona jednak była najstraszniejsza. Morawski, którego wstrząs przewrócił na ziemię, obserwował leżąc, jak z czeluści tunelu wysuwa się szare, kanciaste, najeżone lufami cielsko stalowego monstrum, zagubionego tak długo w mrokach historii.

Słyszał, rzecz jasna, legendy o ukrytym gdzieś pod Wałbrzychem niemieckim pociągu. Kto z tutejszych mieszkańców ich nie słyszał? Traktował je na równi z legendami o zaginionym mieście Inków. Wierzył, co prawda, że nie odnaleziono jeszcze wielu ukrytych przez Niemców pod koniec wojny depozytów, ale nie sądził, aby ukrywano je w taki sposób.

I oto miał go przed sobą. Zaginiony pociąg ze złotem Wrocławia. To nie mogło być nic innego. To był też temat, jakiego nie zdołałby sobie nawet wymarzyć. Niewielu dziennikarzy miało szczęście znaleźć się w odpowiednim czasie w odpowiednim miejscu. On tego dokonał.

Pociąg wyprysnął z tunelu z ogromną prędkością i pognał bocznica ku bramie wyjazdowej. Za nim z otworu w zbroczu buchnął wielki kłęb dymu, jakby chciał go doścignąć. Ziemia znów się zatrzęsała. Taśmociąg, przy którym leżał Morawski, podskoczył na kółkach i jakiś przerdzewiały element podwozia musiał się złamać; w rezultacie cała konstrukcja przechyliła się, pozbawiona podpory, i runęła na Morawskiego, przygniatając mu nogi.

Ból nieomal pozbawił go przytomności. Nigdy jeszcze nie doświadczył tak potwornego cierpienia. Jak przez mgłę ujrzał, iż zbrocze tuż obok niego unosi się, jak gdyby wzgórze robiło wdech, po czym osiada, coraz niżej i niżej. Z przeciągłym łoskotem całe zbrocze zapadło się, grzebiąc pod tysiącami ton skały i gleby podziemny tunel i tory kolejowe. Wielkie wrota w skarpie zawały się, zamieniając się w usypisko gruzu i głązów.

Chmura kurzu ogarnęła Morawskiego, prawie go dusząc. Przestał cokolwiek widzieć. Zakaszłał, lecz to sprawiło, że od zmiądzzonych nóg napłynęła fala straszliwego bólu. Na szczęście, litościwy los pozwolił mu tym razem zemdleć. Ostatnim doznaniem, jakie zarejestrował jego mózg, był odległy dźwięk syreny lokomotywy. Ale mógł to być też tylko figiel gasnącej świadomości.

Patrząc na policjantów, czekających przed wejściem do tunelu z sejsmometrami, Rogowski nie potrafił ukryć irytacji. Gdy zadzwonił na komendę w Wałbrzychu, początkowo potraktowali go jak pomyleńca. Dopiero kiedy wspomniał o komisarzu Graczyku, stał się cud. Przyjechali dużą grupą i to pod wodzą samego inspektora Turskiego.

Rogowski otworzył stalowe drzwi – już po raz drugi dzisiejszego dnia – i weszli do środka. Zdażyli jednak przejść raptem kilkadziesiąt kroków w głąb tunelu, kiedy poczuł wstrząs. Zatrzymał się gwałtownie, osłupiały.

Policjanci rozglądali się niepewnie, a Turski popatrzył na niego pytająco.

– Co się dzieje?

– Pan też to poczuł? – upewnił się Rogowski. – Nie wiem.

Wyjaśnienie nadeszło szybko, wraz z kolejnym wstrząsem. Ten był tak silny, że całe wzgórze zamkowe zadrżało. Posadzka zatańczyła im pod stopami; Rogowski omal nie upadł. Ze stropu posypał się tynk i grudy zaprawy murarskiej.

– Co jest, do cholery!?! – wrzasnął Turski, osłaniając ramieniem głowę. – Trzęsienie ziemi?

Rogowski nie wierzył własnym zmysłom. Jak niegdyś ów biolog, który zobaczywszy przywiezionego z Australii dziobaka, stwierdził stanowczo, iż takie zwierzę nie istnieje.

– Niemożliwe – wymamrotał. – Niemożliwe.

Turski był bardziej pragmatyczny. A może bardziej przestraszony.

– Szybko! – polecił свої ludziom. – Do wyjścia! Biegiem!

– Ale to nie może być trzęsienie ziemi – zaprotestował Rogowski. – Pewnie jakieś tąpnięcie...

Przerwał mu jeszcze silniejszy wstrząs, po którym nastąpiła cała seria kolejnych. Policjanci, potykając się i zataczając, rzucili się do ucieczki. Rogowski pobiegł za nimi, pchany raczej odruchem niż strachem. Nie mógł przecież bać się czegoś, co nie miało prawa istnieć.

Gdzieś za grubymi ścianami rozległo się ciężkie stęknienie. Sam fakt, że było słyszalne przez wiele metrów litej skały, świadczył o jego sile. Podłoga zatrzęsała się febrycznie. Kilku gliniarzy upadło, ale zaraz zerwali się i pognali jeszcze szybciej. Rogowskiego rzuciło na ścianę, którą na jego oczach przecięło pęknięcie, mknące od stropu do posadzki. Prostokąt otwartych drzwi jakieś dwadzieścia metrów przed nimi przesłonięty był mgiełką kurzu wypełniającego coraz gęstszym tumanem wnętrze korytarza. Zakasłał, kiedy zaczerpnął powietrza suto doprawionego wapiennym pyłem.

Na zewnątrz wybiegł jako jeden z ostatnich, słysząc za sobą rumor walących się skał. Po kilkunastu krokach zatrzymał się i odwrócił. Wzgórze przestało drżeć. Drzwi do podziemi przypominały komin, z którego dymiło szarawym kurzem. Wydawały się nietknięte, lecz kiedy przyjrzał się lepiej, zauważył, że całą betonową ścianę zamykającą wyrobisko, w którym znajdowało się wejście, szpeci cienka szrama pęknięcia. Wejścia zresztą już nie było. Przez otwarte drzwi wysypywały się mniejsze i większe bryły betonu i skały macierzystej. Korytarz musiał się zawalić; kto wie, czy nie na całej długości, a to oznaczało, że prawdopodobnie już nigdy ten poziom podziemi nie będzie dostępny. Komu by się chciało

wydawać pieniądze na odgruzowanie pustych korytarzy? Sprzęt badawczy z pewnością przypadł i nie uda się go odzyskać. Niczego innego tam nie było.

Po pewnym czasie gruz przestał wysypywać się z otworu wejściowego. Rogowski z niedowierzaniem patrzył na usypane zwałowisko; takie same, jak te, które widział kiedyś zwiedzając poniemieckie sztolnie w Górach Sowich.

Na dziedziniec zamkowy dotarli po kilku minutach szybkiego marszu pod górę, zasapani i pełni obaw, co tam zastań. Pokryci pyłem, rzeczywiście wyglądali na ocalałych z trzęsienia ziemi. Po drodze Turski, zły i przestraszony, usiłował zmusić Rogowskiego do sformułowania jakiejś teorii wyjaśniającej, co się stało. Bez większego skutku.

– Czy ci dwaj, których pan wpuścił do podziemi – zapytał w końcu obcesowo – mogli to wszystko spowodować?

– Nie wpuściłem ich – sprostował gniewnie Rogowski. – Zmusili mnie. Ale to na pewno nie oni. Niby jak mieliby wywołać coś takiego? Kilogramem trotylu?

Turski przez chwilę bezowocnie rozważał ten problem.

– Ktokolwiek był tam, na dole – skonstatował wreszcie – to już po nich.

Wśród zabudowań oficyny zamkowej natknęli się na tłum zdezorientowanych ludzi, zarówno turystów, jak i właściciele barów czy sklepików z pamiątkami. Wszyscy podążali na dziedziniec honorowy zamku. Nad samym zamkiem krążyły zaniepokojone czymś ptaki, ale budynek wydawał się nietknięty. Przed wejściem również kręcili się turyści oraz kilkunastu ludzi w kombinezonach roboczych pracowników firmy Kronos. Najwyraźniej wybiegli z zamku w pośpiechu, kiedy rozpoczęły się wstrząsy.

Rogowski nie dostrzegł z daleka żadnych zniszczeń, co nie oznaczało, że konstrukcja olbrzymiej budowli nie mogła ucierpieć. Na ocenę szkód przyjdzie poczekać. Jego zajmowały bardziej przyczyny tego, co się stało niż skutki. W końcu, to była jego dziedzina. A że pełnił tu swego rodzaju służbę na posterunku, w pewnym sensie czuł się za to jakoś odpowiedzialny. Pragnienie wyjaśnienia tej zagadki zaprzętało bez reszty jego myśli. Być może znajdzie odpowiedź w zarejestrowanych sejsmogramach, powinien więc jak najszybciej wrócić do stacji.

Tym niemniej zaintrygowało go, dlaczego gapie zbili się w wielki okrąg wokół środka trawnika zdobiącego dziedziniec, tratując otaczający go niski żywopłot. Turski także wydawał się tym zainteresowany. Zaczął przepychać się przez tłum, głośno informując, że jest z policji; a w ślad za nim jego ludzie. Rogowski skorzystał z okazji i przeciskał się za nimi.

Zatrzymali się na skraju wielkiego zapadliska. Tworzyło niemal regularne koło o średnicy dobrych dwudziestu metrów, choć nie było zbyt głębokie – Rogowski ocenił, że najwyżej na dwa metry. Wyglądało to tak, jakby przeszedł tędy gigantyczny słoń, zostawiając na trawniku tylko jeden odcisk stopy. Tyle tylko, że trawa w rozpadlinie nie była zgnieciona, co sugerowało, iż pod wpływem drgań kolisty fragment trawnika po prostu osunął się w głąb ziemi, która z jakiegoś powodu w tym miejscu była mniej zwarta; jak gleba nad zasypaną studnią.

– Co to takiego, do diabła? – zapytał inspektor Turski.

Nikt mu nie odpowiedział.

– Zawsze chciałem to zrobić – oświadczył Graczyk wyłączając syrenę. – Jeden długi ton oznacza ostrzeżenie, stosowane w różnych okolicznościach.

– Kogo pan ostrzegał? – zainteresował się Janiszewski. – Drzewa? Dlaczego nie ostrzegł pan zanim rozwaliliśmy wszystkie możliwe bramy?

– Niech pan nie będzie taki mądry. Wtedy nie było na to czasu. Właściwie, biorąc pod uwagę, co za sobą ciągniemy, należałoby włączyć tę syrenę na stałe.

– A nie należałoby się raczej zatrzymać?

– Zatrzymamy się. Za chwilę. Musimy się oddalić na wypadek pościgu. Nie da się pan człowiekowi nacieszyć.

– Już się pan nacieszył. Żaden maszynista nigdy nie wyrabiał takich rzeczy, jak pan dzisiaj. Poza tym, kto nas będzie ścigał? Tam wszystko się zawaliło. A tych dwóch ochroniarzy przy bramie nieprędko ochłonie po tym, jak tony stali przejechały im niemal po czubkach butów.

– Strasznie z pana zrzędlivy facet. Czy mam przypomnieć, że to pan wpadł na pomysł, abym poprowadził lokomotywę?

– Sądziłem, że zdołamy zmusić do tego prawdziwego maszynistę, ale nie mieliśmy szczęścia, a on jeszcze mniej - Janiszewski zerknął odruchowo na drzwi do przedsionka, gdzie wciąż leżały ciała Ławniczaka i jego zabójcy. – Pan jest częścią planu B.

– No proszę, a już myślałem, że jesteśmy drużyną A.

Graczyk nie chciał jeszcze zredukować szybkości, choć pościgu również się nie obawiał. Wprawdzie po ich niespodziewanym odjeździe z podziemnego dworca kilku Niemców zdołało wskoczyć do samochodów i ruszyć za pociągiem, lecz kiedy najpierw strop dworca, a następnie tunelu zaczęły się zapadać, auta musiały zwolnić, a potem wszystko utonęło pod tonami skał. Ciężki pociąg parł tymczasem do przodu jak taran, mimo iż mniejsze i większe głazy tłukły o stalowe dachy i burty wagonów niczym monstrualny grad. Nawet zresztą, gdyby jakiś samochód zdołał dotrzymać im kroku, i tak nie przetrwałby ostatniego mocnego akcentu tego pandemonium – staranowania przez lokomotywę w pełnym pędzie olbrzymiej bramy. Teraz, we wstecznym lusterku, Graczyk nie widział niczego poza uciekającymi w tył torami.

Kiedy kilkanaście minut temu zostali w kabinie lokomotywy sami, z martwymi ciałami ochroniarza i maszynisty, który, ku ich zaskoczeniu, okazał się Polakiem, wydawało się, że szalony pomysł Janiszewskiego, aby uprowadzić pociąg i uniemożliwić, bądź przynajmniej odwlec, jego rozładunek, spalił na panewce. Kto miałby to zrobić? Kiedy spojrzenie Janiszewskiego spoczęło wymownie na nim, Graczyk w pierwszej chwili zdębiał. Teoretycznie wiedział, jak obsługiwać lokomotywę ST44. Był to najpopularniejszy typ lokomotywy na polskich kolejach. Ale nigdy nie robił tego w praktyce. Wyglądało jednak na to, że nie mają innego wyjścia, jeśli nie chcą przyglądać się bezsilnie, jak tamci opróżniają pociąg.

Gdy stało się jasne, że nikt na zewnątrz nie usłyszał strzału, zagłuszonego przez pracę potężnego silnika, Graczyk, chcąc nie chcąc, zasiadł w fotelu maszynisty. Odczuwał podniecenie i strach jednocześnie. Podstawowy problem sprowadzał się do kwestii, jak

szybko mogą ruszyć z miejsca zanim zdołają interweniować krzątający się po peronie ludzie. Spalinowóz pracował na jałowym biegu i to dawało im pewne fory. A Graczyk był pewien, że kiedy już ruszą, nic ich nie zatrzyma. O ile, rzecz jasna, ten tor dokądś prowadzi.

Odetchnął głęboko i pchnął do przodu nastawnik kierunkowy. Ujął w dłonie nastawnik jazdy, przypominający kierownicę w aucie. Nie służył on jednak do kierowania, ponieważ lokomotywą nie kieruje się jak autem, lecz do zmiany obrotów silnika, a więc do przyspieszania i zwalniania. Ustawił nastawnik hamulcowy w pozycję jazdy i odhamował lokomotywę oraz skład. Przesunął nastawnik na pozycję numer 1. To spowodowało, że do sześciu pracujących na jałowym biegu cylindrów dołączyło pozostałych sześć. Silnik wyraźnie się ożywił. Hałas dobiegający zza uchylonych drzwi kabiny znacznie spotężniał. W tym momencie ludzie na peronie musieli już zorientować się, że coś się dzieje. Graczyk jednak o tym nie myślał.

Lokomotywa ruszyła. Przez skład, niczym fala, przebiegło silne szarpnięcie. Graczyk natychmiast przesunął nastawnik na pozycję 2; zaraz później na 3 i następne. Potężny diesel zaryczał, nabierając mocy. Zawyły wentylatory silników trakcyjnych. Graczyk nieomal poczuł, jak lokomotywa mozoli się, usiłując przełamać opór ogromnej bezwładności ton stali. Wiedział, że kiedy skład już nabierze rozpędu, będzie jechał niemal sam, przy niewielkiej tylko pomocy lokomotywy. Ponieważ jednak nie o spokojną jazdę im chodziło, lecz o ucieczkę, wciąż przesunął nastawnik jazdy, zmuszając spalinowóz do nieustannego przyspieszania.

Zamrugła lampka na pulpicie, toteż klepnął dłonią przycisk czuwaka, którego sygnał musiał być co minutę kasowany przez maszynistę; inaczej lokomotywa samoczynnie by się zatrzymała. Chodziło o uniknięcie sytuacji, w której maszynista zasnąłby podczas jazdy.

– Nu, pajechali – mruknął.

Janiszewski spojrzał na niego pytająco.

– To słowa Gagarina, wypowiedziane tuż przed startem rakiety – wyjaśnił Graczyk. – A te lokomotywy były produkowane w Związku Radzieckim i w Polsce nazywano je „Gagarinami”.

– Pan to jak coś powie...

– Mówię serio.

W lusterku wstecznym widział, jak na peronie wszczyna się rwetes. Ludzie w kombinezonach wskakiwali do samochodów i usiłowali ruszyć w pogoń za pociągiem. Zapalił reflektory i w ich świetle ukazał się długi tunel, którego końca nie było jeszcze widać. Co się tam mogło znajdować – nie mieli pojęcia. Jeśli był tam jakiś wyjazd – a musiał być, skoro dotarł tu spalinowóz – to zapewne był w jakiś sposób zamaskowany, niemożliwy do rozpoznania dla postronnych oczu. A to mogło oznaczać tylko jedno – że jest zamknięty. Czym? W jaki sposób? Problem polegał na tym, że nie mogli zatrzymać pociągu przed potencjalną przeszkodą, aby ją usunąć. Musieli przeć naprzód i to coraz szybciej, jeśli chcieli wynieść cało głowy z tej awantury. Na szczęście siedzieli w lokomotywie ST44, potworze na szynach, który był tak ciężki i miał tak wielką bezwładność, że nawet bez składu był w stanie staranować wszystko na swojej drodze. Graczyk doskonale o tym wiedział.

Pomimo drgań i wibracji wywoływanych przez pracujący silnik poczuli nagle silniejszy wstrząs. Wydawał się odległy, ale po nim nastąpiły kolejne, coraz bliższe.

Spojrzeni po sobie.

– A więc jednak to zrobili – z niedowierzaniem odezwał się Janiszewski. – Trochę za wcześnie. Może chcą nas zatrzymać?

– Prędzej by nas w ten sposób zabili, niszcząc przy okazji pociąg – odparł Graczyk. – To nie ma sensu. Nie wydaje mi się, żeby zamierzali zwalić nam i sobie na głowy całe wzgórce.

– Kto więc uruchomił detonator?

– Nie mam pojęcia. Ale musimy się spieszyć.

W chwilę później ujrzeli w świetle reflektorów wrota olbrzymiej bramy, lecz równocześnie ogarnął ich nadciągający z tyłu grom. Wstrząs, który nastąpił, był tak silny, że targnął całym wzgórzem. Wokół nich posypały się z pękającego stropu odłamy betonu. Po kilku sekundach dognała ich fala ciśnienia, a za nią nadleciały kłęby kurzawy, wypełniając szczelnie tunel. Graczyk nie miał wątpliwości, że podziemny dworzec przestał istnieć.

– Wszystko się wali! – krzyknął Janiszewski.

Graczyk obserwował to w lusterku wstecznym. Ładunki musiały być rozmieszczone również w tunelu, którym jechali, czuł bowiem następujące po sobie w regularnych odstępach czasu wstrząsy i widział, jak kolejne fale ciśnienia sprężają gęstniejącą chmurę pyłu. Mógł mieć tylko nadzieję, że pociąg okaże się szybszy i że konstrukcja tunelu jest na tyle solidna, by nie pozwolić na jego natychmiastowe zawalenie się. W szarym kurzu nie widzieli również niczego w przedzie. Zaciśnął dłonie na nastawniku jazdy.

– Niech pan się trzyma! – zawołał do Janiszewskiego. – Zaraz uderzymy.

Ujrzeli olbrzymie wrota zaledwie kilka metrów przed sobą i niemal w tej samej chwili gruchnęły w nie zderzaki lokomotywy. Tych kilkaset kilogramów stali, z jakich wykonano odrzwia, było niczym wobec setek ton rozpędzonej masy pociągu. Skrzydła bramy poszybowały w powietrze, jakby słoń kopnął plastikowy kubek. W kabinie lokomotywy nawet nie poczuli wstrząsu, a zgrzyt metalu utonął w ryku silnika i grzmocie walącego się stropu. W pół sekundy byli już na zewnątrz, gdzie oślepiło ich popołudniowe słońce. Z prędkością niemal stu kilometrów na godzinę przemknęli przez teren cegielni i staranowali kolejną bramę, przy wyjeździe z zakładu, lecz tego nawet by nie zauważyli, gdyby na chwilę odwrócili wzrok. Za nimi z tunelu już nikt nie wyjechał. I Graczyk był pewien, że nikt już nie wyjedzie.

– Rany boskie – odezwał się wreszcie Janiszewski. – Niech pan tego więcej nie robi.

– Postaram się. Ale muszę zrobić coś innego.

Poruszył dźwignią na pulpicie i ponad las wzbił się wysoki ton syreny. Janiszewski aż się wzdrygnął i spojrzał na niego z zaskoczeniem. Zdumiał go wyraz szczęścia na twarzy Graczyka.

– Zawsze chciałem to zrobić – wyjaśnił tamten.

Gdy stracili z oczu cegielnię, Graczyk zaczął stopniowo redukować prędkość. Nie chciał jeszcze się zatrzymywać, ale nie zamierzał też zjeżdżać z bocznicy na szlak, gdzie mógłby znaleźć się na tym samym torze, co inne pociągi. Nie wiedział wszakże, jak długa jest bocznicza. Nie widzieli również, gdzie się znajdują, bowiem w tym pędzie nie zdążyli nawet zobaczyć, co to za zakład. Janiszewski zgadywał wprawdzie, że są na wysokości Lubiechowa, a zakład, przez który przejechali, to stara cegielnia, zaznaczona na mapach tego obszaru, lecz pewności nie mieli.

Po zmniejszeniu obrotów silnik przestał tak mocno hałasować. Nie musieli już do siebie krzyżeć. Graczyk zaczął rozglądać się po kabinie, jakby dopiero teraz znalazł czas na zapoznanie się z pulpitem maszynisty, kiedy nagle obaj usłyszeli gwałtowny wzrost głośności silnika i niemal natychmiastowe wyciszenie. Podobnego wrażenia można doświadczyć otwierając i zamykając drzwi wagonu podczas jazdy pociągu. Stłumiony łoskot kół potężnieje wówczas, po czym wraca do poprzedniego poziomu.

Graczyk natychmiast pojął, że ktoś przeszedł przez drzwi przedziału maszynowego.

Wściekłość nieomal go sparaliżowała. Był bezradny; nic już nie mógł zrobić, od chwili, gdy ta dziwka uruchomiła zapalniki. Kopnął bezużyteczny detonator. Mógł ją zabić od razu, kiedy tylko schwymano ją i Rittera. Zgrzeszył nadmierną pewnością siebie.

Opanował się z trudem. Może jednak nie wszystko jeszcze stracone. Sekwencja burząca była tak pomyślana, żeby dworzec Fürstenstein i tunel wyjazdowy zostały zniszczone na samym końcu. Zainicjować sekwencję miał przecież z terenu cegielni, niejako na odhodnym, kiedy ciężarówki będą już gotowe do drogi. Istniała zatem niewielka szansa, że pociąg zdąży wyjechać na powierzchnię, jeśli maszynista, który niewątpliwie w jakiś sposób zneutralizował swojego strażnika i ruszył, będzie na tyle mądry, aby nieustannie przyspieszać. To będzie wyścig ze śmiercią, lecz bardziej od śmierci Martin Keller bał się utraty tego, co znajdowało się w wagonach. Nie pozwoli, aby osiągnięcia niemieckiej nauki ponownie przepadły w mrokach niepamięci; tym razem na dobre. Przejdzie do lokomotywy i zmusi maszynistę do zatrzymania pociąg, jak tylko stąd wyjadą. A potem, rzecz jasna, zabije go.

To było do zrobienia, lecz miał bardzo mało czasu. Zignorował leżącą nieruchomo Teresę, obiecując sobie, że zajmie się nią później, i zaczął gorączkowo szukać pistoletu, który, jak pamiętał, wpadł gdzieś między skrzynie. Znalazł go szybko, lecz w tej samej chwili poczuł pierwszy wstrząs. Był jeszcze słaby, ale Keller doskonale wiedział, co nastąpi dalej. Na broni się nie znał, lecz był przekonany, że potrafi strzelić z pistoletu, więc tylko wetknął go za pasek spodni i ruszył do wyjścia. Dwuskrzydłe drzwi ładunkowe wagonu nadal były otwarte na oścież. Przesuwały się za nimi coraz szybciej kamienne ściany tunelu. Nie był to widok zachęcający. Wagony szturmowe miały, co prawda, również drzwi w ścianach czołowych, lecz zastawione były one ciężkimi skrzyniami. Jedyna droga do lokomotywy wiodła więc górą, po dachach wagonów. Ryzyko było ogromne. Lecz niepodjęcie ryzyka oznaczałoby niewyobrażalną klęskę. Jeszcze bardziej niż perspektywa utraty na zawsze dorobku niemieckiego geniuszu przerażała go myśl – nie wiedzieć, dlaczego – komory gazowe. To rozjuszyło go jeszcze bardziej. Nie był idiotą; wiedział, że wiele niemieckich osiągnięć okupionych zostało cierpieniem i śmiercią. Lecz należało to do tych fragmentów przeszłości, których wolał nie pamiętać. I nie chciał, aby mu o nich przypominano.

Keller wychylił się za drzwi. Pęd powietrza nie był jeszcze zbyt silny; pociąg dopiero się rozpędzał. Znacznie uciążliwszy był hałas, ogłuszający wręcz w tej ciasnej, ograniczonej przestrzeni. Spalinowóz, z silnikiem pracującym na wysokich obrotach, niemiłosiernie dymił, a smród spalin przywiódł Kellerowi na myśl – nie wiedzieć, dlaczego – komory gazowe. To rozjuszyło go jeszcze bardziej. Nie był idiotą; wiedział, że wiele niemieckich osiągnięć okupionych zostało cierpieniem i śmiercią. Lecz należało to do tych fragmentów przeszłości, których wolał nie pamiętać. I nie chciał, aby mu o nich przypominano.

Dach wagonu szturmowego był lekko wypukły. Jego krawędź jednak – miejsce łączenia blach osłaniających burty z blachami poszycia dachu – tworzyła płytki gzyms, upstrzony potężnymi nitami. Chwycił go, oparł stopę na zawiasie drzwi i podciągnął się, po czym stanął już pewniej na górnej krawędzi drzwi i wpełzł na dach.

Tunel był wystarczająco wysoki, by mógł ustać na nogach; nic dziwnego, skoro miał się w nim zmieścić parowóz i wagony artyleryjskie. Świadomość, że pędzi z prędkością

kilkudziesięciu kilometrów na godzinę, z głową pod betonowym stropem, była wprawdzie przerażająca, lecz starał się o tym nie myśleć. Profil dachu nie uniemożliwiał, na szczęście, dość szybkiego poruszania się; inaczej przegrałby już na starcie. Przed sobą miał jeszcze jeden wagon szturmowy, dalej parowóz pancerny i wagon artyleryjski, i dopiero przed nimi znajdowała się lokomotywa, do której musiał dotrzeć. A nie zostało mu wiele czasu.

Dopiero teraz zauważył, że w pogoń za pociągiem ruszyły samochody. A więc jego ludzie zareagowali prawidłowo; także i to potwierdzało, że umiejętnie ich wyselekcjonował. Ich widoki były jednak marne. Keller wiedział, że lada chwila rozpocznie się prawdziwy kataklizm. Pancerny potwór, na którego grzbiecie jechał, miał szansę go przetrwać. Lekkie samochody raczej nie.

Jakby na zawołanie cały masyw wzgórze zatrząsnął się spazmatycznie. Wokół posypały się płyty betonu i skalne bryły, bębniąc o pancierz. Keller ruszył przed siebie niemal biegiem. Opuścił się po ścianie czołowej, przeskoczył ponad sprzęgiem i wspiął się na następny wagon szturmowy. Pokonał go w kilka sekund i w taki sam sposób dostał się na tender parowozu. Udało mu się to pomimo gęstniejącego z chwili na chwilę dymu i kurzu.

W skrzyni węglowej znajdował się ciągle węgiel, co sprawiło, że Keller poczuł, jakby przeniósł się w przeszłość. Tender łączył się niemal na tym samym poziomie z budką maszynisty, którą z kolei oddzielał zaledwie półmetrowy uskok od kotła. Wszystko obudowane było blachami pancernymi, co w gruncie rzeczy ułatwiało Kellerowi poruszanie się i utrzymanie równowagi. Pokonanie długości parowozu zajęło mu nieco więcej czasu niż wagonu; głównie z powodu kłębiących się wokół niego tumanów pyłu. Zeskoczył na przedni wózek i stamtąd przeszedł na zderzak wagonu artyleryjskiego. Tu sprawa była nieco trudniejsza, bowiem płyty pancerne zarówno ścian czołowych, jak i bocznych były pochylone; na szczęście między wieżą armatnią, a kazamatą znajdowała się szpara, dzięki której wieża mogła się obracać. Keller chwycił krawędź kazamaty i podciągnął się, a następnie w miejsce dłoni postawił stopę, zaś ręką chwycił się krawędzi wieży. Wieża była bowiem tak duża, że nie mógł jej obejść, lecz musiał przejść po niej.

Schodził z niej już niemal po omacku. Czuł się tak, jakby wpadł do wnętrza komina; w dodatku takiego, który zaczynał się walić. Przepelził przez centralną kopułę obserwacyjną, wystarczająco kanciastą, aby było to możliwe. Jakiś duży odłam betonu walnął w nią tuż po tym, jak zdążył się z niej zsunąć. Zobaczył wówczas tuż przed lokomotywą wylaniające się z kłębów kurzu wielkie odrzwia. Miał tylko tyle czasu, aby przypaść za przednią wieżyczką armatnią i chwycić się grubej lufy. Ostrożność ta okazała się niepotrzebna. Łączna masa pociągu była tak wielka w stosunku do masy bramy, że niczego nie usłyszał ani nie poczuł; nagle tylko zalało go jaskrawe, dzienne światło.

Pociąg wypadł z tunelu w ostatniej chwili. Keller nawet nie musiał się oglądać, by wiedzieć, że za kilka sekund nie zostanie tam kamień na kamieniu. Miał zadanie do wykonania, toteż całą uwagę skupił na dotarciu do lokomotywy. Dotąd nie zastanawiał się, jak dostać się do wewnątrz. Musiał zrobić to tak, aby zaskoczyć maszynistę. Był pewien, że tamten nie będzie się już spodziewał kłopotów. Ucieczka się przecież powiodła. Był bezpieczny. Uśmiechnął się sardonicznie. Jeszcze nie było za późno, aby uratować operację.

Przeskoczył na zderzak spalinowozu, chwytając się pałaka pod oknami kabiny. Następnie wspiął się na wąską półkę pod reflektorami. Mógł teraz zajrzeć do kabiny. Była pusta, czego się spodziewał, domyślając się, że maszynista kieruje pociągiem z przedniej kabiny. Na tyle się w tym orientował, by wiedzieć, że między obu kabinami musi istnieć przejście; niemożliwe, aby obsługa lokomotywy wysiadała z niej za każdym razem, kiedy trzeba było przejść z jednej kabiny do drugiej. Gdyby dostał się do kabiny, którą miał przed sobą, mógłby dotrzeć do tamtej i zaskoczyć maszynistę.

To nasunęło mu pomysł. Wyciągnął pistolet i uderzył kolbą w szybę czołową. W tym hałasie nie musiał się obawiać, że zostanie to usłyszane. Za słabo. Uderzył raz jeszcze i

wówczas szyba rozprysła się. Uderzył jeszcze kilkakrotnie, aby usunąć resztki szkła, a następnie wcisnął się do środka, lądując na pulpicie pomocnika. Stanąwszy na podłodze, ponownie wyciągnął broń i otworzył drzwi kabiny. Na środku przeciwnej ściany przedsionka znajdowały się kolejne drzwi, za którymi widać było przedział maszynowy, z potężnym, dudniącym silnikiem diesla. Między blokiem silnika i innymi urządzeniami a ścianami bocznymi lokomotywy biegły wąskie przejścia. Wyglądało na to, że będzie musiał pójść tamtędy.

Wybrał przejście z lewej strony, na którego końcu widniały drzwi wyjściowe. Wpatrywał się w nie uważnie, trzymając broń w pogotowiu. Było straszliwie duszno i gorąco. Przytłoczony hałasem czuł się, jak mysz uwięziona pod maską jadącej ciężarówki. Za drzwiami był niewielki przedsionek i dopiero za nim kolejne drzwi, do kabiny maszynisty. Nikogo tam jeszcze nie widział, ale w przedsionku ujrzał coś, co nim wstrząsnęło. Dwa ciała leżały niemal jedno na drugim, skulone w ciasnej przestrzeni. Po kombinezonie rozpoznał jednego ze swoich ludzi; zapewne tego, który miał pilnować maszynisty. Najgorsze jednak było to, że zwłoki maszynisty leżały obok.

Kto zatem prowadził pociąg?

Niewiele razy w życiu Keller czuł się tak zaskoczony i zbity z tropu. Czy lokomotywa mogła jechać sama? Nie miał zielonego pojęcia. Czy mogło być tak, że maszynista uruchomił lokomotywę, a ochroniarz próbował go powstrzymać i wzajemnie się pozabijali, zaś pociąg dalej jechał? Wskazywałby na to fakt, że niedaleko ciała ochroniarza leżał jego pistolet. Gdyby zabił ich ktoś trzeci, z pewnością zabrałby broń. Chyba że miałby własną. Ta myśl go zmroziła.

Wiedział, że zaglądając przez szybę do przedsionka nie rozstrzygnie tego dylematu. Musiał zajrzeć do kabiny maszynisty. Uniósł pistolet i wycelował w okienko drzwi kabiny. Ktokolwiek się tam pokaże, on musi być szybszy. Ostrożnie uchylił drzwi.

Janiszewski wstał.

– Sprawdź to – powiedział. – Może któryś z nich jednak żyje. Proszę zostać przy kierownicy.

– Wątpię. A to nie kierownica. Niech pan uważa.

Huk wystrzału na moment zagłuszył monotony klekot silnika. Odłamki szkła zasypałyabinę, kiedy kula przebiła szybę w drzwiach i trafiła Janiszewskiego w bark. Rzuciło nim na pulpit, co sprawiło, że następny pocisk, być może wymierzony w jego głowę, roztrzaskał przednią szybę lokomotywy. Do kabiny wdarł się gwałtowny podmuch gorącego powietrza. Jeszcze jeden strzał i kula ugodziła Janiszewskiego w pierś. Osunął się na podłogę.

Graczyk siedział jak sparaliżowany, z dłońmi na nastawniku jazdy. Nagłość wydarzeń zupełnie go oszołomiła. Przemknęło mu, że strażnik, którego uderzył czajnikiem, rzeczywiście chyba jednak przeżył, a oni, w swojej głupocie i niefrasobliwości, zostawili mu broń. To było jedyne logiczne wyjaśnienie, dlatego gdy w drzwiach stanął zupełnie mu nieznany mężczyzna, zdębiał.

Keller był nie mniej zdumiony. Nie spodziewał się nikogo więcej, a w dodatku to był ten polski policjant, którego dokumenty oglądał w Mullen Berg. Znów on!

– *Du!* – wybuchnął. – *Hände hoch!*

Jak każdy Polak, wychowany na filmach wojennych, Graczyk doskonale rozumiał to polecenie. Podniósł ręce.

Keller wyglądał strasznie. W przepoconej koszuli i brudnych spodniach, zakurzony i usmarowany siedemdziesięcioletnią farbą maskującą, współczesnym olejem napędowym i ponadczasową rdzą, sprawiał wrażenie szalonego eksploratora, który przemierzył kilometry tuneli cały czas się czołgając.

Lecz w jego oczach nie było szaleństwa. Tylko gniew.

– *Bremse den Zug ab!* – warknął.

Obawiając się, że Graczyk nie rozumie, usiłował wytłumaczyć to na migi. Ale Graczyk domyślił się, o co chodzi. Zwlekał jednak, aż ujrzał kątem oka, że na pulpicie zaczęła migać czerwona kontrolka czuwaka. Po trzech sekundach zabrzmiał sygnał i Keller, zaskoczony, spojrzął w tamtym kierunku. Graczyk sprężył się, wiedząc, co zaraz się stanie. Po dwóch następnych sekundach automat zainicjował nagłe hamowanie pociągu. Graczyk spodziewał się, że przy tej prędkości i masie składu efekt będzie dość gwałtowny.

Nie mylił się; szarpnięcie było silne. Lecz Keller nie stracił równowagi. Zachwiał się jednak i zbyt późno pociągnął za spust, gdy Graczyk runął na niego całym ciałem, niczym zawodnik rugby. Pocisk utkwiał gdzieś w ścianie kabiny, ale Keller był roslym mężczyzną, niewiele lżejszym od Graczyka, zdołał więc utrzymać się na nogach. Odepchnął Graczyka i chciał strzelić ponownie, nie zauważywszy wcześniej, że suwadło pistoletu pozostało cofnięte, co oznaczało, że w magazynku nie ma już nabojów.

Po raz kolejny tego dnia Keller przeżył niemiłe zaskoczenie. Magazynek powinien być prawie pełen. Ta polska dziwka oddała tylko jeden strzał, a on sam zaledwie cztery. W takich magazynkach mieściło się kilkanaście nabojów. Jak to więc możliwe? Nie mógł wiedzieć, że

kiedy Teresa zabierała pistolet strażnikowi, zabitemu przez Rittera w piwnicy z bojlerami, magazynek był już niemal pusty. Nie sprawdził tego.

Graczyk wykorzystał wahanie Kellera, aby znów go zaatakować. W ciasnocie kabiny łatwiej było wejść w zwarcie niż walczyć z dystansu. Dodatkowy problem stanowiło ciało Janiszewskiego. Graczyk był pewien, że tamten jest martwy, ale myśl, że któryś z nich mógłby na niego nadepnąć, budziła w nim odrazę. Przypominając sobie jak przez mgłę strzępki policyjnego szkolenia sprzed lat i chwytty obezwładniające, których bez większego powodzenia usiłowano go nauczyć, próbował założyć dźwignię na ramię Kellera. Osiągnął tylko tyle, że tamten wypuścił pistolet, i tak już przecież bezużyteczny, po czym chciał odepchnąć Graczyka. Ten jednak przyparł go do pulpitu, na co Keller uderzył go pięścią w twarz. Zadany z bardzo bliska cios nie mógł być silny, ale z nosa Graczyka pociekła krew, choć wcale nie poczuł bólu. Skupił uwagę na drugiej ręce Kellera, chcąc ją wykręcić, a jeśli będzie trzeba – nawet złamać. Keller wił się i szarpał; w końcu zapał się nogą o pulpit i odepchnął. Z Graczykiem za plecami runęli na fotel maszynisty. Keller uderzył Graczyka łokciem, tym razem trafiając go w usta, i poderwał się na nogi. Graczyk kopnął go, posyłając w drugi koniec kabiny. Keller wpadł na drzwi. Graczyk nie pozwolił mu odzyskać równowagi. Tym razem nie bawił się w wyrafinowane chwytty – zamaszystym prawym sierpowym trafił tamtego w bok głowy. Keller przeleciał przez niedomknięte drzwi i upadł w przedsionku, między leżącą tam ciała. Cios nie pozbawił go przytomności, choć na moment go oszołomił. Zaraz jednak zaczął się podnosić, a na jego twarzy pojawił się wyraz triumfu.

Graczyk podążył za jego spojrzeniem i zauważył pistolet leżący przy ciele ochroniarza. Zupełnie o nim zapomniał. Teraz było już za późno. Wiedział, że nie zdąży przed Kellerem.

I nagle go olśniło. Porwał plecak Janiszewskiego, leżący przy pulpicie pomocnika, i rzucił się na podłogę, w kąt za fotelem maszynisty. Grzebiąc gorączkowo w plecaku namacał dużą, skórzaną kaburę, w której tkwił colt walker. Chwilę zmagął się z jej zapięciem, po czym chwycił drewnianą kolbę i wyszarpnął rewolwer. Był tak wielki i ciężki, że gdyby Keller nie był uzbrojony, Graczyk mógłby użyć rewolweru jako maczugi. Wyciągnął lufę w kierunku drzwi i odwiódł kurek. Niełatwo było utrzymać colta nieruchomo, ale odległość była tak mała, że nie miało to znaczenia. Miał nadzieję, że nawet jeśli Keller usłyszał dźwięk napinania kurka, to go nie rozpoznał. Oby nie był miłośnikiem westernów.

Austriak musiał odzyskać pewność siebie. Graczyk czuł, że tamten nie będzie się spieszył i przyjdzie go zabić, jak po swoje. Pociąg, przy pisku hamulców, już się niemal zatrzymał, a o to przecież tamtemu chodziło, kimkolwiek był i skądkolwiek się wziął. Niemalże wygrał; jedynie Graczyk stanowił ostatnią przeszkodę.

Usłyszał kroki. Nie był pewien, czy tamten otworzy drzwi, czy zajrzy przez wybitą szybę. Dziewięciocalowa lufa rewolweru tańczyła w powietrzu. Graczyk czuł pulsowanie krwi w skroniach i pieczenie rozbitych warg. Strzelił za szybko, jak tylko zobaczył pistolet i głowę Kellera, usiłującego rozejrzeć się po kabinie.

To było jak wystrzał z armaty; w dodatku armaty trzymanej w rękę. Dłonią Graczyka targnęło, jakby miał w niej młot, który odbił się od kowadła. Kula chybiła, lecz jej uderzenie w ościeżnicę, tuż przy głowie Kellera, ogłuszający huk i chmura czarnego dymu podziałały na tamtego jak cios. Odskoczył od drzwi i potknął się o ciało Ławniczaka. Nim zdążył odzyskać równowagę, Graczyk znalazł się przy drzwiach. Odwiódł kurek, wyciągnął rękę przez okno i kiedy długa lufa colta znalazła się niespełna metr od piersi Kellera, pociągnął za spust. Impet kuli cisnął tamtego na ściankę oddzielającą przedsionek od przedziału maszynowego. Ostra woń prochu wypełniła pomieszczenie. Graczyk nie czekał, by ocenić skutki wystrzału. Strzelał dalej, raz za razem, aż poczuł, że kurek rewolweru nie chce się cofnąć. Coś musiało się zaciąć.

Ale było już po wszystkim. Keller osunął się po ścianie i pozostał tak, pólśiedząc, a na jego piersi coraz szerzej rozlewała się ogromna plama krwi. Wyglądał jak rozstrzelany przez pluton egzekucyjny. Graczyk poczuł mdłości, lecz nie miał czym zwymiotować. Tylko kwaśny smak w ustach i nagła słabość świadczyły o reakcji na wcześniejszy nagły wyrzut adrenaliny.

Usiadł na podłodze obok ciała Janiszewskiego i odłożył rewolwer. Wpadający przez wybite okno wiatr powoli rozpraszał ciemny dym prochowy. Pociąg stał już od jakiejś chwili. Graczyk nie wiedział nawet, gdzie się zatrzymali. Był potwornie zmęczony. Czuł, że nikt i nic nie zmusi go do najmniejszego nawet wysiłku.

Zrozumiał, jak bardzo się myli, kiedy usłyszał jęk Janiszewskiego.

Sformułowanie „obudziła mnie cisza” Teresa zawsze uważała za tani chwyt literacki. A jednak może coś w tym było, skoro ocknęła się właśnie teraz?

Cisza nie była wprawdzie idealna, ale pociąg stał w miejscu, choć słyszała odległy klekot, jakby silnik lokomotywy wciąż pracował. Pociąg! Mgła zasnuwająca jej pamięć zaczęła się z wolna rozplýwać. Rozejrzała się. Była sama w wagonie z urządzeniem, które pokazywał im Keller. Keller! Co się z nim stało? Zniknął; może wypadł z pociągu, jak Ritter. Podniosła się i zaczęła myszkować wśród skrzyń. Nie znalazła pistoletu. Mógł, co prawda, wsunąć się gdzieś dalej, ale jakoś w to nie wierzyła. A więc to Keller go zabrał i co potem? Wypadł razem z nim? A może wyszedł, kiedy pociąg się zatrzymał?

Trudno było znaleźć odpowiedzi na te pytania, skoro nie miała pojęcia, jak długo pociąg już stoi i jak długo była nieprzytomna. Wydawało jej się, że słyszała wizg hamulców, ale czy było to tuż przed jej powrotem do świadomości, czy wcześniej, nie była pewna.

Nagle, jak obuchem, uderzyła ją myśl, że nie zwróciła uwagi na najważniejsze – że pociąg ocalał i w dodatku znajduje się na powierzchni. Jak udało mu się wydostać? Czyżby detonator nie zadziałał i nie wysadziła tunelu w powietrze? Ale reakcja Kellera była jednoznaczna; widziała w jego oczach, że nastąpi katastrofa. Pociąg wszakże stał spokojnie gdzieś wśród łagodnych, zalesionych wzgórz. A to oznaczało, że jej cel nie został osiągnięty i że wciąż trzeba go zniszczyć. Tylko jak?

Pozostając w wagonie niewiele mogła wskórać. Musiała rozejrzeć się w sytuacji. Kiedy wysiadła, zaskoczył ją spokój panujący wokół. Nie tego się spodziewała po tym wszystkim, co wydarzyło się wcześniej. Pociąg, na pierwszy rzut oka nietknięty, stał na długim łagodnym łuku torów, niknących gdzieś między drzewami porastającymi stoki niewysokich wzgórz. Miejsce wydawało się zupełnie anonimowe. Lokomotywa w przedzie terkotała rytmicznie na jałowym biegu. Nie widziała żadnych ludzi. Zupełnie jakby stała obok pociągu widma.

Ale lokomotywy same nie ruszają. Keller wydawał się bardzo zaskoczony, kiedy to nastąpiło, więc to nie mógł być zaplanowany odjazd. Ktoś, kto uruchomił spalinowóz, musiał działać na własną rękę. A, jak to mówią, wróg mojego wroga jest moim przyjacielem. Tym niemniej zbliżała się do lokomotywy ostrożnie. Jej niepokój wzrósł, gdy ujrzała wybite okno w tylnej kabinie; wyglądało to jak samochód po włamaniu. Doszedłszy do przednich drzwi zawahała się. Nie dostrzegła w środku żadnego ruchu, ale stojąc nisko, na ziemi, miała niewielkie szanse, aby zobaczyć coś w wysoko umieszczonej kabinie. Musiała otworzyć drzwi. Wcześniej jednak zajrzała na przód lokomotywy. Tutaj również jedno z okien było wybite. Zdumiała ją ta dziwna symetria. Ale nie, nie było symetrii. Zauważyła na reflektorach i zderzakach drobne okruchy szkła, co oznaczało, że szybę wybito od wewnątrz. Przy tylnej kabinie tego nie było. Czyli ktoś wszedł tylnym oknem, przeszedł przez całą lokomotywę i wyszedł przednim? Brzmiało to idiotycznie.

Mogła to tylko w jeden sposób wyjaśnić. Wspięła się na stopnie, otworzyła drzwi i omal nie spadła. Nie tego się spodziewała. Tuż przed nią, na wyciągnięcie ręki, leżały ciała. Były w tak dziwaczny sposób ułożone w ciasnej przestrzeni, że w pierwszej chwili nie była w stanie ocenić, ile ich jest. Natychmiast wszakże rozpoznała Kellera. To był okropny widok;

ktoś go dosłownie zmasakrował. Pomimo przyływu ulgi i satysfakcji, musiała odwrócić wzrok. Nie był to jednak koniec zaskoczeń.

– Kogo tam znów diabli niosą, do cholery? – usłyszała zmęczony głos. Mówiący po polsku.

Wspięła się po stopniach. Ujrzała dwóch mężczyzn siedzących na podłodze kabiny maszynisty. Jeden właściwie pólleżał i wyglądał na ledwie przytomnego; drugi odpoczywał. Najwyraźniej skończył właśnie opatrywać rany tamtego; na pulpicie poniewierała się rozbebeszona apteczka. Kabina wyglądała zresztą niczym pobożowisko.

– A skąd pani się tu wzięła? – mruknął Graczyk. Sprawiał wrażenie człowieka tak zmęczonego, że nie dziwiącego się już niczemu.

– Z wagonu – odparła.

Uniósł brwi.

– Nie wiedziałem, że pociąg wiezie pasażerów. Jest tam was więcej?

– Tylko ja.

– Chwała Bogu. A co tam pani robiła?

– Zostawił mnie tam, nieprzytomną, ten człowiek – wskazała na zwłoki Kellera. – Pan go zabił?

– Niestety, tak.

– Nie ma pan pojęcia, jak mnie to cieszy. Kto prowadził pociąg? Jak to się stało, że pociąg wyjechał z tunelu? Nie było wybuchu?

– Był, i to nielichy. Wszystko się zawaliło. Nie ma już podziemnego dworca ani tunelu. Pewnie wszyscy zginęli. A lokomotywę uruchomiłem ja.

– Jest pan maszynistą?

– Nie, policjantem.

Uśmiechnął się widząc jej minę.

– Jestem kolejarzem-hobbystą. A że akurat nie miał kto tego zrobić...

Wyglądała na zaskoczoną.

– Nie sądziłam, że policja już pracuje nad tą sprawą.

– Jestem tu w zasadzie prywatnie. A pani?

– Też coś w tym rodzaju.

– Ciekawe. Kim jest ten człowiek? – spojrzał na martwego Kellera. – Dlaczego był w pociągu i dlaczego, do cholery, chciał nas pozabijać?

– To Martin Keller, prezes austriackiej firmy remontującej Książ. Ale to tylko przykrywka. Tak naprawdę kierował grupą, która chciała odzyskać to, co znajduje się w pociągu. A pan im przeszkodził. Kiedy pociąg ruszył, Keller pokazywał nam coś w wagonie. Mnie i mojemu przyjacielowi, który zginął... – urwała. – Wpadł pod pociąg.

– Pokazywał wam coś?

– Byliśmy jego więźniami. To długa historia, a my nie mamy czasu.

– Trochę mamy, zanim zjawi się pogotowie, które właśnie zamierzałem wezwać – pokazał jej trzymaną w ręku komórkę. – Karetka tu nie dojedzie, więc chyba będą musieli przysłać helikopter.

Zmarszczyła brwi.

– Właśnie dlatego nie mamy czasu. Pociąg trzeba zniszczyć.

Przypatrywał jej się przez chwilę, niepewny, czy mówi poważnie.

– Przykro mi, ale na dzisiaj mam dość niszczenia i zabijania – zażartował.

Nie podchwyciła dowcipnego tonu.

– W tym pociągu jest coś, co musi być zniszczone!

– Cokolwiek to jest, Niemcy już tego nie dostaną. Jest w naszych rękach.

– W naszych też nie powinno się znaleźć.

– A cóż to takiego?

– Coś bardzo niebezpiecznego. Coś, o czym świat nie wiedział przez siedemdziesiąt lat i czego mu nie brakowało. Niech tak zostanie.

Westchnął. Wyglądało na to, że nic więcej mu nie powie.

– Nawet jeśli tak, niech o tym zadecydują inni.

Już mówiąc to czuł, że dyskusja nie ma sensu. Świadczyły o tym jej zaciśnięte usta. Zapewne była niespełna rozumu. Lub też człowiek, którego zabił, niechcący ją przestraszył. Z niedowierzaniem patrzył, jak wyjmuje pistolet z dłoni Kellera.

– Nie pozwolę na to – warknęła.

– No nie – zachnął się. – To chyba jakiś żart.

– Jestem śmiertelnie poważna. Niech pan siada w fotelu maszynisty i robi, co powiem.

– A jeśli nie? Zastrzeli mnie pani? Kto wówczas poprowadzi pociąg?

Pokiwała głową.

– Ma pan rację. Ale jeśli pan tego nie robi, nie pozwolę panu wezwać pogotowia i pański przyjaciel umrze. Będzie pan na to patrzył.

– Nie robi pani tego.

– Niech mi pan wierzy, że po tym, co dzisiaj przeżyłam, nie zawaham się.

Odciągnęła suwadło pistoletu sprawdzając, czy w komorze znajduje się nabój. Graczykowi nie umknęło, że zrobiła to z wprawą.

– Kim pani jest?

– Nauczycielką. Proszę mi oddać telefon.

Wyciągnął rękę.

– Niech pan rzuci.

– Rany boskie! – wybuchnął. – Czy pani ma dobrze w głowie? Gdzie pani pracuje? W szkole dla paranoików?

– Zdziwiłby się pan wiedząc, z iloma wrednymi typami miałam ostatnio do czynienia. Wolę być ostrożna.

Cisnął jej komórkę i wstał.

– No dobrze. Jak pani to sobie wyobraża? Jak chce pani zniszczyć pociąg stojący w polu?

– Powiedział pan, że tunel się zawalił. Zna pan zasadę młota i kowadła? Pociąg będzie młotem, a zawalony tunel kowadłem.

– Pani bredzi.

– Tak pan sądzi? Proszę ruszyć do tyłu i rozpędzić pociąg. Resztę zrobi zawalona brama tunelu. Do zniszczenia ładunku w wagonach chyba wystarczy, jeśli uderzymy w skały z maksymalną prędkością?

– My?!

– Mam na myśli pociąg. Niech pan się nie obawia; nie każę panu zgrywać kamikadze. Opuścimy pociąg... W swoim czasie. Muszę mieć pewność, że ładunek zostanie unicestwiony.

– Tak, tak, a Kartaginę należy zniszczyć... Skąd ja to znam? – zmęczenie walczyło w nim z irytacją. Wygrało zmęczenie. – Zrobię to pod jednym warunkiem. Najpierw wyniosę stąd przyjaciela; on nie będzie mógł wyskoczyć w biegu.

Kiwnęła głową.

– Zgoda, byle szybko.

– A co z nimi? – wskazał na ciała w przedsionku.

– Nie ma czasu. Niech tu zostaną. I tak są martwi.

– Twardy z pani belfer.

– Tego wymaga praca w gimnazjum.

Ułożywszy półprzytomnego Janiszewskiego na trawie, Graczyk wrócił do kabiny i zasiadł w fotelu maszynisty. Przez cały czas bił się z myślami. Kobieta z pewnością nie miała pojęcia o zasadzie działania czuwaka. Nie mogła wiedzieć, że gdy opuszczą lokomotywę, po kilkudziesięciu sekundach automat włączy hamowanie. Zastanawiał się, jak wykorzystać ten fakt. Czuwak aktywował się samoczynnie po przekroczeniu przez lokomotywę prędkości dziesięciu kilometrów na godzinę i maszynista miał tylko kilkanaście sekund na to, aby skasować jego sygnał. Potem sygnał włączał się co minutę. Brak reakcji maszynisty skutkowało niemal natychmiastowym hamowaniem. Gdyby udało mu się tak wszystko zaaranżować, aby wyskoczyli przed kolejnym włączeniem się sygnału, pociąg nie zdołałby dojechać do cegielni.

Było w tym jednak kilka niejasnych punktów. A co, jeśli kobieta orientowała się w tajnikach pracy maszynisty na tyle, by wiedzieć o czuwaku? Co, jeśli pociąg zacznie hamować zbyt szybko i wszystko się wyda? Nie wierzył, aby była zdolna go zastrzelić, ale faktycznie mogła uniemożliwić wezwanie pomocy do Janiszewskiego.

Uznał, że nie powinien ryzykować. Cokolwiek było w pociągu, nie wolno mu stawiać na szali niczyjego życia.

Wstał.

– Muszę zrobić jeszcze jedną rzecz zanim ruszymy.

– Co takiego?

– Trzeba wyłączyć czuwak, czyli system, który automatycznie zatrzymuje pociąg, gdy maszynista nie naciśnie po każdej minucie odpowiedniego przycisku. Inaczej lokomotywa daleko sama nie zajedzie.

– Umie pan to wyłączyć?

– Tak sędzę. Jest specjalny wyłącznik, montowany w tych lokomotywach w trakcie ich modernizacji. Wymaga to zerwania plomby, ale tym nie musimy się martwić.

Otworzył szafę elektryczną w przedsionku; pod baczny spojrzeniem Teresy. Odnalazł białe pudełko, wielkości gniazdka do prądu, i zerwawszy plombę uniósł pokrywkę. Pod nią znajdował się okrągły czarny przełącznik. Obrócił go w pozycję OFF, wyłączając czuwak, co zostało potwierdzone zapaleniem się czerwonej kontrolki.

– Gotowe.

– Ma nadzieję, że nie wpuszcza mnie pan w maliny.

– Spokojnie. Jedziemy, by tak rzec, na tym samym wózku.

Pozostałe czynności wykonał już niemal odruchowo. Odhamował skład, przesunął nastawnik kierunku w położenie jazdy do tyłu, a nastawnik jazdy na pozycję numer jeden. Lokomotywa drgnęła i ospale zaczęła się cofać, jak tłok, który rozpoczął ruch wstecz, pchając przed sobą tony stali. Graczyk szybko zmieniał położenia nastawnika i pociąg wyraźnie przyspieszał. Wreszcie koło nastawnika zatrzymało się na ostatniej pozycji.

– Musimy skakać – powiedział. – Prędkość będzie szybko rosła. Później nie damy rady.

– Czy pociąg będzie dalej jechał sam?

– Tak.

– Nikt i nic go nie zatrzyma?

– Na pewno nie.

Oddała mu telefon i odsunęła się od drzwi.

– Dobrze. Niech pan wyskakuje.

Zamarł.

– Jak to? A pani?

– Proszę się o mnie nie martwić. Radzę skakać.

Graczyk wahał się tylko chwilę. Zbyt wiele się ostatnio wydarzyło, aby mógł wykrzesać z siebie chęć ratowania kogoś na siłę. Był już tym wszystkim śmiertelnie zmęczony. Wcisnął telefon do kieszeni i otworzył boczne drzwi. Zszedł na najniższy stopień i zeskoczył przodem do kierunku jazdy, uginając nogi i obracając się bokiem. Upadł i potoczył się po trawie. Nadwerężyło to do reszty jego niemłode już kości.

Nim jeszcze wstał, popatrzył za pociągiem. Widać było, że szybko przyspiesza; dudnienie silnika niosło się po zielonych wzgórzach. Sądził, że w wybitym oknie znikającej za zakrętem lokomotywy ujrzy tę kobietę, ale nie było jej tam. Teraz, kiedy znajdował się już bezpiecznie na twardym gruncie, trudno było uwierzyć, że to wszystko wydarzyło się w rzeczywistości.

Lecz nie był to jeszcze koniec. Zmusiwszy się do ciężkiego truchtu ruszył z powrotem; tam, gdzie zostawił Janiszewskiego. Po kilku minutach był na miejscu. Janiszewski zdawał się spać. Graczyk opadł ciężko na trawę obok niego. Starając się uspokoić oddech wybrał na klawiaturze telefonu numer 112.

– Co się dzieje? – dobiegł go słaby głos Janiszewskiego.

Graczyk popatrzył na niego. Prowizoryczne opatrunki, jakie mu założył, przesiąkły krwią, ale wydawało się, że już jej nie przybywa. Kolejowa apteczka bardzo się przydała, choć pewnie lekarz kręciłby nosem na jej skromną zawartość. Być może jednak uratowała Janiszewskiemu życie.

– Dzwonię na pogotowie – odparł.

W słuchawce odezwał się nagrany komunikat, informujący o połączeniu z numerem alarmowym.

– Czy była tu jakaś kobieta? – wymamrotał Janiszewski. – Zdaje mi się, że słyszałem kobiecy głos.

– Była. Już jej nie ma.

– Serio? A gdzie się podziała?

– Jak by to powiedzieć... – Graczyk spojrział w stronę, skąd nadbiegł odległy, łagodny jak pomruk nadchodzącej burzy, przeciągły huk. – Udało jej się złapać pociąg.

Epilog

Janiszewski nie bez trudu usadowił się na siedzeniu policyjnego land rovera. W szpitalu połatali go całkiem skutecznie, ale nadal bolało go w miejscach tak dziwnych, że miały tylko łacińskie nazwy.

Głośno by tego nie przyznał, ale ucieszyło go, gdy Graczyk zaproponował, że po niego przyjedzie.

– Nie kupił pan sobie jeszcze nowego auta? – zakpił.

– Niedługo będę musiał – odparł Graczyk. – To, co wyciągnięto z szybu Osówki, nadaje się tylko na dekorację do filmu katastroficznego. Czasami mam zresztą wrażenie, że to wszystko było filmem.

– Ale zabrakło szczęśliwego zakończenia.

– Czy ja wiem? Żyjemy.

– Ale wszystko inne przepadło.

– Fakt.

– A pan się do tego przyczynił.

– To też fakt.

– Cóż, nie ma co płakać po rozlanym mleku. Dziękuję, że uratował mi pan życie.

– Nie ma sprawy.

Janiszewski wyglądał przez boczne okno na ulice Wałbrzycha. Graczyk czuł, że jeszcze nie przestał drążyć tematu.

– Tak kobieta była naprawdę tak przekonująca?

Graczyk uśmiechnął się pod nosem.

– Strasznie to pana męczy. Owszem, była przekonująca.

– Co się z nią stało?

– Nie mam pojęcia. Na miejscu katastrofy nikogo takiego nie znaleziono. Nie wiem nawet, kim była. Po prostu zniknęła.

– Ludzie nie znikają.

– Zdziwiłby się pan, ile policja ma zgłoszeń o zaginięciach.

– To co innego.

– Być może. Ale dla nas to bez różnicy.

– A co na jej temat sądzą pańscy przełożeni?

– Nic. Nie powiedziałem im o niej.

Janiszewski spojrział na niego z zaskoczeniem.

– To jak pan się z tego wytłumaczył?

– Podałem uproszczoną wersję wydarzeń. Zasugerowałem, że być może któryś z napastników, uznany przez nas za martwego, odzyskał przytomność i ruszył lokomotywą, kiedy na zielonej trawce opatrywałem pańskie rany. Chciał wrócić do cegielni, ale być może nie wiedział, że tunel się zawalił, i spowodował katastrofę.

– Uwierzyli?

– Musieli. Co prawda kręcili nosami, że wszystkie ciała znajdowały się w przedsionku, a nie w kabinie, i tak dalej, ale co mogli zrobić? Zresztą, czy sądzi pan, że

łatwiej uwierzyliby w nauczycielkę terroryzującą mnie przy użyciu pistoletu i odjeżdżającą pociągiem skazanym na zagładę? Sam bym w to nie uwierzył.

– Rzeczywiście, brzmi absurdalnie. Był pan na miejscu katastrofy?

– Owszem, jak tylko pana zabrali pojechałem tam z ekipą wałbrzyskiej policji. Nie miałem zresztą innego wyjścia, jako jeden z uczestników tej afery. Wtedy już było wiadomo, że ma ona szerszy zasięg. Sam Turski był świadkiem wybuchu i osunięcia się ziemi nad szybem komunikacyjnym w Książu, więc już nie mógł dłużej lekceważyć całej sprawy. Okazało się, że wstrząsy były odczuwalne także w całym masywie między Walimiami a Głuszcą. W wielu miejscach ziemia osiadła, podobnie jak w Książu. Prawdopodobnie Centrum i hal produkcyjnych, które widzieliśmy, już nie ma. Nie sądzę, aby zamierzano to oficjalnie potwierdzić, bo i tak nie wierzono w ich istnienie.

– My znamy drogę.

Graczyk z powątpiewaniem potrząsnął głową.

– Byłem tam. Ziemia się obsunęła i szyb wygląda na zasypany. Trudno powiedzieć, czy dałoby się to odgruzować.

– Jest jeszcze ściana przy Jeziorze Łabędzim, za którą znaleźliśmy komorę ze zwłokami więźniów. Można byłoby się przez nią przebić.

– Niemożliwe. Udostępnione turystom tunele też ucierpiały. Zostały bezterminowo zamknięte z powodu groźby zaważenia. Nie sądzę, aby udało się zdobyć pozwolenie na tak inwazyjną eksplorację. W każdym razie nieprędko.

– A jak to wyglądało w cegielni?

– Z wagonów szturmowych, dość lekko opancerzonych, pozostała tylko masa poskręcane żelastwa. Były najbardziej narażone. Wagony artyleryjskie, znacznie ciężiej opancerzone, mniej ucierpiały, ale przez to cała energia zderzenia poszła właśnie na wagony szturmowe. W dodatku zapaliło się rozlane paliwo, co się czasem zdarza. Z dokumentacji ocalały tylko jakieś strzępy papieru. Eksperci będą mieli przy nich zajęcie na całe lata. Reszta ładunku jest w kawałkach; rzecz jasna to, co nie spłonęło. A nie ma tego wiele.

– Co właściwie znajdowało się w pociągu?

– Na razie nie wiadomo.

– Jechaliśmy nim i nie zdążyliśmy sprawdzić. Nigdy sobie tego nie daruję.

– Cóż, tak się złożyło.

– Dlaczego tej kobiecie tak zależało na zniszczeniu pociągu?

– Nie pociągu, tylko ładunku. Nie mam pojęcia. Uważała, że stanowi jakieś zagrożenie. Więcej nie chciała powiedzieć.

Janiszewski zamilkł. Graczyk rozumiał go. Przez całe życie poszukiwał dowodów i odpowiedzi, a kiedy je znalazł, los nie pozwolił mu się nimi nacieszyć. Paskudny pech.

– Aresztowano jakichś ludzi z tej niemieckiej szajki?

– Formalnie rzecz biorąc, austriackiej – sprostował Graczyk. – Właściwie nie. Tylko kilku robotników z Książa i paru ochroniarzy z cegielni, ale oni nie byli w nic wtajemniczeni. To zwykli pracownicy firmy, element przykrywki. Ludzie w podziemiach najprawdopodobniej zginęli.

– No tak – skomentował zgryźliwie Janiszewski. – Zatarliśmy ślady lepiej, niż zrobili to sami Niemcy w czterdziestym piątym. Na amen.

– Nie my je zacieraliśmy.

– Nie mówię o nas dwóch, tylko ogólnie, o wszystkich. Zresztą my też pokpiliśmy sprawę; niech pan nie zaprzecza.

– Nie zamierzam.

Janiszewski pomasażował sobie ramię.

– Jak ręka? – zainteresował się Graczyk, chcąc zmienić temat.

– W porządku. Jeszcze trochę i będę mógł wybrać się na strzelnicę. A właśnie, co z moim coltem? Pewnie bardzo się zdziwili, gdy znaleźli w ciele tego Austriaka ołowiane kule z dziewiętnastowiecznej broni.

– Leżał w zniszczonej kabinie lokomotywy, ale jest cały. Znajduje się w policyjnym depozycie, jako dowód rzeczowy.

– Dowód rzeczowy czego?

– Jeszcze tego nie wiedzą – Graczyk uśmiechnął się nie bez złośliwości. – Wahają się, czy uznać, że strzelałem w obronie własnej, czy oskarżyć mnie o zabójstwo. Odzyskam go dla pana, jak tylko wrzawa trochę ucichnie. Chociaż raz wykorzystam swoją wysoką pozycję prowincjonalnego komisarza.

– Będę wdzięczny. To dobra broń.

– Fakt. Przydał się.

– Nadal jest pan komisarzem? Sądziłem, że ma pan awans w kieszeni.

– No cóż, moja rola w tej sprawie nie jest dla moich przełożonych zbyt jasna. Mówiąc szczerze, chętniej by mnie zdegradowali, niż awansowali, ale prasa okrzyknęła nas bohaterami, więc im nie wypadalo. Wszystko zostało zatem po staremu.

Janiszewski milczał dłuższą chwilę. W końcu odezwał się.

– Nawiązując do kwestii niezbyt szczęśliwego zakończenia tego filmu, zwracam uwagę, że jeden wątek w ogóle nie został wyjaśniony. Nadal nie wiemy, co stało się z Marcinem.

– Dowiemy się.

– Jak?

– W najprostszy możliwy sposób – zapytamy kogoś, kto wie.

– Żartuje pan.

– Skądże. Właśnie tam jedziemy.

Stary, ponemiecki dom stał na skraju przysiółka Zimna Woda, administracyjnie stanowiącego dzielnicę Głuszycy, już na stoku góry Soboń. Graczyk zaparkował land rovera na poboczu ulicy Gdańskiej, jednej z tych typowych dla Gór Sowich, bardzo wąskich dróg przecinających wzdłuż i wszerz cały masyw. Podeszli do drzwi, pamiętających zapewne jeszcze poprzednich, przedwojennych lokatorów.

– Co tu robimy? – zainteresował się Janiszewski.

– Zobaczy pan – Graczyk zapukał.

Po chwili drzwi uchyliły się i stanął w nich Dudziak, obdarzając ich krzywym uśmiechem.

– Możemy wejść? – zapytał Graczyk.

Stary kiwnął głową. Wnętrze było zaskakująco czyste i zadbane. Jakoś nie pasowało nie tylko do odrapanej fasady domu, ale także do otaczającej starego aury wiejskiego głupka.

– Możemy usiąść?

Znów tylko skinięcie.

Usadowili się na kanapie; stary usiadł na krześle przy stole. Graczyka bawiła wyraźnie wyczuwalna konsternacja Janiszewskiego. Tamten najwyraźniej zastanawiał się, czy i Graczyk jest normalny, skoro zamierza rozmawiać z kimś uważanym za niepoczytalnego i kogo nie sposób zrozumieć.

– Cóż, panie Dudziak – zaczął Graczyk – wiele się ostatnio wydarzyło w okolicy, prawda? Nasze drogi dość często się krzyżowały, na co początkowo nie zwróciłem uwagi. I tak by pewnie zostało, gdyby nie nowe okoliczności. Pamięta pan ciało tego młodego

człowieka na Jedlińskiej Kopie, gdzie mówił pan coś o Werwolfie? Na pewno pan pamięta. Myśleliśmy, że chłopak wydostał się z podziemi i zmarł z powodu urazów będących skutkiem zaważenia się korytarza lub czegoś w tym rodzaju. Myliliśmy się. Otrzymałem właśnie raport z sekcji zwłok, z którego wynika, że Radek – bo tak miał na imię – wprawdzie rzeczywiście ucierpiał w jakimś wypadku, lecz zginął na miejscu. Nie mógł więc wyjść na powierzchnię. Co, rzecz jasna, oznacza, że został wyniesiony – uchwycił kątem oka zszokowaną minę Janiszewskiego, ale ciągnął dalej. – Powstaje tym samym pytanie, kto go wyniósł, i dlaczego, zrobiwszy to, pozostawił go na stoku Jedlińskiej Kopy. I wtedy pomyślałem o panu, panie Dudziak. Zna pan te góry lepiej niż ktokolwiek inny. Pojawia się pan wszędzie, gdzie coś się dzieje. Mieszka pan w miejscu, skąd można dyskretnie nadzorować aktywność wszelkiej maści badaczy tajemnic, eksploratorów, a nawet kłusowników. Wyrobił pan sobie opinię niegroźnego idioty, choć nie zdziwiłoby mnie, gdyby było odwrotnie.

Stary, nadal milcząc, uśmiechnął się półgębkiem.

– Próbowałem zdobyć jakieś wiarygodne informacje na pański temat. Nie mogę powiedzieć, że mi się udało. Nazywa się pan Stanisław Dudziak, o ile jest to prawdziwe nazwisko. Urodził się pan w Warszawie, w roku 1926, o ile to prawda. Trochę daleko stąd, ale nie takie rzeczy zdarzały się po wojnie. Niczego więcej nie ma, bo wszystko, podobno, zaginęło w powstaniu. To bardzo wygodne wytłumaczenie. Sądzę więc, że było tak. Zostawiono tu pana, zapewniając fałszywą tożsamość, jako strażnika pilnującego podziemi. Zna pan jakieś wejście do nich, nieznane nikomu innemu. Dotychczas nie wierzyłem w legendarnych strażników, jak w wiele innych rzeczy, ale chyba przyjdzie mi zmienić zdanie. Otóż, kiedy Radek i Marcin dostali się do sztolni w kompleksie Soboń, a następnie dalej, do Centrum, i Radek zginął w zawale, znalazł pan jego ciało. W jakiś sposób wyciągnął pan je stamtąd i porzucił na Jedlińskiej Kopie. Tu nasuwa się kilka pytań. Co stało się z Marcinem? Dlaczego wyniósł pan, a potem zostawił ciało Radka?

– Chwileczkę – wtrącił Janiszewski. – Na pewno pan żartuje. Przywiózł mnie pan tu dla kawału, tak?

– Może zapytamy naszego gospodarza, czy to żart – zaproponował Graczyk.

Stary uśmiechnął się szerzej, kiwając głową, jakby zachęcał Graczyka do mówienia.

– Ale – Graczyk znów zwrócił się wprost do niego – w moim scenariuszu tkwi jeden szkopuł – pański wiek. Jest pan za stary na to, aby zrobić to samemu. Lecz, jak przypuszczam, obowiązki strażnika są dziedziczne. Ma pan syna, panie Dudziak?

– Nie, ale ma wnuczkę – rozległo się niespodziewanie.

Odwrócili się i wybałuszili oczy na szczupłą, bardzo atrakcyjną dziewczynę, stojącą w drzwiach do sieni. Musiała być w kuchni, o czym mogłyby świadczyć podwinięte rękawy bluzki.

– Znam ten głos – stwierdził z namysłem Janiszewski. – Czy to aby nie ta kobieta, która...

– To ona – przerwał mu Graczyk. – A może powinienem uwierzyć w duchy?

Teresa wyglądała zupełnie inaczej niż wówczas, gdy widział ją w odjeżdżającym pociągu. Lecz to niewątpliwie była ona. Przyglądała mu się badawczo.

– Zauważyłam policyjny samochód. Jest pan tu służbowo?

– Podobnie jak w pociągu, jestem tu w zasadzie prywatnie – odparł nie bez szczypty sarkazmu. – Szukam odpowiedzi na pewne pytania. Na przykład, jak to się stało, że przeżyła pani krakę?

– Wcale mnie tam nie było. Ja też wyskoczyłam z pociągu, tyle że nieco dalej, żeby pan tego nie widział.

– Dobrze, dobrze – przerwał jej Janiszewski. – Proszę lepiej powiedzieć, dlaczego zniszczyła pani nasz pociąg?

– Nasz? – Graczyk spojrzał na niego ze zdziwieniem.

– Był nasz. Zdobyliśmy go. Okupiliśmy własną krwią i tak dalej. A ona – wskazała palcem Teresę – nie tylko ukradła go nam, co bym jeszcze wybaczył, ale go zniszczyła! Chcę wiedzieć dlaczego.

– Jeśli dobrze pamiętam, my też go ukradliśmy – zauważył Graczyk.

– To jej nie usprawiedliwia!

Teresa zmierzyła Janiszewskiego niezbyt przychylnym spojrzeniem.

– Nie zamierzam się przed panem usprawiedliwiać ani zaspokajać pańskiej ciekawości. Gdyby pomyślał pan logicznie, zrozumiałby pan, że zrobiłam to właśnie dlatego, iż nie było innego sposobu, aby utrzymać to, co było w pociągu, z dala od ludzkiej ciekawości.

Janiszewski nie stracił rezonu.

– A co w nim było? – zapytał bezczelnie.

Graczyk postanowił się wtrącić.

– To i tak nie ma już znaczenia. Przyszliśmy tu, aby dowiedzieć się, co stało się z tym drugim studentem, Marcinem. Czy pani dziadek albo pani wiecie coś na ten temat?

– Niestety, również nie żyje – odparła. – Chłopcy nie dotarli do Centrum. Zginęli w Soboniu, niedługo po tym, jak udało im się odnaleźć wejście do czwartej sztolni. Dziadek wysadził je później w powietrze. Był kiedyś górnikiem; zna się na tym.

– Jak to, przecież znalazłem szkic wykonany przez Radka, przedstawiający fragment nieznanego kompleksu, do którego musieli dotrzeć.

– Ten szkic zrobiłam ja. Uznaliśmy z dziadkiem, że może wzbudzi zainteresowanie i sprawi, że ktoś zajmie się tą sprawą. Jak widać, zadziałało.

– Szkic przedstawia fragment Centrum – zauważył wciąż zły Janiszewski. – A więc musiała je pani widzieć?

– Nie byłam tam; nie interesują mnie podziemia. Rysunek sporządziłam w oparciu o szkice dziadka.

– Jezus Maria! – pokręcił głową. – Co tu się wyprawiało! I nikt nie miał o tym pojęcia.

– O to właśnie chodziło – skwitowała.

– Jest coś, czego nie rozumiem – odezwał się Graczyk. – Dlaczego niemiecki strażnik miałby zachęcać polskie służby do zainteresowania się tym, co dzieje się w podziemiach, których tajemnic miał strzec?

Uśmiechnęła się.

– Może dlatego, że nie jest niemieckim strażnikiem?

Janiszewski parsknął głośno. Najwyraźniej tracił już cierpliwość do tych wszystkich rewelacji. Graczyk starał się zachować spokój.

– Co pani ma na myśli?

– Widzi pan – odparła – bezpośrednio po wojnie osiedliła się w tych okolicach grupa dawnych więźniów obozu Gross-Rosen, którzy pracowali na podziemnych budowach. Wiedzieli, że Niemcy pozostawili tu swoich strażników. Postanowili ich wytropić i usunąć, a na ich miejsce powołać własnych. Do pewnego stopnia cel był podobny – zabezpieczenie tego strasznego miejsca przed ludzką ciekawością i chciwością – ale przede wszystkim chodziło o to, aby uniemożliwić Niemcom odzyskanie tego, co tu ukryli. W tym domu mieszkał niemiecki strażnik. Zlikwidowano go i umieszczono tu dziadka, wówczas niespełna dwudziestoletniego byłego więźnia Gross-Rosen.

Odruchowo spojrzeli na starego, który śledził rozmowę, przypatrując im się bystro, a jego oczy błyszczały inteligencją. Nie odzywał się, więc zapewne jego trudności z mówieniem nie były udawane.

– Gdzie znajduje się wasze wejście do podziemi? – zapytał Graczyk.

– Ten dom stoi w pobliżu wyrobisk dawnej kopalni – odpowiedziała Teresa. – W czasie wojny połączono je z podziemiami, a jedną ze starych sztolni przedłużono i

wyprowadzono jej wylot w stoku, nieco wyżej, nad domem. Mamy tam zabudowania gospodarskie. Wejście znajduje się w jednej z komórek.

– Dokąd prowadzi? – zainteresował się Janiszewski.

– Prowadziło – sprostowała Teresa. – Do najbliższego kompleksu Soboń. Teraz jest tam tylko sterta gruzu.

– Cholerni Niemcy – warknął Janiszewski. – To znaczy, Austriacy.

– Tego właśnie nie zdołałem jeszcze rozgryźć – odezwał się Graczyk. – Dlaczego przedwcześnie wysadzili wszystko w powietrze? Owszem, mieli zamiar to zrobić; sami widzieliśmy, jak zakładali ładunki. Ale chyba dopiero po wywiezieniu wszystkiego. Dlaczego zaryzykowali zniszczenie pociągu?

– Niestety, nic na ten temat nie wiem – Teresa nawet nie mrugnęła okiem. – Leżałam nieprzytomna w wagonie.

Graczyk wyczuwał, że dziewczyna nie chce wdawać się w szczegóły, ale zapewne wynikało to z jej paranoi na punkcie zachowania wszystkiego w sekrecie. To zresztą musiało być wystarczająco nieprzyjemne doświadczenie, aby chcieć o nim zapomnieć. Nie mógł ani nie miał prawa zmuszać jej do rozmowy o tym. Zresztą, dobry policjant powinien wiedzieć, kiedy przestać wywierać nacisk. Może za jakiś czas będzie bardziej skłonna do podzielenia się swoją wiedzą.

Wstał, dając do zrozumienia wciąż naburmuszonemu Janiszewskiemu, że też powinien się podnieść.

– Jeszcze jedno – powiedział. – Co zamierzaliście zrobić w przypadku, gdyby policja jednak nie zainteresowała się podziemiami? W jaki sposób chcieliście przeszkodzić w wywiezieniu tego, co znajdowało się w pociągu?

Wzruszyła ramionami.

– Bez urazy, ale na policję zbytnio nie liczyliśmy. To miało być tylko dodatkowe zabezpieczenie. Byłam przygotowana na to, że będę musiała sama się tym zająć. Przynajmniej dopóki nie uzyskam przekonujących dowodów na prawdziwą działalność firmy Kronos. Dlatego zatrudniłam się u nich jako tłumaczka.

W drzwiach zatrzymała jeszcze Graczyka.

– Co pan zamierza w sprawie dziadka i mojej?

– Nic. W udział pani dziadka nikt nie uwierzy. A o pani udziale nikt nie wie. Sprawa jest zamknięta. Jediną kwestią, nad którą się jeszcze zastanawiają tak zwani decydenci, jest to, czy dać nam medale – wskazał na Janiszewskiego i na siebie – czy oskarżyć o prowadzenie nielegalnej eksploatacji, zabór państwowego mienia, nieuzasadnione użycie broni, zabójstwo i tak dalej. Ot, drobiazgi. A co pani zamierza? Nie ma już czego strzec; nie ma „Riese”.

– Jestem nauczycielką. To poszukiwany zawód.

– Twardy belfer, co? No cóż, do zobaczenia.

Patrzyła przez okno jak odjeżdżają. „Riese” już nie ma, to prawda. Podziemi pod Książem również. Zniszczyła je. Ale to tylko dwa z pałaców Odyń: Gladshheim i Walaskjalf. Keller wspominał o trzech. Pozostała więc jeszcze Walhalla. A ona wiedziała, gdzie jej szukać.